

Czarna rzeka



Tom
HARPER

Czarna rzeka

Szukali sławy i bogactwa. Znaleźli śmierć.



Czarna rzeka

Tom
HARPER

Czarna rzeka



Czarna rzeka

Spis treści

Dedykacja

Oświadczenie

Rozdział 1. W krainie Majów

Rozdział 2. Dzikie Zachód

Rozdział 3 Czarna woda

Rozdział 4. W zabójczej dziczy

Rozdział 5. Jonestown

Rozdział 6- Tylne wyjście

Epilog

Postowie

Czarna rzeka

*Dla Robin i OJ Burns,
którzy nauczyli mnie wędrować po krainie ziota*

Czarna rzeka

Oswiadczame

Nazwy miejsc i cechy położenia geograficznego zostały zmienione.

Nikt nie powinien próbować odtworzyć podróży opisanej w tej powieści.

Nazwiska zostały zmienione, aby ochronie reputację żywych i pamięć zmarłych.

Czarna rzeka

Ktoś nie wyjdzie stąd żywy.

Przez ostatnie dwa tygodnie tak często o tym myślałem, że kiedy wreszcie do tego doszło, miałem wrażenie, jakbym był na to przygotowany. Każdego z nas mogło to spotkać kilkanaście razy w ciągu dnia-źle wymierzony cios maczeta, ukąszenie węza albo niefortunny upadek. Ale to wydawało Sie takie abstrakcyjne. Gdyby ktoś mnie przycisnął i zapytał, na kogo bym postawił, czyje martwe powieki spodziewam się zamknąć, uznałbym to za absurd. Nie na Fabia, którego niewzruszona siia dodawała nam otuchy, nawet kiedy zabrakło jedzenia, i nie na Tillmana, który przedzierał się przez dżunglę jak odyniec. Na pewno nie na Antona. Orew. ani Zię. Ani nawet nie na Howiego.

W takim razie pozostawałem tylko ja. A dlaczego? Nie wiedziałem, jak się zachować w tym miejscu, w którym nigdy nie powinienem się znaleźć. Ale wszystkim nam wydawało się, że jesteśmy nieśmiertelni.

-Dżungla nie jest taka groźna, jak opowiadają - powiedział mi Anton tamtej nocy, kiedy się poznaliśmy. - Bardziej ryzykujesz, idąc na zakupy w rodzinnym mieście

Mówił wiele zaskakujących rzeczy i w tej kwestii też się nie mylił. Olej węzę i krokodyle (które są grubo przereklamowane, jak mówił, również nie bez racji), kłuszące mrówki i wrzaskliwe małpy, zapomnij o jaguarach (nie spotkałem ani jednego), piraniach i tych wszystkich roślinach, które mogą cię poharatać, zmiazdzyć albo spryskać trucizną. Prawdziwym niebezpieczeństwem, jak w każdym innym miejscu na świecie, są ludzie dookoła.

Ale co do Antona, przekonałem się - po wszystkim, kiedy było już za późno - że zawsze musiał coś przemilczeć. Możę w Amazonii rzeczywiście Jest bezpieczniej niż na ulicy przed domem, ale istnieje pewna zasadnicza różnica. Kiedy w mieście dzieje się coś złego, można zadzwonić na policję, wezwać pogotowie. Można wrócić do domu, zamknąć za sobą drzwi na cztery spusty i nalewając sobie kieliszek wina, powiedzieć: „Dzięki Bogu. już po wszystkim”,

W dżungli nie ma dokąd uciec. To najbardziej tętniące życiem miejsce na kul ziemskiej, ale życie potrzebuje pożywienia i gdy tylko tam trafisz, stajesz się potencjalnym łupem. Przeżyje ten, kto jest najlepiej przystosowany, Warstwa ziemi jest tak cienka, że nie ma nawet gdzie pochować zmarłych.

Jednak aż do tamtego poranka byłem przekonany, że nam się uda.

Jest w Andach takie miejsce, w którym Amazonka zaczyna swój bieg. Widziałem je na zdjęciu, lodowcową czapę na szczycie góry, która wyglądała jak polewa na gałce lodów, Sącząca się spod niej woda znajduje w końcu ujście w szczelinie skalnej i zamienia się w strumień. Sześć tysięcy kilometrów dalej, w miejscu gdzie rzeka wpada do oceanu, w każdej sekundzie przepływa tyle wody, że wystarczyłoby do zwodowania „Titanica”,

Ale to nie jest prawdziwe źródło. To tylko fikcja stworzona przez geografów. Tak naprawdę wszystkie krople deszczu, które spadają między Andami a Atlantykiem, trafiają do Amazonki. Każda z nich sama w sobie jest początkiem, nie bardziej niż pozostałe, a któż zdoła prześledzić drogę, która przebyła, zęby połączyć się z innymi?

Ale jeśli moja opowieść ma jakiś początek, moment, w którym krople tworzą strugę i wyciekają spod ziemi, w którym mógłbym postawić tabliczkę z napisem „Tu jest źródło”, jest to tamten dzień w Meksyku. Dzień, w którym spojrzałem śmierci w oczy.

Dzień, w którym poznałem Antona.

Czarna rzeka

ROZDZIAŁ 1

W KRAINIE MAJÓW

- Jedźcie sz w zła stronę.

Siedząca w fotelu pasażera Cate uniosła wzrok znad mapy. Za oknami przesuwały się piaszczyste pustkowie, na których tu i ówdzie rosły kępy krzaków i karłowate drzewa. Od dwóch godzin widok był taki sam.

- Bo mamy złą mapę.

Mapa była gratisowym dodatkiem do samochodu, lśniącym gadżetem promocyjnym zaprojektowanym zgodnie z zasadą, że wszyscy turyści cierpią na krótkowzroczność. Powinienem być wybrać GPS, ale ta opcja kosztowała dodatkowe czterdzieści dolarów, a wynajęcie samochodu już i tak mocno uderzyło mnie po kieszeni. Popęniłem bled, korzystając z pośrednictwa hotelu.

- Trzeba było wziąć GPS.

- Nie ufam takim wynalazkom. Zresztą jesteśmy na tajemniczej wyprawie - odparłem, próbując obrócić wszystko w żart, ale żarty skończyły się pięćdziesiąt kilometrów wcześniej.

- Możemy już wracać? - odezwała się Peggy z tylnego siedzenia. Stała się marudna, od kiedy padła bateria w jej iPadzie. Najwyraźniej to też była moja wina,

- Za chwilę tatuś zawróci - obiecała jej Cate.

- A co to?

Nacisnąłem hamulec i poczułem w ustach smak kurzu, który wdarł się do wnętrza samochodu przez otwarte okno. Obróciłem głowę, żeby spojrzeć na budynek, który właśnie minęliśmy. Przed pomalowaną na zielono ruderą z pustaków przechadzały się dwie kury i stała tablica z reklamą Coca-Coli. Na frontowej ścianie widniał napis: „Montezuma Bar Cafe”.

- Bar MonteZuma. To tutaj.

Za budynkiem odbijał od głównej drogi gruntowy trakt, który prowadził w stronę kępy drzew rosnących na niewysokim wzgórzu. Skręciłem w tamtą stronę.

- Ile jeszcze? - zapytał cienki głosik za moimi plecami.

- Pięć minut - powiedziała Cate posępnym tonem.

Byliśmy w Meksyku od sześciu dni. Na tyle długo, żeby oswoić się z różnicą czasu i mieć już wszystkiego dość. Cate doskwierał upał, a Peggy była niezadowolona z jedzenia. Mnie nie podobały się tłumy i miałem wrażenie, jakbym wsiadł do wagonika kolejki, której jedynym zadaniem jest wyczyszczenie moich kieszeni, a przesuwane się w zawrotnym tempie widoki zlewały się w niewyraźny, rozmyty obraz. Turystyka spod sztancy. To dlatego tamtego popołudnia wynajętem samochód - żeby porzucić utarte szlaki i doświadczyć czegoś innego niż zaplanowane atrakcje. Żadnych klimatyzowanych autokarów, planu zwiedzania, programów kulturalnych i przekupniów, którzy roili się jak mrówki, gdy tylko wychodziliśmy na parking, żeby rozprostować kości. Miałem trzydzieści osiem lat, zonę, którą ubóstwiałem, spory kredyt hipoteczny i sześćioletnią córeczkę, nieszczęśliwą z tęsknoty za swoją ulubioną

Czarna rzeka

dobranocka o Oktcnautach. Ale mimo wszystko jeszcze nie byfem gotów zrezygnować z przygód.

Pomyślałem, że trzeba było wykupić dodatkowe ubezpieczenie od uszkodzeń zawieszenia. Samochodem rzucało na wybojach, a wylatujące spod opon kamyki z grzechotem odbijały się od karoserii. Opadła poluzowana klapa schowka, z którego wyleciał plik luźnych kartek, rozsypując się na kolanach Cate,

- Jeszcze minuta - odezwała się moja żona takim tonem, jakiego używa, kiedy Peggy guzdrze się przed wyjściem.

Jechałem tak szybko, na ile starczyło mi odwagi, wzdry gając się za każdym razem, gdy jakiś kamień uderzał o blachę. Zza moich pleców dobiegła złowieszcza skarga:

- Niedobrze mi.

- Patrz prosto przed siebie.

Pokonaliśmy zbcocze pagórka i dojechaliśmy do drzew. Soczysta zieleń ich liści kontrastowała ze spieczoną słońcem ziemią, która ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Wyglądały jak najprawdziwsza oaza.

- To musi być tutaj. - Zatrzymałem samochód i otworzyłem zakładkę, którą zaznaczyłem w swoim smartfonie. - *Cenote fos*

Studnia umarłych -

zacząłem czytać.

- Brzmi intrygująco.

- „Ukryty wśród pustkowi J u kata nu skarb, który jest kojarzony z genezą mitu

0 Źródle Wiecznej Młodości...”.

-Zabawna nazwa jak na Źródło Młodości.

- „Kiedy tam trafisz, może będziesz je miał tylko dla siebie”.

- Raczej nic z tego. - Cate uniosła rękę, pokazując na wprost.

A potem zgromiła mnie wzrokiem, kiedy zmetłem w ustach przekleństwo, zauważywszy ledwie widoczny zza drzew samochód, który stał zaparkowany przed nami.

Gdy tylko wysiadłem, rzucił się na mnie rój komarów. Były jak ciężkie bombowce w porównaniu z tymi, które mamy u siebie. Na prazno usiłowałem się od nich oganiać Peggy zaczęła piszczeć, więc Cate wyjęła z torebki sprej przeciwko owadom i spryskała jej rękę.

Podszedłem do tamtego samochodu. Nawet jak na Meksyk wyglądał dziwnie Volkswagen garbus - klasyczny model, nie ła nowoczesna wersja, z której korzystają agenci nieruchomości - miał lakier zdarty do gołej blachy, a nad jego karoserią musiała pracować zgraja hippisowskich plastyków. Istna orgia barw,

Nie mogąc opanować ciekawości, zajrzałem do środka przez okno. Na lusterku wstecznym wisiał ekstrawagancki ludowy amulet, podłogę zaściewały papierowe kubki

1 opakowania pojedzeniu, a na tylnym siedzeniu leżał biustonosz w grochy,

- Tędy - powiedziałem, oddalając się od samochodu, zanim Cate zdążyła przyjrzeć mu się dokładniej. Weszliśmy na wąską ścieżkę, dosyć mocno wydeptaną jak na drogę do ukrytego skarbu, która doprowadziła nas do polanki. - No i jesteśmy na miejscu

W niewielkim wybrzuszeniu ziały trzy dziury - dwie mniejsze i jedna podłużna, która ciągnęła się około pięciu metrów. Można było dopatrzeć się w nich wyraźnego podobieństwa do pary oczodołów i ust, nawet gdybym nie zauważył leżącej nieopodal drewnianej tablicy, na której widniał narysowany kontur czaszki. Napis pod spodem głosił: „Cenote de los Muertos. Entrada \$20”. Tuz obok stało sfatygowane rozkładane krzesło, ale w okolicy nie zauważyłem ani śladu osoby, której moglibyśmy zapłacić za wstęp. Również ani śladu właścicielki biustonosza w grochy. W głąb jednego z otworów zwieszała się lina z zaplecionymi na niej węzłami.

Czarna rzeka

- Czy prawdziwi odkrywcy kupują bilety? - zapytała Cate.

Nie zareagowałem na jej słowa. Wpatrując się w połyskującą pod ziemią tafłę szafirowo-błękitnej wody, zapragnąłem się w niej zanurzyć. Zdjąłem przepocone ubranie i sięgnąłem do torby po kąpielówki.

-Zachowuj się. - Cate zmarszczyła czoło.

- Przecież jesteśmy tu sami. Przyłączysz się?

Wiedziałem, że ma pod bluzką kostium kąpielowy, który włożyła przed wyjściem z hotelu. Ale ona wciąż stała w miejscu, przyciskając do siebie naszą córkę.

- No chodź.

- Ktoś musi zostać z Peggy - odparła, zerkając w głąb jamy. - Ale chyba tam nie wskoczysz, co? Mógłbyś połamać nogi.

- Na stronie było napisane, że jest bezpiecznie.

- A jak stamtąd wyjdiesz?

Trąciłem nogą linę.

- Po tym

- A jak się urwie?

- Nie urwie się.

Czułem, że zaczyna oblewać mnie fala gorąca, a nie chciałem wdawać się w kłótnię. To miała być moja przygoda. Obróciłem się, wziąłem głęboki wdech i skoczyłem na nogi.

Lustro wody było głębiej, niż się spodziewałem. Spadając, zdążyłem się jeszcze zastanowić, czy to był dobry pomysł. Potem uderzyłem w wodę, która natychmiast załapała mi nos. Poczujęm, jak się zapadam. Zbyt głęboko, zbyt szybko. Zacząłem energicznie młócić nogami,

Moja głowa wynurzyła się na powierzchnię. Łapczywie zaczerpnąłem powietrza, wciągając przy okazji spory łyk wody. Myślałem, że się zachłysnę, ale poCzułem tylko Świeży, lekko słód kawy smak. Woda była krystalicznie czysta i tak zimna, że krew zdawała się zamarzać mi w żyłach.

To była najprzyjemniejsza chwila podczas całych tych wakacji. Promienie słońca wpadające przez otwór w sklepieniu tworzyły nad moją głową świetlistą aureolę, a kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem maleńkie rybki pierzchające spod moich stóp. W cęlkowanej wapiennej ścianie, która głębiej nikła w mroku, ział czernią wylot tunelu. Na przytwierdzonej do skały tabliczce widniało ostrzeżenie po angielsku i hiszpańsku: „Tylko dla doświadczonych nurków”. W Wikipedii przeczytałem, że podziemny labirynt zalanych korytarzy ciągnie się kilometrami, obejmując cały półwysep.

Nad krawędzią otworu pojawiła się głowa Cate. Była naprawdę wysoko nade mną.

-Wszystkow porządku?

- Tez powinnaś spróbować! - zawołałem i mój spotęgowany przez echo głos zabrzmiał jak tu bałnysmiech,

- Jest tam ktoś jeszcze?

Pokręciłem głową.

- Jest cudownie. Chodź do mnie.

Wyglądała tak, jakby rozważała moją propozycję. Dziesięć lat temu wskoczyłaby tu od razu. nawet bez kostiumu. Ale teraz...

- Lepiej zostanę z Peggy - powiedziała,

W jej głosie wyczułem nutkę żalu. Miałem przynajmniej odrobinę satysfakcji.

Przez kilka minut pływałem na plecach, wygrzewając się w promieniach słońca, które wpadały przez otwór nad moją głową. Kiedy robiło mi się zbyt gorąco, nurkowałem i goniłem spłoszone rybki albo przemykałem w pobliżu ścian niczym węgorz. Czułem się w tej pieczarze jak w małym prywatnym raj.

Czarna rzeka

Jednak było tam jedno miejsce, do którego wciąż wracałem. Wylot tunelu, mroczny i kuszący. Obmacywałem dłońmi jego krawędzie, przyciskałem się do ściany i zaglądałem do środka, próbując coś wypatrzeć. Wydawało mi się, że widzę światło na przeciwległym końcu.

Przypomniałem sobie, co wyczytałem w Internecie. „Największa atrakcja kryje się na końcu dziesięciometrowego tunelu. Można nim przepłynąć do rytualnej groty Majów, w której wciąż spoczywają kości ludzi złożonych w ofierze”.

Oczywiście, jak zaznaczyłoby Cate, to nie było takie łatwe. „Jest (o miejsce dostępne wyłącznie dla osób uprawnionych do nurkowania jaskiniowego, które mają odpowiedni sprzęt ■ zachowują należyte środki ostrożności”. Ale napisali to tylko dla formalności. W tych czasach nawet kupując zwykłą kawę, nie da się uniknąć ostrzeżeń na temat zdrowia i bezpieczeństwa. A ja pływam całkiem niezłe i dziesięć metrów pod wodą powinienem pokonać bez problemu.

Przecież to jest moja przygoda.

Wynurzyłem się i znów zobaczyłem nad sobą Cate.

- Wychodzisz już? - zapytała.

- Jeszcze chwilkę.

- Komary zjadają Peggy żywcem, Wracamy do samochodu.

Odczekałem, aż jej twarz zniknie i wziąłem głęboki oddech.

Miałem wrażenie, że pokonałem już spory kawałek, przebierając nogami i nie odrywając dłoni od skalistej ściany. W mojej głowie uparcie powracały słowa „labirynt zalanych korytarzy¹¹, ale ja musiałem przepłynąć tylko dziesięć metrów. A wyglądało na to, że zapuściłem się już dość daleko. Dla pewności odbiłem się jeszcze dwa razy i skierowałem się w stronę powierzchni. Zaczynałem odczuwać ucisk w płucach.

Uderzyłem głową w strop, ale wciąż znajdowałem się pod wodą. Widocznie próbowałem wynurzyć się za wcześnie. Wstrzymywanie oddechu stawało się coraz bardziej bolesne. Popłynąłem dalej, dotykając ręką stropu w nadziei, że odnajdę wyjście.

Czy w tej grocie Majów na pewno jest powietrze? Nagle zacząłem w to wątpić. Czyżby tylko mi się wydawało, że coś takiego przeczytałem? A może bez sprzętu do nurkowania nie da się tam doплыnąć?

Pomyślałem o kościach ludzi złożonych w ofierze. Teraz widziałem już tylko same szkielety, a wśród nich moje szczątki zapadające się w piaszczyste dno jaskini. Potem zobaczyłem wyraz twarzy Cate.

Musiałem wracać. Otworzyłem oczy. Wodę rozświetlał nikły blask, ale nie potrafiłem zlokalizować jego źródła. Kilka razy okręciłem się w miejscu, próbując dojrzeć, skąd dochodzi światło. Zdawało się, że zewsząd, a ja straciłem orientację. Teraz nie miałem już pojęcia, w którą stronę trzeba płynąć, żeby wydostać się na zewnątrz.

Nie mogłem już dłużej wstrzymać oddechu. Poddałem się i otworzyłem usta, ale nie mogłem zaczerpnąć nic oprócz wody. Zakręciło mi się w głowie i poczułem, jakby moje płuca miały za chwilę eksplodować. Wiedziałem, że to szaleństwo, że nie dam rady doплыnąć daleko. Powinienem mieć siłę, żeby wrócić. Zacząłem się odpychać, ale moje ruchy były powolne ■ słabe, jak gdyby woda usiłowała mnie powstrzymać. Przed oczami zobaczyłem migocące kolorowe plamy, a moje myśli powędrowały w głąb świadomości.

Labirynt zalanych korytarzy, labirynt zalanych korytarzy, labirynt zalanych korytarzy.

W swoim życiu pozbawiłem przytomności wiele osób, zatem wiedziałem dokładnie, co się dzieje. Pierwsza faza - jak głoszą podręczniki - to stan łagodnej euforii podobny do upojenia alkoholowego. Doświadczyłem jednego i drugiego, ale zdecydowanie wolę

Czarna rzeka

być na rauszu. W drugiej fazie człowiek przestaje reagować na polecenia, aż w końcu nie czuje nawet skalpela, który rozcina jego brzuch. I wtedy następuje faza trzecia.

Czarne rozmyte plamy przed moimi oczami zwały się w kształt ludzkiej sylwetki, która wyłoniła się z mrocznej nicości. To wtedy zacząłem nabierać przekonania, że umieram. A więc tak wygląda koniec? Czy to samo widzieli ci wszyscy pacjenci, którzy już się nie obudzili? Zawsze się nad tym zastanawiałem. Nagle ten człowiek podpłynął tak blisko, że przejrzysta woda wokół mnie pociemniała, jakby nasycił ją swoim cieniem. Wyciągnął rękę i złapał mnie za ramię. Jeżeli był aniołem, miał zadziwiająco mocny chwyt. Wokół jego głowy falowały długie jasne włosy. Zza pleców wystawały mu skrzydła, ale twarz miał zasłoniętą.

Wcisnął mi coś do ust. Gdybym nie był tak bezwolny i na wpół przytomny, pewnie bym się opierał, ale teraz, wiedziony jakimś pierwotnym dziecięcym odruchem, zacisnąłem szczęki i zacząłem ssać. Wciągnąłem haust zatęchłego powietrza, które zalatywało dętką rowerową, ale miałem wrażenie, jakbym wdychał czysty eter.

Anioł trącił mnie w ramię i dał znak, żebym oddychał wolniej. Skinąłem głową i próbowałem zapanować nad oddechem. Z każdą chwilą odzyskiwałem ostrość widzenia. To nie był anioł - miałem przed sobą nurka, a przypiętą do jego pleców butlę wziąłem za skrzydła. Duże niebieskie oczy patrzyły na mnie przez szybkę maski.

Odebrał mi na chwilę ustnik, żeby zaczerpnąć powietrza, a potem chwycił mnie za nadgarstek i pociągnął za sobą w głąb tunelu. Niedaleko, może cztery czy pięć metrów. Oto jak niewiele dzieli życie od śmierci - pomyślałem wtedy. Później przekonałem się, że ten dystans jest znacznie mniejszy.

Wynurzyliśmy się w niewielkiej grocie o kopulastym sklepieniu, którą wypełniało światło latarki leżącej na skalnej półce. I powietrze - najprawdziwsze powietrze. Wdychałem je łapczywie, nie zważając na to, że szczerze zęby w idiotycznym uśmiechu. Z niszy w ścianie spoglądał na mnie kamienny bożek o nienaturalnie wielkich kanciastych uszach, który rozdziwiał szeroko usta, jakby krzyczał, chcąc mnie przed czymś ostrzec.

Właśnie tak poznałem Antona.

2.

Anton zdjął maskę. Długie jasne włosy okalały jego spieczoną słońcem twarz o bladoniebieskich oczach, które przypominały okna innego wymiaru rzeczywistości. Nie nosił kombinezonu, a między paskami akwalungu zauważyłem grubą bliznę biegnącą w poprzek klatki piersiowej. Zaciekało mnie, czy ma ona jakiś związek z czarnym zębem rekina zawieszonym na rzemieniu, który Anton nosił na szyi,

Nie byliśmy sami. Tuz obok nas na powierzchni wody, pływając w miejscu, unosiła się dziewczyna. Może to przez chwilowy niedobór tlenu, a może przez gwałtowny napływ hormonów spowodowany nagłym ocaleniem, ale nie mogłem oderwać od niej oczu. Wyglądała na dwadzieścia kilka lat, jej gibkie ciało pokrywała nieskazitelna opalenizna, a ciemne włosy opadały na kark, jakby przed chwilą wyszła spod prysznic. Miała na sobie białe bikini. Zbyt cienkie jak na kąpiel w lodowatej wodzie. Zacząłem się zastanawiać, czy to ona jest właścicielką biustonosza w grochy. Na oko rozmiar się zgadzał.

Uniosła rękę nad lustro wody i pomachała do mnie.

- W tych tunelach nie jest zbyt bezpiecznie, co?

Wszyscy przebieraliśmy nogami, zęby utrzymać się na wodzie w ciasnej przestrzeni. Ogarnęła mnie fala przenikliwego zimna. Otworzyłem usta, próbując wykrztusić jakiś

Czarna rzeka

frazes o uratowaniu mi życia, ale Anton nie wygląda! na zainteresowanego moimi podziękowaniami, Sięgnął po tatarkę i poswiecił w dół.

- Domyślam się, że tego tu szukałeś.

Omali nie wyskoczyłem z wody. Na piaszczystym dnie tuż pod moimi stopami leżały rozrzucone kości. Snop światła wydobywał z mroku kontury ludzkich szczątków - uda, piszczele, zebra ł obojczyki. Ale najbardziej przerażające były czaszki, które zdawały się patrzeć na mnie z wyrzutem pustymi oczodołami, jakby miały mi za złe, że zakłóciłem ich spokój. Niektóre były rozłupane jak skorupki jajek, naznaczone otworami, które ziały w miejscach, gdzie nie powinno ich być.

- Majowie rozbijali im głowy - wyjaśni! Anton. - A widziałeś Mamuškę?

Skierował latarkę ku wnętrzu w ścianie, na lewo od krzyczącego bożka. Moim oczom ukazała się kolejna makabryczna niespodzianka - na skalnej polce spoczywał cały szkielet, a pęknięcie na jego czaszce wskazywało na to, że pałka oprawcy trafiła ofiarę tuż za uchem. Ściekająca od stuleci woda pokryła kości połyskliwą warstwą wapnia i można było odnieść wrażenie, że szczątki nie zlewają się ze skalą, ale z niej wyrastają. Zupełnie jak w *Kopalniach króla Salomona*.

- To jest Mamuška.

- Czemu tak ją nazwałeś? - zapytałem,

- To konkwistadorzy - odezwała się dziewczyna. - Powiedzieli Majom, że to kości Matki Boskiej, zęby uważali to miejsce za święte.

- Typowy katolicki stek bzdur - dodał Anton.

Gdybym był religijny, zrobiłbym znak krzyża. Ale jestem na tyle przesądny, że odwróciłem wzrok - prosto w stronę dziewczyny. Nie miała aparatu do nurkowania ani maski. Czyżby przepłynęła tunel bez sprzętu?

Pochwyciła moje spojrzenie i obdarzyła mnie ciepłym uśmiechem. Odwzajemniłem się tym samym.

- Jesteś tu sam? - zapytał Anton.

Zamrugalem nerwowo. Od chwili gdy wyciągnął mnie z potrzasku, nawet nie pomyślałem o Ca te, która me miała pojęcia, że postanowiłem zbadać podwodny korytarz. Musiała odchodzić od zmysłów, kiedy zauważyła, że zniknąłem. Czy zdążyła już zawiadomić policję?

- Na zewnątrz jest moja żona. I córka. Nie chciały kąpać się ze mną.

- Powinieneś dać im znać, że nic ci nie jest - powiedziała dziewczyna z powagą.

- Racja.

Nie chciałem opuszczać grotę. Kiedy znów nappełniłem płuca powietrzem i otrząsnąłem się z szoku, zacząłem odczuwać mroczną magię tego miejsca. Po sklepieniu pełgały refleksy światła, a piaszczyste dno w żółtym blasku latarki mieniło się jak złoto. Nawet kości nie napawały mnie już strachem.

- Czy ktoś znalazł tu jakiś skarb?

Anton zaśmiał się.

- Jeżeli tak, to nic dla nas nie zostawił.

Po raz ostatni potoczyłem wzrokiem dookoła. Trzy miesiące później, w innej jaskini wśród innych kości, przypomniałem sobie tę chwilę. I rytualne ofiary.

Z przewodnikiem, który oświetlał drogę i dzielił się ze mną powietrzem ze swojej butli, powrót na powierzchnię zajął tylko chwilę. Wynurzyliśmy się u wylotu podwodnego tunelu i podpłynęliśmy do liny. Moja przygoda musiała trwać dłużej, niż myślałem. Promienie słońca padały już pod innym kątem i złocista poświata, która wcześniej wypełniała grotę, ustąpiła miejsca szarości.

- Gdzie ty, do cholery, byłeś?

Czarna rzeka

Cate rozebrana do kostiumu kąpielowego wisała na linie w połowie drogi między sklepieniem a lustrem wody.

- Schodzisz?

Zmierzyła mnie gniewnym spojrzeniem niczym jakiś mściwy bóg z antycznej greckiej sztuki, który zstępuje z niebios na scenę.

- Chciałam cię ratować.

- Wszystko w porządku! - zawołał Anton. - Już o to zadbaliliśmy.

Nasze zwielokrotnione przez echo słowa ledwie dało się zrozumieć. Zachodzące na siebie zniekształcone dźwięki nieprzyjemnie pulsowały w moich uszach. Cate chciała coś powiedzieć, ale w końcu dała za wygraną. Podciągnęła się z powrotem na linie i po chwili zniknęła za krawędzią otworu. Całkiem zgrabnie jej poszło. Wciąż dbała o kondycję, nawet po narodzinach Peggy.

Zerknąłem na mojego wybawcę. Jeżeli był zakłopotany naszym zachowaniem, nie dał tego po sobie poznać. Później, kiedy poznałem go odrobinę lepiej, zorientowałem się, że zakłopotanie jest mu zupełnie obce - podobnie jak wahanie, niepewność czy strach. Miał nerwy ze stali

- A tak w ogóle to jestem Kel - przedstawiłem się.

- Anton. A to jest Drew - dodał, wskazując głową na dziewczynę,

Była jego partnerką? W tym, jak wypowiedział jej imię, było coś władczego, ton intymności albo zaborczości. To zdumiewające, jak łatwo poczuć zazdrość wobec człowieka, któremu zawdzięcza się życie.

- Jestem twoim dłużnikiem - powiedziałem z szerokim uśmiechem.

-Następnym razem weź sprzęt do nurkowania. Z odpowiednim przygotowaniem to nic groźnego.

- Naprawdę - ściszyłem głos, zęby Cate mnie nie usłyszała, choć echo i tak zamieniało każde słowo w bełkot - mogłem tam zginąć.

Anton jakby od niechcienia wzruszył ramionami. Ale byłem mu wdzięczny i zależało mi, żeby to sobie uświadomił. A może miałem też inny powód.

- Pozwolisz, że zaproszę was na kolację?

3.

Usłyszałem, że nadjeżdżają, zanim jeszcze ich zobaczyłem. Psychodeliczny garbus Antona tak hałasował, jakby miot pneumatyczny zdierał asfalt z hotelowego parkingu. Dwie minuty później Anton pojawił się w drzwiach restauracji i omiółtł wewnątrz wzrokiem jak drapieźnik na polowaniu. Mia: na sobie dżinsy ■ rozchełstana na piersi biała lnianą koszulę z podwiniętymi rękawami, Jego ciemnoblonde włosy sterczały we wszystkie strony niczym lwia grzywa. Idealnym dopełnieniem takiej powierzchowności byłyby kowbojki, ale on miał na nogach klapki.

Wstałem i uniosłem rękę, w której trzymałem szklaneczkę margarity. Nie zauważyłem przy nim Drew.

- Nie poznałem cię w ubraniu - powiedział, kiedy kelner przyprowadził go do stolika.

- Ja ciebie również - odparłem, choć nie było to prawda.

Jego wygląd sprawiał, że rozpoznałbym go wszędzie, tak jak opitek żelaza rozpoznaje magnes. I te jego oczy. Nawet gdybym nie widział nic poza nimi i tak nie pomyliłbym go z nikim.

- Drew też tu jest? - zapytałem bezceremonialnie.

- Odświeża się. Lubi korzystać z bieżącej wody, którą tutaj macie. - Anton zajął miejsce naprzeciwko mnie, - A twoja zona?

Czarna rzeka

- Właśnie kładzie do łóżka naszą córkę.

Rozejrzał się dookoła. To nie było swobodne i niedbale spojrzenie; wodził po wnętrzu czujnym i badawczym wzrokiem, jakby po raz pierwszy w życiu znalazł się w restauracji.

- Podoba ci się tu?

Ton jego pytania sprawił, że poczułem się przyparty do muru. Musiałem powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie.

- Cóż, Peggy ma tu dużo miejsca do biegania. Mo *i* trudno o lepszą okolicę - odparłem, unosząc rękę w stronę szpaleru drzew, które okalały hotelowy ogród. Nad ich koronami na tle wieczornego nieba górowała oświetlona reflektorami schodkowata bryła piramidy w Chichen Itza. - Z Hiltona nie mielibyśmy tak blisko do ruin miasta Majów, Chcieliśmy trochę pozwiedzać.

- Kraina Majów. - Anton wypowiedział te słowa, jakby obracał w ustach gumę do żucia. - Nie sady &z, że to załatuje Disneylandem?

- Może właśnie o to chodzi. To znaczy, można zobaczyć, jakie było Chichen Itza...

Pokręcił głową.

- Nigdy takie nie było.

- Nigdy? - zapytałem z zaciekawieniem, wlepiając w niego wzrok.

- Jest za bardzo nastawione na turystów.

Nie mogłem temu zaprzeczyć. Hotel dysponował własnym przejściem do starożytnych ruin, ale miało to tylko symboliczne znaczenie. Kiedy tylko goście przechodzili na drugą stronę, padali łupem setek przekupniów. Niektórzy z nich byli niewiele starsi od Peggy, a kakofonia ich okrzyków - „Tylko jeden dolar, tylko jeden dolar” i „Tylko dla państwa specjalna zniżka” - niemal całkowicie zagłuszała słowa przewodnika. A kiedy przyjeżdżał autokar z turystami...

- Tyle wystarczy, żeby uwierzyć w ofiary z ludzi - powiedziałem. - To dlatego pojechałem zobaczyć tę studnię. Chciałem.,,

Anton przestał mnie słuchać. Obrócił się w stronę wejścia i pomachał Drew, która przeciskała się między stolikami, idąc do nas. Niezdarnym ruchem podniosłem się z krzesła, próbując nie gapić się na nią, choć nie bylibym w tym odosobniony. Dobrze jej było w bikini, a teraz wyglądała olśniewająco w prostej białej sukience z dzianiny, która opinała jej ciało tak mocno, że niewiele mogło się zmieścić pod spodem.

Powitała mnie promiennym uśmiechem, a ja pochyliłem się i wytwornie cmoknąłem ją w policzek.

- Przepraszam za spóźnienie - odezwała się.

- Nic nie szkodzi.

Usiadła obok Antona, który położył dłoń na jej ramieniu. Na jego palcach zauważyłem sporo grubych pierścieni ze stali i srebra. Drew nie nosiła żadnej biżuterii.

- Ten hotel jest świetny - powiedziała z zachwytem w głosie i przyłgnęła do boku Antona. - Dlaczego nie zamieszkamy w takim miejscu?

- A gdzie mieszkanie? - zapytałem.

Musiałem patrzeć jej głęboko w oczy, żeby mój wzrok nie ześlizgiwał się w stronę dekoltu jej sukienki.

- Koczujemy na kompletnym zadupiu. Nie mamy nawet namiotu, śpimy w hamakach, dasz wiarę? Gotujemy na ognisku i nie mamy bieżącej wody.

- Ale jest strumień - wtrącił Anton.

- Koryto strumienia.

- Brzmi świetnie.

Mówiłem całkiem poważnie. Wystrój hotelu - w stylu hacjendy, jak głosiła strona

Czarna rzeka

internetowa - zaczął wprawiać mnie w zakłopotanie.

- Skąd Jesteś? - zapytał Anton.

- Ze Szkocji, ale teraz mieszkam w Londynie. A ty?

- Moim domem jest cały świat.

- Ale romantycznie to zabrzmiało - rzekła Drew i patrząc mi w oczy, dodała scenicznym szeptem: - Tak naprawdę pochodzi z Tampico w Illinois.

- Miejsce urodzenia Ronalda Reagana - wyjaśnił Anton.

Wstał od stolika, kiedy pojawiła się Cate. Prezentowała się całkiem ładnie w kolorowej kwiecistej bluzce i dżinsowej spódnicy, kilka centymetrów dłuższej od tych, które nosiła, kiedy się poznaliśmy.

- Wybaczcie. Peggy nie chciała mnie puścić.

Anton pocałował ją w oba policzki. Powitanie w europejskim stylu. Przedstawiłem ich sobie. Wcześniej przy studni nie miałem okazji, żeby zadbać o etykietę, bo Cate i Peggy ponaglały mnie do powrotu, a moi wybawcy musieli zająć się swoim sprzętem do nurkowania. Zauważyłem, że moja żona zerka nieprzyjaźnie na Drew. Przymuszczałnie był to odruch pierwotnej zazdrości, która kazała jej zmierzyć wzrokiem potencjalną konkurentkę.

- A więc to ty jesteś człowiekiem, którego mam obwiniać o uratowanie mojego męża - zagadnęła, kiedy wszyscy zajęliśmy z powrotem miejsca na krzesłach.

Chciałem oszczędzić jej zmartwień i nie zamierzałem opowiadać, co się wydarzyło w zalanym tunelu. Jednak kiedy jechaliśmy z powrotem do hotelu, ona wydusiła ze mnie każdy szczegół.

-To cudowne miejsce - odezwała się Drew. - Następnym razem zabierzemy więcej sprzętu, żeby wystarczyło dla wszystkich. Dla waszej córki też.

Zanim Cate zdążyła powiedzieć, co sądzi o tym pomysle, do stolika podszedł kelner, żeby przyjąć zamówienie na drinki.

- Zamawiajcie, co chcecie - powiedziałem. - Ja stawiam.

Drew wybrała daiquiri, Anton tequilę, a ja poprosiłem o kolejną margarytę.

- Możę podać cały dzbanek? - zasugerował kelner.

- Oczywiście

- A ja napiję się wina - oświadczyła Cate

Kiedy kelner odszedł, żadne z nas nie kwapiło się, żeby podjąć rozmowę na nowo. Jak gdyby przybycie mojej żony zburzyło nastrój.

- A więc spędzacie tu urlop, tak? - Drew przerwała w końcu milczenie. Jeżeli wszystko inne zawodzi, zawsze można jeszcze pogadać o wakacjach.

- Wybraliśmy się na tydzień, korzystając z ferii - odparła Cate. - Kel zawsze sobie wyobrażał, że jest Indiana Jonesem. A wy też na urlopie?

- Teraz mamy przestój. - Anton odchylił się i położył rękę na oparciu krzesła Drew. - Szykuje się większe przedsięwzięcie, więc trzeba się trochę wyluzować. No i muszę przyzwyczaić Drew do niewygód.

- A czym się zajmujesz?

-Jestem poszukiwaczem skarbów.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc parsknąłem śmiechem.

- Akurat. - Cate najwyraźniej wzięła jego odpowiedź za żart.

- Mówię poważnie.

- W ogóle istnieje taki zawód?

Zabrzmiało to chyba trochę bardziej obcesowo, niż zamierzała, ale Anton nie wyglądał na urażonego.

- To lepsze niż tyranie w biurze, żeby po czterdziestu latach dostać złoty zegarek.

Czarna rzeka

- Nie sądzę, zęby jeszcze rozdawali zegarki - wtrąciłem.

Kelner przyniósł nam drinki. Wychyliłem spory łyk margarkty, po czym sięgnąłem po dzbanek i uzupełniłem zawartość szklanki. Cate posłała mi ostrzegawcze spojrzenie, więc dolałem sobie jeszcze troszeczkę.

- Brzmi świetnie - powiedziałem. - Cały dzień w słońcu, kopanie w ziemi, nurkowanie Prawdziwa przygoda. Nie to. co moja praca.

Anton pokręcił głową.

- Ludzie mają mylne wyobrażenie o poszukiwaniu skarbów. A to jest jak hazard. Każdy może spróbować i niektórym dopisuje szczęście. Czasami nawet wielkie. Ale to się zdarza raz na dziesięć milionów. Żeby do czegoś dojść, trzeba siedzieć w temacie. Nie zalowac czasu i umieć korzystać z informacji. Na każdą godzinę w terenie przypada sto godzin, które spędzam w bibliotece.

Trudno mi było wyobrazić sobie Antona w bibliotece.

- Pracujesz na jakimś uniwersytecie? - zapytała Cate.

Nie spodziewałem się, że jej niewinne pytanie tak podziała mi na nerwy. Oto siedział przed nami taki niesamowity człowiek, tymczasem ona próbowała wepchnąć go w jakiś mieszczański schemat, jakby była matroną z powieści Jane Austina, a on kandydatem na jej zięcia.

Próbowałem obrócić to w żart.

- Nie sądzę, zęby istniał gdzieś wydział poszukiwania skarbów.

- Studia to strata czasu - odparł Anton, potwierdzając wszystkie podejrzania mojej żony. - Weźmy choćby tych ludzi, którzy w Anglii znaleźli szczątki króla. Tego garbatego.

- Ryszarda Trzeciego - wtrąciła Drew.

- No właśnie. Widziałem ich na History Channel. Wiecie, co to za jedni? Scenarzystka i pisarz. Wskazówki były widoczne jak na dłoni od pięciuset lat, ale wszyscy ci profesorowie wydawali się zbyt „uczeni”, zęby je zauważyć. Krążyła pogłoska, że ciało zostało wrzucone do rzeki i przepadło na zawsze, a ponieważ napisano o tym w książce, ludzie uwierzyli, że faktycznie tak było. A wiecie, co zrobiła ta scenarzystka? Sięgnęła do źródeł i odkryła inną relację, jeszcze wcześniejszą, z której wynikało, że Ryszard został pochowany w kościele i wiadomo, gdzie znajduje się jego grób. Wtedy zapytała. „Zaraz, a jeśli ci, którzy napisali ten pierwszy przekaz, mówili prawdę?”. No i w pierwszym dniu poszukiwań znalazła szkielet. - Anton wychylił kieliszek tequili i wbił zęby w plaster limonki, - W pierwszym dniu - powtórzył. - Tak samo było z Machu Picchu. Bingham nie miał wykształcenia, ale zbadał źródła i potwierdził swoje wnioski. Albo Troja. Wszyscy wiedzieli, gdzie była, afe oprócz Schliemanna nikt w to nie wierzył. A wystarczyło tylko potraktować poważnie źródła historyczne. Prawda jest taka, że żaden naukowiec nigdy nie odkrył nic wartościowego, bo kariera akademicka polega na unikaniu ryzyka. To podróżnicy, awanturnicy i poszukiwacze skarbów dokonują największych odkryć. Na jaką nagrodę mozesz liczyć, pracując na uniwersytecie? Szczytem twoich marzeń jest jakiś świstek papieru, prawda? Ale w tym, co ja robię..,

W dłoni Antona pojawił się wypłowiały brązowy portfel. Otworzył go i wyjął ze środka coś okrągłego. Moneta, którą trzymał w palcach, miała średnicę dziesięciopensówki, ale była grubsza. Widniał na niej krzyż, który dzielił ją na cztery części, a między jego ramionami znajdowały się wizerunki lwów i zamków

-Wiesz, co to jest? - spytał i zakręcił monetą na białce. Wirujące srebro zamigotało niczym żywy płomień. - *Peso de ocho* Część z ośmiu. Dolar hiszpański.

Nie byłem pewien, czy powinienem mu wierzyć.

Czarna rzeka

- Jest autentyczny. Zobacz inskrypcję.

Podsunał mi monetę. Była cięższa, niż przypuszczałem, jakby dźwigała brzemię wieków i upadłych mocarstw. Czas pokrył srebro szara patyną. Nie mieściło mi się w głowie, że ktoś mógł nosić w portfelu taki skarb, jakby to był kondom.

- Gdzie...?

- Natrafiłem na nią w Panamie - odparł tak beztróskim tonem, jakby znalazł ją za oparciem sofy. - Do przewozu kosztowności Hiszpanie wykorzystywali karawany mułów. Drogi były fatalne, zwierzęta się potykały ■ niektóre ładunki lądowały na dnie przepaści głębokich na kilkaset metrów. Dwa lata temu zorganizowałem wyprawę i znalazłem tego trochę.

Wyciągnął rękę po monetę. Nie miałem ochoty wypuszczać jej z dłoni. Kto wie, o czym by nam opowiedziała, gdyby tylko potrafiła mówić? O konkwistadorach przedzierających się desperacko przez dżunglę, galeonach pod pemymi żaglami, krwiożerczych piratach? A teraz trzymałem ten kawałek srebra i czułem, jak jego historia piecze mnie w skórę niczym ładunek elektryczny.

Anton czekał z wyciągniętą rekg. Niechętnie oddałem mu monetę, a on wsunął ją z powrotem do portfela.

Przy stoliku znów pojawił się kelner i przyjął zamówienie na jedzenie.

- Obawiam się, że będzie za słabo przyprawione - powiedziałem, kiedy odszedł. - Za bardzo tu uważają, zęby goście nie zaczęli ziać ogniem.

Anton pokiwał głową.

- Bo meksykańskich potraw najlepiej skosztować tam, gdzie jadają miejscowi.

- Niedaleko miejsca, gdzie obozujemy, jest niesamowita knajpka - wtrąciła Drew. - Takiej salsy nigdzie nie dostaniesz, a za burrito można by oddać życie.

- Czujesz, jakby miało ci urwać głowę. - Anton odłamał kawałek tortilli i zamoczył go w Stojącej na blacie miseczce z salsą. - A to gówno smakuje jak zwykły ketchup.

Aleja nie myślałem o jedzeniu. Wciąż miałem przed oczami tę srebrną monetę.

- A co teraz planujesz? - zapytałem - Hiszpańskie galeony? Wyspa skarbów? No, chyba że to tajemnica.

Anton włożył tortillę do ust i wbił wzrok w ciemność. Brunatna kropla sosu spłynęła po jego podbródku. W ruinach zaczynał się spektakl świetln o-dźwiękowy i słyszałem dobiegające zza hotelowego muru dudniące tony basów, które wyłaniały się z mgły wieków, jak głośił slogan reklamowy w przewodniku.

- Słyszałeś kiedyś o miejscu zwanym Paititi? - odezwał się nagle. Zaprzeczyłem ruchem głowy. - A El Dorado?

- Zaginione złote miasto.

- Cóż, w pewnym sensie racja. W zasadzie El Dorado był człowiekiem, indiańskim królem, który kazał codziennie wcierac sobie w skórę złoty pył. Ale z biegiem lat historie się wymieszają i teraz większość ludzi uważa, że to nazwa złotego miasta. Zatem Paititi jest takim El Dorado i właśnie tam się wybieram.

- A myślałam, że El Dorado to mit - powiedziała Cale.

- Zgadza się. to mit. Ale Paititi nie.

- Istnieje naprawdę?

- Znajduje się w Peru. Pięćset lat temu, kiedy Hiszpanie podbijali tamte tereny, ostatni Inkowie uciekli do dżungli. Najpierw znaleźli schronienie w fortecy Vilcabamba. która stawiała opór blisko siedemdziesiąt lat.

- Siedemdziesiąt sześć - uściśliła Drew.

- Gdy w końcu upadła, Inkowie znów się wycofali, zabierając ze sobą swoje największe skarby; wszystko, co zdołali ocalić przed Hiszpanami od początku najazdu.

Czarna rzeka

Wielki złoty dysk ze świątyni słońca w Cuzco o średnicy prawie dwóch metrów, mumie czternastu inkas kich władców i wykonany ze szczerego złota ceremonialny łańcuch króla Huascara, długi na ponad trzysta metrów i gruby jak ręka dorosłego mężczyzny. Z tym wszystkim uciekli w Andy i przepadli bez śladu w lasach deszczowych. - Anton przerwał i pomachał pustą szklaneczką w stronę kelnera. - Na początku siedemnastego wieku pewien jezuita z Peru. Andrea Lopez, napisał w raporcie do Watykanu, że rozmawiał z grupą schrystianizowanych Indian. Powiedzieli mu, że podróżując przez góry, natrafili na ukryte w dżungli miasto, w którym wszystkie ściany były pokryte złotem. Lopez wybrał się tam, żeby zobaczyć je na własne oczy ..

- ...i słuch po nim zaginął - weszła mu w słowo Cate i roześmiała się. Anton wyglądał na zdenerwowanego. - Czyż nie tak zawsze się to kończy?

- To brzmi fascynująco - powiedziałem, trącając pod stołem nogę Cate. - A ty zamierzasz szukać tego miasta?

-Zamierzam je znaleźć.

Coś się zmieniło. Jego błękitne oczy zniewalały mnie wyrazem głębokiej pewności siebie. W wyobraźni ujrzałem dżunglę, kamienne świątynie i złote posąжки bóstw. Zapragnąłem tam pojechać. Poczułem, że muszę tam pojechać.

- Chętnie bym się do ciebie przyłączył - powiedziałem.

- Wszyscy tak mówią.

Anton znów spojrzał w dal. Gdy oderwał ode mnie wzrok, miałem wrażenie, jakbym spadał w przepaść. Przez chwilę wydawało mi się, że coś nas łączy, ale teraz ton jego głosu dawał mi do zrozumienia, że nie jestem dla niego nikim wyjątkowym, że nie różnię się niczym od tych wszystkich zapaleńców, którzy są mocni tylko w gębie. Właściwie nie powinienem mieć mu tego za złe.

Cate zrobiła cierpiętniczą minę, jak zawsze wtedy, gdy trzeba kończyć zabawę i wracać do domu, żeby zlizować opiekunkę do dziecka. Tylko Drew sprawiała wrażenie, jakby wierzyła w moje słowa.

- Mówię poważnie - oświadczyłem z uporem, odrobinę za głośno. Policzki miałem rozpalone od alkoholu. - Sam powiedziałeś, że nie trzeba być specjalistą.

- Ale trzeba siedzieć w temacie.

- Zawsze interesowały mnie takie rzeczy.

- Chodzi mu o to, że dużo grał w *Tomb Rat dera* - odezwała się Cate.

Nie mogłem uwierzyć, że wzięła stronę Antona. Przecież i tak nie zamierzałem go prosić, żeby zabrał mnie ze sobą. Chciałem tylko, żeby uwierzyli, że nie jestem tak szalony, jak mogłoby się wydawać. Że to nie ja jestem szalony.

- Powiedziałem tylko, że to brzmi fascynująco.

- Aleja mam już całą ekipę, a nie zabieram pasażerów - odparł Anton, - Jeśli nie potrafisz się poruszać w dżungli, zostaniesz tam na zawsze.

Drew obdarzyła mnie pełnym współczucia uśmiechem.

- A komary zjedzą cię żywcem.

- Ty też się wybierasz? - zapytałem.

- Ona jest naszą maskotką - odpowiedział za nią Anton, - To cholerna specjalistka z doktoratem Yale.

- Jesteś archeologiem?

Dziewczyna starła drobinę solt. która przylepiła się do jej wargi, kiedy piła margaritę.

- W zasadzie historykiem, ale miałam też zajęcia z archeologii i antropologii.

- To nie tylko śliczna buzia. - Anton pogładził ją po policzku. - Kiedy znajdziemy Paititi...

Czarna rzeka

- Jeżeli znajdziemy - poprawiła go Drew.
- To właśnie ona nas łam zaprowadzi.

Sięgnąłem po dzbanek i dolałem marganty Drew. a potem sobie,

- Życzę wam powodzenia - powiedziałem, unosząc szklanę.

Miałem nadzieję, że w moich słowach nie było słyhać goryczy.

Jedliśmy i rozmawialiśmy. Anton potrafiłby podtrzymać rozmowę, nawet gdyby sam siedział przy stoliku. Gdy czasami opadał z sił, Drew była zawsze gotowa go zastąpić. Czuli się przy sobie niezwykle swobodnie, byli bardzo pewni siebie. Patrząc na nich, nie mogłem powstrzymać zazdrości, zwłaszcza gdy siedząca obok mnie zona jeżyła się albo rzucała kąśliwe uwagi. Anton nie wspomniał już o Paititi - nawet on nie był obojętny na złośliwość Cate,

Zresztą ja też nie byłem dla nich atrakcyjnym kompanem. Na tyle twardo stąpałem po ziemi, żeby zdawać sobie sprawę, że złote miasto Inków to mrzonka. Ale nie mogłem się pogodzić z tym, że czas przygód już się skończył, że przestąpiłem próg wieku średniego i o pewnych rzeczach nawet nie wypadało mi myśleć. Moja zona powiedziała, że stałem się zbyt schematyczny.

Kiedy skończyliśmy jeść pudding. Cate wstała z krzesła

- Idę do toalety - oznajmiła takim tonem, że nie musiała dodawać: „A potem wracamy”*.

- Masz wspaniałą żonę - rzeki Anton, kiedy poszła,

Na drugim końcu sali zauważyłem recepcjonistę, który szedł w naszą stronę. Domyśliłem się, co to oznacza.

- Przepraszam, doktorze MacDonald - zwrócił się do mnie. - Obsługa pokoi prosi, abym przekazał, że pańska córka się obudziła.

- Zaraż przyjdę.

Sięgnąłem po szklaneczkę, żeby dopić drinka. Znad oblepionego solą brzegu zauważyłem, że Anton przygląda mi się, jakbym nagle stał się niezwykle interesujący.

- O co Chodzi?

- Jesteś lekarzem?

Możę to zabrzmieć głupio, ale nie rozmawialiśmy o tym, czym Cate i ja zajmujemy się w kraju. Czułem, że byłoby niezręcznie o tym wspominać - na tle poszukiwacza skarbów wypadlibyśmy żałośnie. Zresztą Anton mówił najwięcej.

Zerknąłem w stronę drzwi, ale Cate jeszcze nie wracała. Nie mogliśmy zostawiać Peggy zbyt długo samej.

Anton pochylił się, opierając łokcie na stoliku, jakby zamierzał odbić się i skoczyć.

- Potrzebuję lekarza do mojej ekipy. Facet, który miał ze mną jechać, zrezygnował - powiedział i wymierzył we mnie widelec. - Idealnie się składa.

Być może to wina alkoholu, ale nie docierało jeszcze do mnie, co się stało. Pół godziny temu byłem gotów błagać Antona, żeby zabrał mnie ze sobą, nawet gdybym miał to robić tylko dla zasady. A teraz on sam składał mi ofertę.

To był wariacki i poroniony pomysł i powinienem był od razu położyć temu kres. Ale wtedy wróciła Cate. Nawet nie usiadła.

- Peggy się obudziła - powiedziałem.

- Więc czemu do niej nie poszedłeś?

-Czekałem na ciebie.

Cate zatrzymała dla siebie to, co najwyraźniej miała ochotę mi powiedzieć, i zwróciła się do naszych nowych znajomych,

- Naprawdę cudownie było was poznać, ale to był dzień pełen wrażeń, a jeżeli Peggy szybko nie zaśnie, czeka nas długa noc.

Czarna rzeka

Spojrzała na mnie wyczekująco i niezbyt dyskretnie skinęła głową w stronę drzwi.

-Ja zostanę. Mam ochotę jeszcze się napić. O ile Anton...

- Nie mam nic przeciwko.

- Następna kolejka to świetny pomysł - dodała Drew.

- Odpokutujesz to rano - rzekła Cate. Lekko i z uśmiechem, ale wiedziałem, że nie ma na myśli kaca.

Pocałowałem ją na dobranoc i odprowadziłem wzrokiem do wyjścia.

- Myślisz, że pozwoli ci wyjechać? - zapytał Anton.

Drew się obruszyła.

- Nie daj mu się podpuszczać - powiedziała, patrząc na mnie. a potem zwróciła się do swojego chłopaka. - Nawet nie wiemy, jaką ma specjalizację.

Obydwoje skierowali na mnie wzrok.

- Jestem anestezjologiem - odparłem. Wypiłem za dużo i z trudem udało mi się wymówić to słowo. - Ale nauczono mnie również, jak się obchodzić z ofiarami wypadków.

- Dżungla to me miejsce dla ludzi, którzy nie wiedzą, co robie - przypomniała dziewczyna.

- Nie jest aż tak niebezpieczna, jak mogłoby się wydawać. - Anton miał typową dla polityków zdolność zapominania o wszystkim, co powiedział pół minuty wcześniej. Nawet teraz nie jestem pewien, czy to było wyrachowane, czy po prostu zawsze tak postępował. - To głównie bujdy, które opowiadają faceci, którzy chcą wyjść na bohaterów.

- Ale on ma dziecko — dodała Drew z troską w głosie.

-Tak. ale to jest przygoda życia - odparł Anton i spojrzał w moją stronę, - A jeśli nam się uda, będziesz jednym z tych, którzy odnaleźli El Dorado.

To, co wydarzyło się potem, pamiętam jak przez mgłę. Kolejne szklaneczki margarity przyćmiły mi umysł. Przypominam sobie, że trafiliśmy do baru, gdzie tłoczyliśmy się przy małym stoliku, trącając się łokciami i pocierając kolanami. Mówił głównie Anton, a my go słuchaliśmy - opowiadał o wrakach na dnie morza, tajemniczych mapach i zakopanych skarbach. Jakby Robert Louis Stevenson udzielał wywiadu „National Geographic”. Chyba w pewnym momencie zacząłem odstawiać coś, co Cate nazywa „biadoleniem nad marnością współczesnego życia” - wszystko, co sobie pomyślimy albo zobaczymy, ktoś już zamieścił na Facebooku i dostał piętnaście polubień — i pamiętam, że Anton i Drew kiwali głowami, jakby to był najmądrzejszy wywód, jaki w życiu słyszeli. Pamiętam tę myśl, która wzbierała we mnie niczym świetliste kula. napełniając mnie entuzjazmem. Prawdziwy skarb. Prawdziwa przygoda. Prawdziwy skarb. Prawdziwe zaginione miasto Inków.

Wiedziałem, że powinienem odpuścić sobie tę wyprawę. Wiedziałem również, że bez względu na to, jak często moje kolano ocierało się o nogę Drew, nasze spojrzenia się spotykają, a mój wzrok wędruje w stronę jej dekoltu - alkohol pozbawił mnie hamulców - i tak do niczego nie dojdzie To był ciepły wieczór pod koniec urlopu, a ja upiłem się w towarzystwie nowych znajomych. Dobry moment, żeby uchylić drzwi swojego życia i zobaczyć świat, który roztacza się na zewnątrz - tylko zerknąć - zanim rzeczywistość znów zatrześnie mi je przed nosem.

Nie pamiętam, jak trafiłem z powrotem do hotelu, ale musiałem jakoś tam dotrzeć, bo obudziłem się w swoim pokoju, serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe, a telefon na stoliku przy łóżku dzwonił tak przeraźliwie, że mógłby zbudzić umarłego.

Czarna rzeka

4.

- Idziesz?

Gios Drew przedarł się przez opary kaca jak strumień lodowatej wody. W ciemności nic nie widziałem. Wyciągnąłem rękę przed siebie i dotknąłem nagiego ramienia Cate, która spała obok mnie. Z łóżka w kącie dobiegało stłumione pochrapywanie Peggy. Dzwonek telefonu jej nie obudził.

“ Co?

-Jesteśmy w holu.

Dziewczyna mówiła nadzwyczaj płynnie, zwazywszy na to, ile wypita zeszłej nocy. A raczej tej nocy. Za oknem było jeszcze ciemno.

- Rozumiem

- Ek Bałam?

Zacząłem się zastanawiać, czy wciąż jestem pijany - z perspektywy czasu odpowiedź brzmiała „tak”. Ale w zakamarkach mojego zamroczonego alkoholem mózgu utkwiły słowa Antona, który między kolejnymi szklaneczkami tequili powiedział, że spędzając wakacje na Jukatanie, koniecznie trzeba zobaczyć wschód słońca nad piramidami. Mówił coś jeszcze, ale nie mogłem sobie tego przypomnieć.

- Musimy wyjechać w tej chwili, jeśli mamy zdążyć. - Drew była wyraźnie zniecierpliwiona moim niezdecydowaniem.

Pochyliłem się i uderzyłem słuchawką w blat stolika nocnego, zanim udało mi się ją odłożyć na widełki aparatu. Kiedy się odwróciłem, Cate siedziała na łozku

- Kto dzwonił?

-Anton.

- Jest wpół do piątej.

Na Boga. Dałbym sobie głowę uciąć, że o drugiej byłem jeszcze przytomny.

- Chce mi pokazać wschód słońca Możemy wejść na szczyt jakiejś świątyni Majów. To podobno niesamowity widok - powiedziałem i wtem zauważyłem wyraz jej twarzy. - Oczywiście też jesteś zaproszona.

Cate kończyła się ubierać, kiedy wyszedłem z Peggy na parking Anton już tam czekał oparty o samochód i palił papierosa.

- Co on tu robi? - zapytała moja córka.

- Wybiera się do Amazonii.

Peggy zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Będziesz oglądał kap.bary?

Roześmiałem się zakłopotany.

- Nie wiem, o co jej chodzi.

- Ma rację. - Anton przyklęknął, żaby móc spojrzeć Peggy w oczy. Gdyby Cate to zobaczyła, nie spodobałoby się jej, że ktoś tak bardzo zbliżył się do naszej córki z papierosem. - Chcesz ze mną pojechać, mała?

Peggy z powagą pokiwała głową,

- Będziesz szukał skarbów?

- No pewnie.

- A skąd znasz kapibary? - zapytałem nieco speszony śmiałością mojej sześciolatniej córki.

- Widziałam je w

Oktonautach.

Zobaczyłem Cate, która szła ścieżką w naszą stronę.

- Co do wyprawy - szepnąłem Antonowi do ucha - nie miałem jeszcze okazji

Czarna rzeka

powiedzieć o tym Cate. Proszę, me wspominaj o tym.

Moja zona omiotła badawczym spojrzeniem volkswagena, który pamięta) epokę sprzed wynalezienia pasów bezpieczeństwa, a potem spojrzała na mnie i oświadczyła, że ona nas zawiezie. Wciąż jeszcze mieliśmy do dyspozycji samochód wynajęty dzień wcześniej. Anton zajął miejsce z przodu, a ja usadowiłem się z tyłu między Drew i Peggy, która od razu zasnęła w swoim foteliku. Mnie też chciało się spać. ale ilekroć zaczynałem się osuwać w stronę Drew, surowe spojrzenie Cate w lusterku wstecznym przywracało mnie do pionu.

Jechaliśmy prawie godzinę. Niebo zaczynało się przejaśniać i za oknami pojawił się widmowy krajobraz pełen szarych drzew o srebrzystych liściach. Domy, które mijaliśmy, były zamknięte na głucho i pogrążone w ciemności. Peggy wychyliła się z fotelika i przyłgnęła do mojego ramienia. Wydawało się, że jesteśmy ostatnimi ludźmi na świecie.

Jadąc zgodnie ze wskazówkami Antona, Cate minęła małą wioskę i skręciła w drogę gruntową. Zatrzymaliśmy się przy niskim ogrodzeniu z siatki, które ciągnęło się wśród drzew. Kiedy wysiadłem, podmuch wilgotnego powietrza ochłodził mi twarz i przywrócił jasność myśli. Oddychałem głęboko, wciągając zapach potnych kwiatów.

- Gdzie jest furka?

Ogrodzenie było wysokie na półtora metra. Anton podciągnął się i przesadził je jednym susem. Cate ani drgnęła.

- A strażnicy?

- Smacznie śpią. A jeśli ktoś się zjawi, damy mu dziesięć dolarów i będzie po sprawie.

Widziałem, że to się jej nie podoba. Sam zacząłem się wahać.

- Chcecie zobaczyć coś, co nie każdemu jest dane oglądać? - Anton wskazał w stronę kępy drzew. - To tutaj.

Nie przypuszczałem, że Cate się zdecyduje, ale niespodziewanie podeszła do ogrodzenia i powiedziała:

- Podsadź mnie.

Splotłem dłonie, na których oparła stopę jak na strzemieniu, potem podałem jej Peggy i po chwili wszyscy znaleźliśmy się po drugiej stronie. Gdy przemykaliśmy w cieniu drzew, odnalazłem dłoń Cate i ścisnąłem ją mocno.

Z przewodnika można się dowiedzieć, że ruiny Ek Bałam nie są tak wielkie jak Chichen Itza. Ale w ciemności starożytne miasto wydawało się ogromne. Wyszliśmy na przestronny plac, nad którym górowały bryły masywnych budowli, odcinając się na tle bladego błękitu nieba. Anton ruszył truchtem po splekanej od słońca ziemi w stronę najwyższej z piramid. Pobiegliśmy za nim i po chwili wszyscy wspinaliśmy się po kamiennych stopniach.

W Chichen Itza wszystkie świątynie są ogrodzone i pilnują ich uzbrojeni strażnicy. Tutaj me było nic, co mogłoby nas powstrzymać, ślizgałem się na stopniach wyg'adzonych milionami stóp - zapewne przez turystów, ale wcześniej przez Majów. Czułem, że dotykam historii zakłętej w tych bryłach wapienia, które starożytni budowniczoie ociosali i przeciągnęli przez dżunglę.

Na szczycie piramidy mieściła się platforma, pośrodku której stał sześcienny kamienny blok. Zorza nad horyzontem stawiała się coraz jaśniejsza, Usiedliśmy wszyscy na wschodnim brzegu piramidy i czekaliśmy na świt. Peggy usadowiła się między mna i Cate, a ja wyciągnąłem rękę i objąłem je obie. To była jedna z najpiękniejszych chwil podczas całych wakacji.

A potem słońce zaczęło wschodzić. To był widok, który urzeka! swoją doskonałością.

Czarna rzeka

Nad drzewami rosła ognista kula, jak gdyby czas się cofnął i kometa, która spada tutaj sześćdziesiąt pięć milionów lat temu, wróciła na niebo. Światło rozlało się w gęstych oparach poranka, które spowijały leśną gęstwinę, toteż wierzchołki drzew i piramida wyglądały jak wyspy pośród morza rozpalonej mgły. Chór tysięcy ptaków wypełnił powietrze śpiewem.

- Złoty krain w wędrówkach zwiedziłem już wiele - wymamrotałem pod nosem fragment sonetu, który zapamiętałem ze szkoły.

Być może to za sprawą drinków, które jeszcze krążyły w mojej krwi, ale po raz pierwszy od narodzin Peggy tak mocno doświadczyłem radości życia. Pochyliłem się w stronę Cate i pocałowałem jej włosy. Uśmiechnęła się i też mnie pocałowała,

Zostawiłem aparat w hotelu. Z jednej strony wydawało mi się nie do pomyślenia, że nie uwiecznię tych zjawiskowych widoków, ale z drugiej strony czułem zadowolenie. Nic me burzyło nastroju chwili, nie przeszkadzało mi w pełnym doświadczeniu tego, co rozgrywało się przed moimi oczami. Nie godziło się wręcz sprowadzać tych przezyc do roli atutu w odwiecznej facebookowej wojnie na przechwałki. To był najrzadszy ze skarbów dwudziestego pierwszego wieku - coś wyłącznie mojego.

Peggy zaczęła się wiercić, a potem wstała, zęby zbadać najbliższe otoczenie. Cate zerwała się i w ostatniej chwili chwyciła ją za rękę, ratując przed upadkiem z wyslizganej kamiennej poiki Dzieci mają już w sobie coś takiego, że zawsze ciągnie je do najbardziej niebezpiecznych miejsc.

Anton pochylił się w moją stronę.

- To jest niesamowite, co?

- Niesamowite.

- A teraz wyobraź sobie, że to nie jest przybytek dla turystów w Meksyku, gdzie wystarczy przeskoczyć przez płot, a wynajęty samochód, którym przyjechaliśmy, nie stoi zaparkowany przy drodze. Wyobraź sobie, że znajdujemy się w Peru, w sercu dżungli amazońskiej, że te ruiny to Paititi, a ty patrzysz na coś, czego od pięciuset lat nikt nie oglądał.

Potrafiłem to sobie wyobrazić. Gęstwinę porastającą zbocza wzgórz, białe tumany między koronami drzew i dzikie okrzyki nieznanymi zwierząt, które niosą się echem nad okolicą. A potem mgła się rozstała i oczyma wyobraźni ujrzałem kamienną świątynię o ścianach pokrytych starożytnymi symbolami, które wskazują drogę do zaginionego miasta,

- Jesteś pewien, że nie masz ochoty na tę przygodę? - zapytał.

ROZDZIAŁ 2

DZIKI ZACHÓD

5.

Unosiłem się we wnętrzu chmury. Szare tumany, które otaczały mnie ze wszystkich stron, to zbijały się gęsto jak kłębki bawełny, to znów przecierały się, odsłaniając skrawek nieba. Cienie i refleksy światła wirowały w powietrzu, a w szybę okna bębniły krople deszczu.

W mojej głowie panował kompletny chaos. Od dwudziestu czterech godzin nie zmrużyłem oka, a ostatni wieczór wypełniła mnie gorączkowa krzatamna wokół bagażu i panika przed wyjazdem. Przez kilka tygodni starałem się odpędzać od siebie różne obawy, ale zeszłej nocy wszystkie połączyły siły i przypuściły na mnie zmasowany atak, po którym nie mogłem zasnąć i byłem bliski płaczu. O czwartej nad ranem zajrzałem nawet do swojej skrzynki mailowej, łudząc się, że znajdę tam wiadomość od Antona, który nagłe postanowił wszystko odwołać. Potem na lotnisku tuliłem Peggy tak mocno, że omal nie połamałem jej żeber, całowałem Cate i obiecywałem, że niedługo wrócę. Nie chciałem, żeby puściła mnie na tę wyprawę, a jednocześnie nie mogłem się doczekać, aż zacznie się przygoda. Przez Amsterdam i Panama City doleciałem do Limy, gdzie spędziłem osiem godzin na lotnisku, drzemiąc na twardych plastikowych krzesłach. Miałem w kieszeni tabletkę nasenną, ale nie odważyłem się jej zacyć w obawie, że kiedy będę spał, ktoś ukradnie mój bagaż. W końcu wszedłem na pokład małego samolotu odlatującego do Puerto Maldonado, gdzie miałem się spotkać z Antonem. Wydawało się, że od tamtego wschodu słońca w Ek Balam minęły całe wieki, ale tak naprawdę oglądaliśmy go zaledwie pięć tygodni temu.

Samolot podskakiwał jak kamyczek ślizgający się po powierzchni jeziora. Sprawdziłem klamrę pasa bezpieczeństwa, choć nie rozpinalem go od startu. Wpatrywałem się w chmury, a w mojej głowie powracały fragmenty rozmów z Cate. W zasadzie była to jedna długa rozmowa ciągnąca się tygodniami, która zaczęła się tamtego ranka w Meksyku i trwała aż do wczorajszego pożegnania na lotnisku.

- Skąd wiesz, że możesz zaufać Antonowi?
- Ocalił mi życie.
- Tylko dlatego, że byłeś na tyle głupi, żeby omal nie utonąć.

To był argument nie do odparcia.

- Będę ostrożny.
- Oziesięć razy sprawdzałam go w Internecie. Nie ma prawie nic na jego temat.

Jeżeli dokonał tego wszystkiego, czym się chwalił, dlaczego nikt o tym nie wspomina?

To nie było do końca uczciwe. Znaleźliśmy wiele wzmianek o Antonie na różnych stronach internetowych, tylko żadna z nich nie należała do BBC News. Okazało się, że w sieci funkcjonuje całkiem liczna społeczność poszukiwaczy skarbów, którzy mają swoje strony, blogi i fora. Anton nie udzielał się w tym gronie, ale ludzie wyrażali się o nim tak, jak entuzjaści gitary mówią o Joem Satrianinie.

W sieci było również trochę informacji o Drew, ale nie przyznałem się Cate, że je

Czarna rzeka

przegadałem.

- Właśnie dlatego jest wiarygodny - tłumaczyłem. - Nie bawi się w lipną reklamę w Internecie. Działa w terenie, naprawdę coś robi Nie można zaktualizować swojego statusu będąc w dżungli

- Żądał od ciebie pieniędzy?

Zaczynała ogarniać mnie irytacja.

-Nie. Muszę tylko dostać się tam na własny koszt, a potem on już o wszystko się zatroszczy.

- Więc kto za to płaci?

- Dostał grant.

- Od kogo?

- Nie wiem.

Tak naprawdę na pewnym etapie podejrzewałem, że wyprawa nie dojdzie do skutku z powodu funduszy. Po powrocie z urlopu prawie nieustannie słałem do Antona e~maile. ale przez dwa tygodnie nie miałem z nim niemal żadnego kontaktu. Jedyna odpowiedź, jaką otrzymałem od niego w tamtym okresie, była utrzymana w tak negatywnym tonie, że przez trzy dni zachodziłem w głowę, czy go nie uraziłem albo nie zrobiłem czegoś, co sprawiło, że mnie skreślił. Niemal zrezygnowałem z urlopu naukowego, który wzięłem, zęby zwolnić się z pracy, i który kosztował mnie tyle zachodu. Ale potem Anton znów się odezwał i miał w sobie więcej entuzjazmu niż kiedykolwiek dotąd. Wynajął łódź, wystarał się o potrzebne zezwolenia i wyjechał już do Peru, gdzie czynu ostatnie przygotowania Pisał, że nie może się doczekać, aż do niego dołączę. Że nie minie miesiąc, jak znajdziemy Paititi.

Wtedy Cate przyjęła nową strategię.

- Spójrz na to - powiedziała, wymachując mi przed nosem i Padem. Na wyświetlaczu zobaczyłem artykuł z Wikipedii na temat Paititi otwarty na hasło „Wyprawy”. - W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym zaginęli trzej badacze, prawdopodobnie zabici przez dzikie plemiona Indian.

- Wtedy nie było mnie jeszcze na świecie.

- W dziewięćdziesiątym siódmym Lars Hafskjold wyruszył z Puerto Maldonado w Peru i przepadł gdzieś na niezbadanych obszarach Boliwii

Przecież mamy dwudziesty pierwszy wiek - pomyślałem. Nie wiedziałem, że gdziekolwiek są jeszcze jakieś „niezbadane obszary”.

- Nie wybieramy się do Boliwii.

- Ale zaczynacie w tym samym mieście. A to jest z tego roku. - Cate pokazała mi stronę jednego z serwisów informacyjnych. - Nadal nie odnaleziono śladów ekspedycji Menendeza, która zaginęła w peruwiańskiej Amazonii podczas prowadzenia kampanii na rzecz zdrowia.

To było pół roku temu. Wyciągnąłem rękę i przytuliłem ją mocno.

- Najprawdopodobniej powróczymy się po dżungli przez kilka tygodni, a potem damy sobie spokój i wrócimy do domu. Nic złego się nie stanie. Nie wierzę, że cokolwiek znajdziemy.

Samolot znów zadrzał i opadł gwałtownie kilka metrów. Usłyszałem okrzyki i pomruki innych pasażerów. Siedząca obok mnie kobieta, przysadzista Peruwianka w pasiastej opończy i meloniku, zrobiła znak krzyża. Przypomniałem sobie ostatnie słowa, jakie usłyszałem od Cate przed odlotem.

- Tylko postaraj się stamtąd wrócić - wyszeptała mi z uporem do ucha.

Wyśliznęliśmy się z chmur i kabinę wypełniło światło. Samolot podchodził do lądowania, a za oknem jak okiem sięgnąć rozciągała się bezkresna zieleń. Po raz

Czarna rzeka

pierwszy oglądałem Amazonię.

Zabudowa lotniska nie ograniczała się do blaszanego baraku zagubionego pośród dżungli, ale też nie była o wiele bardziej okazała. W holu stała karuzela bagażowa, ale nie działała. Nasze walizki przyjechały na wózku i dwaj posępni tragarze zrzucili je bezceremonialnie na posadzkę. Podeszli do nich strażnicy z owczarkami alzackimi, które obwąchały je dokładnie. Z wiszącego na ścianie plakatu spoglądała na mnie para wielkich oczu, a slogan pod spodem głosił: „Nie dla narkotyków”. Kropla potu ściekła mi po plecach. Gdyby otworzyli moja walizkę, musiałbym się gęsto tłumaczyć,

W holu nie było barierek i ludzie, którzy witali pasażerów, stali przy drzwiach. Powiodłem wzrokiem po ich twarzach, wypatrując Antona albo Orew, ale wyglądało na to, że jestem jedynym gringo na całym lotnisku.

- Doktor MacDonald?

Jakiś Peruwiańczyk, przystojny miody facet o czarnej zmierzwionej czuprynie i poważnym spojrzeniu, wyciągnął do mnie rękę. Od razu wzbudził moją sympatię,

- Jestem Nolberto - przedstawił się. - Anton mnie przysłał

- A on tu jest?

- Si - odparł, podnosząc mój bagaż, - W Puerto Tordoya. Jedziemy do niego

Minęliśmy kilka stojących przed budynkiem motocykli, które służyły tu za taksówki, i zatrzymaliśmy się przy odkrytym jeepie z demobilu. Do niego też poczułem sympatię. Przypuszczalnie miał więcej lat niż ja, ale wyglądał solidnie, jak przystało na sprzęt, z którego powinna korzystać dobrze wyposażona ekspedycja. Pierwsze wrażenie było korzystne.

Nolberto kierowa! się w stronę autostrady. Po trzydziestu trzech godzinach spędzonych w samolotach i na lotniskach ciepła bryza, która owiewała moja twarz, była jak błogosławieństwo. Czułem, jak opuszcza mnie napięcie i otwierają się przede mną nowe możliwości. Młody Peruwiańczyk wepchnął do odtwarzacza kasetę - tak, kasetę! - ■ z głośników popłynęła muzyka Dire Straits. *Sultan? of Swing*. To było tandetne i idealnie pasowało do tej chwili. Roześmiałem się głośno.

-Ćwierć wieku nie słyszałem tej piosenki - wyjaśniłem. Ostatnim razem chyba też słuchałem jej z taśmy.

Nolberto uśmiechnął się.

- Pochodzisz z Anglii?

- Ze Szkocji - odparłem. To zawsze działa na cudzoziemców. - Słyszałeś o Glasgow Rangers? A whisky? Sean Connery?

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- *Ach, si. Enya.*

Postanowiłem me drążyć tej kwestii

- A jaka jest twoja rola w całym tym szaleństwie? - zapytałem, ale Nolberto się zmieszał. Długa podróż i zmiana strefy czasowej za bardzo mnie wycieńczyły, bym odważył się mówić po hiszpańsku. Wskazałem palcem na siebie. - Ja jestem lekarzem. A ty?

- Ach. - Peruwiańczyk znów się uśmiechnął. - A ja kucharzem.

- Współpracowałeś już kiedyś z Antonem?

Pokręcił głową.

- To mój pierwszy raz.

- Mój też.

Nolberto powiedział, że dojazd do Puerto Tordoya zajmie nam trzy godziny, Rozsiadłem się wygodnie i rozkoszowałem podróżą. Około godziny jechaliśmy po gładkiej, świeżo położonej nawierzchni Autostrady Interoceanicznej. Mijaliśmy

Czarna rzeka

plantacje owoców i pastwiska, zmierzając w stronę dżungli, której zielony kontur majaczył na horyzoncie. Na platformie nadjeżdżającej z przeciwka ciężarówki zauważyłem coś, co wyglądało jak wielkie szpule na kable elektryczne. Dopiero patrząc z bliska, zorientowałem się, że to pień drzewa pocięty na cztery części, które leżały załadowane w poprzek. Każdy z nich miał średnicę większą od mojego wzrostu.

Zjechaliśmy z głównej drogi na niepozorny gruntowy trakt, który bardzo łatwo było przeoczyć. Spojrzałem na zegarek - mieliśmy przed sobą jeszcze godzinę jazdy.

- Jesteśmy na drodze do Puerto Tordoya - wyjaśnił Nolberto.

W ciągu kilku sekund zostawiliśmy za sobą cywilizację, by znaleźć się w Trzecim Świecie. Z każdą chwilą droga stawała się coraz gorsza. Przeprowadziliśmy się w bród przez strumienie i forsowaliśmy wąwozy, przejeżdżając po prowizorycznych mostach, które składały się zaledwie z dwóch belek. Nagle zdałem sobie sprawę* ze uśmiecham się promiennie jak mały chłopiec.

- Juz czuję się jak Indiana Jones.

Im dalej się posuwaliśmy, tym bardziej zmieniał się krajobraz. Przy drodze było coraz mniej otwartych przestrzeni, a coraz częściej wjeżdżaliśmy między drzewa. Osmalone pnie sterczały z trawy niczym kamienie nagrobne. Miałem wrażenie, że wchłania nas jakiś inny świat. Poczułem swąd spalenizny i na mojej twarzy osiadło kilka piątek sadzy. Jeden dostał mi się do oka. Dżungla, która dotąd otaczała drogę, nagle ustąpiła miejsca przestronnej polanie. W powietrzu unosiły się chmury szarego popiołu, przez które z trudem przebijały się promienie słońca.

- Wypalają - odezwał się Nolberto.

Oczywiście czytałem o wylesianiu. Ale kiedy na moich oczach bujna gęstwina drzew zamieniła się nagle w smutne pogorzelsko, widok ten przemówił do mnie o wiele dobitniej niż najbardziej zagorzali obrońcy przyrody pikietujący na ulicach Londynu.

- Nie sądziłem, że dżungla jest taka krucha.

Mój kierowca zerknął na mnie z ukosa

- Życie w ogóle jest kruche.

Minęliśmy stary drogowskaz wymierzony w stronę celu naszej podróży. Na przeżartej rdzą i podziurawionej kulami tablicy widniały resztki słowa, które wyglądało jak „Aeropuerto”.

- W Puerto Tordoya jest lotnisko?

- Było. Ale używali go przemytnicy narkotyków. Pewnego dnia wojsko przyleciało helikopterami, było bombardowanie i strzelanina. Zniszczyli pas startowy i zabili dużo ludzi.

- Dawno to się zdarzyło?

-W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym - odparł po chwili zastanowienia.

- I dotąd nikt go nie naprawił?

- Może w przyszłym roku.

Nieprawdopodobne, że lotnisko czeka na remont od dwudziestu pięciu lat. Ale kiedy dotarliśmy do Puerto Tordoya, nie mogłem uwierzyć, że kiedykolwiek tam się znajdowało. To nie był już nawet Trzeci Świat, ale dziewiętnasty wiek - miałem wrażenie, jakbym trafił do osady poszukiwaczy złota na Dzikim Zachodzie. Wzdłuż błotnistych ulic stały proste budynki o ścianach z meheblowanych desek i blaszanych dachach. Brakowało im tylko wahadłowych drzwi i poręczy do przywiązywania koni. Jakiś kowboj albo traper z epoki gorączki złota mógłby się tu poczuć całkiem swojsko, o ile nie wpadłby pod koła jednego z motocykli albo autorikszy, które wypełniały rykiem silników zatłoczone ulice.

Trzeba było mleć nerwy ze stali i nie zdejmować ręki z klaksonu, żeby przedrzeć się

Czarna rzeka

na nadbrzeże. Po takiej nazwie jak Puerto Tordoya spodziewałem się prężnie działającego portu rzeczno, tymczasem między granicą miasta a Rio Santa Maria ciągnął się dziesięciometrowy pas gołej ziemi. Nad rzeką stał tylko jeden budynek, zrujnowany do połowy, a stromy brzeg pokrywało rumowisko betonowych bloków i płatanina stalowych prętów.

- Posterunek policji-wyjaśnili Nolberto.
- Czy coś w tym mieście nie zostało zniszczone?

Zajechaliśmy przed hotel, który mieścił się w budynku z pustaków. Siedząca w holu na plastikowym krześle gruba kobieta zmierzyła nas wzrokiem. Wysiadłem z samochodu i ruszyłem w stronę rzeki. Wzdłuż nabrzeża piętrzył się wał ułożony z foliowych worków z piaskiem. Wydrążony pień palmy unoszący się na wodzie pełnił funkcję pomostu, do którego były przycumowane trzy łodzie. Tuż nad brzegiem stał pick-up, na który grupka mężczyzn przenosiła z barki świeżo przycięte deski. Bez wątplenia wszystkie miały certyfikat Rady Gospodarki Leśnej.

- Kiedy nasza łódź przybędzie?
- Juz tu jest.

Nolberto wskazał największą z trzech łodzi. Wyglądała jak jedna z tych, które turyści wynajmują na godziny, zęby zwiedzać okolicę. Nie miała ani kabiny ani nawet nadbudówki, tylko rozpięty na drewnianym stelażu brezentowy daszek mający chronić pasażerów przed upałem. Wyblakłe litery na rufie układały się w nazwę Sierra Mądre.

- Gdzie będziemy spać?
- Tej nocy w hotelu.

Peruwlanczyk wziął* moją walizkę. Gruba kobieta dała mu klucz i zaprowadziła nas na piętro, gdzie po betonowej galerii przeszliśmy do dusznego pokoju. Stało w nim łozko i wentylator, a w oknie znajdowała się moskitiera z dziurami wielkości sporej monety.

- Toaleta jest na dole - oznajmiła właścicielka hotelu i wyszła.

Nolberto ruszył za nią.

- Nie zostaniesz?
- Idę na zakupy.
- *Hasta luego.*

Uśmiechnął się i zniknął za drzwiami. Nie zamierzałem siedzieć w tym pokoju. Zszedłem na dół, przeciąłem wyboista drogę i po chwili byłem już nad rzeką. Stąpając ostrożnie po palmowym pniu, dotarłem do Sierra Mądre. Zapukałem w kadłub i wsunąłem głowę pod brezentowy daszek.

W łodzi siedzieli dwaj mężczyźni i grali w karty na plastikowej beczce, prowadząc ożywioną rozmowę w języku, którego nie rozpoznawałem. Na mój widok obaj zamilkli. Wyglądali na tubylców, jeden był krępy i barczysty, drugi chudy i wysoki.

- Jest tu Anton? - zapytałem po hiszpańsku.

Popatrzyli po sobie i ten krępy pokręcił głową.

- Mam na imię Kel - przedstawiłem się. - Jestem lekarzem. Anton wam nie mówił, że przyjadę?

Żadnej odpowiedzi.

- A gdzie on teraz jest?

Mężczyźni wymienili ukradkowe spojrzenia.

- Popłynął w górę rzeki.
- Miał Jakąś sprawę do załatwienia - dodał ten chudy.

Zostawiłem ich na łodzi i wróciłem do hotelu. Opadłem na plastikowy fotel w holu i wyjąłem telefon. Nawet tutaj, na krańcu świata, miałem zasięg. Byłem lekko

Czarna rzeka

zawiedziony.

„Dojechałem szczęśliwie. Wszystko w porządku. Bardzo gorąco. Tęsknię za wami. Uściskaj Peggy¹¹.

Patrzyłem na wyświetlacz aparatu w nadziei, że zaraz przyjdzie odpowiedź od Cate. Nieco dalej w dół rzeki nagie dzieci wskakiwały do wody z na wpół zatopionego wraku jakiejś łodzi.

Właścicielka hotelu zauważyła, że im się przyglądam.

- To był pływający szpital - odezwała się. - Przychodnia doktora Menendezza.

Nazwisko zabrzmiało znajomo, choć nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie się z nim zetknąłem. Dzieci skakały z dachu nadbudówki, nie zdając sobie sprawy, że pod wodą mogą się zderzyć z czymś ostrym lub twardym. Śmiały się, przepychały i nurkowały z pluskiem, by po chwili wdrapać się z powrotem na zardzewiały wrak Pływający szpital zamienił się w śmiertelnie groźną pułapkę.

-Jak zatonął?

Kobieta wzruszyła ramionami

- Coś wybuchło.

Obserwowałem bawiące się dzieci pełen obaw, że któreś z nich zrobi sobie krzywdę i będę musiał pospieszyć mu na ratunek. Zamknąłem oczy i próbowałem zasnąć, ale rozpraszały mnie natrętne muchy. Ulicą z warkotem przejeżdżały motocykle, a od strony wraku dobiegały głośne piski i śmiechy.

Otworzyłem oczy. słysząc groźne okrzyki. Jakaś kobieta w zielonej bluzce i bejsbołówce z logo drużyny Jankesów stała na brzegu i strofowała dzieci po hiszpańsku. Czyżby któreś z nich coś sobie zrobiło? Usiadłem prosto i wyteżyłem wzrok. Żadne nie wydawało się zbyt przejęte. Stały na blaszanym dachu i udawały, że jej nie zauważają.

W końcu znudziły się gniewną tyradą i popłynęły do brzegu, by poszukać sobie innego miejsca do zabawy. Kobieta nie przestawała ich besztać, dopóki nie znikły jej z pola widzenia.

- Doskonale! - zawołałem do niej, kiedy przechodziła obok hotelu.. - To się mogło źle skończyć.

Spojrzała na mnie. Daszek czapki rzucał głęboki cień na jej twarz.

- Czy my się znamy?

- Wątpię,

-To pieprz się - rzuciła po angielsku z bezbłędnym akcentem i odeszła.

Zaczynała mnie boleć głowa. Pociłem się tak obficie, że moje ubranie było całe mokre, a odkąd wysiadłem z samolotu, nic nie piłem. Od ulicznego sprzedawcy kupiłem butelkę wody i popijałem ją rozparty w fotelu. Z kalendarza spółki naftowej zerknęła na mnie przez ramię półnaga blondynka. Naprzeciwko niego wisiał inny kalendarz, a na nim, nad zdjęciem przedstawiającym grupkę roześmianych dzieci, widniał napis: „Educación en la Amazonia: Misionero Domimcos”. Dominikańscy misjonarze? Przypomniały mi się opowieści Antona o konkwistadorach

Miałem wrażenie, jak gdyby te dwa kalendarze konkurowały o moją duszę. Pomiędzy nimi ktoś przybił do ściany wielką mapę dorzecza Amazonki. Śledziłem wzrokiem niebieskie wstęgi rzek, zastanawiając się, która z nich prowadzi do zaginionego miasta. Niczym cienkie pnącza schodziły się ze wszystkich stron i stopniowo łączyły w jeden gruby splot rzeki, która przepływała obok mnie. Przypominały mi obrazy z prześwietlenia mózgu, które oglądałem na studiach, niewyobrażalnie skomplikowaną sieć połączeń nerwowych, jak gdyby rzeka była siedliskiem inteligencji zamkniętej w ciele dzungli. Być może nawet duszy.

Czarna rzeka

Przed hotelem zatrzymał się samochód, jedna z tych ciężkich maszyn z napędem na cztery koła, które kursowały tam i z powrotem droga prowadząca do lotniska. Ktoś z niego wysiadł i zatrzasnął za sobą drzwi po stronie pasażera. Czyżby Anton? Wstałem z fotela.

Terenówka odjechała z rykiem silnika, a kiedy opadł tuman kurzu, zobaczyłem samotnego mężczyznę stojącego na środku ulicy. Nie był to Anton, ale jakiś gringo o starannie uczesanych włosach i w koszulce polo zapiętej pod szyję. Przy uchu trzymał komórkę i prowadził z kimś gorączkową rozmowę, rozglądając się dokoła niespokojnie, jakby się obawiał, że ktoś go napadnie. Na ziemi u jego stop spoczywały dwie wypchane torby.

Stałem na zacienionej werandzie, niewidoczny z zalanej słońcem ulicy. Nie mógł mnie zauważyć.

- Przyjechałeś do Antona? - zapytałem, wyłaniając się z cienia

Obejrzał się jak włamywacz przyłapany na gorącym uczynku. Przez chwilę wydawało mi się, że jego gładko ogolona twarz wykrzywiła się w drapieżnym grymasie. A może to było tylko złudzenie, gra światła. Kiedy zamrugałem, zobaczyłem już tylko przyjazny uśmiech.

- Cześć, jestem Howje - odezwał się, chowając telefon do kieszeni i wyciągnął rękę na powitanie Mowr z amerykańskim akcentem.

- A ja Kel.

- Długo tu jesteś?

- Mniej więcej od godziny. Pomogę ci z tym - powiedziałem, podnosząc jedną z toreb. Była piekielnie ciężka a w środku wyczułem coś twardego i kanciastego. Ostre krawędzie wypychały tkaninę, a na zamku błyskawicznym wisiła solidna kłódka. - Przywiozłeś tu cegły? - zażartowałem.

-Zostaw-warknął f poczułem, że nie ma ochoty na żarty. Ponownie dostrzegłem na jego twarzy gniew, ale po chwili znów szeroko się uśmiechał.

- Chciałem tylko pomóc.

Taszczył obie torby do swojego pokoju. Nie bez satysfakcji przyglądałem się, jak zмага się z ich ciężarem. Kiedy wrócił, był cały spocony, a w rękach trzymał dwie puszkietetycznej coli. Podał mi jedną.

- Znalazłem automat z napojami.

Tak naprawdę miałem ochotę na piwo, ale nie chciałem wybrzydzać. Z trzaskiem otworzyliśmy puszkietetycznej coli. Podał mi jedną.

- Jak się w to wszystko wpakowałeś? - zapytał.

- Poznałem Antona na wakacjach. Uratował mi życie, a potem namówił, żebym się przyłączył do ekipy.

Muszę przyznać, że wiele razy ćwicyłem tę kwestię. Teraz byłem zadowolony z efektu, jaki wywołałem.

- Brzmi nieźle. - Howie uśmiechał się z podziwem. - Musisz mi kiedyś o tym opowiedzieć.

- A ty jak tu trafiłeś?

- Pracuję dla fundacji - odparł i spojrzał na mnie wyczekująco. - Nie słyszałeś o Fundacji Granic Języka?

Pokręciłem głową, co najwyraźniej go zirytowało.

-Wyłożyliśmy sporo kasy, żeby sfinansować tę wycieczkę.

Przynajmniej jedna z kwestii, które mnie nurtowały, została wyjaśniona.

-W jakim celu?

- Docieramy w miejsca, gdzie jeszcze nigdy nie postąpiła noga białego człowieka.

Czarna rzeka

Jest szansa, że możemy tam spotkać plemiona nietknięte przez cywilizację. Dzikich Indian.

Przypomniałem sobie, co Cate wyszukała w Wikipedii Trzej badacze, który zaginęli w dżungli, prawdopodobnie padli ofiarą tubylców.

- Fundacja zajmuje się tworzeniem mapy języków świata. Mamy wielką nadzieję, że uda nam się odkryć zupełnie nieznaną plemię, które posługuje się językiem pozbawionym zewnętrznymi wpływami. Pozwoliłoby to wyjaśnić wiele kwestii dotyczących ogólnych reguł gramatyki i rozwoju mowy. Dlatego przyłączyliśmy się do Antona.

Zerknąłem na niego z ukosa.

-Jesteś lingwistą?

- Operuję biegle ponad trzema milionami form komunikacji - powiedział z angielskim akcentem, naśladowując głos robota.

- Mam nadzieję, że wiesz, jak powiedzieć „nie strzelaj” w miejscowym narzeczu.

- Oczywiście

- Często podróżujesz z Antonem?

- Pierwszy raz.

- Ja tak samo.

I Nolberto również. Podejrzywałem, że Anton ma swoją stałą ekipę, sprawdzoną i zżytą grupę ludzi, na których może polegać. Przypuszczalnie mieli dołączyć do nas później,

Rozmawialiśmy, popijając colę. Pochodził z Kalifornii, miał dwadzieścia sześć lat i był pod wrażeniem, dowiedziawszy się, że ja mam trzydzieści osiem, jakby chciał powiedzieć; „Gaikiem nieźle jak na takiego staruszka” To było trochę przygnębiające. Nigdy wcześniej nie wędrował po dżungli, za to miał trzy fakultety w dziedzinie lingwistyki i władał biegle sześcioma albo siedmioma językami.

- Myślisz, że naprawdę coś tam jest? - zapytał

Rozmawialiśmy dłużej, niż przypuszczałem. Słońce wisiło już nisko nad horyzontem, a w rzece odbijało się krwistoczerwone niebo. Miasto zaczynało się ożywiać, Wzdłuż rzeki spacerowały grupki ludzi, wypełniając nabrzeże gwarem śmiechów i rozmów. Wojskowy helikopter przeleciał nisko nad wodą, przywodząc na myśl scenę z *Czasu apokalipsy*. Reszta ekipy nadal się nie pojawiała.

Spojrzałem w górę rzeki. Zabudowa Puerto Tordoya nie wrzyniła się w dżunglę. Na brzegu niedaleko hotelu zaczynała się linia drzew, które tworząc zwartą i nieprzenikloną ścianę, zasłaniały zakole rzeki. Ogrom nicości.

- Musi tam coś być - odparłem, ignorując znaną mi z Wikipedii niechlubną listę tragicznych niepowodzeń. - Anton jest tego pewien.

- On zawsze sprawia takie wrażenie.

W głębi ulicy rozległ się warkot silnika i po chwili zobaczyłem znajomego jeepa. Za kierownicą siedział Nolberto, ale nie było z nim Antona. Za to przyjechała Drew. W okularach przeciwsłonecznych, w obcisłej bluzce i z włosami spiętymi w koński ogon, który wystawał nad paskiem bejsbolówki, była tak pociągająca jak reklama papierosów

Posłała mi promienny uśmiech

- A więc dołączyłeś do nas.

- Nie mogłem zaprzepaścić okazji, żeby znów spojrzeć śmierci w oczy.

Z samochodu wysiadł jakiś zwalsty gringo, którego widziałem po raz pierwszy. Miał bity kark, nalaną twarz, a na jego głowie sterczały krótkie ciemnorude dredy. Nosił bojówki i podkoszulek z napisem „Zabić wszystkich. Bóg swoich rozpozna”.

Z łodzi wyszli na brzeg dwaj Peru wian czy cy. Nasza grupa stawała się coraz

Czarna rzeka

liczniejsza.

- Ty jesteś Howie? - zwrócił się do mnie rudy.

Jeszcze jeden Amerykanin zdecydowanie pozbawiony wdzięku. Pokręciłem głową i wskazałem na lingwistę.

- Anton powiedział, że przywiozłeś kasę.

- Zgadza się.

- Masz ja tu?

Zauważyłem, że Howie mu nie podoba się jego ton. Sztywnym krokiem powlókł się do swojego pokoju i po chwili wrócił, niosąc mały czarny plecak.

- Ile tego jest?

Pięć tysięcy.

- No to jedziemy - rozkazał rudy i spojrzał na mnie. - A ty coś za jeden?

- Kel. Jestem lekarzem i...

- Tez jedziesz. Musimy zrobić zakupy.

Z tyłu jeepa piętrzyły się kartonowe pudła i worki, które dwaj Peruwiańczycy zaczęli przenosić na łódź. Ryz, mąka i ziemniaki. Było tego tyle, że można by wykarmić całą armię.

- Dokąd jedziemy?

- Zobaczyć się z El Dorado.

- El Dorado?

Twarz rudego wykrzywił złośliwy uśmiech.

- Anton ci nie mówił? On mieszka w tym mieście.

6.

Tillman, bo tak nazywał się rudy, usiadł za kierownicą. Drew zajęła miejsce obok niego, a Howie, Nolberto i ja tłoczyliśmy się z tyłu. Zauważyłem, że wielu miejscowych zwraca na nas uwagę. Ulice patrolowali mężczyźni w mundurach potowych uzbrojeni w pistolety maszynowe, którzy stali na każdym skrzyżowaniu. Jeden z nich wycelował w nas, kiedy przejeżdżaliśmy. Chyba z nudów.

- Czy tu doszło do zamachu stanu? - zapytał Howie.

- To policjanci - wyjaśniła Drew. - Puerto Tordoya to ważny punkt na szlaku kokainowym.

O tym Anton nie wspominał.

- Myślałem, że koka rośnie w górach.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Muszą ją gdzieś przerzucić.

- A my dokąd jedziemy? - dopytywał Howie

Jeżeli Puerto Tordoya miało jakieś centrum, oddalaliśmy się od niego. Budynek, które mijaliśmy, były coraz mniej okazałe, aż w końcu ustąpiły miejsca dzielnicom slumsów. Na plastikowych skrzynkach po piwie siedziały kobiety i robiły na drutach, a kulawi mężczyźni sprzedawali losy na loterię. W tym mieście było to prawdopodobnie jedyna nadzieja na poprawę bytu.

Zapadał już zmierzch, ale Tillman nie zwalniał - tylko od czasu do czasu naciskał hamulec, żeby uniknąć zderzenia z nadjeżdżającą terenówką albo motocyklem, a potem znów gwałtownie przyspieszał, wzbijając chmurę kurzu. Trzymałem się kurczowo burty jeepa, żeby nie wypaść. Nie osłaniały mnie ściany ani dach, nie było nawet pasów bezpieczeństwa i czułem się bardzo niepewnie.

Hamując z piskiem opon, samochód wpadł na skrzyżowanie, a potem wszedł

Czarna rzeka

w zakręt tak ostro, że omal się nie przewrócić.

- Na litość boską! - krzyknąłem. - Tu są dzieci.

Widziałem cienie na drodze, które w ostatniej chwili umykały sprzed maski niczym ómy majaczace na granicy światła reflektorów. Tillman zjechał na pobocze. Dotarliśmy na miejsce, ale nie miałem pojęcia, jaki jest cel naszej podróży. Przed nami wznosił się mur z pustaków betonowych zwieńczony drutem kolczastym, a za nim widać było blaszany dach jakiegoś magazynu. A potem kiedy Tillman wyłączył silnik i zgasty światła, wszystko znikło w ciemności.

- Wszyscy wysiadać - rozkazał.

W jego głosie słychać było zdenerwowanie. Wyskoczył z samochodu i zaczął kołatać w bramę.

-Jest tu kto?

- Czy to na pewno jest dobry pomysł? - odezwał się jękliwie Howie.

- *Q u t c n e s ?* - odezwał się jakiś głos z drugiej strony muru. W jego tonie było coś, co kazało podejrzewać, że oprócz słów możemy usłyszeć strzały.

- *Q u e pasa. amigo?* - Tillman mówił po hiszpańsku, jakby uczył się tego języka z reklam telewizyjnych. - Jest Lorenzo? - zapytał i nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: - Anton mnie przysłał.

Zza muru dobiegł odgłos rozmowy, a potem zaskrzypiały zawiasy.

- Wy przodem - rzeki Tillman.

Gdy tylko weszliśmy na posesję, zalał nas rześisty blask reflektorów, jakbyśmy próbowali nielegalnie przekroczyć granicę. Zasłoniłem oczy dłonią. Między palcami zobaczyłem dużą drewnianą szopę i stojącą tyłem do niej ciężarówkę. Wielkie wyblakłe logo Inca Koła widniało na deskowej fasadzie magazynu i wypełnionych butelkami skrzynkach, które piętrzyły się pod ścianą.

- Przyjechaliśmy zaopatrzyć się w napoje? - zapytał Howie z niedowierzaniem.

Wiatr szumiał w koronach drzew, które wznosiły się nad ogrodzeniem. Musieliśmy być na peryferiach miasta. Z magazynu wyszedł jakiś mężczyzna i ruszył w naszą stronę. Daszek bejsbolówki rzucał cień na jego twarz.

- To jest Lorenzo - poinformował nas Tillman i dodał ściszym głosem: - Nazywają go El Dorado.

- Dlaczego?

- Bo zgarnia całe złoto. Skupuje wszystko od poszukiwaczy skarbów, którzy zapuszczają się w głąb dżungli.

Mężczyzna w czapeczce bejsbolowej zatrzymał się kilka metrów przed nami, a jego ciemna sylwetka odcinała się na tle oślepiających świateł. Nie był sam. Towarzyszyło mu sześciu mężczyzn w kombinezonach, którzy stali oparci o mur, z rękami splecionymi na piersiach. Jego głowa poruszała się wolno, gdy lustrował badawczo każdego z nas.

- Przywiozłeś to, co chciałem?

- Tak - odparł Tillman.

Lorenzo powiedział półgłosem coś, czego nie rozumiałem. Wydawało mi się, że słyszę słowa „Anton” i „policja”. Towarzyszący mu mężczyźni roześmiali się głośno. Cała sytuacja była tak surrealistyczna, że dopiero potem zacząłem się zastanawiać, czy powinienem się bać.

- Chodźmy do mojego biura.

Tego wieczoru dowiedziałem się, że w Peru nigdy nie należy przechodzić od razu do sedna. To nietaktowne. W dobrym tonie jest udawać, że przyszło się po prostu w odwiedziny, coś zjeść, wypić i pogawędzić, a dopiero po półgodzinie wyłuszczyć cel

Czarna rzeka

swojej wizyty. Przestrzegali tego nawet handlarze bronią. Lorenzo poprowadził nas przez magazyn, w którym piętrzyły się skrzynki pełne butelek, do kantorka mieszczącego się w głębi budynku. Wokół gołej żarówki zawieszanej pod sufitem krążyły komary, a pod ścianą stał masywny sejf. Tak bardzo rzucał się w oczy, że przemknęło mi przez myśl, czy nie postawiono go tu na pokaz.

Tillman, Lorenzo i Drew zasiedli przy stole. Gdy stałem pod ścianą wraz z resztą towarzystwa i patrzyłem, jak popijają inka kolę z butelek, byłem niemal pewien, że zaraz ktoś zacznie grać na gitarze.

- A więc wybieracie się na poszukiwanie Paititi - rzekł gospodarz. - Złotego miasta.

Spojrzałem nerwowo na Howiego. Wyglądało na to, że wyprawa Antona przestała być tajemnicą.

- Chcecie szukać złota w dżungli, będziecie pracować dla mnie. - Lorenzo trącił palcem szalkę wagi jubilerskiej, która stała na jego biurku. - Zapłacę wam dziesięć dolarów za gram.

Tillman pociągnął kolejny łyk z butelki. Nic nie powiedział. Nagle człowiek zwany El Dorado uniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Podoba ci się w Peru?

- Jestem tu dopiero od kilku godzin.

- Pierwszy raz?

Pokiwałem głową.

- Powinieneś się wybrać do Cuzco, zobaczyć rysunki z Nazca. Machu Piechu i inne atrakcje turystyczne. Myślę, że to będzie jedyne zaginione miasto, jakie tu znajdziesz.

- Zawsze chciałem zobaczyć Machu Piechu

Lorenzo otworzył małą brązową kopertę i przechylił ją nad szalkę wagi. Żółto brązowy proszek, który wysypał się ze środka, miał zaskakująco matowy odcień. Przypominał raczej zmielony cynamon niż drogocenny kruszec i tylko kilka maleńkich drobinek połyskiwało w świetle żarówki.

- W dżungli nie ma innego złota, a Paititi ■ zaginione miasta to tylko baśnie i legendy

Tillman opróżnił butelkę i postawił ją z hukiem na blacie.

- Dość tego towarzyskiego pieprzenia - powiedział. - Miejmy to już za sobą.

Twarz Lorenza stężała ■ przez chwilę myślałem zdjęty grozą, że Tillman posunął się za daleko. Pomimo gościnnego przyjęcia i musującego poczęstunku nie miałem wątpliwości, że z naszym gospodarzem lepiej nie zadzierać.

- Dobrze - powiedział El Dorado i skinieniem głowy dał znak swoim ludziom.

Czterej mężczyźm wyszli do magazynu, a my podążyliśmy w ślad za nimi. Na

podłodze obok skrzynek z napojami pojawiły się dwa stalowe kufry. Tillman podniósł wieko jednego z nich i wyciągnął długą czarną strzelbę połyskującą od smaru. Nigdy dotąd me trzymałem w ręku broni, ale wiedziałem, że to strzelba, bo widziałem podobne w telewizji. Na dnie skrzyni spoczywała druga.

Jakaś część mojej natury - ta, która ścisza radio, kiedy nadawane są wiadomości, zęby Peggy nie usłyszała czegoś, czego nie powinna usłyszeć - wzdygnęła się na widok tych czarnych śmiertelnych przedmiotów. Ale miałem w sobie również wiecznego chłopca, który pomyślał, że to może być jedna z najfajniejszych chwil w moim życiu. Tak bardzo chciałem przeżyć przygodę i oto byliśmy w jakimś magazynie na skraju dżungli, gdzie pod osłoną nocy kupowaliśmy prawdziwą broń od prawdziwych gangsterów.

Tillman, mrużąc oczy, powiódł wzrokiem wzdłuż lufy, a potem przyłożył kolbę do ramienia i uniósł bron, mierząc w stronę krokwi pod dachem. Rozległ się suchy trzask iglicy, kiedy nacisnął spust.

- Wygląda nieźle - powiedział.

Czarna rzeka

Otworzy! druga skrzynię,, w której leżały dwa sztucery - teraz już potrafię je rozpoznać - w równie nienagannym stanie.

- Prosto z fabryki - odezwał się Lorenzo - Daję wam bardzo dobra cenę.

Rozejrzałem się dookoła. Na twarzy Drew malował się meodgadniony wyraz, a dwaj Peruwiańczycy, których poznałem na łodzi, wyglądali na znudzonych.

- Do czego nam to potrzebne? - zapytałem.

- Do polowania - wyjaśnił Tillman. - Musimy coś jeść.

- Dżungla jest bardzo niebezpieczna, *tndios*

- El Dorado przyłożył do ust

zaciśnięte dłonie, udając, że trzyma w nich dmuchawkę, - Kiedy wkroczycie na ich ziemię, zabiją was, zanim zdążycie ich zobaczyć. A może nawet poobcinają wam głowy i będą je nosić przy pasku.

Wyszczerył zęby w uśmiechu. Mówiąc te słowa, z jakiegoś powodu cały czas wpatrywał się we mnie. Starłem się zachować obojętną minę i dziękowałem Bogu, że Cate nie słyszy tego wszystkiego.

Tillman miał zamiar wypróbować wszystkie cztery sztuki broni

- A gdzie amunicja? - zapytał.

Lorenzo uniósł wieczko tekturowego pudełka stojącego na skrzynce z butelkami. W środku zobaczyłem rzędy czerwonych naboju. Tillman otworzył komorę strzelby i sięgnął do pudełka, ale handlarz wyciągnął do niego rękę.

- Najpierw zapłać.

Amerikanin rzucił mu gniewne spojrzenie i wyjął z kieszeni plik banknotów. El Dorado przeliczył je.

- Tu są trzy tysiące. Umawiałem się z Antonem na pięć.

Tillman wzruszył ramionami.

- Mnie powiedział, że na trzy.

Nie mogłem uwierzyć, że jest gotów się targować. Daszek bejsbotówki rzucał cień na twarz Lorenza, ale nietrudno było zgadnąć, jakie myśli kłębią mu się w głowie. Jego ludzie zastygli w nerwowym oczekiwaniu.

- Trzy tysiące to dla mnie żaden interes.

- Tylko tyle mamy, Wóz albo przewóz.

- Jak będziecie polować na małpy, kajmany czy Indian, to nie ma sprawy. Ale jak wdacie się w strzelaninę z handlarzami narkotyków, a oni się dowiedzą, kto wam sprzedał broń, będę miał duże problemy. Muszę się zabezpieczyć.

Tillman wzruszył ramionami.

- A może chcecie wyruszyć bez broni?

- Nic z tego - Tillman błyskawicznym ruchem ujął strzelbę oburącz i wymierzył ją w pierś Peruwianki. - Place ci trzy tysiące.

Lorenzo zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Jego ludzie sprężyli się gotowi do ataku. Dwaj z nich wsunęli ręce pod kurtki.

- Ta strzelba nie jest załadowana.

- Czyżby? - Oczy Tillmana były szeroko otwarte, a jego nozdrza falowały. - Zajrzyj do pudełka. Jednego naboju brakuje, prawda?

Teraz może się to wydawać szalone, ale nawet w takiej chwili dochodził we mnie do głosu wieczny chłopiec. To była patowa sytuacja, niczym w westernie. Czuję się jak w kinie, a nawet lepiej - czuję się jak bohater filmu.

Dlaczego nie myślałem wtedy o Peggy i Cate? Dlaczego nie myślałem o sobie i nie zastanawiałem się, czy mam szansę wyjść z tego cało? Nie przeczę, po części byłem sparaliżowany strachem. Ale ludzka natura ma to do siebie, że nade wszystko pragniemy ekscytujących przeżyć i doświadczamy błędnego odurzenia, kiedy coś

Czarna rzeka

zaspokoi (o pragnienie. To dlatego pakujemy się w tarapaty.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę pudełka z amunicją. Rzeczywiście, w rzędzie fabrycznie pakowanych naboji widniała luka.

- Trzeba było uważać, kiedy liczyłeś pieniądze.

El Dorado wsunął ręce do kieszeni. Strzelba w rękach Amerykanina drgnęła złowieszczo. Nagle wszystko stało się mniej ekscytujące, a o wiele bardziej rzeczywiste.

- Chcesz negocjować? Już i tak jesteście mi winni osiemdziesiąt tysięcy. Możę teraz upomnę się o dług?

- Wiesz, że na Antonie można polegać - rzekł Tillman i cofnął się pół kroku.

Lorenzo splunął na podłogę.

- Sprzedam wam te spluwy za cztery tysiące - powiedział. - Plus pięć stów za amunicję.

- *Hasta ta vista.*

7.

Po załadowaniu skrzyń z tyłu jeepa zostało niewiele miejsca. Siedziałem z przodu wciśnięty między Tillmana i Drew, podczas gdy inni tłoczyli się za naszymi plecami. Tillman nie posiadał się z radości. Zmieniał biegi ze zgrzytem i kręcił kierownica jak rajdowiec.

- Czyż to nie było wspaniale?-piąt zachwytu nad samym sobą. - Widzieliście jego minę. Myślałem, że się zesra w gacie.

Pokiwałem głową. Samochód nie miał pasów bezpieczeństwa i na każdym wyboju albo zakręcie miałem wrażenie, że wypadnę na drogę. Ogarniały mnie mdłości, ale nie miało to nic wspólnego z tą szaleńczą jazdą. Podniecenie to narkotyk jak każdy inny. Powrót do normalności po chwili uniesienia jest piekielnie bolesny.

- Masz szczęście, że nas nie wystrzelali, żeby zgarnąć pieniądze - odezwała się Drew, patrząc prosto przed siebie. - To było głupie zagranie.

-Wiedziałem, co robię - odparł Tillman i nacisnął klakson, wyprzedzając autorikszę. - Ci faceci czują respekt przed siłą, Trzeba »m pokazać, kto rządzi. To męskie sprawy.

- Męskie pieprzenie - skwitowała dziewczyna.

- Powiedz mi, czy ta strzelba naprawdę była naładowana? - zapytałem.

Amerykanin oderwał dłoń od kierownicy i wyjął z kieszeni czerwony nabój.

- Schowałem go, kiedy nie patrzył.

-Jesteś wariatem - powiedziałem. Wziął to za komplement.

- W końcu dostaliśmy tę broń, nie?

- Mieliśmy szczęście.

- Otóż to. Macie szczęście, że z wami jestem.

Tillman wepchnął kasetę do odtwarzacza i przekręcił potencjometr do oporu. Rozpoznałem płytę Guns NRoses, *Apettite for Deslruction*. Lawina drapieżnych gitarowych rrrfów położyła kres dyskusji.

Minęliśmy fontannę stojącą na placu w centrum miasta i wróciliśmy do hotelu. Dwaj Peruwianczycy zdjęli z jeepa pierwszą ze skrzyń i ponieśli ją w stronę łodzi. Najwyraźniej panowała tu niepisana zasada, że jeśli trzeba coś dźwigać, jest to zadanie dla tubylców. Czuję się tym nieco skrępowany, więc okrążyłem samochód i zacząłem wyciągać drugą skrzynię. Tillman przyłączył się do mnie.

- Posłuchaj - odezwał się, kiedy zdjęliśmy ładunek n położyliśmy go na ziemi. - Anton nie musi wiedzieć, że się targowałem. Gdyby pytał, powiedz mu, że zapłaciłem całe pięć

Czarna rzeka

tysięcy.

Kiedy to mowil, zerkał przez ramię, więc nie rno'g' widzieć mojej miny. Naraził nas na śmiertelne niebezpieczeństwo z powodu pięciuset dolarów? Nie chcę się przechwalać, ale potrafię tyle zarobić w ciągu jednego popołudnia. Mógłbym wypłacić dla niego te pięć stów z bankomatu.

- Będiesz miał co opowiadać żonie, kiedy wrócisz, co?

N>e miałem na ten temat nic do powiedzenia.

- Czy on mówił prawdę o tych Indianach? - zapytałem. - Buda nas atakować?

- Urabianie klienta Sprzedawcom broni zależy, żebyś trząś portkami ze strachu, bo wtedy kupisz więcej towaru. - Wymierzył mi żartobliwy cios w ramię, na tyle mocny, by został po mm siniak. - Dałeś się nabrać?

- Brzmiało całkiem wiarygodnie.

- Facet mieszka w mieście i gówno wie o tym, jak naprawdę jest w dżungli.

Najważniejsze, że teraz mamy broń. Jeśli Indianie będą się stawiać, to damy im popalić.

Podnieśliśmy skrzynię z ziemi i ruszyliśmy w stronę rzeki.

- A o co mu chodziło z tym długim Antona?

Tillman wykrzywił twarz w złośliwym uśmiechu, jakbym odkrył jakiś wstydlivy sekret.

- Lorenzo dał nam zaliczkę na przygotowanie wyprawy.

- Myślałem, że fundacja Howiego pokrywa koszty.

- Tak... No cóż. oni,..

Ryk silnika przerwał mu w pół zdania. Oślepiły nas reflektory samochodu, który wyjechał z zakrętu. Myślałem, że nas ominie, ale światło stało się Jeszcze mocniejsze. Ktoś jechał prosto na nas. Niemożliwe, żeby kierowca nas nie zauważył. Znaleźliśmy się w potrzasku jak króliki.

Upuściłem skrzynię i schroniłem się za jeepem. Samochód zatrzymał się kilka metrów od nas. Silnik ucichł, ale reflektory nadal świeciły. Usłyszałem odgłos otwieranych drzwi, które po chwili zamknęły się z trzaskiem. Ze środka wysiedli dwaj mężczyźni.

- Chcecie nas rozjechać? - warknął gniewnie Tillman.

Milczałem. Kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do zmiany oświetlenia, zauważyłem na masce samochodu duże litery, które układały się w napis „Policka”. Mężczyźni podeszli bliżej. Mieli na sobie białe koszule, czapki garnizonowe i niebieskie kurtki, które wydawały się zbyt grube na tak upalną noc. Krępi i barczyści, mieli twarze

0 peruwiańskich rysach. Jeden z nich nosił wąsy.

- *Buenos noches* - odezwał się ten wąsaty, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął odznakę. - Jestem *commandante* Lupo. a to jest *teniente* Chavez. - Mówił spokojnie

1 wyraźnie. Czubkiem wyglansowanego buta tracił stalową skrzynię, którą upuściliśmy, rzucając się do ucieczki. - Czy mógłbym prosić, aby panowie to otworzyli?

- A ma pan nakaz? - zapytał Ti liman po angielsku.

Lupo wyjął papierosa, a porucznik podsunął mu zapalniczkę. W blasku płomienia zobaczyłem kilka otoczonych siateczką zmarszczek oczu.

- Dostaliśmy zgłoszenie.

- Jebany Lorenzo - mruknął pod nosem Amerykanin.

- Macie jakieś dokumenty? - zapytał porucznik. -

Tillman rozpiął suwak i z kieszeni spodni wyjął sponiewierany niebieski paszport. Kiedy wręczał go policjantowi, zauważyłem trzy banknoty studolarowe przywiezione przez Howiego. które jakiś cudem wsunęły się pod okładkę. Chavez podał dokument swojemu przełożonemu, a ten obejrzał go dokładnie, ale pieniędzy nawet nie dotknął.

Czarna rzeka

- Jest pan cudzoziemcem - powiedział. - W Peru przekupywanie funkcjonariuszy policji jest nielegalne.

- Ma się rozumieć.

- Więc poproszę jeszcze raz, aby pan otworzył tę skrzynię.

Tillman znów uśmiechnął się ironicznie i spojrzał na z nieugięta wyższością Amerykanina* któremu się wydaje, że w każdym miejscu na świecie jest nietykalny. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo się myli. Stałem pomiędzy nimi.

- Dobry wieczór - odezwałem się tonem o wiele bardziej pogodnym niż mój nastrój. Obaj policjanci skierowali wzrok w moją stronę. Pokazałem im paszport, który wciąż miałem w kieszeni od czasu odprawy na lotnisku. - *Soy medico* - dodałem ■ na potwierdzenie moich słów wyjąłem z portfela identyfikator szpitalny. Gliniarze uwielbiają takie rzeczy.

- Pan Kelwin MacDonald? - zapytał Lupo, uważnie studiując moje dokumenty.

-To ja.

- Jest pan lekarzem?

-Tak.

- Czy te skrzynie należą do pana?

- W środku są leki - powiedziałem po hiszpańsku. - Bardzo ważne leki.

Musiałem go zagadać. Gdyby otworzyli skrzynie i zobaczyli bron, moje kłamstwo tylko pogorszyłoby sytuację. Bez dwóch zdań trafilibyśmy do aresztu, a ja zostałbym uznany za współwinnego. I jak bym to wytłumaczył Cate?

- Zawozimy antybiotyki do indiańskich wiosek w górze rzeki - wyjaśniłem, przypominając sobie, że ci sami Indianie podobno tylko czekają, żeby odrąbać mi głowę. - To dla dzieci. Jeśli otworzycie skrzynie, uszkodzicie lekarstwa. Nie będą już zdatne do użycia, a nawet ktoś może przez to umrzeć.

Policjant wbił we mnie wzrok. Czułem, że jego przenikliwe oczy ukryte w cieniu pod daszkiem czapki przyglądają mi się badawczo.

- Ma pan na to jakiś dowód? List przewozowy?

- Wszystko zostało na lotnisku w Puerto Maldonado - odparłem, podając mu telefon.

- Możę pan tam zadzwonić i zapytać.

-Teraz biuro jest nieczynne.

Starałem się nie okazywać ulgi. To było zmyślne zagranie - małe lotnisko, dziewiąta wieczorem i godziny urzędowania w Ameryce Łacińskiej. Ale i tak na niewiele się zdało,

- Zabierzemy skrzynie na posterunek - oznajmił Lupo po chwili zastanowienia. -

Rano dostarczy mi pan papiery.

- To niemożliwe.

- Niemożliwe?

- W przypadku tych leków ogromne znaczenie ma sposób przechowywania. Nie mając nad nimi kontroli przez cały czas. nie mogę gwarantować ich skuteczności, a co za tym idzie, nie mogę ich aplikować.

Commandante znów przez długą chwilę mierzy! mnie wzrokiem. Zaczynałem się do tego przyzwyczajać.

- Skoro to takie ważne, może pan również z nami jechać - rzeki z uśmiechem. - Na posterunku znajdzie się miejsce także dla pana.

- Nie ma sprawy. - Wzruszyłem ramionami, modląc się, żeby blefował. - Wezmę tylko torbę.

Z radiowozu dobiegł skrzekliwy odgłos krótkofalówki. Porucznik podbiegi do drzwi i wetknął głowę do środka. Czekałem, stojąc w miejscu

- Szefie! - zawołał policjant z samochodu - To ważne.

Czarna rzeka

Przez kilka sekund Lupo ani drgnął. Ja również trwałem w bezruchu. Czasami czułem się tak w pracy, gdy obserwowałem aparaturę, zęby zobaczyć, czy pacjent dochodzi do siebie, czy umiera. Nie miałem na nic wpływu, ale zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

Lupo rzucił niedopałek na ziemię i przygniótł go butem.

- Jutro tu wrócę - oznajmił. - Ale niech pan będzie ostrożny, doktorze MacDonald. Puerto Tordoya to niebezpieczne miasto.

Radiowóz zniknął za rogiem, błyskając niebieskim światłem koguta. Wciąż stałem jak słup sol*, dopóki zawroźnienie policyjnej syreny nie złało się z wieczornym zgiełkiem miasta. Dopiero później zdałem sobie sprawę z obecności innych. Howie nadal siedział na ławeczce z tyłu jeepa, Tillman stał obok mnie, a Drew i dwaj Peruwianczycy przyglądali się nam z pokładu łodzi. Opartem się o samochód, zęby me upaść, bo nagle poczułem, że mam nogi jak z waty.

- Nieźle jak na świeżaka - powiedział Tillman z nutą zazdrości w głosie. - Nie mówię, że znasz hiszpański.

Czułem swąd dymu z niedopałka, którego wyrzucił Lupo i sam nabrałem ochoty na papierosa. To nie był dobry pomysł. Czułem jak mdłości i ból głowy znów zaczynają dawać mi się we znaki. Howie i Nolberto podnieśli drugą skrzynię i ruszyli z nią w stronę łodzi.

- Napijmy się piwa - zaproponował Tillman.

8.

Jedynym miejscem w Puerto Tordoya, które się do tego nadawało, był zdaniem Tillmana bar u Nellie. Nie wiem, czy chodziło mu o to, że był to najlepszy bar, czy jedyny bar w mieście, tak czy inaczej przyciągał mnóstwo gości. Mieścił się w centrum, nieopodal placu z fontanną, a z wypełnionej po brzegi wielkiej sali tłum wylewał się na chodnik. W środku błyskały światła, a kobiety tańczyły w rytm dudniącej muzyki, która dobiegała z głębi. Czułem się przytłoczony.

Tillman wziął plik banknotów przywiezionych przez Howiego i po chwili wrócił z kubelkiem pełnym butelek piwa i wysoką szklanką, w której pieniał się jakiś biały drink. Rozkoszny chłód wypełnił mój przetyk, kiedy wychyliłem butelkę piwa. Drew popijała białego drinka przez słomkę.

- Co pijesz? - zapytałem. Musiałem przekrzykiwać barowy zgiełk, zęby mnie usłyszała.

- Pisco sour.

Podsunęła mi szklankę i wziąłem łyk. Smakowało nieźle.

- Co w tym jest?

- Pisco, tutejszy winiak. A do tego sok cytrynowy i białko jaja.

- Dasz wiarę, co to za kraj? - odezwał się Tillman. - Nie mają prądu, nie mają bieżącej wody, a do koktajlu dodają surowe jajko. Przejebane.

- Dlatego potrzebują lekarstw Kela. - W oczach Drew pojawił się figlarny błysk. - Żeby zwalczyć epidemię po zatruciu pisco sour.

- Następnym razem spróbuję tego argumentu.

Czułem się niebezpiecznie rozluźniony. Pijany, zmęczony i upojony przygodą. Prawdopodobnie był to najbardziej zwariowany dzień w moim życiu, ale udało mi się go przetrwać i to mnie cieszyło. A wyprawa jeszcze się nie zaczęła.

- Gdzie nauczyłeś się tak dobrze mówić po hiszpańsku? - zapytała Drew. Musiałem przysunąć się bliżej, żeby zrozumieć jej słowa.

Czarna rzeka

- Odbywałem staż na Filipinach, pomagałem w przychodni dla dzieci ze slumsów.
- Musiało być ciężko.

Przytaknąłem. Tak naprawdę miałem wrażenie, jakby przydarzyło się to komuś innemu i w innej epoce.

Dziewczyna położyła dłoń na moim ramieniu.

- Cieszę się, że Anton cię znalazł.
- Kiedy tu bodzie?
- Myślę, że jutro.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, a potem Drew poszła na parkiet. Tańczyła świetnie, aż miło było patrzeć.. Tillman zrobił sobie skręta, ale nie zamierzał się z nikim dzielić. Howie popijał dietetyczną colę. Czas płynął powoli i zacząłem myśleć

0 powrocie do hotelu. Postanowiłem jednak napić się jeszcze piwa.

Przy barze zorientowałem się, że stoję obok innego gringo. Mia! na sobie biała koszulkę polo wpuszczoną w spodnie khaki i ze starannie przystrzyżonymi włosami wyglądał jak księgowy na polu golfowym. Pochwycił moje spojrzenie.

- Pewnie jesteś tu nowy
- Proszę?

-W Puerto Tordoya jest niewiele obcych, więc domyślam się, że jesteś tu nowy,

-Dziś po południu przyleciałem z Anglii.

- To masz za sobą długi dzień - powiedział ze współczuciem w głosie.
- Nawet nie wiesz jak długi
- Jesteś tu na urlopie?

- Wybieram się z przyjaciółmi w górę rzeki. Wyprawa do dżungli - odparłem. Nie chciałem wdawać się w szczegóły, więc dodałem szybko: - A ty?

- Biorę udział w programie BSP.

Dwa piwa k brak snu musiały sprawić, że nie tylko czułem się zdezorientowany, ale również było to po mnie widać.

- Latamy po przyjaznym niebie i wypatrujemy złych typków.

Nieznajomy uniósł dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym, zamarkował strzał

1 zdmuchnął niewidzialny dym. Nadal nie rozumiałem, o co mu chodzi.

- Jesteś Amerykaninem?
- Tak.
- Pilotem?
- Cóż, w pewnym sensie. Operuję joystickiem. Słyszałeś o predatorze?

Wyteżyłem umysł.

- Mówisz o tym filmie z Arnoldem?

- Nie. Choć właściwie czemu nie? Jeżeli krwawi, możemy to zabić. Ale te predatory krążą sześć kilometrów nad naszymi głowami. Śmierć z przestworzy.

Trybiki w mojej głowie nareszcie zaskoczyły.

- Drony?
- BSP. Bezzałogowe statki powietrzne.

Przysiadłem na stoiku barowym,

-Więc służysz w armii?

- Bron Boże. Jestem cywilnym podwykonawcą.
- A na co komu twoje drony w Peru?
- Operacje antyterrorystyczne. Cóż, tak naprawdę antynarkotkowe, ale jeśli

podciągamy to pod walkę z terrorem, Kongres przyznaje nam większe dotacje na nasze zabawki. Słyszałeś o Sendero Luminoso? O Świetlistym Szlaku?

- Partyzanci - bąknąłem. Oczywiście Cate nie mogła ich pominąć w swojej kampanii

Czarna rzeka

propagandowej, próbując odwieść mnie od wyjazdu. - Myślałem, że rozprawiono się z nimi w latach dziewięćdziesiątych.

- Wrócili do gry Kiedy wyjdiesz z dżungli po drugiej stronie tych gór, trafisz do doliny rzek Apurimac i Ene. Jak Tajlandia słynie z zon na zamówienie, tak ten rejon to światowe zagłębie koki. Strefa zero. To tam Świetlisty Szlak ma większość plantacji i dlatego tu jesteśmy. Oczywiście nieoficjalnie. Pełna dyskrecja

Zaczalem się zastanawiać, dlaczego mi o tym wszystkim mówi. Nie wyglądał na pijanego.

- Za każdym razem, gdy wysyłają na drugą stronę Andów samolot wylądowany tym głównym, my go kasujemy.

- Skąd wiecie, co jest na pokładzie?

Amerykanin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie wiemy. Dlatego me przepuszczamy żadnego. Przyleciałeś tu z Limy? - zapytał. Pokiwałem głową. - Trochę za długo to trwało, nie?

- Dwie i pół godziny.

- A powinno półtorej, ale pilot musiał okrążyć zakazaną strefę. Każdy samolot, który się tam zapuści, czeka przykry los - rzeki i z hukiem odstawił butelkę na bar. - Byles już kiedyś w dżungli?

- Pierwszy raz.

- To miej się na baczności. Tam się roi od czarnych charakterów. Indianie, handlarze narkotyków, komunistyczna partyzantka Bandycki kraj. Mam nadzieję, że jesteś odpowiednio przygotowany.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem żółte plastikowe urządzenie wielkości elektronicznej niani - zresztą właśnie tak Cate je nazwała, kiedy pewnego dnia w Londynie otworzyłem paczkę. To był prezent na moją wyprawę.

- Osobisty nadajnik lokalizacyjny - wyjaśniłem. - Jeżeli stanie się coś złego, satelity przekazują sygnał z każdego miejsca na Ziemi i zawiadamiają ekipę ratunkową.

- Ale jak taka ekipa do ciebie dotrze? - Mężczyzna zakręcił! kartonową podkładką do piwa, która leżała na barze. - Niektóre z naszych dronów działają już teraz bez obsługi naziemnej. Kiedy ich czujniki wykrywają, że coś przekracza granicę strefy, automatycznie odpalają rakiety. Chyba tydzień temu usmażyliśmy w ten sposób dwa kondory.

-Jasne.

Otarłem pot z czoła Wlałem w siebie zbyt dużo piwa i byłem niewyspany, a głośnie muzyka, która wdzierała się do mojej głowy, nie pozwalała mi zebrać myśli. Marzyłem o wygodnym łóżku. Zsunąłem się ze stołka i odszedłem od baru. Oślepił mnie blask migocących świateł, a wewnątrz sali zawirowało przed moimi oczami. Amerykanin wyciągnął do mnie rękę.

- Miło było cię poznać - powiedział. - Uważaj na siebie.

Potoczyłem wzrokiem dookoła, wypatrując swoich towarzyszy. Tillman rozmawiał z jakąś dziewczyną. Wyglądała jak tamta kobieta, która zbesztala dzieci bawiące się na zatopionej łodzi. DREW i I-towiego nigdzie nie było Zacząłem przeciskać się w stronę wyjścia, zadowolony, że nareszcie uciekam od hałasu i wszechobecnej woni przepoconych ubrań. Od rzeki dzieliło mnie zaledwie kilka ulic ■ miałem nadzieję, że znajdę drogę powrotną do hotelu

- Doktorze Kel?

Zapomniałem o Nolbercie, który wyszedł z lokalu w ślad za mną.

- Wracam do hotelu - oznajmiłem.

Peruwianczyk pokiwał głową i przyłączył się do mnie. Byłem zadowolony, że ktoś

Czarna rzeka

dotrzyma mi towarzystwa. Ulice o tej porze nie by*ły jeszcze na tyle wyludnione, bym czuł się samotnie, ależelzał też ruch, który dawał mi złudne poczucie bezpieczeństwa. Znikły patrole, które widziałem wcześniej, choć nie byłem pewien, czy dzięki nim miasto było bezpieczniejsze.

-Zwariowany dzień - odezwał się Nolberto, kręcąc głową,
- Święta prawda.

Polubiłem go. Jako jedyny w tym towarzystwie zdawał się zauważać, jak dziwaczne jest całe to przedsięwzięcie. Nie dawało mi spokoju coś, co powiedział Lorenzo.

- Dlaczego Antona tu nie ma? - zapytałem po hiszpańsku.

Nolberto uśmiechnął się. Właściwie uśmiech nie schodził mu z twarzy.

"Ja tu jestem tylko kucharzem.

- Lorenzo wspominał coś o policji

- Wokół takich jak on zawsze kręci się policja.

- Obiecałem zonie i córce, że nie wpakuję się w nic głupiego.

- Anton to porządny człowiek - zapewnił mnie poważnym tonem.

- A po co nam ta broń?

- Do polowania.

- Naprawdę?

- 5/, si. - Uśmiech Nolberta był całkowicie szczery. - W dżungli trzeba polować, żeby jeść.

Przecinaliśmy plac w centrum miasta. Nawet o tak późnej porze kręcili się tam ludzie, na których padał blask samotnej latarni ulicznej Pary trzymały się za ręce albo całowały się w bramach, a wokół fontanny rozsiadła się grupa nastolatków, którzy śmiali się głośno i żartowali. Po raz pierwszy zacząłem czuć się swobodnie w Puerto Tordoya

- Masz w Szkocji zonę i dzieci?

Juz miałem wyjaśnić, że teraz mieszkamy w Londynie, ale dałem sobie spokój. Pomyślałem, że na łodzi będę miał pod dostatkiem czasu na opowieści o piękniejszych zakątkach Anglii.

-Tak.

- Masz ich zdjęcia?

Zatrzymałem się przy fontannie, wyjąłem komórkę i przerzuciłem kilka najnowszych fotografii. W weekend przed moim wyjazdem wybraliśmy się do Kensington Gardens. żeby Peggy pobawiła się w ogródku Piotrusia Pana Pewien turysta zrobił zdjęcie naszej trójce - Jedno z tych spontanicznych ujęć, które wychodzą znacznie lepiej od pozowanych. Peggy zerka znad porcji lodów, Cate promienieje, wszyscy uśmiechamy się szeroko w ten słoneczny dzień angielskiego lata. Szczęśliwa rodzina, której niczego nie brakuje.

Z żalem uświadomiłem sobie, jak bardzo za nimi tęsknię. A jeszcze nie minął nawet dzień od wyjazdu. Uniosłem telefon, żeby Nolberto mógł spojrzeć na wyświetlacz i powiedzieć coś miłego.

Nagle zauważyłem, że na placu zrobiło się bardzo cicho. Pary zakochanych rozeszły się do domów, a po młodzieży, która otaczała fontannę, też nie było ani śladu. Czyżby obowiązywała tutaj godzina policyjna? Juz nie czułem się tak swobodnie, jak przed chwilą.

Nagle z bocznej uliczki z rykiem silnika wypadł motocykl. To nie była jedna z tych trójkołowych taksówek, ale potężna wyścigowa maszyna, której obła czarna owiewka sterczała nad przednim kołem jak czubek pocisku raketowego.

Kierowca pochylił się i wjechał na betonowy krawężnik, a siedzący za nim pasażer

Czarna rzeka

wyciągnął rękę, pokazując w naszą stronę, jakby chciał go ostrzec. Nagle zorientowałem się, że nie ostrzegał kierowcy. Trzymał w ręku pistolet.

- Uważaj! - ktoś krzyknął.

W tej samej chwili straciłem równowagę.

9.

Musiałem zamknąć oczy, w przeciwnym razie zobaczyłbym oślepiający błysk. Słyszałem za to wystrzały, których nie stłumił nawet odgłos potężnego silnika. Dwa głucho grzmoty, a potem uporczywe dzwonienie w uszach. W tym momencie jeszcze nie dotarł do mnie ból, ale czułem, że obsypuje mnie grad ostrych kamiennych odłamków. Zastoniłem twarz dłonią. Usłyszałem niknący w oddali warkot motocykla.

W końcu uniosłem powieki. Jakiś mężczyzna pochyła! się nade mną, rozpościerając ręce. Z twarzy wydawał się podobny do Jezusa, a nad jego głową lśniła złocista aureola. Czyżbym już nie żył?

Leżałem w pustej fontannie na środku placu. Nade mną stał kamienny posąg Jezusa, a światłość wokół jego głowy pochodziła od latarni ulicznej, która wciąż migotała, jak gdyby nic się nie stało.

Jak się tam znalazłem? Czy motocykl mnie potrafił? Obmacałem się cały, szukając śladów krwi i obrażeń. Biodro, którym uderzyłem w coś twardego, upadając, bolało niemiłosiernie, jeden z kamiennych odłamków rozciął mi policzek, ale poza tym wszystko zdawało się w porządku.

Czy dostałem cudownego ocalenia? Spojrzałem na Jezusa, ale nie udzielił mi odpowiedzi. Chciałem się rozejrzeć po placu, ale obawiałem się, że znów może spotkać mnie jakaś przykra niespodzianka. Pomasażowałem obolałe biodro i wyczułem coś twardego. Prezent od Cate. lokalizator satelitarny. Wyciągnąłem go i tępo wpatrywałem się w żółty plastik, który mimo uderzenia pozostał nienaruszony. Czy powinienem go uruchomić? Czy groziło mi niebezpieczeństwo?

Dzwonienie w uszach traciło na sile. Gdzieś w oddali wyły syreny, a całkiem blisko ktoś przeklinał zboląłym głosem. Poza tym nic więcej nie słyszałem. Jak gdyby plac, a może nawet całe miasto, zamilkły z przerażenia,

Podczołgałem się do obrzeża fontanny i uniosłem głowę. Całe moje ciało zdawało się krzyżeć, żebym tego nie robił, żebym leżał skulony na dnie betonowej niecki i czekał na przybycie policji, Ale czułem, że muszę zobaczyć, co jest na zewnątrz.

Nolberto leżał na bruku tuż obok fontanny. Musiał wepchnąć mnie do środka i prawdopodobnie ocalił mi tym życie. Niestety, drogo za to zapłacił. Cały prawy bok miał strasznie pokiereszowany, a z dziury na piersi sączyła się krew. Czy to była rana postrzałowa? Zaledwie przed minutą pokazywałem mu zdjęcie Cate i Peggy.

Nie miałem przy sobie nic, czym mógłbym zatamować krwawienie. Zdjąłem podkoszulek, zwinąłem go i przycisnąłem do rany. Po chwili udało mi się zatrzymać przejeżdżającą motorówkę. Z pomocą kierowcy ułożyłem rannego na tylnym siedzeniu, a sam musiałem kucnąć na półce bagażowej i mocno się trzymać.

Kiedy odjeżdżaliśmy, spojrzałem za siebie. Samotna latarnia nadal świeciła, a w jej blasku ujrzałem coś niesamowitego. Ludzie z powrotem zaczęli wypełniać plac. Zakochane pary znów spacerowały, starszankowie plotkowali, a kilku nastolatków popisywało się ewolucjami na deskorolce. Policji wciąż nie było widać.

Jak gdyby nic się nie stało.

Każdy szpital w najlepszym wypadku można nazwać ponurym miejscem. Bezkrzesne

Czarna rzeka

korytarze i oczekiwanie bez końca. Trudności z uzyskaniem informacji i przytaczające poczucie bezsilności. Ktoś przychodzi t ktoś wychodzi, wszystko wydaje się zorganizowane, ale nigdzie nie widać tych, którzy nad wszystkim czuwają. Człowiek zaczyna wątpić w swoje istnienie. Nie powinienem być zdziwiony, wszak spędziłem spory kawał życia w takich miejscach.

Ale środek nocy w izbie przyjęć szpitala w kraju Trzeciego Świata to widok, którego nie zdołałby opisać nawet Franz Kafka. Niewyspani i cierpiący ludzie niczym widma 0 pustych spojrzeń snuli się po korytarzach, czekając na swoją kolej. Nie było krzesel, więc siedzieli na podłodze i na schodach, blokując przejście i dostęp do drzwi. Od czasu do czasu zjawiała się pielęgniarka i przeganiała ich krzykiem albo sanitariusze usiłovali precyzyjnie się z noszami na kółkach. Wtedy tłum niczym kurczące się mięśnie przywierał do ścian, robiąc przejście, ale pół minuty później wszyscy wracali na miejsce, zatykając na nowo ciasną gardziel korytarza.

Przypuszczalnie w brytyjskim szpitalu mógłbym zdziałać coś więcej, ale tutaj byłem hezradny. Dzięki Bogu. lekarze szybko zajęli się rannym. Nie pozostawało mi nic oprócz czekania. Nie mogłem nawet zadzwonić do Cate, bo kiedy padły strzały, Nolberto trzymał w ręce mój telefon. Nawet jeżeli nie z miażdżył go koła motocykla, bez wątpienia już dawno ktoś go zabrał spod fontanny.

Około trzeciej podszedł do mnie chirurg. Od przebywania w sztucznie oświetlonych pomieszczeniach miał poszarzałą skórę i zmęczone oczy.

- Senor Rodriguez to pański przyjaciel?

PoLaMem oczy. Mój przyjaciel? Znałem Nolberta dopiero od wczoraj i tylko dwa razy miałem okazję zamienić z nim kilka słów. Nie wiedziałem, skąd pochodzi i czy ma rodzinę. Nie wiedziałem nawet, jak się nazywa, dopóki nie zajrzałem do jego portfela, kiedy przyjęto go do szpitala.

- Co z nim? - zapytałem po hiszpańsku.

Lekarz spojrzał na mnie z powagą.

- Kule przebiły żołądek i pęcherzyk żółciowy, a uderzenie motocykla złamało mu nogę, rękę i trzy żebra. Do tego stracił dwa palce, ale myślę, że będzie żył - powiedział 1 wręczył mi receptę. - Będzie potrzebował tych lekarstw. Kiedy pan będzie w aptecce, proszę kupić także igły. Może pan zawiadomić jego rodzinę?

- Postaram się.

Zastanawiałem się, od czego zacząć. Przyszło mi na myśl, że powinienem

0 wszystkim powiedzieć moim towarzyszom, ale nie wiedziałem, jak się z nimi skontaktować. Nie miałem nawet pojęcia, w której części miasta się znalazłem.

Lekarz zmierzył mnie wzrokiem.

- Chce pan jakiś lek przeciwbólowy? Coś na uspokojenie?

- Nic mi nie jest.

Minęło pół godziny, zanim znalazłem szpitalną aptekę. Następne pół godziny czekałem w kolejce do małego okienka, ale tam tylko ostemplowano moją receptę 1 skierowano do innej kolejki. Znowu musiałem czekać. Myślałem wtedy, że każdy, kto krytykuje brytyjską służbę zdrowia, powinien przez to przejść.

W końcu dostałem małą papierową torbę, w której znajdowały się lekarstwa i sterylne igły. Teraz musiałem wrócić na oddział intensywnej opieki medycznej. Tak bardzo uważałem, żeby się nie zgubić w labiryncie korytarzy, że nie zauważyłem idących w moją stronę policjantów. Jeden z nich przytrzymał mi drzwi. Wymamrotałem pod nosem podziękowanie i Już miałem przestąpić próg, gdy tamten zagroził mi przejście. Uniósł wzrok.

Po raz drugi tej nocy patrzyłem na pooraną zmarszczkami twarz *commandante*

Czarna rzeka

Lupa. Porucznik Chavez stał za jego plecami.

- Doktorze Mac Donald - zagadnął Lupo i spojrzął na mój zakrwawiony podkoszulek. Musiałem coś na siebie włożyć, kiedy przyjechaliśmy do szpitala. Nie miałem nic innego. - Chyba nie powinniśmy spotykać się tak często.

Nie miałem czasu na pogawędki.

- Ktoś do nas strzelał. Nolberto Rodriguez został ranny. Znaleźliście ludzi, którzy to zrobili?

- Spisaliśmy zeznania świadków.

Świadków? Przypomniałem sobie, jak pusto zrobiło się na placu tuż przed strzelaniną. Jakby wszyscy wiedzieli, co się święci.

- By! pan z Nolbertem Rodriguezem?

-Tak.

- Widział pan, kto jechał tym motocyklem?

- Obaj mieli kaski.

- Domyśla się pan, jaki mogli mieć motyw?

Miałem wrażenie, jakbym zapadał się w otchłań.

- Nie wiem, dlaczego komuś miałyby zależeć na śmierci Nolberta.

Nie odważyłem się wspomnieć o zatargu z Lorenzem. Czyżby to była zemsta za głupi wybryk Tillmana?

Policjant milczał przez długą chwilę, przyglądając mi się badawczo.

- A może to nie jego chcieli zabić? - odezwał się wreszcie.

- To znaczy...?

- Może to pan był celem.

To było tak niedorzeczne, że omal nie parsknąłem śmiechem.

- Jestem w Peru zaledwie od dwunastu godzin.

-Więc szybko robi pan sobie wrogów. Albo ma pan niebezpiecznych przyjaciół.

Przypomniałem sobie rozmowę z Amerykaninem, który zaczepił mnie przy barze

- Czy to mogli być terroryści? Albo Świetlisty Szlak?

Lupo przewiercał mnie wzrokiem na wylot, aż zaczęło mnie ogarniać przeczucie, że sama wzmianka o komunistycznej partyzantce wystarczyła, żebym stał się o coś podejrzany.

- Sprawdzamy wszystkie możliwości - odparł.

- A może przemytnicy narkotyków?

- Sprawdzamy - powtórzył. - Rano stawi się pan na posterunku i spisemy oficjalne zeznanie.

Czy ze zmęczenia popadłem w paranoję, że usłyszałem groźbę w tym zaproszeniu?

- A potem - dodał - wróci pan do Anglii. W Peru spotykają pana same przykrości.

Musiałem jeszcze dostarczyć lekarstwa. Nolberto, zabandażowany jak mumia, leżał za przeżartym przez mole parawanem. Krew przesiąkała przez opatrunki i kilka przedsiębiorczych komarów wykorzystało okazję, żeby się posilić. Zostały po nich jasnoczerwone bryzgi na ścianie, kiedy się z nimi rozprawiłem.

Przynajmniej jego stan wydawał się stabilny. Położyłem lekarstwa na stoliku obok łóżka i już chciałem wyjść, kiedy ranny otworzył jedno oko, którego nie zakrywały bandaż. Miał nienaturalnie rozszerzoną źrenicę i patrzył na mnie półprzytomnie

- Uratowałeś mi życie - powiedziałem

Czułem się zawstydzony. Czy mogłem stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który poniósł dla mnie taką ofiarę i powiedzieć mu, że było warto?

Nolberto poruszył ustami. Pochyliłem się nad nim, żeby lepiej słyszeć. Tak bardzo napinał wszystkie mięśnie, próbując się podnieść, że zobaczyłem plamy świeżej krwi,

Czarna rzeka

która wzbiera pod opatrunkami. Chciałem ułożyć z go z powrotem na postaniu, ale chwycił mnie zdrową ręką za kark i przyciągnął moją głowę do siebie.

Mówił, wydychając chrapliwie powietrze, a jego słowa były jak para ulatująca z nieszczęsnego zaworu. Dwa słowa, które kosztowały go nadludzki wysiłek.

- Czarna woda.
- Co to znaczy?

Nolberto zamknął oko, a jego głowa opadła na poduszkę. Cokolwiek chciał mi powiedzieć, musiałem na to jeszcze poczekać.

Kiedy wracałem do hotelu, niebo na wschodzie zaczynało się przejaśniać, a z oddali dobiegało pianie kogutów. Zapukałem do drzwi, ale nikt nie przyszedł mi otworzyć. W końcu poszedłem do łodzi i położyłem się na dziobie. Leżałem skulony, trzęsąc się z zimna. Chyba wciąż byłem w szoku.

Nie mogłem zasnąć. Byłem tak wycieńczony, że gdy tylko zamknąłem oczy, myśli w mojej głowie zaczynały gnać z zawrotną prędkością. Zamachowcy na motocyklu. Pokiereszowane ciało Nolberta. Pozbawione wyrazu twarze na szpitalnym korytarzu. Uzbrojeni ludzie Lorenza.

Nie mogłem sobie pozwolić na kolejny dzień bez snu. Czekają mnie przesłuchanie na posterunku, mnóstwo wyjaśnień i Bóg jeden wie, co jeszcze. W mojej kieszeni wciąż spoczywała tabletką nasenna, której nie zazyłem w podróży. Połknąłem ją na sucho

Tego dnia zrobiłem mnóstwo głupich i niebezpiecznych rzeczy. Można by powiedzieć, że już samo zejście z pokładu samolotu było pierwszą nierozważną decyzją, która wywołała lawinę fatalnych konsekwencji.

Czarna rzeka

ROZDZIAŁ 3

CZARNA WODA

10.

Po przebudzeniu czułem się jeszcze gorzej niż przed zaśnięciem. Moją głowę rozsadzał pulsujący ból. rwały mnie mięśnie karku, a ubranie miałem mokre od potu. Promienie tropikalnego słońca świeciły mi prosto w oczy i byłem gotów oddać wszystko za łyk wody.

Podniosłem się z pokładu i niemal nie upadłem. Łódź się kołysała. Nie miałem pojęcia, gdzie się podziały moje okulary przeciwsłoneczne. Kurczowo zacisnąłem dłoń na burcie.

Moim oczom ukazały się drzewa. Znikło obłożone workami piasku nabrzeże, zrujnowany posterunek policji i na wpół zatopiony wrak pływającej przychodni. Znikło całe miasto. Byliśmy na środku rzeki. Płynęliśmy.

Rozejrzałem się dokoła, zataczając wzrokiem pełny okrąg. Nie dostrzegłem nic oprócz drzew, wody i nieba. Mała drewniana szalupa przywiązana liną do naszej łodzi kołysała się za nami na brunatnych spienionych falach.

- To była noc pełna wrażeń, co?

Uniosłem głowę i zobaczyłem nad sobą jakąś kobietę. Miała na sobie zakrwawiony fartuch, a jej ręce aż do łokci pokrywała krew. Wyglądała dziwnie znajomo, ale po burzliwych przeżyciach ostatniej nocy, oślepiiony słońcem ■ wciąż jeszcze zamroczony tabletką nasenną nie byłem pewien, czy tylko mi się nie przyśniła.

- Jestem? - powiedziała.

Miała smukłą sylwetkę, smagłą cerę i czarne włosy spięte w kucyk. Pod fartuchem dostrzegłem zielony podkoszulek i czarne workowate szorty. Tuż nad jej lewą pierś zauważyłem tatuaż. Przedstawiał owiniętego wokół konaru węża, który wyszczerzał zęby ociekające jadem.

Wtedy sobie przypomniałem. Widziałem tę kobietę na nabrzeżu przed hotelem. To ona krzyczała na dzieci, które bawiły się na zatopionej łodzi. A potem widziałem ją jeszcze raz, kiedy rozmawiała w barze z Tillmanem.

Przycisnąłem palce do czoła. Nie mogłem oddychać w tym upale.

- Co tu robisz?

- Będę wam gotować - odpowiedziała.

Na stojącej przed nią chłodziarce turystycznej leżała deska do krojenia z wypatroszoną rybą. To wyjaśniało, skąd się wzięła krew na Jej fartuchu i rękach.

- Nolberto jest kucharzem.

- Ale się nie wyrobił. Jestem tu w jego zastępstwie.

Nie wyrobił się. Pobiegłem na tył łodzi, Mucząc między stertami bagażu. Na rufie siedzieli dwaj Peruwiańczycy, którzy dzień wcześniej grali w karty na pokładzie, a obok nich Tillman z otwartą paczką precli w ręce. Kiedy mnie zobaczył, aż jęknął.

- Picie nie bardzo ci służy, co?

- Dokąd płyniemy?

Czarna rzeka

- Dzwonił Anton i kazał nam zbierać dupę w troki. Zresztą nie było sensu czekać, aż napotoczą się gliny i znów będą węszyć wokół naszej broni.

Policja. Przecież obiecałem Lupo, że rano przyjdę na posterunek i złożę zeznania

Pewnie już na mnie czekał.

- A co z IM ol ber tern?

- Nie zjawił się dziś rano i nie odbierał komórki, a nie zamierzałem dłużej tkwić w tym hotelu i czekać na niego. - Wzruszył ramionami. - Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi. W każdym razie znaleźliśmy zastępstwo.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom.

- Myślisz, że tylko to się tutaj liczy?

- Trzeba coś jeść - odparł Tillman, wkładając precla do ust.

Miałem ochotę wytrącić mu paczkę z ręki

- Musimy wracać.

“ O czym ty, kurwa, mówisz?

- Nie wiesz, co się stało tej nocy?

Amerikanin odchylił się, opierając plecami o burtę. Zauważył zakrzepłą krew na moim podkoszulku i uśmiechnął się kąpiąco.

- Poprzytykałeś się z kimś, doktorku?

Nie wdając się w zbędne szczegóły, opowiedziałem mu, co zaszło. Wciąż płynęliśmy w górę rzeki, oddalając się od Puerto Tordoya. Z każdą minutą coraz bardziej przytłaczało mnie poczucie winy.

-Ja pierdolę. - Tillman się zaszepił.-Co za kaszana. Anton będzie wkurwiony.

- Musimy natychmiast wracać, zanim policja zacznie mnie ścigać.

Amerikanin wywrócił oczami.

- Policja ma lepsze rzeczy do roboty, uwierz mi.

- Ale musimy sprawdzić, co z Nolbertem - nalegałem.

- Żadnych decyzji, dopóki nie naradzę się z Antonem,

- Zostało nam już niewiele drogi - powiedziała Drew, która się zjawiła i słyszała większą część mojej relacji. Wręczyła mi sporą pajdę chluba. - Zjedz śniadanie, żebyś nabrał sił.

- I przebierz się. bo wyglądasz jak rzeźnik - dodał Tillman.

Przynajmniej ktoś się zatroszczył, żeby zabrać z hotelu moja torbę. Znalazłem ją na dziobie łodzi i wyjąłem z niej czysty podkoszulek. Miałem tam również dobrze zaopatrzoną apteczkę, ale oparłem się pokusie i nie zażyłem nic na uspokojenie. W tych okolicznościach lepszy byłby zastrzyk z adrenaliny w serce. Zdecydowałem, że porzestaną na kofeinie i udałem się do prowizorycznego kambuza.

- Jest szansa na kubek kawy? - zagadnąłem.

Zia otworzyła plastikowy pojemnik i wyjęła z niego słoik kawy rozpuszczalnej, który z hukiem postawiła przede mną. O łyżeczce już nie pomyślała.

- Kuchenka jest tam - powiedziała, wskazując na przytwierdzoną do ławki kuchenkę turystyczną.

Odkręciłem gaz i zapaliłem płomień.

- A woda?

Kobieta bez słowa chwyciła rondel, wychyliła się za burtę i zaczerpnęła z rzeki litr mętnej brązowej wody. Postawiła naczynie na palniku, posyłając mi spojrzenie, które sugerowało, że uważa mnie za kompletnego durnia. Przypomniałem sobie listę pasożytów przewodu pokarmowego. Miałem nadzieję, że niewielki palnik kuchenki spełni swoje zadanie.

Zdałem sobie sprawę, że wciąż patrzę na Zię. Moje spojrzenie nie było natarczywe

Czarna rzeka

ani wyzywające; po prostu czułem się zbyt zmęczony, by skierować wzrok w inną stronę. Zastanawiałem się nad jej narodowością. Ze swoją karnacją mogła być Peruwianką albo pochodzić z jakiegoś kraju Ameryki łacińskiej. Mówiła perfekcyjnie po angielsku z typowym amerykańskim akcentem, który można usłyszeć w każdym miejscu na ziemi.

- Zająłeś miejsce Nolberta - odezwałem się. Wypowiadając jego imię, czułem się, jakbym włożył palce w zawiasy, a w mojej pamięci odżyły wspomnienia z ostatniej nocy.

Zia zmierzyła mnie wzrokiem.

- Potrącił go jakiś motocykl. Wypadki chodzą po ludziach.

Nie potrącił. Motocyklista strzelał do niego. Pomyślałem jednak, że znamy się zbyt krótko i nie jestem gotowy, żeby drążyć ten temat.

- To nie do wiary, że przyłączyłaś się do wyprawy w ostatniej chwili

- Nic mnie nie trzymało w Puerto Tordoya.

Sposob, w jaki to powiedziała, kazał się domyślać, że spotkało ją w tym mieście coś przykrego.

- Przeżyłaś zawód miłosny? - zapytałem.

Zia wprawnym ruchem odcięła głowę ryby i dwie krople krwi trysnęły na mój czysty podkoszulek. Nie była zbyt rozmowna.

- Dzięki za kawę.

Obróciłem się w stronę dziobu. Płynęliśmy przez zakole rzeki i zauważyłem na lądzie wykarczowany skrawek terenu. Znajdowała się tam niewielka przystań, a w niej łódź motorowa, której kadłub spoczywał na błotnistym brzegu. Nieco dalej widniał kontur jakiejś maszyny, przy której pracowało kilku półnagich mężczyzn. Większość z nich nie zwracała na nas uwagi, ale jeden oddzielił się od reszty i podszedł do brzegu, machając w naszą stronę.

To był Anton.

11.

Zacumowaliśmy Sierra Mądre obok tamtej motorówki. Tillman i Drew wyskoczyli na brzeg i wymienili z Antonem powitalne uściski. Zawahałem się. Wciąż miałem na nogach buty, które włożyłem na podróż. Były zbyt delikatne i zamierzałem je zdjąć, ale przypomniałem sobie o przywrach przenoszących schistosomatozę, które wnikają do układu krwionośnego przez skórę stóp.

Przeskoczyłem przez burtę i ugrzęzłem w błocie po kostki. Kiedy dotarłem na twarde gruntu, moje buty nadawały się do wyrzucenia.

- A więc przyjechałeś. - Anton poklepał mnie po ramieniu.

Musiał krzyczeć, bo maszyna za jego plecami terkotała i syczała, jakby za chwilę miała eksplodować, a wtórował jej warkot generatora, który ją zasilał. Była to dziwna konstrukcja na długich patykowatych wspornikach przycupnięta na brzegu wielkiego krateru. Jej kształt przywodził na myśli gigantyczną modliszkę. Mieszana woda, piachu i żwiru tryskająca pod wysokim ciśnieniem z węża uderzała o gumowe pasy, a odpadki trafiały do ustawionej z tyłu skrzyni. Woda ściekała przez drucianą siatkę umieszczoną pod pasami i opadała na najbrudniejszy dywan, jaki w życiu widziałem. Na jego pokrytej biotem powierzchni gdzieniegdzie potyskiwały małe płatki złota. Mężczyźni, którzy obsługiwali to ustrojstwo, nie mieli na sobie nic prócz kapeluszy z oklapłymi rondami. Wyglądali jak trolle i całkowicie nas ignorowali.

-A to jest Fablo, nasz przewodnik.

Anton wskazał głową stojącego obok mężczyznę przystojnego Peruwiańczyka

Czarna rzeka

O zwalistej sylwetce. Był ubrany w oliwkowy podkoszulek i spodnie bojówki, a na jego szyi lśnił złoty łańcuch. Uścisnęliśmy sobie ręce.

- Muszę z tobą pogadać! - krzyknąłem Antonowi do ucha.

Ale on mnie nie słuchał, Wpatrywał się w Sierra Mądre, jak gdyby pierwszy raz w życiu widział Łódź.

- Co ona tu robi. do cholery?! - zapytał tak głośno, że nawet hałaśliwa plukarka zdawała się przycichnąć, onieśmielona jego krzykiem.

Zia pojawiła się na dziobie łodzi z torbą pełną warzyw w ręce. Wysypała je na deskę do krojenia, a potem uniosła głowę, czując na sobie wzrok Antona. Ich spojrzenia się spotkały.

Właśnie o tym muszę z tobą porozmawiać - zacząłem, ale Tillman wszedł mi w słowo.

- Nolberto miał wypadek. Musieliśmy szybko zmyć się z miasta, a ona akurat się nawinęła.

- To nie był wypadek - wtrąciłem, ale Anton mnie nie słuchał,

- Ona jest dziewczyną Menendeza.

- Kim jest Menendez? - zapytałem.

Pozostali najwyraźniej to wiedzieli, Drew zmarszczyła czoło, Tillman poczerwieniał na twarzy i mruknął coś pod nosem, ale jego słowa zagłuszył łoskot maszynerii. Zia ostentacyjnie obróciła się do nas plecami i znikła pod brezentowym daszkiem. Niebo zasnuło się chmurami.

- Co tam się stało? - zapytał Anton, a ja zacząłem opowiadać, ale po chwili uciszył mnie, podnosząc dłoń. - Tutaj nie słyszysz nawet własnych myśli.

Odeszliśmy kawałek wzdłuż brzegu i zatrzymaliśmy się nad urwiskiem, gdzie drzewa bumity hałas. Nerwowo omiatałem wzrokiem zarosła, ale płukanie ziota musiało wypłoszyć wszystkie jaguary i węzę w promieniu kilkudziesięciu kilometrów,

Kiedy opowiadałem o mężczyznach na motocyklu, Anton przechadzał się tam

1 z powrotem - nigdy me potrafił ustać spokojnie w miejscu - i patrzył na płynącą w dole rzekę. U podnóża skarpy kołysała się na falach szalupa, napinając linę, która łączyła ją z naszą łodzią, a wartki prąd obmywał kadłub przycumowanej do drzewa Sierra Mądre. Wydawano się, że cały świat próbuje zapędzić nas z powrotem w dół rzeki. Powinienem być potraktować to jako omen.

- I co zamierzasz z tym zrobić? - zapytał Anton, kiedy skończyłem opowiadać.

- Musimy wracać.

Nie byłem pewien, czy mówię to z pełnym przekonaniem. Chyba wypowiedziałem te słowa tylko po to. zęby usłyszeć, jak brzmią. Wcale nie byłem zachwycony perspektywą kolejnego spotkania z *commandante* Lupo.

Anton podniósł z ziemi kamień i obejrzał go uważnie, szukając złota, jakby mierzył wzrokiem ponętą kobietę. Instynkt łowcy.

- Puszczają ci nerwy, bo ktoś do ciebie strzelał. Rozumiem cię. Ja też byłem przerażony, kiedy pierwszy raz znalazłem się na muszce - powiedział. Zaintrygował mnie len „pierwszy raz”. - Gdyby coś takiego zdarzyło się u nas, byłoby lematem na pierwsze strony gazet. Ale tutaj strzelanina w środku miasta to nic niezwykłego. Takie jest Życie.

Ciepły podmuch ożywił nieruchome powietrze. Poczułem na twarzy pierwszy oddech nadciągającej burzy. Ciemne chmury opadały coraz niżej jak stalowa prasa

- Tylko na tyle cię stać? Nolberto leży w szpitalu z podziurawionym brzuchem i stracił dwa palce, a ty mówisz, że takie jest życie?

- Chcesz, żebym powiedział coś, co go uzdrowi?

Czarna rzeka

- Chcę, żebyś coś zrobił.

Anton cisnął kamień do rzeki. Wartki prąd od razu wygładzi! zmarszczki na powierzchni wody.

- Jesteś lekarzem, tak? Czy zdarzyło ci się, że któryś z twoich pacjentów nie przeżył?

- Oczywiście, ale...

- A kiedy to się stało, płakałeś z rozpaczy i postanowiłeś zmienić zawód? Czy zabrałeś się z powrotem do pracy?

- To coś zupełnie innego. To jest... praca.

- A moja praca jest Paititi. To wielkie przedsięwzięcie, na które czekałem całe życie, a ty mi kazesz zrezygnować, bo nasz kucharz miał wypadek?

- Strzelano do niego.

- W Peru to się traktuje jako wypadek.

Przez chwilę jego błękitne, zimne jak stal oczy wpatrywały się we mnie. Potem odwrócił wzrok.

- Jeśli nie chcesz dalej z nami iść, nie ma sprawy. Wracaj do domu, do rodziny. Nie każdy ma Jaja, zęby temu podobać. Ale zastanów się. Dla Nolberta już niewiele możesz zrobić. Ale gdyby podczas naszej wyprawy ktoś został ranny i potrzebował pomocy lekarza, mógłbyś się wykazać.

- A co z Nolbertem?

- Ma rodzinę w Puerto Tordoya, Po powrocie wypłacimy mu pełną dolę. Jakby z nami tam był znajdziemy Paititi, a on dostanie hojną zapłatę i będzie ustawiony do końca życia.

Mówił szybko i zdawał sobie sprawę, że właśnie takie słowa chciałem usłyszeć. Niekoniecznie musiało to oznaczać, że kłamie. Zarzucił na ramię torbę ■ ruszył z powrotem w stronę przystani.

- Powiniennem teraz rozmówić się z Ziq - dodał. - Jesteś tutaj mile widziany, ale jeśli chcesz zrezygnować, nikt cię nie będzie zatrzymywał. Zabierzesz się pierwszym powrotnym kursem i wieczorem będziesz w Puerto Tordoya.

Anton odszedł, a ja wciąż stałem na brzegu, patrząc na rzekę i wsłuchując się w łoskot maszyny, która wysysała złoto z głębi ziemi. Zanościło się na deszcz.

Ulżyło mi, kiedy się dowiedziałem, że Nolberto ma w mieście rodzinę, Czułem się zwolniony z odpowiedzialności za jego los. Być może nie było to szlachetne z mojej strony, ale znalazłem go zaledwie od wczoraj. Cóż więcej mogłem dla niego zrobić?

Zresztą duma nie pozwalała mi się wycofać. W Londynie nie kryłem przed znajomymi, dokąd się wybieram. Jeśli mam być szczery, lubiłem wzbudzać podziw, wspominając niby od niechcienia, że wyruszam z ekspedycją poszukiwaczy skarbów do dżungli amazońskiej. A teraz miałbym wrócić po dwóch dniach i powiedzieć im wszystkim, że wymiękłem? Czekać, aż tamci znajdą zaginione miasto Inków, a ich zdjęcia pojawią się we wszystkich portalach internetowych i gazetach świata? Na okładce „National Geographic”. A kto im pomoże, jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli znajdą się w tarapatkach, a ja będę daleko stąd?

Tak naprawdę ani przez chwilę nie miałem zamiaru się wycofać. Nic innego się nie liczyło.

12.

Kiedy wróciłem na łódź, Anton, Drew, Tiltman, Ho wie i Fabio siedzieli przy blacie, który

Czarna rzeka

można było zawiesić na linach pod stelażem podtrzymującym daszek. Pedro i Pablo przygotowywali silnik do podróży, a Zia na dziobie siekała warzywa. Cokolwiek Anton miał do niej, najwyraźniej rozwiązali już ten problem

Zaczęło padać. Ciężkie krople uderzały w brezentową płachtę i deski pokładu, obryzgując nas wodą. Rzeka zdawała się wrzec, a w powietrzu unosiła się wilgotna woń.

Drew obdarzyła mnie uśmiechem i przesunęła się na ławce, zęby zrobić mi miejsce. Anton rozłożył przed sobą mapę, wyjął z kieszeni nóż myśliwski i czubkiem wskazał zakole rzeki Santa Maria,

- Tu jesteśmy - oznajmił i powiódł ostrzem wzdłuż błękitnej wstęgi aż do miejsca, w którym łączył się z nią jeden z cienkich dopływów. - A to jest Rio Pachacamac.

Jak urzeczony wpatrywałem się w gęstą sieć rzek, które spływały ze wschodnich zboczy Andów.

-A co to jest? - zapytałem, pokazując czarną przerywaną linię, która otaczała spory obszar w kształcie prostokąta W miejscu, gdzie krzyżowała się z korytem Santa Maria, znajdował się zielony punkt.

- Kilka lat temu rząd ustanowił tam rezerwat Indian. Ponad szesnaście tysięcy kilometrów kwadratowych.

- Możemy tam wejść?

- Mamy pozwolenie.

Czubek noża podążał dalej w górę Rio Pachacamac. Na płaskich dotychczas brzegach nagle zaczęły pojawiać się wybrzuszenia, a coraz gęstsze linie poziomic zlewały się z podnóżem Andów. Linia rzeki była coraz cieńsza, aż w końcu się urywała.

- Pierwszy próg. Tutaj zostawimy łódź,

- A co potem? - zapytał Howie i uderzeniem dłoni rozgniół komara, który przysiadł na jego ramieniu. Na niewiele mu się to jednak zdało. Krwiożercze owady upodobały go sobie bardziej niż kogokolwiek z nas

- Będziemy szli.

Nóż Antona nakreślił linię skierowaną na zachód. Czubek był tak ostry, że rozciął papier, W tym miejscu nie było na mapie nic oprócz kilku niewyraźnych linii, które wyglądały tak, jakby kartografowie próbowali czymś wypełnić pustą przestrzeń. Przy pomniałem sobie fragment artykułu z Wikipedii, który czytała mi Cale. A *Niezbadane obszary*. Czy to możliwe, że nikt, żaden biały człowiek, nigdy tam nie dotarł?

Biały człowiek. Nie mogłem uwierzyć, że takie słowa w ogóle przyszły mi do głowy. Myślałem okrutnymi kategoriami epoki wiktoriańskiej,

- A tutaj... - Anton uniósł nóż i wbił go w sam środek białej plamy na mapie. Uwielbiał takie widowiskowe gesty. Potem wyjął czerwony flamaster i narysował obwódkę wokół zaznaczonego punktu. - Tutaj się obłowimy.

- Chyba że twoje informacje są głównie warte - mruknął Tillman, trzymając papierosa w ustach.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem go w towarzystwie Antona, przyszło mi na myśl, że można by ich wziąć za braci. Anton, ten starszy, zawsze emanował pewnością siebie i urzekał wdziękiem, a posępny i opryskliwy Tillman, czarna owca w rodzinie, rozpaczliwie zabiegał o jego uznanie. Przypomniałem sobie, że sam mam młodszego brata. Niewykluczone, że byłem uprzedzony.

- Drew? - rzekł Anton, opierając się o burtę.

Dziewczyna uniosła przezroczystą plastikową teczkę, w której znajdował się pożółkły kawałek papieru.

- Prawdopodobnie Anton wam opowiadał albo czytaliście w internecie o Andrei

Czarna rzeka

Lopezie. To ten jezuita, który opisał swoje spotkanie z Indianami wracającymi z Paititi. Jego sprawozdanie zaginęło w archiwach Watykanu...

- Albo ktoś je ukrył - wtrącił Anton.

- „A znaleziono je dopiero w dwa tysiące pierwszym. Lopez pisze, że Indianie natrafili na zaginione miasto po dziesięciu dniach marszu od granicy peruwiańskiej. Ale nie wiemy, którędy przebiegała granica i jaki był kierunek marszu. Dlatego nic nam to nie daje. Jedyne pożytkiem z Lopeza jest taki, że z pełnym przekonaniem umiejscawiam Paititi gdzieś na tym zalesionym terenie. - Drew przesunęła dłoń po mapie. - Ale na tym terenie jest dużo lasów.

- Półtora roku temu jeden z moich przyjaciół pracował w Archi General de Indias w Sewilli - odezwał się znowu Anton. - Niesamowite miejsce. Dziewięć kilometrów półek, osiemdziesiąt milionów stron dokumentów. Głównie księgi rachunkowe i akta sądowe. Rzeczy tak nudne, że nikt do nich nie zaglądał od pięćset lat.

Krople deszczu zabębniły mocniej w brezent nad naszymi głowami. Obok nas przepłynął niesiony prądem pień drzewa, którego korzenie sterczały w powietrzu jak ręka tonącego.

- Całkowicie ślepy trafem mój przyjaciel znalazł coś innego. Przypadek jeden na milion, a raczej na osiemdziesiąt milionów. Kawałek papieru, który zawieruszył się tam przez pomyłkę. Pochodził z korespondencji dyplomatycznej między władzami Hiszpanii i Portugalii dotyczącej pewnego zbiega, który nazywał się Diego Alvarado. Człowiek ten w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym drugim roku uciekł z Peru, a dziewięć miesięcy później pojawił się w delcie Amazonki w Brazylii. - Drew podsunęła mi dokument. Wyjąłem go z plastikowej teczki. Kartka była grubsza od produkowanego dzisiaj papieru, pożółkła ze starości i pokryta plamami.

- Czy to kopia?

- Nie ma to jak oryginał.

Wypuściłem kartkę, jakby poraziła mnie prądem.

- To jest oryginalny rękopis z szesnastego wieku?

- Pożyczyliśmy go z biblioteki. - Anton zaśmiał się, widząc moją minę. - Nie przejmuj się karą za przetrzymanie. Wszystko zapłacimy, kiedy znajdziemy skarb.

Włożyłem kartkę z powrotem do teczki, zęby nie zamokła od deszczu. Przez zmętniały plastik widziałem pokrywające papier rzędy drobnych, pochyłych liter.

- Alvarado miał romans z zamężną kobietą. Jej mąż ich nakrył, wywiązała się walka i Alvarado go zabił. Wiedział, że bracia zabitego będą szukali zemsty, a konkwistadorzy byli bardzo pomysłowi, jeśli chodzi o zadawanie bólu. Dlatego uciekł do dżungli. Zgubił się, poszedł za daleko i w końcu zdał sobie sprawę, że pozostało mu tylko iść wzdłuż rzeki, dopóki nie znajdzie jakiejś osady.

Drew puściła w obieg plik kserokopii. Przez chwilę czułem się jak na konferencji szkoleniowej, kiedy każdy przekładał kartki, żeby się upewnić, że niczego mu nie brakuje.

- Koniec końców mu się udało. Trafił do klasztoru dominikanów nieopodal ujścia Amazonki. Kiedy dochodził do siebie, opisał swoje przeżycia. Drew wszystko prze tłu maczyła.

Szczera i prawdziwa opowieść Dtega

Afvarada

Ręka jego własna spisana w roku pańskim tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym trzecim.

Po owych wydarzeniach wędrowałem dni kilka wedle brzegu zdradzieckiej rzeki. Bog jeden raczy wiedzieć, jakim udręki wycierpiał, bo chociaż głód mi

Czarna rzeka

doskwierał, niemoc jako was moje trzewia zdjęła i nawet kiedym odrobinę stawy
znajdował, mój brzuch przyjmować jej nie chciał. tak , ze juz

gotowałem się na niechybną zgubę, albowie
żadnej w owym nie

było. a drzewa rosły tak gęsto, że ledwie mógł posuwać się naprzód. Nie
mogłem też swego łosu powierzyć rzece, gdyż w tamtych okolicach woda jest
płytką i pełno w niej czyha zdradliwych skał i uskoków, które prędzej by mnie
życia pozbawić mogły niżli gład.

Tedy nastał czas. kiedym już całkiem opadł z sił. Leżąc na brzegu, płakałem
i modliłem się do Boga. aby zesłał na mnie śmierć lub jako że nie
chciałem ani chwili dłużej znosić tej niedoli. A Pan w swej łaskawości wysłuchał
modlitwy mojej, bo znaleźli mnie w tej dziczy Indianie z tubylczego
Nie darzyli Hiszpanów przychylnością przez wzgląd na okrucieństwa, jakie od
nich wycierpieli, aie pumiarkowali, że nie jestem dla nich zagrożeniem
t potraktował!mnie uprzejmie wedle swoich prymitywnych obyczajów. Opatrzyli
moje rany i nakarmili pewną osobliwą , która ma purpurowe kwiaty
i smakuje jak miód. Dzięki temu zacząłem odzyskiwać siły.

Po kilku dniach mogłem już chodzić, a wtedy poprowadził mnie przez las
sekretnymi ścieżkami do swojego miasta. Nad cudami i dziwami, jakim ujrzałem
w owym mieście, nie będę tutaj się rozpisywał, nie chcę bowiem nadużywać
cierpliwości miłoścy nam panującego Króla. Gdyby jednak zechciał
dowiedzieć się więcej, niechaj tylko nożek a na każde pytanie
Niemniej trochę teraz opowiem.

Miasto nte jest tak wielkie, jak nasza wspaniała czy lecz
zostało usytuowane na wyspie u zbiegu dwóch rzek, co czyni z niego twierdzę
nie do zdobycia. Można się do niego dostać wyłącznie po moście przerzuconym
nad korytem rzeki, który jest strzeżony dzień i noc.

Nie sadzę, aby miasto wzniesiono ostatnimi czasy ani że uczynili to dzicy,
którzy je teraz zamieszkują, gdyż wedle mego rozeznania kamienne budowle są
wiekowe i noszą znamiona takiego kunsztu, że nte mogą być dziełem owych
Indian, którzy nie przejawiali biegłości w posługiwaniu się Mimo to
nawet teraz napotkać tam można obfitość skarbów, złote przedmioty podobne
w stylu do wyrobów w plemion żyjących w górach, a także srebro i bogato
zdobione szaty. Do swojej świątyni wejść mi nie zezwolili, ale z ich słów
odgadłem, że przechowują tam najcenniejsze i otaczane największą czcią
skarby po swoich przodkach.

Wiele razy pytałem ich. jak zowie się owo miasto, tęcz albo mnie nie
rozumieli, albo nie chcieli: wyjawić swoich sekretów. owi poganie
okazali wielkie zaciekawienie moim srebrnym krzyżem, który noszę na piersi,
a ja wytłumaczyłem im za pomocą znanych mi słów i gestów, że to znak pana
naszego Jezusa Chrystusa, za którego sprawą wszyscy możemy dostąpić
zbawienia, a ja dzięki Jego łaskawości zostałem wybawiony od śmierci
głodowej. A oni błagali mnie, abym przywiódł do nich ludzi, którzy zechcieliby im
wyłożyć zasady Prawdziwej Wiary, ujrzeli , jak bardzo Bóg mi sprzyja,
i wielce zapragnęli poznać Jego łaskę. Obiecałem, że powrócę, prowadząc ze
sobą wielu świątobliwych mężów, którzy nauczą ich wszystkiego, czego im
potrzeba. Pod takim warunkiem pozwolili mi odejść.

Rzeka w okolicy owego miasta była zdradliwa pełna groźnych przeszkód.
Żaden z tubylców nie odważył się na nią wypłynąć, gdyż wartki prąd, jak mawiali,
kręcił kadłuby wszystkich łodzi nieumiejących się nad nią. Dowiedziałem się jednak

Czarna rzeka

ze wędrując na wschód dotrę do innej, rzeki, która mi się
wydostać z tych przeklętych lasów i powrocie do chrześcijańskiego świata.
Indianie upraszali m n i e , a b y m nie szedł w tamta stronę, gdyż nie prowadzi tam
żaden przetarty szlak, ale ja zaufałem Bogu i niczego się nie , Dżungla
osaczała mnie ze wszystkich stron cierniami ostrymi jak sztylety, ale wydawało
mi się, że natrafiłem na pozostałości traktu, który biegł tamtędy przed laty
Zarosta nie były łam gęste tak, jak gdzie indziej i często mogłem iść prosto jak
po górskich drogach, które widziałem w Peru, zbudowanych jeszcze przed
przybyciem Hiszpanów. Raz po raz napotykałem kamienne słupy
z wyrzeźbionymi na nich dziwnymi twarzami i domyśliłem się, że mają one za
zadanie wytyczać szlak, podobnie jak kamienie milowe spotykane w Hiszpanii,
t chociaż owe rzeźby wprawiały mnie w przerażenie, gdyż, jak mniemałem,
przedstawiały indiańskie demony, codziennie modliłem się do
Wszchemogącego, aby chronił mnie od złego Otuchy dodawała mi także mysli,
ze idąc tą drogą, zmierzam ku ocaleniu.

Wędrowałem przez dni trzynaście, cały czas kierując się tam, gdzie wstaje
słońce, aż wreszcie Bog pozwolił, aby czternastego dnia uszu moich dobiegł
odgłos wzburzonej wody Przyspieszyłem kroku i niebawem ukazał się mym
oczom najcudowniejszy widok, jaki można sobie wyobrazić. Ujrzałem strugi
wody spadające z wysokiego urwiska, a w dole niezmqoną rzekę, której toń
miała barwę czarną jak noc.

Padłem na kolana i dziękowałem Najwyższemu, albowiem od razu nabrałem
pewności, że owa rzeka uniesie moje znuzone ciało ku bezpiecznej przystani
i położy kres tułaczce w tej okrutnej dziczy: I zaiste tak
się stało,

Moje przypadki w dalszej podróży oraz ; jakie potem wycierpiałem,
pozwole sobie spisać w osobnym miejscu. Ostatecznie z prądem rzeki
i z pomocą Najwyższego, w którego rękach spoczywają nasze fosy, dołynąłem
do osady dominikanów w Betem do Para. Tam bracia zakonnicy nakarmili mnie
i przyodziali, okazując mi chrześcijańskie miłosierdzie.

A gdyby Najjaśniejszy Pan, Król Filip, raczył utaskawić swego uniżonego
sługę Diega, ten własnym sumptem wyposaży ekspedycję, która popłynie
w górę owej czarnej rzeki i podbije owo cudowne miasto, aby pozyskać jego
bogactwa i ziemie dla Korony Hiszpańskiej. Jest on całkowicie pewien, że zdoła
trafić tam ponownie, gdyż w skale nieopodal wodospadu znajdują się wyryte
znaki w pogańskim języku Indian, t choć nie pojmuje ich znaczenia, zachował je
w pamięci i odtwarza poniżej.

Na tym kończy się opowieść Diega spisana dnia dwudziestego
października roku pańskiego tysiąc pięćset trzeciego.

- A więc szedł na wschód przez trzynaście dni i dotarł do wodospadu - powiedział
Ho wie. - W tamtej okolicy są tysiące wodospadów.

Anton zachnął się i skrzyżował ręce na piersi.

- Ale chyba zapomniałeś o najważniejszej wskazówce.

- Alvarudo wspomina o znakach wyrytych w skale obok wodospadu. Co więcej,
odtwarza je w swojej relacji. - Drew wskazała palcem dokument. - Spójrzcie tutaj.

Wszyscy pochyliłiśmy się nad blatem, a Ho wie przyglądał plastikową ściankę teczki.
U dołu strony widniał rząd prostych znaków, które przywoływały na myśl dziecięce
gryzmoły Była wśród nich spirala, która mogła symbolizować węza. okrąg z kropką
pośrodku i faliste linie nasuwające skojarzenie z rzeką. Gdyby przyjrzeć się uważniej,
niektóre z nich wyglądały jak zwierzęta albo natykowate postacie o wielkich głowach

Czarna rzeka

w kształcie serca. A niektóre nie były do niczego podobne.

- Wiecie, gdzie jest ten wodospad?

Drew pokiwała głową.

-W tysiąc dziewięćset trzynastym niemiecki zbieracz kauczuku, niejaki Franz Meier, zapuścił się w górę Rio Pachacamac najdalej, jak zdołał do płynąć. Jest to pierwsza udokumentowana wyprawa w tamte rejony. Po powrocie do cywilizacji wspominał, że widział dziwne symbole wyryte w skale u podnóża wodospadu. Pewien ksiądz spisał jego relację, która została wykorzystana w bardzo nieciekawej rozprawie na temat peruwiańskich petroglifów. Znalazłam jeden egzemplarz w Arequipie, chociaż było to bardzo trudne.

Anton rozpromienił się i klepnął ją w pośladek.

- Mówiłem wam, że jest świetna.

- To też pożyczysz? - zapytałam.

- Tylko zrobiłam ksero.

Położyła na blacie kolejną kartkę. Jej połowę zajmowała niewyraźnie skopiowana fotografia, tak zamazana, że nie było widać szczegółów, a pod spodem znajdowały się rzędy znaków, które przypominały gryzmoly Alvarada.

-Jesteś pewna, że są takie same? To znaczy, wyglądają podobnie, ale..,

- Al va rado rysował je z pamięci parę miesięcy po tym, jak je widział - odezwał się Anton. - Prawdopodobnie był osłabiony przez malarię i niedożywienie. To zrozumiałe, że nie odtworzył ich ze stuprocentową dokładnością.

Trudno było się z tym spierać. Potoczyłem wzrokiem po twarzach pozostałych, by się upewnić, czy ktoś jeszcze sądzi, że nie ma sensu polegać na wspomnieniach schorowanego i na wpół zagłodzonego konkwistadora sprzed pięciuset lat

- Nawet jeżeli te znaki tam są... - Fabio powiodł palcem po mapie od górnego odcinka Pachacamac do czerwonego kręgu, który narysował Anton. - Alvarado pisze, że potrzeba trzynastu dni na przebycie tego odcinka.

- Myślę, że możemy dojść tam szybciej.

-Wtedy trasa nie była zarośnięta, jak wspomina Alvarado, ale do dziś mogło się to zmienić. A przedzieranie się przez dżunglę i torowanie drogi nie jest łatwe.

- A potem musimy znaleźć to miasto. Ile nam to zajmie? Dwa tygodnie? Trzy?

- Mam więcej optymizmu.

- Z miejsca, w którym zostawimy łódź, możemy zabrać zapas żywności na cztery tygodnie - odezwała się Zia. - Wliczając w to powrót.

- Więc spędzimy w dżungli co najmniej miesiąc. Ale teraz jest pora sucha i z każdym dniem poziom rzeki opada. Jeśli zostawimy łódź przy wodospadzie, nie zwozujemy jej aż do Bożego Narodzenia.

- Spokojnie. Waszym zadaniem jest dotarcie do miasta, a ja zatroszczę się o to, żebyśmy się stamtąd wydostali - rzeki Anton i złożył mapę,

- Teraz musimy tylko się tam dostać.

13.

Drogi Cate i Peggy,

piszę te słowa na pokładzie naszej łodzi Sierra

. Jej nazwa pochodzi od

filmu, w którym trzech faceci znajdują skarb, To zabawne, że zostałem

poszukiwaczem skarbów :Czasami podczas tej wyprawy czuję się jak

awanturnik o władnięty gorączką złota. Wczoraj widziałem arę żółtoskrzydłą.

Możę spróbować tak oswoić.

Czarna rzeka

*Niestety, nie
się Zresztą i tak*

mogę do was

zadzwońbo moj telefon

nie ma tu zasięgu. Mamy telefon satelitarny, a/e musimy oszczędzać baterię na wypadek, gdyby doszło do jakiejś krytycznej sytuacji,

Ale świetnie się bawię. Już od trzech dni podróżujemy w górę rzeki. Trwa to tak długo, bo prąd jest bardzo silny. Za cztery dni powinniśmy dojechać do wodospadu. a dalej będziemy wędrować na piechotę. Anton mówi, że wtedy telefon satelitarny stanie się bezużyteczny, bo korony drzew są tak gęste, że nie przepuszczają sygnału.

Bardzo za wami tęsknię, ale łodzie, z którymi podróżuję, są wyjątkowo sympatyczni. Jestem w dobrych rękach.

Kocham was.

Kel

PS. Peggy, jeszcze nie widziałem kapibary, ale mam oczy szeroka otwarte.

Przebiegłem wzrokiem wiadomości stłumiłem w sobie poczucie winy Jego źródłem były przemilczenia - nie wspominałem o handlarzu bronią, motocyklistach, Nolbercie, policji... Nigdy nie lubiłem niczego ukrywać, ale Cate i Peggy i tak nic nie mogłyby zrobić, a ja nie chciałem przysparzać im zmartwień. W tym wypadku prawda byłaby gorsza od kłamstwa.

Nacisnąłem „wyślij* i czekałem. Połączenie satelitarne działało bardzo powoli. Byłoby szybciej, gdybym włożył list do butelki i wrzucił ją do wody. Bębniąc palcami o burzę, obserwowałem przesuający się brzeg rzeki, Nie spodziewałem się, że moja szalona przygoda tak szybko stanie się monotonna.

Tak naprawdę mogłem zadzwonić do domu z telefonu satelitarnego Antona. Na łodzi znajdował się generator, więc baterie nie stanowiły problemu, przynajmniej na razie, chociaż połączenia kosztowały fortunę. Jednak o ile potrafiłem sobie poradzić z rozłąką, nie zniósłbym próby jej przerwania. Gdybym ściągnął Cate i Peggy do Amazonii, gdybym usłyszał ich głosy na środku tej rzeki, połączyłbym ze sobą dwa światy, które powinny pozostać odrębne. Wiedziałem, że to by mnie zabolowało.

Deski pokładu zaskrzypiały pod stopami Antona, który zbliżał się do mnie. Szybko zamknąłem e-mail i otworzyłem stronę Google Earth. Anton zdążył już wygłosić parę dosadnych uwag na temat niebotycznych cen połączeń satelitarnych.

- Szukałem rzek, o których wspominałeś - powiedziałem. - Tych, u których zbiegu powinno leżeć Paititi. Gdyby udało się je znaleźć, wiedzielibyśmy dokładnie, dokąd iść.

- Trafiłeś na coś? - Uśmiechnął się krzywo, jakby już znał odpowiedź.

- Zdjęcia nie są w najlepszej rozdzielczości. Nie potrafię nawet określić naszego położenia.

Odchyliłem się do tyłu, umożliwiając mu lepszy widok. Cała powierzchnia monitora wypełniała las Nie przypominało to nawet zdjęcia, tylko jeden monotony deseń, który powtarzał się raz za razem.

- Nie znajdziesz tych rzek. Ta mapa jest spreparowana.

Nawet w ustach Antona takie słowa brzmiały niedorzecznie.

- Nie sądzisz, że jesteś zbyt podejrzliwy?

- A czy ty nie sądzisz, że gdy tylko poznałem relację Alvarada, zacząłem szukać tych rzek? Przeglądałem te zdjęcia setki razy Mówię ci, że to fotomontaż,

- Ale któż, na Boga, mógłby spreparować zdjęcia satelitarne?

- To proste. Ci, do których należy satelita. - Anton wskazał palcem na dół monitora, gdzie widniała informacja o źródłach danych: „M.SIO. NO AA, US Navy”. - Prześwietliłem te instytucje. Krajowa Służba Oceaniczna i Meteorologiczna podlega amerykańskiemu Departamentowi Handlu. Instytut Oceanografii Scripps jest na usługach Departamentu

Czarna rzeka

a Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych chyba nie wymaga wyjaśnień. Tak czy inaczej, wszystkie te obrazki pochodzą od Wuja Sama.

- Nawet jeżeli...
- Nie wierzysz?

Anton wygrzebał z torby lokalizator GPS, wystawił go za burtę ■ odczytał wskazania. Potem przesunął kursor na monitorze laptopa, aby dopasować współrzędne do tych, które pojawiły się na wyświetlaczu. Na koniec maksymalnie powiększył obraz.

Brązowa mulista woda rozciągała się co najmniej na pół kilometra po obu stronach łodzi. Nawet z kosmosu nie sposób było jej nie zauważyć. Tymczasem na monitorze widniało jednolite morze zieleni.

- Widzisz? - Anton pstryknął palcami. - I tak oto zniknęliśmy z powierzchni kuli ziemskiej.

Sprawił wrażenie, jakby w ogóle go to nie wzruszało. Uniostem wzrok ku niebu, spodziewając się, że nad naszymi głowami zaraz pojawi się czarny helikopter albo jeden z drenów o których opowiadał mi tamten facet w barze. Jeżeli śledziły nas jakieś maszyny, nie było ich widać zza chmur

- Głowa do góry. - Anton klepnął mnie w plecy. - To dobry znak.
- Czyżby?
- Czy zmienialiby ten obraz, gdyby nie mieli nic do ukrycia?

W mojej głowie przewijały się słowa wiadomości, którą wystąpiłem. „Ludzie, z którymi podróżuję, są wyjątkowo sympatyczni”. Do pewnego stopnia. Zanim tu dotarłem, wyobrażałem sobie ekipę złożoną z samych sobowtórów Antona, radosnych poszukiwaczy przygód, którzy z butelką piwa w ręce zasiadają co wieczór przy obozowym ognisku i snują opowieści o dżungli. Koleżeńska atmosfera i dobra zabawa. Nie pomyliłem się tylko co do piwa. Co do reszty, spędziliśmy trzy dni na jrokladzie tej niewielkiej łodzi, a ja wciąż miałem wrażenie, że w ogóle ich nie znam. Wszyscy wydawali mi się obcy - Anton, Drew, Tillman, Howie, Fabio i Zia a także załoga łodzi, Pedro i Pablo.

Ci ostatni nie zamienili z nami ani słowa i odzywali się tylko do siebie. Zia nie była wiele rozmowniejsza. Nie dowiedziałem się, dlaczego Anton tak zareagował na jej widok. Pozwolił jej zostać, ale najwyraźniej nie był tym zachwycony Zia większość czasu spędzała samotnie, zajmując się przygotowywaniem posiłków, a w wolnych chwilach czytała książkę albo gapiała się na rzekę. Całkowicie mi to odpowiadało. Wciąż nie mogłem się nadziwić, jak szybko odnalazła się na miejscu No!berta Trzymałem się na uboczu i obserwowałem ją uważnie.

Tillman był bardziej wylewny, ale w nie najlepszym stylu. Rankiem drugiego dnia zaczepił mnie, kiedy goliłem się na rufie.

- Słyszałeś kiedyś o MRSA?

Częściej, niż miałbym na to ochotę. Gronkowiec złoisty oporny na metycylinę. Superbakteria. Kilka lat temu zaatakowała w szpitalu, w którym wtedy pracowałem. Wiele osób zwolniono, nie mówiąc o pacjentach, którzy przytąpili to życiem

- Był tu jeden taki, który to złapał. Zaciął się przy goleniu, a potem cała jego twarz zaczęła się rozpylić. Wrócił do cywilizacji, ale zostało mu kilka godzin życia - opowiadał, przechadzając się po pokładzie z ironicznym uśmiechem na twarzy.

Ostentacyjnie dokończyłem golenie, ale następnego dnia zacząłem zapuszczać brodę.

Howie nie okazał się dużo lepszym kompanem, Skarżył się na upał i owady, był niezadowolony z jedzenia... Czuję się, jakbym podróżował z moją sześciolletnią córką.

- Jak zapuścimy się w dżunglę, to dopiero zobaczymy&2 - skwitował jego narzekania

Czarna rzeka

Tillman, Mówił takim tonem, jakby nie mógł się tego doczekać.

Fabio był tak wyluzowany, że mógłby wręcz uchodzić za przeciwieństwo Howiego. Całkowicie samowystarczalny, potrafił całymi godzinami w milczeniu patrzeć na rzekę. Na osobiste pytania odpowiadał półśłówkami, z których niewiele dało się wywnioskować, a sam nigdy nie pytał mnie o nic, Sprawiał wrażenie, że zna się na swoim fachu, co było budujące. Cieszyłem się, że jest z nami.

No i nie sposób nie wspomnieć o Drew. Nie zamierzałem z nią flirtować. Obiecałem sobie - i oczywiście Cate - że będę zachowywał się przyzwoicie. Ale okazało się, że odbieramy na tych samych falach. Drew śmiała się z moich dowcipów i patrzyła mi prosto w oczy. Droczyła się ze mną. Błyszczała inteligencją i dowcipem. Skłaniała mnie do refleksja i sprawiała, że czułem się interesujący, czego już od dawna nie doświadczyłem. Należała do Antona, z czego doskonale zdawałem sobie sprawę, kierując się prymitywną logiką jaskiniowca, która rządzi tą sferą życia. Ale ktoś, chyba Francis Scott Fitzgerald, powiedział, że człowiek inteligentny potrafi wyznawać dwa sprzeczne poglądy i jakoś z tym żyć. Wiedziałem, że stąпам po kruchym lodzie, ale traktowałem to jako część mojej przygody, Nie wytrwałbym w małżeństwie przez osiem lat, gdybym nie znał zasad. Wiedziałem, którądy przebiega granica i dopóki jej nie przekraczałem, wszystko było w porządku.

Kiedy żartowaliśmy, zauważałem czasami, że Tillman spogląda na nas ze złością. Zastanawiałem się, czyjemu też wpadła w oko. Groteskowy trójkąt miłosny podczas wyprawy w głąb dżungli był nam potrzebny jak dziura w moście,

Wszyscy byliśmy przypadkową zbieraniną, jak na początku studiów, kiedy nawiązuje się znajomości na chybił trafił i podtrzymuje je do końca semestru. Jedyne Tillman pracował już wcześniej z Antonem, ale moim zdaniem nie był to człowiek, którego chciałoby się zabrać ze sobą na wyprawę.

- Myślałem, że masz stałą ekipę, z którą zawsze podróżujesz - zagadnąłem Antona pewnego popołudnia, gdy wypadła nasza kolej na zmywanie naczyń po obiedzie

- Różne wyprawy, różni ludzie. Spośród tych, z którymi współpracowałem wcześniej, kilku zajmuje się wyłącznie nurkowaniem, a inni nie dają rady tym razem. A jeszcze inni szczerze mnie znienawidzili, Większość ludzi nie wytrzymuje zbyt długo w tej branży - powiedział z uśmiechem i podał mi stos talerzy do wytarcia. - Szczerze mówiąc, nie zamieniłbym nikogo z was. Fabio dobrze zna dżunglę, Howie potrafi się dogadać z Indianami jak swój, Drew ma doktorat z Yale. Zia świetnie gotuje,..

- Myślałem, że nie chcesz, żeby się do nas przyłączyła

Przypomniałem sobie, jak zareagował na jej widok. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej na temat jej tajemniczego chłopaka.

- Tak, no co... - zaczął, lecz zanim przeszedł do rzeczy, coś przykuło jego uwagę. Wyciągnął rękę w stronę brzegu. - Widzisz to?

Popatrzyłem we wskazanym kierunku. Na czerwono-czarnej tablicy stojącej między drzewami widniał jakiś komunikat. Gałęzie drzew zasłaniały większość grubych i kanciastych liter, ale miałem przecucie, że to ostrzeżenie. W dolnym rogu zauważyłem sylwetkę łuczniaka napinającego cięciwę.

- Co tam jest napisane?

- Żeby trzymać się z dala od dzikich Indian. Jesteśmy na skraju rezerwatu i czasami się pojawiają, żeby wypuścić kilka strzał, jeżeli ktoś za bardzo się zbliży. W zeszłym roku zabili jednego faceta.

Omiotłem wzrokiem dżunglę. Jeżeli obserwowali nas Indianie, to dobrze się ukrywali.

- Skoro tędy przebiega granica rezerwatu, nie powinniśmy minąć jakiegś strażnicy

Czarna rzeka

albo czegoś w tym rodzaju? Na mapie by! zaznaczony punkt kontrolny.

- Indianie spalili strażnicę dwa lata temu. Ale nasze zezwolenia są w porządku - rzekł Anton, wkładając czyste talerze do plastikowego cylindra, w którym były przechowywane. - W każdym razie, jak powiedziałem, Drew, Fabio, Zia i Howie, każde z nich Jest ekspertem w swojej dziedzinie. Włącznie z tobą, przemądrzałym lekarzem z Londynu. Jesteśmy jak siedmiu wspaniałych.

-Zapomniałeś o Tillmanie

Anton roześmiał się.

- Ależ skąd- On jest Charlesem Bronsonem.

Następnego dnia natrafiliśmy na pierwsze przeszkody. Niczym rozplatanе włókna liny główne koryto rzeki podzieliło się na kilka kanałów, które kluczyły między wysepkami i piaszczystymi lachami. Fedro bezbłędnie sterował łodzią, nie spoglądając na mapę ani GPS. Niektóre odnogi były tak ciasne, że wystarczyłoby zwalone drzewo, aby je zablokować, a czasami było tak płytko, że niemal czułem, jak kadłub szoruje po dnie. Zastanawiałem się, jakim cudem zdołamy trafić na połączenie z rzeką Pachacamac.

Siedziałem w cieniu pogrążony w lekturze. Fabio ostrzył noz, Zia siekała warzywa na kolację, a Howie jak zwykle na coś narzekał. Nagle czyjaś dłoń wyrwała mi książkę i zobaczyłem nad sobą uśmiechniętą twarz Antona.

- Co czytasz?

- *Jądro ciemności*. To o ludziach, którzy płynęli parowcem w górę rzeki.

- Ach, tak. Czytałem - rzekł, przyglądając się okładce. Próbowałem nie okazywać zaskoczenia. - Ale bardziej podobał mi się film.

- Film?

- No wiesz, ten z Brando. Uwielbiam zapach napalmu o poranku, ten odjechany kawałek Doorsów na początku i to... Tadam, tadadadam... - zanucił kilka taktów *Cwału Wałkińi*.

- *Czas apokalipsy*.

- Facet, który napisał tę książkę, wydaje mi się trochę naiwny.

Nie sądziłem, że kiedykolwiek ktoś oskarży Josepha Conrada o coś takiego.

- To dosyć przygnębiająca opowieść. Zresztą tytuł mówi sam za siebie.

- Ale na końcu negatywny bohater umiera. Gdyby to było prawdziwe jądro ciemności, nie można by liczyć na taką sprawiedliwość.

Powiedział to z taką zaciekłością, że zastanowiło mnie, czy me cierpiał kiedyś na depresję. Wiele na to wskazywało. To jego maniackalne pobudzenie, szaleńcze pomysły i kariera zawodowa, jeśli można tak to nazwać, oparta na złudnych nadziejach i niespodziewanych rozczarowaniach. Nietrudno było się domyślić, że prześladowały go mroczne nastroje.

Rzucił mi książkę z powrotem. Znalazłem miejsce, w którym przerwałem,

- Żyjemy tak samo, jak umieramy, w samotności - przeczytałem na głos.

- Mówiłem ci, że to naiwny optymista - odparł, po czym zgarbił się i wykrzywił twarz.

- Zgroza. Och, zgroza. - przemówił złowieszczą skrzekliwym głosem. Potem wyprostował się i zapytał: - Czy ktoś się kiedyś zastanawiał, jak oni to, do cholery, robili?

Czasami zadawał takie pytania, jakby nie zwracał się do nikogo szczególnego. Dawał w ten sposób do zrozumienia, że chce, żebyśmy go wysłuchali.

- Co robili? - zainteresowała się Orow.

- Myślałem o dawnych czasach, o Diegu Alvaradzie i pierwszych konkwistadorach, Co oni musieli sobie myśleć, kiedy zobaczyli to wszystko? - zapytał, wskazując na dżunglę przesuwaną się za burtą.

Czarna rzeka

- Chyba srali w gacie ze strachu - wtrącił Tillman.

- Większość z nich pochodziła z regionu zwanego Estremadura, Byłeś tam kiedyś, Kel?

- W Hiszpanii odwiedziłem tylko Barcelonę, ale byłem na wieczorze kawalerskim, więc niewiele widziałem.

- Estremadura to coś zupełnie innego, niesamowite miejsce. Dookoła góry, a w środku pustynia, jak na Dzikim Zachodzie. Ludzie, którzy wywodzili się stamtąd, byli twardzi jak kamień.

- Tez taki będę po miesiącu w dżungli? - odezwał się Tillman.

- Chyba że poznasz jakąś amazońska królową, która gustuje w białych fiutkach.

- Albo jak ci się poszczęści z Zią.

Zażenowany obejrzałem się przez ramię. Zia siedziała odwrócona plecami do nas i nie zareagowała na zaczepkę.

- Chodzi mi o (o, że musieli być tym wszystkim zszokowani - ciągnął Anton. - Żeglowali w głąb lądu, a wokół tylko mielizny, bagna, dżungla i dzicy. Nieznane choroby, a w powietrzu taka wilgoć, że bron rdzewiała od środka.

- Musieli padać jak muchy - powiedziała Drew.

- Patrzcie - odezwał się Fabio. który odłożył nóż i pokazał na rzekę przed dziobem łodzi.

2 naprzeciwka płynął w naszą stronę niesiony prądem duży pień drzewa. Nie dostrzegłem w nim nic nadzwyczajnego. Anton chwycił lornetkę i spojrzał w tamtą stronę.

-O Boże - powiedział, a ton jego głosu sprawił, że wszyscy zaczęliśmy wstawać. - Czytałem o tym, ale nie przypuszczałem, że kiedykolwiek to zobaczę.

Stłoczyliśmy się przy burcie jak turyści na statku wycieczkowym, a Anton puścił lornetkę w obieg. Pień był ogromny, mógł mieć nawet ze dwa metry grubości, i wynurzał się z wody jak wieloryb. Na jego grzbiecie niczym jakiś amazoński Ahab spoczywało ludzkie ciało.

- Niektóre plemiona indiańskie nie grzebią swoich zmarłych, bo ziemia jest zbyt piaszczysta - wyjaśnił Anton. - Przywiązują zwłoki do pnia i spławiają je rzeką. W końcu drewno tonie, a ciało zostaje pochłonięte przez naturę.

- I zamienia się w rybie gównno - dodał Tillman.

- Zobaczcie, jak głęboko jest zanurzony-powiedział Fabio. - Musiał przebyć spory kawał.

Wpatrywałem się w ciało z niezdrową fascynacją, która każe ludziom gapić się na ofiary wypadków samochodowych. Drew z niecierpliwością szarpała mnie za rękę, nie mogąc się doczekać, aż oddam jej lornetkę. Sponiewierane zwłoki leżały płasko na masywnym pniu, przywierając do niego jak warstwa mchu. Nic ich nie przytrzymywało; liny, którymi zostały przymocowane, musiały się rozplatać albo przegnić.

- To zdumiewające, że jeszcze się trzyma - mruknąłem pod nosem.

Wiedziałem, do czego zdolna jest ta rzeka. Akurat rankiem tego dnia widziałem, jak dwa niesione prądem drzewa uderzyły o siebie z tak potężną siłą, że rozpadły się na kawaiki.

- To jak podróż w przeszłość - rzekł Anton. - Dokładnie to samo mogł oglądać Alvarado pięć wieków temu.

Wtem ciało się poruszyło. Fala zakoiysała pniem i trup przekreślił się na bok. Patrzyłem jak zahipnotyzowany, czekając, aż stoczy się do wody. Widziałem jego twarz zwróconą ku mnie, prawie czarną od słońca, postrzępione ubranie i zmierzwiony zarost. Poczułem mdłości.

Czarna rzeka

Jego zwiotczała ręka sterczała uniesiona ku niebu. Czekałem, aż opadnie, ale nadal pozostawała w tej pozycji, przecząc sile ciężenia, i kołysała się na wietrze jak ułamana gałązka. Nagle w poczerwiałej twarzy błysnęły białka oczu.

- On żyje!

14.

Omaliśmy go nie straciliśmy. Koryto rzeki było w tym miejscu zbyt wąskie, abyśmy mogli zawrócić, a pień już nas minął. Na pokładzie zapanował chaos, kiedy Anton, Tillman i Fabio rzucili się do szalupy. Pedro nie mógł zwolnić, żeby łódź nie straciła sterowności, tymczasem z każdą chwilą pień oddalał się od nas niesiony prądem.

- Chodź.

Anton złapał mnie za ramię i wciągnął do szalupy, wąskiego drewnianego czółna z niewielkim silnikiem przyczepionym za rufą, które omaliśmy się nie wywróciło, kiedy wylądowałem w środku. Potem znów zakolysało się niebezpiecznie, gdy szarpnął linkę rozrusznika. Odniosłem wrażenie, że łódka zaraz wywróci się do góry dnem. Nie mieliśmy kamizelek ratunkowych.

Gdy tylko odcumowaliśmy od Sierra Mądre, prąd obrócił nas w dół rzeki i poniosł w ślad za drzewem. Fabio siedział na rufie i trzymał ster, podczas gdy Anton przykucnął na dziobie z linką w ręku. Siedziałem na środku obok Tillmana, a bryzgi wody przelatujące nad niskimi burtami zalewały mi nogi. Warkot silnika zagłuszał wszystkie inne odgłosy,

W wąskim kanale między dwiema wysepkami zaczęliśmy wyprzedzać dryfujący pień. Dopiero z bliska zobaczyłem, jaki jest potężny. Drzewo było wielkie jak autobus i wystarczyłoby jedno uderzenie, aby nasze czółno rozleciało się w drzazgi, ale Fabio trzymał się w odległości kilkunastu centymetrów od mego i sterował pewną ręką, czujnie obserwując rzekę przed nami.

Anton wstał i zarzucił linkę, która zaczepiła się o wystającą gałąź. Udało mu się za pierwszym razem. Chwiało się lekko, utrzymując równowagę na rozkołysanym pokładzie, ale jego głowa pozostawała nieruchoma, kiedy skupiał całą uwagę na celu. Potem skoczył. Czółnem zarzuciło gwałtownie i złapałem się kurczowo burty. Kiedy znów uniosłem głowę, zobaczyłem górujący nad nami olbrzymi pień, a na jego szczycie sylwetkę Antona, która odcinała się na tle chmur. Przedzierał się między uschniętymi gałęziami jak kot, całkowicie spokojny i skoncentrowany. Nigdy nie zapomnę tego widoku.

Fabio krzyknął coś do mnie, ale warkot silnika zagłuszył jego słowa. Pokazywał ręką na linkę, która zsuwała się do wody. Złapałem ją w ostatniej chwili, zanim końcówka zdążyła prześliznąć się nad burtą, i przyciągnąłem nas do pnia

Gnając niesiony wartkim prądem luz obok drzewa, które w każdej chwili mogło mnie zmiażdżyć, doświadczyłem czegoś niesamowitego. Nigdy tak mocno nie czułem, że żyję - ani w dniu mojego ślubu, ani w dniu narodzin Peggy, ani podczas mojej pierwszej operacji, kiedy chirurg spojrzął na mnie i nagle zdałem sobie sprawę, że posiadam władzę nad życiem i śmiercią. Nigdy.

Dopłynęliśmy do końcówki pnia, gdzie leżał człowiek, którego wzięliśmy za trupa. Dalej poszło już łatwo. Tillman mocno chwycił gałęzie drzewa, podczas gdy ja i Fabio stanęliśmy na dziobie, a Anton podał nam bezwładne ciało. Mężczyzna był straszliwie wymizerowany, sama skóra i kości, ale swoje ważył i musiałem uważać, żeby nie stracić równowagi na chybottliwym czółnie. Trzymając go na rękach, poczułem ciężką woń rozkładu. Jego nogi były pokryte wrzodami, które pękały i krwawiły, a z otwartych ran

Czarna rzeka

sączyła się ropa. Łaziły po nim wielkie mrówki, a kiedy jedna zapędziła się na moją rękę, omal nie upuściłem ciała do wody.

Ułożyliśmy go na pokładzie, a Anton ześliznął się z pnia i wskoczył do czółna, które za kołysało się groźnie. Tillman odepchnął łódź od drzewa, a Fabio zwiększył obroty silnika,

Spojrzałem na człowieka, którego uratowaliśmy. Był przeraźliwie chudy, skrajnie wyczerpany i schorowany, jak trup, który nie chce przyjąć do wiadomości, że jest martwy. Przeszył mnie dreszcz, nieprzyjemny jak złe przecucie. Chyba dochodziłem do siebie po chwilach pełnych napięcia i grozy.

- Kim on jest?

Przenieśliśmy go na pokład Sierra Mądre i ułożyliśmy na blacie wiszącego stołu. Zia zagotowała wodę, a ja porzcinałem resztki jego ubrania nożem myśliwskim Antona. obrażenia okazały się poważniejsze, niż przypuszczałem; niemal każdy skrawek jego skóry był rozplątany, pokąsany albo poszarpany na strzępy. Na łydce miał wielką ranę, która ciągnęła się od kostki do kolana. Była zbyt równa, by uznać ją za dzieło jakiegoś zwierzęcia.

- Zamierzasz mu jakoś pomóc, doktorku? - ponaglił mnie Tillman.

Widok pokaleczonego ciała przyprawił mnie o tak silny wstrząs, że wpatrywałem się w nie tęnym wzrokiem i nie byłem zdolny do niczego więcej. Nie wiedziałem, od czego zacząć.

Podeszła do mnie Zia z garnkiem parującej wody i podała mi kawałek materiału.

- Umyj go.

Zamoczyłem tkaninę i zacząłem delikatnie wycierać rannego. Skóra pod warstwą brudu była tak ciemna, że moje zabiegi niewiele zmieniały i odsłaniałem tylko siniaki i tatuaże, które pokrywały go niemal w całości. Krzyżące orły z rozpostartymi skrzydłami, trupia czaszka w płomieniach i wielka anakonda, którą oplatała jego prawe ramię, kierując rozdziawioną paszczą w stronę szyi.

Wykręciłem szmatkę. Zia stała nade mną nieruchomo i patrzyła.

- Możę byś pomogła?

Z zacząłem obmywać lewą rękę. Na pokład ściekały strużki brunatnej wody, kiedy spod warstwy brudu wyłaniały się kolejne rany i siniaki. Odsłoniłem jeszcze jeden tatuaż. Ten również przedstawiał węża, tylko mniejszego, który owijał się wokół gałęzi. Już go gdzieś widziałem.

Anton również. Chwył Zię za bluzkę pod szyją i szarpnął w dół, odsłaniając brzeg biustonosza i czarny tatuaż nad piersią. Węża owiniętego wokół gałęzi. Nawet pobieżne spojrzenie nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Nie były do siebie podobne; były identyczne.

- To jeden z ludzi Menendeza, tak?

Zia nie zaprzeczyła, ale jej twarz pozostała niewzruszona, jakby była wykuta

z kamienia.

-Kurwa, wiedziałem. - Anton spojrzał na mnie. - Zadbaj o niego, doktorku. Musimy z nim porozmawiać.

Chwyłem nadgarstek rannego, zęby zbadać puls, i dokonałem kolejnego odkrycia.

- Spójrz na to - powiedziałem, unosząc bezwładną rękę,

- Cóż to jest, do cholery? - zapytał Anton.

Na przedramieniu, z którego przed chwilą zmyłem grubą warstwę błota, widniał rząd cyfr. Miały taki sam czarny kolor jak tatuaże, ale ich koślawy kształt przywołał na myśl dziecięce pismo. Wokół nich roito się od drobnych skaleczeń, a skóra była rozogniona i podbiegła krwią.

Czarna rzeka

- Musiał zrobić (o sobie sam.
- Albo ktoś mu to zrobić.

Rany były świeże, a czarny tusz nie wniknął głęboko. Starłem się zrozumieć, po co ten człowiek - samotny w środku dżungli, konający z głodu i pozbawiony szansy na ratunek - miałby zadawać sobie tyle bólu, zęby wytatuować na własnym ramieniu jakiejś cyfry. Było ich dwanaście: „122847713709”.

- Czy to numer telefonu?

Ranny jęknął i wszyscy odruchowo odsunęliśmy się od niego. Poruszył powiekami i rozchylił wargi, ale nie wydał żadnego dźwięku. Przyłożyłem mu do ust kubek z wodą. Trochę wypił, ale więcej ściekło po jego brodzie i policzkach.

Otworzył oczy. Były ciemne i przekrwione, a ich spojrzenie wyrażało panikę. Poruszył się, próbując usiąść, ale przycisnąłem go do posiana

- Skąd się tu wzięłeś? - dopytywał Anton. - Gdzie jest Menendez?

Ranny utkwiał we mnie wzrokiem, jak gdyby wypatrywał czegoś, co pozwoli mu przycisnąć. Niestety, nie wiedziałem, jak mogę mu pomóc. Wygrzebałem z apteczki igły i środek przeciwbólowy. Pociłem się obficie, gdy wszyscy stali stłoczeni wokół mnie, i z trudem przypominałem sobie, jaką powinienem zaaplikować dawkę.

- Możesz to przygotować? - zwróciłem się do Zii, podając jej fiolkę i strzykawkę. - Dziesięć miligramów.

- Dziesięć miligramów - powtórzyła.
- Co mu podajesz? - zainteresował się Anton.
- Diacetylmorfinę.
- Co to jest?
- Heroina,

Wacikiem nasączonym spirytusem zdezynfekowałem ramię mężczyzny i sięgnąłem po napełnioną strzykawkę, którą przygotowała Zia. Nie lubiłem tego robienia, kiedy ktoś patrzył mi na ręce.

- Ja pierdolę - odezwał się Tillman. - Jesteś dilerem?

Anton się zasępił.

- Nic nam nie powie, kiedy będzie naćpany,
- W tym stanie i tak niewiele zdołałby nam powiedzieć.

Ręce dygotały mi tak mocno, że dopiero za trzecim razem udało mi się wkłuć. Zia spojrzała na mnie z ukosa.

- A podobno jesteś lekarzem.
- W warunkach szpitalnych używa się do tego automatycznych wstrzykiwaczy bez igłowych.

Odciągnąłem tłok strzykawki, zęby się upewnić, czy trafiłem w żyłę, a potem wstrzyknąłem roztwór. Miałem nadzieję, że dobrałem odpowiednią dawkę.

Mężczyzna uniósł powieki, kiedy poczuł ukłucie. Spojrzał na mnie ze zgrozą i zauważyłem, że jego źrenice się rozszerzają. Wyprężył się cały, a potem znieruchomiał i powoli zamknął oczy.

- Wyjdzie z tego? - zapytał Anton,

Wszyscy spojrzeli na mnie, jakbym cokolwiek mógł powiedzieć. Jeszcze raz sprawdziłem puls, starając się zebrać myśli.

- Jest w kiepskim stanie. Osłabiony przez różne infekcje, prawdopodobnie również pasożyty. Myślę, że ma złamana nogę. Jego szanse zależą od tego, jak będzie się rozwijać zakażenie organizmu i jakie spustoszenie poczyniło do tej pory. Potrzebuje opieki specjalistycznej.

Tillman parsknął ironicznym śmiechem.

Czarna rzeka

- A jak to oceniasz w procentach? - zapytał Anton.

- Pół na pół - odparłem wykrętnie po chwili namysłu. Trzeba być głupcem, żeby pozwalać sobie na prognozowanie w tak ciężkich przypadkach, - Skoro tyle zdołał przeyc, musi być bardzo odporny. Teraz, kiedy ma zapewnione jedzenie, lekarstwa i odpoczynek, powinien dojść do siebie,

- Niedaleko stąd jest osada, Esperanza - odezwał się Fabio, unosząc głowę znad mapy. - Z mapy wynika, że mają tam przychodnię,

Rozpiąłem jeden ze śpiworów ■ okryłem nim pacjenta jak kocem.

- A teraz może ktoś mi wyjaśni, o co tu chodzi - powiedziałem.

15.

Sierra Mądre gładko pokonała kolejny zakręt. Zresztą nie było innej możliwości, bo rzeka w tym miejscu składała się z samych zakrętów, a jej koryto wiło się raz w prawo, raz w lewo i nie byłem już pewien, czy nie pływamy w kółko jak wąż, który pozera własny ogon.

Człowiek, którego uratowaliśmy, leżał na stole jak trup w kostnicy. Cała nasza ekipa - z wyjątkiem Pedra i Pabla, którzy zdawali się kompletnie nie zwracać uwagi na nowego pasażera - zebrała się na dziobie i czekała na wyjaśnienia Zii.

- Ma na imię Roberto - zaczęła i skierowała wzrok w stronę rufy, unikając naszych spojrzeń. - Był jednym z przewodników Felixa.

- Jakiego Felixa? - zapytał Howie.

- Felixa Menendeza, mojego narzeczonego.

Nagle przypomniałem sobie, skąd znam to nazwisko. Usłyszałem je po raz pierwszy od Cate. która siedziała na łóżku wpatrzona w wyświetlacz iPada i czytała: „Nadal nie odnaleziono siadów ekspedycji Menendeza, która zaginęła w peruwiańskiej Amazonii.

- Słyszałem, że Menendez był lekarzem. Chodziło o jakąś kampanię na rzecz zdrowia.

- Na rzecz zdrowia, akurat. - Anton zerknął w stronę stołu, jakby się obawiał, że ranny mężczyzna może wyskoczyć za burtę. - Gówno prawda. Czego można szukać w tych rejonach. gdzie od setek lat nikt się nie zapuszczał?

- Mylisz się - zaoponowała Zia. - Ta misja miała na celu leczenie Indian. Feli* uważał, że Paititi to bujda, i nigdy nie słyszał o relacji Alvarada.

W mojej głowie pojawił się kolejny przebłysk pamięci - kiedy właścicielka hotelu zauważyła, że obserwuję wystający z rzeki wrak, powiedziała: „Przychodnia doktora Menendeza”.

- Czy Felix prowadził przychodnię w Puerto Tordoya? - zapytałem.

Zia pokiwała głową.

- Pracowałam tam jako pielęgniarka.

- Tylko jakim cudem jego kumpel, Roberto, znalazł się na tym drzewie, które napotkaliśmy, płynąc w górę rzeki? I gdzie jest Menendez? - zapytał Anton.

Spojrzał na Zię. ale ona nie odwróciła wzroku. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Nagle Fabio wstał i wyciągnął! reke, pokazując brzég

Wy płynęliśmy na prosty odcinek rzeki. Piaszczysta lacha przy brzegu przechodziła w błotnistą plażę, na której spoczywały dwa czółna i tratwa z balsy Siedząca na szczycie skarpy naga dziewczynka o czarnych włosach, które zakrywały jej twarz, patrzyła w naszą stronę. Zerwała się i zniknęła między drzewami, kiedy dziób Sierra Mądre dotknął brzegu,

Czarna rzeka

- Miejmy nadzieje, ze zdołamy utrzymać go przy życiu na tyle długo, zęby odpowiedział na te pytania.

Cate dmo aby się ze mnte, ale miałem pewne wyobrażenia o moim pierwszym spotkaniu z Indianami Amazonii. Mgła unosząca się nad rzeką > oczy spozierające z zarośli. Nagie ciała wojowników pokryte malunkami i przystrojone w fantazyjne pióropusze albo kościane ozdoby. Ewentualnie odgłos bębnów dobiegający z oddali. Wiem, ze to banalna wizja, które ociera się WRĘCZ o rasizm (kilku moich serdecznych przyjaciół pochodzi właśnie z Amazonii), Ale cóż z tego? Wskoczyliśmy z łodzi na brzeg i przez gaj bananowy porastający grząską skarpe dotarliśmy na polanę. Stało tam kilkanaście chat na palach. Nie miały ścian, a dachy z liści palmowych opierały się na drewnianych stelażach. Na skraju polany ustawiono zardzewiały metalowy krzyż, który otaczał wianuszek przegniętych wiklinowych koszy. Gromadka nagich dzieci bawiła się na piachu, a dorośli w klapkach i podkoszulkach siedzieli przed swoimi chatami, sprawiając wrażenie, jakby czekali na autobus. Nie sądziłem, by jakiś prędko tu dojechał.

Jeden z Indian, statszy mężczyzna 2 * zmierzwioną brodą, wyszedł nam naprzeciw. Miał na sobie podkoszulek z logo MTV. szorty i naszyjnik z zębów i kości. Jego czoło i policzki zdobiły wytatuowane kropki.

Anton, Fabio i Nowie podeszli do niego. Fabio położył na ziemi maczetę i gestem zachęcił starca, aby ją wziął. Mowie wypowiedział kilka słów. Po tym wszystkim, co słyszałem na temat dzikich Indian, dawanie im broni, którą mogliby porąbać nas na kawałki, nte wydawało mi się najlepszym pomysłem. Choć teraz, kiedy stanąłem z nimi twarzą w twarz, nie wyglądali aż tak dziko. Sprawiali wrażenie pokonanych.

Me zezy zna podniósł maczetę i musnął ostrze kciukiem. Anton wdał się z nim w rozmowę, którą Nowie tłumaczył. Trochę to trwało i zaczynałem się niecierpliwić.

- Powiedzieliście mu o Robercie? - zapytałem, - Mają tutaj jakiś ośrodek zdrowia?

Howie przetłumaczył moje słowa i stary Indianin pokiwał głową. Poprowadził nas wąską ścieżką między bananowcami do niewielkiego placu, na którym stał prosty budynek z pustaków. Miał betonowe fundamenty, blaszany dach i drewniane żaluzje w oknach. W sąsiedztwie chat na palach wygląda! tak solidnie, ze wydawał się wręcz nierealny.

Pchnąłem drzwi i zajrzałem do środka,

- Halo?

Nikt nie odpowiadał. Przystąpiłem próg i znalazłem się w mrocznym pomieszczeniu. Na pokrytej kafelkami posadzce leżały suche liście, które zachrzęcili pod moimi stopami. Odruchowo sięgnąłem do ściany przy drzwiach, zęby włączyć światło, i kiedy uzmysłowiłem sobie, jakie to niedorzeczne, namacałem przełącznik. Nacisnąłem go

Nic się nie stało Z przyzwyczajenia poruszyłem kilka razy dźwigienką w górę i w dół. Moje oczy zaczęły przyzwyczajając się do półmroku. Nie zauważyłem żadnych łóżek am wózków, szafek, stołów ani parawanów. Nie było nawet krzesel. Tylko chrzęst suchych liści naniesionych przez wiatr i klikanie przewoźnika, przez który nigdy nie płynął prąd. I nigdy nie popłynię.

- Przychodnia - powiedział z dumą starzec.

- Gdzie są lekarze? Gdzie sprzęt medyczny?

Howie przetłumaczył moje pytania.

- Mówi, ze organizacja dobroczynna zapłaciła za budowę ośrodka, ale zabrakło pieniędzy na jego wyposażenie - powtórzył mi po chwili odpowiedź Indianina, - Były jakieś problemy.

Panujący w pomieszczeniu mrok zaczął mnie przytłaczać i zakręciło mi się

Czarna rzeka

w głowie. Chwiejnym Krokiem ruszyłem do wyjścia, roztrzając zeschnięte liście.

- Łóżko dla chorego!

Na ścieżce pojawili się Tillman i Zia, niosąc w zawieszonym na ramionach hamaku naszego pacjenta.

- Gdzie go położyć, doktorku? - zapytał Amerykanin, patrząc na pusty budynek przychodni.

Tego wieczoru stary Indianin, Raul, usiadł z nami przy ognisku. Poczęstował nas pieczoną rybą i kleikiem bananowym. Przyniósł też miskę jakiegoś napoju

O konsystencji i smaku wymiocin, Którego spożycia nie mogliśmy odmówić. Reszta mieszkańców wioski przyglądała się nam, siedząc w swoich chatach jak chór w tragedii greckiej Staraniem się na nich nie patrzeć* ale oni nie mieli takich skrupułów Pokazywali nas sobie palcami, plotkując z ożywieniem, a dzieci podbiegały, ciągnęły mnie za włosy

1 uciekały, chichocząc. Zauważyłem, że dwie młodsze kobiety przyglądają mi się pożądliwie.

Może chciały* żebym je stamtąd zabrał. Trudno było mieć im to za złe. Wioska wymierała, Z trzynastu chat pięć świeciło pustkami, a wszyscy mężczyźni albo przekroczyli pięćdziesiątkę, albo jeszcze nie ukończyli dziesięciu lat

Z pojedynczych hiszpańskich słów i z tego, co tłumaczył Howie, domyśliłem się, że przed kilku laty dotarła nad rzekę jakaś spółka naftowa. Biali ludzie zaferowali Indianom pieniądze i pracę w zamian za prawo do przeprowadzenia rurociągu przez ich ziemię. Jakiś przedstawiciel ministerstwa rozwiewał ich obawy i obiecywał rozwój opieki zdrowotnej. Podpisali kontrakt, a spółka naftowa zatrudniła tubylców jako robotników przy karczowaniu dżungli i budowie rurociągu.

Nie obyło się jednak bez skutków ubocznych. Niektórzy Indianie - jedna czwarta wioski - zaczęli chorować i umierać. Albo dziesiątkowały ich choroby przyniesione przez białych, albo szkodziły im chemikalia, które zanieczyszczały wody gruntowe, Dżungla opustoszała, bo spłoszone hałasem pil łańcuchowych i buldożerów zwierzęta uciekły. Indianie odkryli alkohol.

- Możemy powinniśmy uciec tak samo jak zwierzęta - rzeki Raul, patrząc w ogień,

Dżungla* która dotychczas wszystko im zapewniała, nie była już w stanie ich wykarmić. Wydawali coraz więcej najedzenie, które spółka naftowa sprzedawała im po wygórowanych cenach,

- Po raz pierwszy uświadomiliśmy sobie, czym są pieniądze. A potem przekonaliśmy się, że jesteśmy nędzarzami.

Kiedy budowa rurociągu dobiegła końca, wszyscy robotnicy stracili pracę. Młodzi mężczyźni wyjechali z wioski do Puerto Tordoya i już nigdy nie wrócili. Kiedy maszyny przestały hałasować, niektóre zwierzęta wróciły, ale Indianie zdążyli zapomnieć, jak się poluje. Mieli bron palną, z której nigdy wcześniej nie korzystali, ale nie było ich stać na amunicję. I tak oto w wiosce zapanował głód, a mieszkańcy jeden po drugim wyjeżdżali do miasta albo wpadali w alkoholizm. Przypuszczali, że należy się im więcej pieniędzy, ale kontrakt, który zawarli ze spółką naftową, gdzieś zaginął.

- To straszne - powiedziała Drew.

Siedziała na zwalonym pniu. z kolanami podciągniętymi pod brodę, a w blasku ogniska skóra jej gołych nóg przybrała złoty kolor

Raul powiedział coś jeszcze wzburzonym tonem i tak szybko, że Howie ledwo nadążył z tłumaczeniem.

- Mówi, że,, hm, najgorsi nie byli ludzie od ropy naftowej, Naprawdę źli byli... - Przerwa! i zawaha! się, szukając odpowiedniego słowa. - Księża.

- Misjonarze - dodał Raul.

Czarna rzeka

- Chodzi o Hiszpanów? Takich samych jak ci, którzy uratowali Alvarada?
- Amerykanie.

Okazało się, że kilka miesięcy przed poszukiwaczami ropy zjawiała się grupa misjonarzy ze Stanów Zjednoczonych, którzy przyплыnęli w górę rzeki łodziami „szybkimi niczym sam diabeł”, jak to ujął Raul. Przywieźli słodycze i coca-colę, zabawki dla dzieci i świecidełka dla kobiet. Niektórzy mieszkańcy wioski chcieli ich przepędzić, ale inni odwiedli ich od tego zamiaru. Przybysze wydawali się mili i przyjaźnie usposobieni. Nie chcieli nic w zamian za swoje podarki. Mieli również lekarstwa, które hojnie rozdawali. Zbudowali ośrodek zdrowia.

- Powiedzieli nam, że powinniśmy nosić ubrania, bo nagość to grzech i powiedzieli, że powinniśmy ufać ludziom ze spółki naftowej - rzekł stary Indianin. - Pomogli nam nawet przy zawieraniu kontraktu. Byliśmy im bardzo wdzięczni.

Dopiero później, kiedy wioskę odwiedzili wolontariusze z organizacji pozarządowej z Limy, okazało się, że ponad połowa dochodów z wydobycia ropy idzie na konto zakonu misyjnego.

- Kupili nasze dusze i zapłacili za nie naszymi pieniędzmi. A potem powiedzieli nam, że nie stać ich na utrzymanie lekarza w naszej przychodni.

- A co z Menendezem? - zapytał Anton, obracając w palcach zęb rekina, który nosił na szyi. - Też tutaj dotarł?

Raul pokiwał głową.

- Było ich dziewięciu i przyплыnęli dwiema łodziami. Spędzili tutaj trzy dni, rozłożyli w przychodni swój majdan i dawali dzieciom zastrzyki-powiedział i wskazał na kobietę stojącą nieopodal ogniska. Ze zwiniętego koca, który nosiła na piersi, wystawała maleńka główka. - Menendez odebrał jej poród.

- Mówiłam ci - odezwała się Zia, ale Anton ją zignorował.

-Wspominał coś o Paititi?

- Rozmawiali o tym pewnego wieczoru. Opowiadali różne historie, w zasadzie podobne do tych, które znają wszyscy w okolicy. Przede wszystkim chciał się czegoś dowiedzieć o plemionach, które mieszkają w górze rzeki.

- A czy w waszym plemienu zachowały się jakieś legendy o Paititi? - zapytała Drew.

Howie przetłumaczył jej słowa i wysłuchał rozwlekłej odpowiedzi starca.

- Mówi, że to miasto zbudowali jego przodkowie. Wiele pokoleń temu.

- Wie, jak tam trafić?

Lingwista skupił się i zadał pytanie Indianinowi.

- Mówi, że są cztery znaki - przetłumaczył po chwili jego odpowiedź. - Najpierw wodospad. Potem trzeba minąć Strażnika. Trzeci znak to rzeka płynąca dnem wąwozu, a czwarty to most Anakondy.

- Co to za Strażnik? - spytałem.

Anton powstrzymał się, by nie zacząć podskakiwać z podniecenia.

- Nie rozumiesz? - zapytał, po czym chwycił patyk i narysował na ziemi takie same znaki, jakie widniały pod raportem Alvarada. Trzy pionowe kreski, twarz, trzy falowane linie i spiralę. - Właśnie o to chodzi, Wodospad, Strażnik, rzeka i wąż.

Wszyscy wbiliśmy wzrok w jego rysunki. Drgający blask płomieni zdawał się je ożywiać i oczyma wyobraźni ujrzałem ogromne masy wody spadające z wysokiej skały, kręte koryto rzeki na dnie wąwozu i most linowy kołysany podmuchami wiatru. Coś we mnie drgnęło, ogarnęła mnie taka sama fala entuzjazmu jak tamtej nocy w hotelowej restauracji w Meksyku.

- Byłeś tam? - zapytał Anton, patrząc na Raula.

Indianin uśmiechnął się wstydliwie.

Czarna rzeka

- Nie, me...

- Powiedział, że Paiquiqui nie jest miejscem do którego można pójść. Znajduje się w innym wymiarze; to stan umysłu, który można osiągnąć poprzez zjednoczenie ze światem duchów. - Howie zmarszczył czoło. - To zdumiewające. Ci indzie są podobno chrześcijanami, ale wciąż trzymają się tych zabobonów.

- Dlaczego użył nazwy Paiquiqui? - zapytałem.

- To w języku Inków? Konkwistadorzy nie potrafili tego prawidłowo wymawiać, więc przyjęła się forma Partito.

- A co z terenami w górze rzeki? - odezwał się Tillman. - Czy ten człowiek dotarł kiedyś do Pachacamac? Widział ten wodospad i znaki na skale?

Raul energicznie pokręcił głową, a jego twarz wykrzywił grymas niezadowolenia.

- *Indios bravos.* Mashco-Piro, - Wypowiedział szybko kilka zdań, których nie zrozumiałem, i splunął na ziemię.

- Mówi, że me zapuszczają się w okolice Pachacamac - wyjaśni! Howie. - Mieszkają tam dzikie plemiona, źli ludzie. Ostrzegał przed nimi Menendeza, ale on nie chciał go słuchać. Popłynął w górę rzeki i już nie wrócił.

Nie on pierwszy - pomyślałem i przypomniało mi się, co Cale wyczytała w Wikipedii. Prawdopodobnie był kolejną ofiarą dzikich plemion zamieszkujących niezbadane obszary.

16.

Na noc Anton, Tillman i Drew wrócili na łódź, Howie i Fabio rozgościli się w jednej z opuszczonych indiańskich chat, a ja i Zia zostaliśmy w przychodni, zęby czuwać przy rannym. Roberto nadal był nieprzytomny, ale nie leżał spokojnie - wiercił się i rzucał w hamaku, który dla niego rozwiesiliśmy, mamrocząc coś przez sen. Zaaplikowałem mu kolejną dawkę środka przeciwbólowego, lym razem wbijając igłę między szczęki wytatuowanego węża.

- Co oznacza ten tatuaż? - zapytałem, dezynfekując miejsce wkłucia.

Zia spojrzała nieprzyjaźnie, jakby podejrzewała mnie o jakiś podstęp

- To był symbol tej wyprawy. Laska Eskulapa z anakondą. Na dzień przed ich wyjazdem wybraliśmy się wieczorem do Puerto Tordoya, zęby sobie zrobić ten tatuaż. Felix, wszyscy członkowie wyprawy, ludzie z przychodni.

- To musiało być trudne dla ciebie, kiedy wyjechał.

Zacisnęła szczęki

- FeMx mia! spędzić w dżungli dwa miesiące, ale uprzedzał, że to może potrwać dłużej, Zapewniał mnie, że nie mam powodów do obaw. że zebrał dobrą ekipę, doświadczonych ludzi. Zostałam w mieście i prowadziłam przychodnię, a kiedy po dwóch miesiącach wciąż nie było żadnych wiadomości, powtarzałam sobie, że na pewno wszystko jest w porządku Minął trzeci miesiąc. Po czterech miesiącach wpadłam w panikę. Próbowałam szukać pomocy wszędzie, na policji, w szpitalu, u władz miasta. Bezskutecznie. Więc poleciałam do Limy i tak długo czekałam w Ministerstwie Zdrowia. aż w końcu mnie przyjęli. Wszyscy mówili mi to samo; wyprawa Feiixa była nieoficjalna, finansowana z prywatnych środków i to nie ich zmartwienie. - Jej oczy zaszkliły się od łez. - Oczywiście, gdyby Felixowi się udało, wszyscy ci urzędnicy ustawiliby się w kolejce, zęby zrobić sobie z nim zdjęcie. Każdy chciałby sobie przypisać jego sukces. Ale kiedy zagał... - Zia zawiesiła głos ■ odwróciła wzrok w stronę okna. - Wróciłam do Puerto Tordoya. Pewnej nocy obudził mnie huk dobiegający od strony rzeki. Eksplozja była tak silna, że w okolicznych

Czarna rzeka

domach wyleciały szyby w oknach i pospadały telewizory ze ścian. Kiedy dotarłam na brzeg, łódź już tonęła. Według policji przyczyną był wyciek paliwa. Mówili, że doszło do samoistnego zapłonu oparów benzyny albo ktoś rzucił papierosa. Gówna prawda. Na pokładzie były wszystkie dokumenty Felii, materiały z jego badań i szczepionki. Wszystko przepadło.

- Przykro mi...

Zia zamrużyła nerwowo, powstrzymując łzy. Wyglądała na wściekłą - na mnie o moją dociekliwość, na samą siebie o to, że okazała się tak wylewna, i na cały świat, który odebrał jej ukochanego.

- Odpocznij trochę - zaproponowałem.

Pokręciła głową.

- Ty się prześpij, ja tu posiedzę z Robertem.

Kiedy ułożyliśmy rannego w możliwie najwygodniejszej pozycji, poszedłem do jednej z opuszczonych chat w pobliżu budynku przychodni. Po trzech dniach spędzonych w ścisłym na pokładzie Sierra Mądre zapragnąłem odrobiny samotności.

Spędzałem pierwszą noc w dżungli, ale nie potrafiłem snuć marzeń o zaginionych miastach i bajecznych skarbach, kiedy na własne oczy zobaczyłem, jak ludzie umierają z nędzy, do której doprowadził postęp cywilizacyjny. Czułem wręcz, jak ściana lasu napiera na tę małą osadę, nadwątloną i bezbronną, ale nie pokonaną. Cienkie bzyczenie komarów krążących wokół moskitiery nad moim legowiskiem wwierało mi się boleśnie w uszy, szumiały liście, poskrzypywały konary drzew, a z ciemności dobiegały porykiwania, świergoty i krzyki zwierząt.

Była to jedna z tych nocy, kiedy koszmarnie sny zdają się ciągnąć godzinami, lecz po każdym przebudzeniu okazywało się, że spałem zaledwie kilka minut. Około północy włożyłem buty i udałem się do przychodni. Zia siedziała przy rannym i szeptała mu coś do ucha.

- Co z nim?

- Myślę, że gorączka zaczyna spadać.

Jego czoło nie było już tak rozpalone, a oddech stał się spokojniejszy. Wytarliśmy go z potu, a Zia wstrzyknęła mu kolejną dawkę antybiotyku. Nawet kiedy wbijała igłę, ledwie się poruszył.

Szedłem z powrotem do chaty, energicznie uderzając stopami o ziemię, żeby odstraszyć węzę, gdy wtem między drzewami dostrzegłem jakiś blask. Zastygłem w bezruchu i patrzyłem. Czytałem o dziwnych i niesamowitych mieszkańcach lasów deszczowych - świetlikach, bioluminescencyjnych grzybach i motylach świecących w ciemności - ale to było coś innego. Ktoś szedł, oświetlając sobie drogę latarką. Zatrzymał się na chwilę, ruszył, a potem znów przystanął i omiół ziemię snopem światła, jakby czegoś szukał. Na tle poświaty zamajaczyła ludzka sylwetka.

Zapomniałem o węzach, a w mojej głowie rozbrzmiały na nowo wszystkie przestrogi, które słyszałem - kłusownicy, przemytnicy narkotyków, partyzanci. Nie wiedziałem, co robię. Nie mogłem wrócić do chaty i udawać, że śpię - tam byłem całkowicie bezbronny. Ale za nic w świecie nie zpuściłbym się po omacku w głąb dżungli, żeby stawić czoło... Nawet me wiedziałem komu.

Za plecami usłyszałem trzask łamanej gałązki i żołądek podjechał mi do gardła. Ktoś był w wiosce. Obróciłem się gwałtownie. Po raz pierwszy w życiu pożałowałem, że nie mam broni.

To był Howie. Skapa poświata księżycy w nowiu i żar dogasającego ogniska wystarczyły, abym go rozpoznał. Stał zaledwie kilka metrów ode mnie, kryjąc się

Czarna rzeka

w cieniu chat, jakby chciał pozostać niezauważony. Podbiegiem i złapałem go za reke. Chyba wystraszyłem go tak samo jak on mnie.

- Ktoś tam jest - wyszeptalem, pokazując w stronę lasu. Sylwetka znikła za drzewami, ale światło było nadal widoczne.

- To Fabio. Poszedł postawić klocka.

- Jestaś pewien?

- A któż inny to może być?

Mógłbym wymienić kilkanaście możliwości. Obróciłem głowę, starając się dojrzeć człowieka między drzewami, zęby się upewnić, że to rzeczywiście Fabio.

- A ty? Wybierasz się dokądś?

- Tylko tak... no wiesz. - Ho wie machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. Zauważyłem plecak zawieszony na jego ramieniu. - Nie mogłem zasnąć, A ty?

- Byłem zobaczyć, jak się czuje pacjent.

- Ach, no tak, a co z nim?

- Myślę, że najgorsze ma za sobą.

- To świetnie-odparł, po czym obrócił się i odszedł bez słowa

Powiodłem za nim wzrokiem. Przeciął polanę, zatrzymał się przy jednej z chat i wdrapał się na górę jak student, który w nocy zakrada się do akademika. Po chwili usłyszałem szmer ściszonych głosów. Czyżby chciał się przespać z którąś z Indianek? Nie mogłem w to uwierzyć. Wydawał się taki porządny. Nigdy nie widziałem, aby pil coś mocniejszego od dietetycznej colt. Widocznie dałem się zwieść pozorom.

Człowiek z latarką nadal tkwił między drzewami. Jeśli faktycznie to Fabio poszedł tam za potrzebą, nie spieszył się zbyt. Może zaszкодżył mu specjały miejscowej kuchni.

Nie miałem dość odwagi, zęby to sprawdzić, a nie chciałem być w wiosce, kiedy Raul odkryje, że nasz tłumacz defloruje jedną z jego dziewczyn i przybiegnie, wymachując maczetą, którą od nas dostał. Pospiesznie wróciłem do swojej chaty.

Nie mogłem jednak zasnąć. Kilka komarów dostało się pod moskitierę i urządziło sobie krwawą ucztę. Odezwał się we mnie wścibski podglądacz i zacząłem nasłuchiwać, czy z chaty, do której zakradł się Howie, nie dobiegają jakieś odgłosy. Światło widoczne w lesie zgasało, ale to sprawiło, że jeszcze bardziej wytężyłem wzrok.

Byłem ciekaw, czy Drew już spi. Włożyłem buty i poszedłem w stronę rzeki. Łódź kotłowała się na kotwicy kilka metrów od brzegu, zbliżała się pierwsza w nocy. ale zauważyłem, że pod daszkiem ktoś pali. W ciemności żarzyły się dwa papierosy. Po chwili dostrzegłem również trzeci. Usłyszałem rozmowę.

Ktoś skończył patie i pstryknął rozżarzoną niedopałkiem, który zatoczył łuk w powietrzu i z sykiem wylądował w wodzie. Zachrząściła zapałka i w jej płomieniu zobaczyłem całą trójkę. Tillman opierał się o burtę i cmił jointa, Drew siedziała ze skrzyżowanymi nogami, a Anton leżał z głową opartą na jej udach. Nie słyszeli moich kroków. Już miałem obwieścić swoje nadejście stukaniem w deskę trapu, gdy usłyszałem, że Anton wypowiada moje imię.

- Myślicie, że możemy wtajemniczyć w to Kela?

Nad wodą głos dobrze się niesie, a dodatkowo sprzyja! mi wiatr, który wiał w moją stronę. Przykucnąłem w cieniu i wytężyłem słuch.

- A ja chciałbym wiedzieć, co się stało z Nolbertem - powiedział Tillman - Kel mówi, że to jakiś szalony motocyklista, ale cholera go wie. Nikogo innego przy tym nie było. A następnego dnia rano zjawiła się Zia gotowa do podróży.

- Sam ją sprowadziłeś - przypomniała mu Drew.

- Wtedy nie miałem jeszcze o niczym pojęcia. Nawet nie wiedziałem, co się

Czarna rzeka

przytrafiło Nolbertowi.

- W każdym razie Kel jest czysty - oznajmiła dziewczyna. - Poznaliśmy go w Meksyku w takich okolicznościach, że nie sadzę, aby miał cokolwiek wspólnego z Menendezem.

Spodobało mi się, że poręczyła za mnie. Było mi miło, aż do momentu gdy odezwał się Tiltman:

- Bronisz go. bo facet cały czas gapi się na twoje cycki. Zauważyłeś to. szefie?

- Nie - odparł Anton krótko. - Problem w tym, że musimy coś zrobić z tym facetem, którego uratowaliśmy

Zawstydzony i upokorzony, prawie nie zwróciłem uwagi na propozycję Tillmana:

- Najlepiej zostawić go tutaj z Zią ■ Kelem, Tylko tak zyskamy całkowita pewność.

- Mamy płynąć w górę rzeki bez kucharki i lekarza - obruszyła się dziewczyna i wyprostowała na ławce. - Zwariowałeś?

- Nie chcesz się rozstawać ze swoim wielbicielem?

- Zamknij się - zgasiła go i zwróciła się do Antona: - Czy ty słyszysz to pieprzenie?

- Nie - zaprzeczył Anton, ale nie był do końca przekonujący.

- Kel to sympatyczny facet. Przypuszczalnie dlatego nie mozesz go strawić.

- Takich jak on trawię szybciej niż ty,

- Możecie przestać? - przerwał im Anton - Rozmawiamy o Robercie, nie o Kelu.

- Powinniśmy zaczekać co najmniej dzień - zasugerowała Drew. - Gdyby Roberto doszedł do siebie, mógłby nam powiedzieć, co się stało z Menendezem i jego ekipą.

- Nie mamy czasu, zęby tkwić w miejscu. Z każdym dniem poziom wody opada.

Anton zaciągnął się ostatni raz i pstryknął niedopałkiem nad burtą. To był celny strzał. Rozżarzona końcówka skręta wylądowała na piachu parę metrów ode mnie. Przejęty strachem, że mogą mnie zauważyć, ledwie dosłyszałem ostatnie zdanie Antona:

- Możę nie przeżyje tej nocy. To by rozwiązało wszystkie nasze problemy

Wspiąłem się z powrotem na skarpe i wróciłem do wioski. Kiedy mijałem chatę, do której zakradł się Howie, wciąż dobiegały stamtąd pomruki i chichoty Nigdzie ani śladu Fabia. Zanim położyłem się spać, zajrzałem do Roberta. Gorączka trochę wzrosła, ale było zbyt wcześnie na kolejny zastrzyk Ranny rzucał się w hamaku i mamrota! przez Śen Wsunąłem rękę pod moskitierę i otarłem mu pot z czoła, Trochę go to uspokoiło.

Była druga. Zapamiętałem, bo spojrzałem wtedy na zegarek. Pięć godzin później Roberto już nie żył.

17.

Następnego dnia rano dołynęliśmy do Rio Pachacamac. Oprócz długiej piaszczystej łachy ostrej niczym żąb rekina, która wrzynała się w wodę na styku rzek, nie było tam żadnego innego znaku świadczącego o tym. że jesteśmy we właściwym miejscu. Równie dobrze mogła to być jedna z wielu ślepych odnóg.

Anton wpatrywał się w mapę, marszcząc czoło.

- Jesteś pewien, że to tu?

- Sprawdź GPS - poradził mu Fabio.

- Nie działa - Anton podniósł urządzenie z pokładu i sprawdził jeszcze raz. - Nic z tego.

- Słyszałem, że kiedy wojsko szykuje oblęgę na przemytników koki, blokuje sygnał z satelity, żeby utrudnić im orientację - wtrącił Tillman.

Czarna rzeka

- To pocieszające - rzekł Nowie.

Wszyscy spojrzeliśmy w niebo, ale nie zobaczyliśmy nic oprócz chmur i kilku ptaków, które zataczały kręgi nad naszymi głowami

- To musi być tutaj - oświadczył! Anton.

Nikt nie pytał mnie o zdanie. Siedziałem rozparty na ławce pod zadaszeniem i udawałem, że drzemię. Wciąż rozmyślałem o Robercie.

Nie miałem powodu, aby uważać jego śmierć za podejrzaną. Inni najwyraźniej nie żyli żadnych podejrzeń. Ten człowiek był już na wpół umarły, kiedy go znaleźliśmy, a to wszystko, przez co przeszedł, już dawno powinno było go zabić. Owszem, trochę mu się polepszyło, ale to nie świadczyło o niczym. W takim stanie śmierć mogły spowodować dziesiątki różnych czynników. Ukąszenia węży, pasożyty, malaria, obrażenia wewnętrzne.,, Możliwe, że wola przetrwania, która trzymała go przy życiu przez te wszystkie tygodnie w dżungli, opuściła go nagle, kiedy został uratowany. Mógł też być uczulony na antybiotyki.

Bardzo chciałem mieć stuprocentową pewność, że przyczyną śmierci była jedna z tych rzeczy.

Odkryłem, że jest martwy, kiedy przyszedłem rano do ośrodka. Gdyby nie muchy krążące wokół niego, pomyślałbym, że śpi. Ciało zdążyło już ostygnąć. Nie zauważyłem żadnych śladów przemocy oprócz ran, które widziałem już wcześniej. Zia była zdruzgotana i trudno jej się dziwić. Przez pół nocy spała obok trupa i straciła jedyną szansę na uzyskanie jakichś informacji o Menendziezie.

Anton powiedział mi, że zrobiłem wszystko, co było można. Drew uścisnęła mnie i dodała, że Roberto miał szczęście, trafiając na mnie. Przyjąłem te słowa otuchy z profesjonalnym spokojem. Widzieli moje przygnębienie, ale myśleli, że mam wyrzuty sumienia, bo uważam, że zrobiłem dla niego za mało. Powiedziałem im, że w moim zawodzie trzeba być przygotowanym na śmierć pacjenta i żaden lekarz nie wytrzyma długo, jeśli nie potrafi przejść nad tym do porządku dziennego

Potem porzuciliśmy temat. Czy spowodował to zabobonny strach i złe przeczucia, czy cała sprawa była tak dziwna, że brakowało słów? Nikt nie chciał o tym rozmawiać.

Nie oznaczało to jednak, że przestałem o tym rozmyślać. „Może nie przeżyje tej nocy. To by rozwiązało wszystkie nasze problemy”. Zastanawiałem się, co Anton miał na myśli, mówiąc te słowa.

Poradzisz sobie z tym - powtarzałem w myślach. Musiałem sobie z tym poradzić. Nie miałem innego wyjścia.

Zostawiliśmy ciało Roberta w wiosce. Raul nie był zachwycony, ale Anton dał mu dwadzieścia dolarów za pochowanie zwłok. Tyle jest tutaj warte ludzkie życie,

- Kontrolujcie wodę - rozkazał Anton.

Przestałem udawać śpiącego i wyjrzałem za burtę. Ta rzeka wyglądała inaczej. Brunatna mulista woda, po której płynęliśmy od Puerto Tordoya. Stała się czarna jak mocna herbata. Była zdumiewająco przejrzysta, jeśli spojrzeć w głąb.

- Czarna woda - mruknąłem pod nosem.

Od razu przypomniałem sobie tamtą noc w szpitalu i Nolberta leżącego na łóżku, który zebrał w sobie resztkę sił, żeby wyszeptać te dwa słowa.

- Jak w opowieści Ak/arada - powiedziała Drew.

- To przez taniny z rozkładających się liść - wyjaśnił Anton. - Na pewno dobrze płyniemy.

- Keł, widzisz to? - Fabio chwycił mnie za ramię i pokazał na brzeg. - Kapibara,

Powiodłem wzrokiem za jego palcem. Zwierzę to stało się przedmiotem ciągłych żartów - ilekroć widziałem jakąś zmarszczkę na wodzie albo pień drzewa o dziwnym

Czarna rzeka

kształcie, szarpałem go za łokieć i pytałem, czy to kapibara. Chciałem się pochwalić Peggy, że ją widziałem.

Fabio podał mi lornetkę i skierował moje spojrzenie w odpowiednią stronę. Nawet w powiększeniu niewiele było widać - drobna głowa, zmierzwiłone futro i mały nos wystający z wody.

- Wygląda jak mokry szczur.

Byłem zadowolony, że wreszcie udało mi się zobaczyć kapibarę, ale sprawiło to, że zatęskniłem za Peggy bardziej niż kiedykolwiek. Miałem ochotę do niej zadzwonić, ale wiedziałem, że dźwięk jej głosu rozdarłby mi serce. Podłączyłem laptopa do transmittera satelitarne go i uruchomiłem program pocztowy.

- Musisz? - zapytał Anton.

-Zwróćci za to - warknąłem w odpowiedzi

Wpisałem treść e-maila: „Widziałem kapibare. Bardzo za tobą tęsknię. Kocham cię”. Szybko uderzałem w klawisze. Czułem napięcie na pokładzie łodzi. Chciałem wysłać zdjęcie, ale załącznik o takiej pojemności prawdopodobnie straciłby satelitę z orbity. Otworzyłem za to wyszukiwarke. Widok czarnej wody sprawił, że zacząłem się zastanawiać nad losami Nolberta.

Wpisałem w okno: „Nolberko Rodriguez Puerto Tordoya”. Wyniki wyszukiwania ładowały się całą wieczność. Nie było ich wiece. Wszedłem na stronę lokalnej gazety i omiotłem wzrokiem artykuł. Ranny był w krytycznym stanie, ale lekarze mieli nadzieję na poprawę. Nie ujęto sprawców, ale nie było też wzmianki o łodzi pełnej gringos, która wymknęła się z miasta następnego ranka. Wszystko w porządku.

- Skończyłeś już? - ponaglił mnie Anton.

Żeby zagrać mu na nerwach opuściłem portal gazety i otworzyłem kolejny wynik wyszukiwania. Był to blog, który prowadziła zamieszkała w Puerto Tordoya wolontariuszka jakiejś organizacji pozarządowej. Przejrzałem najnowszy wpis w poszukiwaniu dodatkowych szczegółów. I znalazłem

Z trzaskiem zamknąłem laptopa. Wszyscy odwrócili wzrok.

- Musimy porozmawiać - zwróciłem się do Antona.

Na pokładzie dziesięciometrowej łodzi trudno znaleźć ustronne miejsce, kiedy podróżuje na niej dziewięć osób. Usiedliśmy na dziobie, a wszyscy udawali, że nie zwracają na nas uwagi, choć nie przychodziło im to łatwo. Odkąd poznałem Antona, nigdy nie widziałem go tak skrępowanego.

- Chodzi o tego faceta, którego uratowaliśmy?

- Chodzi o Nolberta. - Położyłem laptopa na dziobie i uniosłem monitor, na którym wciąż widniał otwarty blog. - Czytaj - powiedziałem, pokazując drugi akapit.

informatorzy w Umie sugerują, że Noiberio Rodriguez był tajnym agentem specjalnej jednostki wywiadowczej, która wchodzi w skład wydziału do walki z terroryzmem. Lokalna policjanadał odmawia komentarzy, zatem nie wiadomo, czy za zamachem stoi Świetlisty Szfak, czy przemytnicy ; którzy mogli zorganizować go w odwecie za sfinansowane przez Stany Zjednoczone i przeprowadzone niedawno ataki dronów w tak zwanej Czerwonej Strefie.

- Wiedziałeś o tym? - spytałem, zamykając laptopa.

- Jasne, że nie - odparł Anton. Jego twarz znajdowała się kilka centymetrów od mojej, a szczerze spojrzenie błękitnych oczu rozwiewało wszelkie podejrzenia. - Myślisz, że wziąłbym tajniaka na wyprawę?

Czarna rzeka

- W takim razie czego u nas szukał?

Anton zabębnił palcami o pokład.

-Z artykułu wynika, że to sprawka partyzantów albo tak? Mozę wkręcił się do nas, bo szukał przykrywki. Chciał sprawdzić, czy działają w tych rejonach.

- A może podejrzewał, że z nimi współpracujemy - powiedziałem, patrząc mu w oczy, - Miał rację?

-Nie.

- A Lorenzo?

- Co z nim?

- Nie zrobił na mnie wrażenia uczciwego biznesmena.

- Lorenzo jest stosunkowo czysty. Handel kokainą zagraza jego Interesom.

Jego argument zabrzmiał wiarygodnie, ale zauważyłem, że Antonowi zadrżała powieka, kiedy mówił. Miałem przecucie, że coś ukrywa.

-Jest Jakieś „ale’*? - zapytałem. - Wciągnąłeś mnie w lo wszystko, więc musisz mi powiedzieć. Czy jest jakiś powód, dla którego policja mogłaby się nami interesować?

Anton odwrócił wzrok i zapatrzył się w rzekę.

- Kiedy pojechaliśmy odebrać broń, Lorenzo powiedział, że jesteś mu winien jakieś pieniądze - dodałem,

- Czyzby?

- Osiemdziesiąt tysięcy dolarów,

Anton obserwował dwie ary, które leoiaty nad naszymi głowami. Czekałem w milczeniu na odpowiedź.

- To on za to zapłacił - powiedział w końcu, stukając palcami w burtę.

- Za tę łódź?

- Za łódź, za prowiant i sprzęt, za wynagrodzenie Pedra i Pabla. Za wszystko.

- Howie powiedział, że to jego fundacja wyłożyła pieniądze.

- Dali nam ostem tysięcy dolarów, z czego większość poszła na broń.

Pociągnąłem z butelki lyk wody, starając się ogarnąć to wszystko.

- Dlaczego Lorenzo cię finansuje? - zapytałem.

- Jest mi winien przysługę - rzekł Anton, ale zorientował się, że me tyknąłem tej wymówki. - Lorenzo skupuje złoto. Głównie z kopalń, ale jeśli trafi mu się jakiś antyk, tez potrafi go upłynnić. Jeśli rozejdzie się wieść, że znaleźliśmy Paititi, Lorenza mógłby opchnąć kilka fantów, mówiąc ludziom, że pochodzą stamtąd. Dobra okazja, żeby zarobić trochę kasy na podróbkach.

- A czemu Interesuje się tym wydział do walki z terroryzmem?

- Antyki to śliska sprawa. Trudno udowodnić ile co jest warte, a w Puerto Tordoya znajdzie sie wielu kupców skłonnych wyłożyć grubą gotówkę, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Pranie brudnych pier> ędzy.

- Posłuchaj, ja nie mam z tym gównem nic wspólnego. Ale jeśli Lorenzo macza w tym palce i jeśli Peruwiańczycy są przekonani, że szukam skradzionych Bkarbbw, być może dodali dwa do dwóch i podstawili! Nolberta. żeby miali na nas oko,

Próbowałem się w tym wszystkim odnaleźć. Musiałem uporządkować nawet myśli i nasuwało mi się jedno oczywiste pytanie.

- A co się stanie, jeżeli znajdziemy Paititi?

-Tym będziemy się martwić, kiedy je znajdziemy.

- Muszę la wiedzieć, skoro jestem tu po to, zęby jakiś baron narkotykowy mógł sobie kupić zrabowane kosztowności.

- Myślisz, że pakowałbym się w to, gdyby mi zalezalo wyłącznie na pieniądzech? Na

Czarna rzeka

miłość boska, więcej bym się dorobił, myjąc podłogę w Mc Do na Id z. e. Zapewniam cię, że wszystko, co znajdziemy w Paititi, zostanie na miejscu albo trafi do muzeum. Jeżeli coś zamierzam sprzedać, to tylko swoją historię

Po chwili wahania postanowiłem uwierzyć w jego słowa. Szczerze mówiąc, gdyby Anton zgarnął dla siebie kilka zabytkowych przedmiotów, nie miałbym nic przeciwka temu. W końcu był poszukiwaczem skarbów, a przynajmniej za takiego go uważałem. Prawdziwy problem stanowili dla mnie handlarze narkotyków, partyzanci i pranie brudnych pieniędzy.

Mimo podmuchów wiatru skwar dawał się nam we znaki i pociliśmy się obficie. Obróciłem się, zęby schronić się w cieniu pod zadaszeniem, ale Anton zastąpił mi drogę.

- Jeszcze jedna sprawa.

Miałem wrażenie, że pot na moim ciele zamienia się w lód. Byłem święcie przekonany, że chce porozmawiać o Drew. Musiał wziąć sobie do serca uwagę Tillmana „Bronisz go, bo facet cały czas gapi się na twoje cycki Zauważyłeś to. szefie?”. Nie zrobiłem nic złego, ale zgrzeszyć można nie tylko uczynkiem, ale i myślą. Wydawało mi BIB, że mam wymalowane na twarzy poczucie winy.

- Chodzi o to. jak umarł Roberto. Nie zauważyłeś w tym nic, no wiesz, podejrzanego?

Usiadłem ciężko na jednym z pojemników na prowiant. Miałem nadzieję, że Anton uzna to za efekt osłabienia upałem.

- Zia powiedziała coś dziwnego - dodał. - Że niby jej zdaniem to nie była śmierć naturalna.

- O niczym takim mi nie wspominała. Czy ona myśli, że to Indianie mogli...,

Anton ściszył głos.

-Jej zdaniem to mógł być jeden z nas.

Przeklinając go w myślach, zerknąłem przez ramię na naszych towarzyszy. Wszyscy udawali, że nas nie widzą.

-Jezu. Ale dlaczego?

- Tego mi nie powiedziała.

Miałem własne podejrzenia, ale nie byłem jeszcze gotowy dzielić się nimi.

- Bzdury opowiada - skwitowałem krótko. - Bez sekcji zwłok nie sposób jednoznacznie stwierdzić, co go zabiło. Ale biorąc pod uwagę jego stan, byłbym bardziej zaskoczony, gdyby przeżył.

- Tez tak myślałem - rzeki Anton. Rozchmurzył się, a w jego oczach pojawił się wyraz ulgi. - Ale musiałem się upewnić. Żadnych czarnych owiec, rozumiesz?

- Żadnych czarnych owiec - powtórzyłem.

18.

- Mogę tutaj zbudować hotel?

- Masz tylko trzynaście domy, a musisz mieć cztery, żeby zbudować hotel.

- Myślałem, że cztery domy to równowartość hotelu.

- Nic podobnego. Najpierw cztery domy, dopiero potem hotel

Graliśmy w monopol. Drew, która przewidziała, że może się zrobić nudno, zabrała sfatygowaną planszę. Tego wieczoru biwakowaliśmy na brzegu i po kolacji daliśmy się jej namówić na partyjkę. Anton był roztrzepany, wszędzie kupował nieruchomości, ale nie korzystał z szansy, kiedy mógł opanować całą dzielnicę, i zapominał o zgarnianiu należnych premii. Dopiero kiedy próbował kupić bezpłatny parking, wyszło na jaw, że

Czarna rzeka

grał w monopol pierwszy raz w życiu.

- Nigdy nie byłeś dzieckiem? - zapytała go kąśliwie Drew.

Anton wziął kartę z zielonym domem i dodał ją do rzędu pozostałych, które już zdobył. Szybko się uczył. Kiedy wyjaśniliśmy mu zasady, zaczął ostro grać, sprzedawał albo zastawiał nieruchomości, których chciał się pozbyć, zagarniał te, na których mu zależało, domy i hotele budował jak Donald Trump. Nigdy nie miał na koncie więcej niż pięćdziesiąt dolarów i jedna wpadka mogła uczynić go bankrutem, ale jakoś zawsze mu się udawało.

- Cztery domy na Machu Piechu,

Mieliśmy amerykańską wersję gry. Kiedy napomknąłem, że wersje wydane w innych krajach mają swoje ulice, Anton wziął długopis i pozmieniał wszystkie nazwy. Marvin Gardęns przemianował na Machu Piechu* Connecticut Avenue zamieniła się w Puerto Tordoya, a z Boardwalk zrobił Paititi. Drew trafiła na to pole w kolejnym okrążeniu, a on zdążył tam wybudować dwa domy.

- Myślicie, że pewnego dnia stanie tam prawdziwy hotel?

- Paititland? - powiedziałem, zerkając na Antona w nadziei, że zrozumie dowcip, ale był zbyt zajęty studiowaniem planszy.

- Właśnie w taki sposób ktoś tam wreszcie trafi - odezwała się Zia. - Kiedy wszystko dookoła zostanie wykarczowane i wypalone, podczas kopania fundamentów pod jakiś apartamentowiec koparka odsłoni ruiny Paititi.

- Bzdura-zaprotestował Tiltman. - Dotrzemy tam jeszcze w tym miesiącu.

- A jeśli nie, przynajmniej będziemy mogli poudawać bogaczy. - Howie uniósł garść dolarów z monopolu.

Anton uniósł wzrok znad planszy.

- Wiecie, kim był pułkownik Fawcett?

Nie wiedziałem. Możliwe, że pozostali o nim słyszeli, ale woleli się nie odzywać, kiedy Anton robił wstęp do jednej ze swoich opowieści

- To brytyjski oficer i podróżnik - wyjaśnił. - Stara, dobra szkoła. Prawie sto lat temu zorganizował wyprawę do brazylijskiej dżungli, gdzie zamierzał szukać zaginionego miasta Z. jak nazywał El Dorado. Nigdy stamtąd nie wrócił. Inne ekspedycje, które wyruszyły w ślad za nim, również przepadły. Wielka medialna tajemnica, podobnie jak sprawa porwania dziecka Lindbergha albo tego samolotu pasażerskiego, który zaginął w zeszłym roku Nigdy go nie odnaleziono.

Przyszła moja kolej na rzut kostką, ale czekałem, aż Anton dokończy swoją opowieść.

- Byłem kiedyś w miejscu, w którym zaginął. Trzydzieści kilometrów dalej biegnie wielka autostrada, a jego koso prawdopodobnie spoczywają pod parkingiem dla ciężarówek.

- A zaginione miasto Z?

- Kompletnie nieporozumienie. Fawcett był przekonany, że kieruje się w stronę pasma górskiego, które w ogóle nie istnieje.

Czy tak bardzo różniło się to od poszukiwań rzeki, której nie ma na Google Earth? Rzuciłem kostką i wylądowałem na polu spółki naftowej, która przedtem była kompanią energetyczną.

- Płacisz dwie stówki-oznajmił Anton. Był bezwzględny i ogrywał mnie ze złośliwą satysfakcją, jak ja mojego młodszego brata przed laty. W następnej kolejce stanąłem na polu Kasy Społecznej. Wziął kartę ■ odczyta! mi ją: - Ktoś dał ci koc. Dostajesz dziesięć dolarów. Niestety, koc jest zakażony węglikiem. Umierasz i tracisz wszystkie nieruchomości.

Czarna rzeka

- Pokaz mi to. - Wyrwałem mu z reki sfatygowana kartę. - Tu jest napisane, że mam urodziny.

Drew cmoknęła mnie w policzek

- Wszystkiego najlepszego.

- Właśnie takie rzeczy robili zbieracze kauczuku i poszukiwacze złota - wyjaśnił Anton. - Latali nad dżunglą i wypatrywali wioski, a potem zrzucali pakunki z zakażonymi kocami. Indianie je brali i po trzech miesiącach nie było wioski.

Tillman wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wszystkie chwytaki dozwolone, nie? - powiedział z nutą ironii w głosie, ale nikt się nie roześmiał.

- To nieludzkie - obruszyła się Drew.

- A właśnie że bardzo ludzkie. To zachowanie typowe dla naszego gatunku, Widzimy coś, chcemy to mleć i bierzemy, ale biada każdemu, kto nam stanie na drodze. Takie jest prawo dżungli.

- Jesteśmy ponad to - wtrącił Howie.

- Czyżby?

Kiedy mówił, wszyscy wykonali swoje rzuty i kostka znów trafiła w moje ręce. Miałem pecha,

-Paititi -zakraka! Anton. - Płacisz trzy stowy.

-Jestem bankrutem - oznajmiłem, rzucając na planszę resztę swoich banknotów, i wstałem,

- Będziesz teraz opłakiwać swoją klęskę?

- Zostawiłem na łodzi szczoteczkę do zębów.

Ruszyłem w stronę brzegu. Nigdy nie lubiłem przegrywać, lecz nie dotknęło mnie to aż tak bardzo. Nie potrzebowałem też szczoteczki do zębów. Chciałem trochę побыć sam.

Ostrożnie stawiając stopy, przemierzyłem wąski trap i wskoczyłem na pokład. Musiałem dowiedzieć się czegoś więcej o Zii. Ta kobieta była w barze na krotko przed strzelaniną, a potem z marszu zajęła miejsce Nolberta. Nolberta, który był policyjną wtyczką. A potem to ona pomagała mi w przygotowaniu zastrzyków dla Roberta i czuwała przy nim tej nocy, która okazała się jego ostatnia „Powiedziała coś dziwnego. Że niby jej zdaniem to nie była śmierć naturalna”.

A poza tym była narzeczoną tajemniczego doktora Menendeza.

Wszystkie bagaże trzymaliśmy na dziobie. Myszkując między pojemnikami na żywność i kanistrami z benzyną, znalazłem podłużną zieloną torbę z grubego płótna. Suwak nie był zabezpieczony kłódką. Przerzucałem ubrania, starając się nie budzić w sobie niesmaku. Zresztą nie było wiele do oglądania. Zia zabrała tylko kilka zmian odzieży, jakąś powieść i latarkę. Jej apteczka podróżna była wyposażona prawie tak dobrze jak moja. Znalazłem też książkę kucharską.

Usłyszałem dobiegające z brzegu podniesione głosy. Gra zaczynała wywoływać burzliwe emocje, jak to zawsze bywa w przypadku monopolu. Lada chwila Moś mógł się obrazić i porzucić towarzystwo albo zacząć się zastanawiać, czemu tak długo nie wracam.

Szukając po omacku, sięgnąłem głębiej i wyczułem pod palcami leżący płasko na dnie torby cienki notatnik. A może jakieś czasopismo? Przerzuciłem kilka ubrań, wyciągając moje znalezisko. Kiedy rozchylałem okładki, czułem się jak złodziej, ale musiałem zbadać każdy trop.

Moje sumienie trochę się uspokoiło, kiedy zobaczyłem niezapisane strony. Przypuszczalnie Zia miała zamiar prowadzić dziennik, ale nie zabrała się do tego. Ale

Czarna rzeka

kiedy uniosłem notatnik, spomiędzy kartek wypadło kilka skrawków papieru, które rozsypały się po pokładzie. Wycinki z prasy. Zbierając je. wodziłem wzrokiem po nagłówkach. Wyglądało na to. że wszystkie pochodzą z gazety wydawanej w Puerto Tordoya.

Spółka naftowa finansuje pływający szpital.

Nowatorski program opieki zdrowotnej dta

Prowadzący kampanię lekarz obiecuje podwoić wskaźnik szczepień.

Ekspedycja Menendeza spieszy z pomocą na skraj świata.

Wszystko na dobrej drodze - Menendez płynie do źródeł Pachacamac.

Pływający szpital tonie w tajemniczych okolicznościach.

Ani śladu po ekspedycji Menendeza

Pierwszy z artykułów pochodził sprzed dwóch tal. Była to wiadomość dnia, pod wydrukowanym grubą czcionką nagłówkiem widniała duża fotografia, na której szeroko uśmiechnięci dygnitarze przecinają wstęgę przed wejściem na lśniąca nowością tódź. Minęła chwila, nim rozpoznałem w niej zatopiony wrak, na którym bawiły się dzieci w Puerto Tordoya.

Burmistrz Puerto Tordoya dokonał oficjalnego otwarcia pływającej przychodni, która będzie zapewniać opiekę zdrowotną ludności zamieszkującej tereny wzdłuż rzeki, jak również mieszkańcom miasta. Wyp osazeme przychodni zapewniło konsorcjum naftowe Cajamarca w zamian za udzielenie zezwolenia na poszukiwania ropy i gazu w regionie Amaru Mayu. Ośrodkiem kieruje doktor Felix Menendez, poprzednio związany ze Światową Organizacją Zdrowia i znany z udziału w akcji na rzecz szczepienia dzieci.

Jak mówi Bob Mallick, przedstawiciel konsorcjum Cajamarca odpowiedzialny za to przedsięwzięcie: „Nasza firma dokłada wszelkich starań, aby sprostać najwyższym standardom ochrony środowiska i świadczeń społecznych, przed jakimi staje branża wydobywcza. Przychodnia ta jest namacalnym dowodem naszego zaangażowania, gdyż chcemy być dobrymi sąsiadami w naszym nowym otoczeniu, przynosząc trwale korzyści lokalnej społeczności. Mamy dalekosiężne plany i jesteśmy dumni ze współpracy z doktorem Felisem Menendezem pionierem opieki zdrowotnej na tych terenach”.

Pomyślałem o wiosce Esperanza, zdziesiątkowanej i porzuconej, kiedy budowa rurociągu dobiegła końca. Zastanawiałem się, czy jej mieszkańcy wiedzieli, że korzystają ze świadczeń społecznych na najwyższym poziomie.

Artykułów było dużo więcej, ale nie potrafiłem czytać po hiszpańsku dostatecznie szybko i obawiałem się, że moja dfuga nieobecność w końcu wyda się komuś podejrzana. Przerzucałem wycinki w pośpiechu, omiatając wzrokiem nagłówki i zdjęcia. Większość wyglądała na doniesienia o postępach w działalności przychodni - uśmiechnięci pacjenci, uśmiechnięci lekarze, uśmiechnięte dzieci z plastrami na ramionach i lizakami w buziach. Jedno ze zdjęć przykuło moją uwagę. Przedstawiało grupę mężczyzn i kobiet otaczających Felixa Menendeza. Była wśród nich Zia ubrana w fartuch pielęgniarki. *Doktor Menendez i jego personel świętują z okazji przyjęcia dziesięć tysięcy pacjenta - głośni!* tytuł.

Dziewięć miesięcy temu uwaga reporterów skierowała się w inną stronę.

Czarna rzeka

W swojej pionierskiej kampanii na rzecz zdrowia publicznego doktor Felix Menendez stanie na czele ekspedycji która zepuści się w giąb rezerwatu Indian Mashco-Piro, podążając w górę Rio Pachacamac. Celem tego ambitnego przedsięwzięcia jest profilaktyka zdrowotna.

W rozmowie z reporterami doktor Menendez oświadczył: „Koncepcja dziewiczych Indian jest błędna. Drwale, poszukiwacze złota* przemytnicy narkotyków i naukowcy na usługach wielkich korporacji już od dawna działają na terenie rezerwatu. W niektórych miejscach rurociąg Cajamarca przebiega zaledwie kilka kilometrów od siedzib tubylców. Kontakt z cywilizacją jest nieunikniony, a historia uczy nas, że kiedy dochodzi do takiego kontaktu, zawsze odbija się to na stanie zdrowia lokalnej społeczności. Celem tego przedsięwzięcia jest uodpornienie Indian żyjących w rezerwacie za pomocą specjalnie opracowanych szczepionek i bez ingerencji w ich styl życia. Różnica między naszą akcją a podejmowanymi wcześniej przez rząd i sektor prywatny działaniami polega na tym, że nie chcemy wprowadzać dzikich Indian do cywilizowanego świata. Chcemy, żeby byli przygotowani, kiedy ten świat przyjdzie do nich”.

Jednak pewien lekarz kierujący prozdrowotną organizacją pozarządową wyraził wątpliwości co do tej inicjatywy Zastrzegając sobie anonimowość powiedział: „Zamierzenia doktora Menendesa są godne pochwały, ale istnieją poważne przeszkody natury logistycznej. Mówimy o najbardziej niedostępnych i nie od kry tych rejonach dżungli. A co najważniejsze, jak dotrzeć do Indian, nie narażając ich na te same choroby, przed którymi chcemy ich chronić?”.

Późniejsze artykuły świadczyły o spadku zainteresowania. Były coraz krótsze i dzieliły je większe odstępy czasu. Nie było już zdjęć uśmiechniętych dzieci. Nawet sprawę tajemniczego zatonięcia pływającej przychodni potraktowano po macoszemu, poświęcając jej zdawkową notatkę ukrytą wewnątrz numeru. Jakby ktoś chciał to zataić.

Ostatni artykuł pochodził sprzed trzech miesięcy. Pojedyncza kolumna, żadnych zdjęć.

Wczoraj wieczorem przedstawiciele władz potwierdzili, że nie mają kontaktu z ekspedycją Menendesa. Oficjalny komunikat zamieszczony na stronie internetowej Ministerstwa Zdrowia głosi: „Ekspedycja była dobrze wyposażona i prowadzili ją doświadczeni przewodnicy Wciąż nie tracimy nadziei na jej powrót”.

Na brzegu rozległ się trzask łamanej gałązki. Gra zapewne już się skończyła i ktoś szedi w stronę łodzi. Schowałem wycinki do notatnika, który wepchnąłem z powrotem do torby i postawiłem nogę na trapie. W tej samej chwili zobaczyłem Zię schodzącą ze skarpy.

- Długo cię nie było.

- Opłakiwałem przegraną - odparłem, zmuszając się do uśmiechu. - Potrzebowałem trochę samotności.

Zeskoczyłem z trapu i odsunąłem się na bok, robiąc jej przejście, lecz ona ani drgnęła.

- Musimy pogadać - oznajmiła.

Zakląłem w duchu. Czyżby widziała, że myszkuję w jej torbie?

- Nie ma sprawy.

Czarna rzeka

Dala mi znak, żebym wrócił na łódź. Cóż mogłem zrobić? Wszedłem na pokład, zmuszając się, by nie patrzeć w stronę zielonej płóciennej torby. Co teraz? Wyobraźnia podsuwała mi szalone scenariusze, które kotłowały się w mojej głowie. Zastanawiałem się, czy ktoś na brzegu usłyszy mój krzyk, kiedy będę wzywał pomocy.

- O co chodzi? - zapytałem, siląc się na naturalny ton.
- O Roberta.

Byłem zbyt zaskoczony, żeby poczuć ulgę.

- Co takiego?
- Jakie mu dałeś zastrzyki?

Próbowałem zebrać myśli. Czułem krople potu spływające po moim nosie.

- Dwa razy diacetylmorfinę i dwa razy antybiotyk.
- Gdzie się wkłuwalesz?
- W rękę. Po dwa razy w prawe i w lewe ramię.

“ I to wszystko?

Pokiwałem głową. Jej pytania zmierzały w kierunku, który budził mój niepokój.

- Kiedy umarł, miał ślad po piątym wkłuciu - dodała. - W żyłę na prawym przedramieniu.

- Nie miałem o tym pojęcia.

Zia przyglądała mi się badawczo przez dłuższą chwilę. Starłem się zachowywać swobodnie, co nie było łatwe, kiedy leżała przede mną jej torba, w której przed chwilą grzebałem.

- Kto prócz ciebie ma igły? - zapytała.
- Na przykład ty.
- Ja? Myślisz, że zależałoby mi na jego śmierci...? - Zawiesiła głos. Cokolwiek zamierzała powiedzieć, zmieniła zdanie. - Gdyby tak było, me rozmawiałabym teraz z tobą.

- Mozę ukąsił go jakiś owad?
- Jestem pielęgniarką i wiem, jak wygląda ślad po zastrzyku.

Uniosłem rękę w pojedynczym geście. Wciąż starałem się nie patrzeć w stronę jej torby.

- Myślisz, że dostał za mocną dawkę?
- Nie wygłupiaj się. Taka dawka, jaka mu podałeś, nie zaszkodziłaby nawet myszy.
- Starłem się nie przesadzić.

Nagle dotarło do mnie z całą mocą, jak bardzo cuchnę. Zapragnąłem znaleźć się na otwartej przestrzeni i odetchnąć świeżym powietrzem. Ale najbardziej pragnąłem odkryć, co się tutaj, do cholery, dzieje.

- Wiesz, czego nie jestem pewna? Czy tytko grasz, czy rzeczywiście jesteś taki tępy, na jakiego wyglądasz - powiedziała Zia i spojrzała na zegarek. - Lepiej wracajmy, zanim ktoś pomyśli, że się tu pieprzamy.

19.

Mówi się, że patrząc dostatecznie długo na to samo, możemy dostrzec dużo więcej. Po sześciu dniach podróży, otoczony ze wszystkich stron przez nieprzenikloną ścianę dżungli, chyba zaczynałem tego doświadczać. Nie tak jak Fabio, który potrafił wypatrzeć małpę albo kapibarę w zaroślach na przeciwległym brzegu. Nie jak Pedro, który przez osiem godzin bezbłędnie sterował łodzią, kłucząc między pływającymi pniami, mieliznami i zdradliwymi wirami. Ale udawało mi się to na tyle, że mogłem poczynić pewne spostrzeżenia.

Czarna rzeka

Odkąd wptynęliśmy na wody Rio Pachacamac, świat dookoła stał się dzikszys. Rzeka była węższa i głębsza, a piaszczyste skarpy na brzegu wznosiły się miejscami nawet ha dziesięć metrów, przez co odnosiłem wrażenie, jakbyśmy płynęli dnem kanionu. Korony zwalonych drzew zwieszały się nad wodą niczym potężne dłonie, które próbują nas powstrzymać. Dzikich zwierząt było tak dużo, że już nie rzucałem się po aparat za każdym razem, gdy Fabio coś zauważył! Podziwiałem jaskrawe ary, tapiry, kapibary, żółwie, a nawet czarno-żółtą anakondę, która wygrzewała się zwinięta na plaży. Każdego ranka budziły mnie dobiegające z drzew wrzaski albo zawodzenia małp, a często widywaliśmy odcisnięte w błocie ślady jaguara. Niektórzy płacą grube pieniądze za takie safari.

Patrząc dostatecznie długo na tych samych ludzi, również możemy zobaczyć dużo więcej. Od czasu mojej rozmowy z Zią trzymałem się od niej w bezpiecznej odległości. Czy rzeczywiście na przedramieniu Roberta znajdował się ślad po piątym zastrzyku? Niczego takiego nie zauważyłem. To mogła być jakaś stara rana, ukąszenie albo zadrapanie. Albo Zia zmyśliła to wszystko, żeby zbić mnie z tropu.

Obserwowałem również Howiego. Było dla mnie zagadką, co tak naprawdę robił w wiosce tamtej nocy - kiedy go o to spytałem, zarumienił się i bąknął coś o badaniach lingwistycznych. Potem widywałem go rzadziej. Złapał jakieś zatrucie i większość czasu spędzał, wypinając się za burtę, albo błagał Antona żeby dobił do brzegu, gdzie mógłby pobiec w krzaki i przykucnąć. Twierdził, że to wina jedzenia, choć oprócz niego nikomu nic nie dolegało. Miał jeszcze jeden powód do narzekań.

Oczywiście Fabio też był w wiosce tamtej nocy. Anton, Drew i Tillman rozmawiali do późna, siedząc na łodzi zacumowanej sto metrów dalej. Nie wspominając o mieszkańcach wioski, którym nie brakowało powodów, aby nie darzyć białych przybyszów sympatią.

Na tym etapie dałem za wygraną. Nie licząc Howiego, wszyscy byliśmy zdrowi i posuwaliśmy się naprzód. Znalazłem się w jednym z najbardziej odludnych i najbardziej malowniczych miejsc na ziemi, gdzie goniłem za marzeniami o zaginionych miastach i bajecznych skarbach. Nie chciałem sobie tego obrzydzać. Próbowałem nie myśleć o tym, co się stało z Menendezem.

Kajmany wciąż napawały mnie przerażeniem. Było ich pełno; przemykały zwinnie wśród fal albo wygrzewały się w słońcu na brzegu, leżąc nieruchomo jak kłody. Pewnej nocy poświeciłem latarką w stronę rzeki i zobaczyłem dziesiątki czerwonych oczu, które lśniły tuż nad powierzchnią wody, wpatrując się we mnie. Na ich widok zawsze przypominałem sobie, jak czytałem Peggy bajkę *Olbrzymi krokodyl*.

- Czy tylko mi się wydaje, czy one robię się coraz większe? - zapytałem Fabia pewnego dnia, gdy obaj pełniliśmy dyżur na dziobie, lustrując rzekę przed nami. w poszukiwaniu mielizn i pływających pni.

Fabio pokiwał głową.

- Wszystkie zwierzęta są tutaj większe. Bo nie ma ludzi - odparł, po czym wychylił się nad relingiem i wskazał bosakiem na jednego kajmana, potężną bestię, która mogła mieć co najmniej sześć metrów długości. - Widzisz go? Wygląda jak Tillman, nie?

Sięgnąłem po lornetkę. Oglądając gada w powiększeniu, poczułem się trochę nieswojo. Patrzyłem na tępo zakończoną paszczę, parę osadzonych blisko siebie oczu

1 potężny tułów, który kotłował się niezdarnie na krótkich łapach.

- Uderzające podobieństwo.

- Widzicie coś ciekawego?

Tillman stał za naszymi plecami. To było do przewidzenia. Wpatrywałem się w rzekę, zęby nie zauważył, jak usiłuję powstrzymać wybuch śmiechu.

Czarna rzeka

- Wypatrzyłem kajmana, który wygląda jak ty - rzekł Fabio.

Amerikanin odebrał mi lornetkę.

- Ale kawał skurwiela - burknął.

Ruszył z powrotem na swoje miejsce i zdążył już trochę się oddalić, kiedy Fabio mruknął pod nosem:

- Brzydki i leniwy.

Ale Tillman to usłyszał. Obrócił się z taką zwinnością, o jaką nigdy bym go nie podejrzewał, i rzucił się w stronę naszego przewodnika. Stałem między nimi i przez sekundę rozważałem, czy nie ratować się skokiem dowody.

Fabio uniósł bosak, zamierzając się nim jak harpunem.

- Będziesz kąsał, krokodylu?

Tillman zatrzymał się gwałtownie. W jego oczach malowała się żądza mordy. Wyciągnął rękę, chcąc złapać bosak, ale Fabio cofnął go gwałtownie jak wędkarz, który wabi rybę, podrywając błystkę.

Wszyscy zerwali się na równe nogi. Anton przepchnął się do nas. dopadł Tillmana i chwycił go za ramiona.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz?

Fabio opuścił bosak. Korzystając z okazji, schroniłem się za jego plecami.

- To tylko żarty.

- Odje bał o wam? Myślicie, że to zabawa? Mieliście obserwować rzekę.

- Jest czysto - odparł Fabio.

Potem dodał coś po hiszpańsku. Zbyt szybko, żebym zdążył zrozumieć, ale Tillmanowi to wystarczyło. Wyrwał się z rąk Antona i doskoczył do przewodnika. Po krótkiej szamotaninie rozległ się głośny plusk, a bosak z brzękiem uderzył o deski. Fabia me było na pokładzie. Wypadł do wody.

- O, Jezu! - Anton odwrócił się i machając gorączkowo, krzyknął do Pedra: - Na prawo! Na prawo!

Sternik postusznie zakręcił kołem. Złapałem bosak i wychyliłem się za burtę, zęby dosięgnąć Fabia, ale on zdążył już odплыnąć dość daleko. Koryto rzeki było zbyt wąskie, aby łódź mogła zawrócić. Wszyscy krzyczeli i miotali się po pokładzie. Ktoś rzucił na wodę kamizelkę ratunkową, ale upadła zbyt daleko i porwał ją prąd.

Nagle cała łódź zadrżała. Wstrząs był tak silny, że omal nie zrzucił mnie z pokładu. Upuściłem bosak i kurczowo zacisnąłem dłoń na relingu. Nawet Tillmana ścięło z nóg i tylko Anton stał prosto, przytrzymując się oburącz rozporek, które podpierały burtę.

- Wpadliśmy na mieliznę - powiedział.

Mówi spokojnym tonem, ale ciężko dyszał. Nawet ja zauważyłem, że sytuacja jest poważna. Płynąc w górę Pachacamac, kilka razy otarliśmy się kadłubem o płytkie dno, ale zawsze udawało nam się prześliznąć. Tym razem utknęliśmy w miejscu. Silnik to się krztusił, to znów zawodził przeciągle i kiedy Pedro go wyłączył, zdawało się, że skrócił cierpienia rannego zwierzęcia.

Pablo rzucił kotwicę, choć wydawało się to zbyteczne. Po chwili na pokład wgramolił się Fabio. Myślałem, że znów wezmą się z Tillmanem za lby, lecz obaj poprzestali na wymianie morderczych spojrzeń.

- Sprawdź, czy kadłub nie przecieka - zwrócił się Anton do przewodnika. - A ja rzucę okiem na śrubę.

Przebrał się w kąpielówki, założył maskę do nurkowania i trzymając wodoszczelną latarkę, ześliznął się do czarnej wody. Siedziałem na burcie, wypatrując kajmanów i węży.

Czarna rzeka

- Tak naprawdę trzeba uważać na wandelię - odezwał się Titlman. - Taka rybka może podpłynąć do twojego fiutka i wbić w mego zęby.

Skrzywiłem się z niesmakiem.

Anton trzy razy schodził pod wodę. Kiedy wynurzył się po raz ostatni i zdjął maskę, wyglądał na zadowolonego.

- Usiedliśmy na mieliźnie, ale śruba wygląda na nieuszkodzona, a to dobry znak

Pokasana przez komary twarz Howiego pobladała.

- Popłyniemy dalej?

- Oczywiście - odparł Anton i wspiął się z powrotem na pokład. Drew podała mu rącznik - Wyładujemy sprzęt, a wtedy prąd zniesie łódź.

- Mówiłeś, że poziom wody opada z każdym dniem.

Anton wzruszył ramionami.

- Wystarczy jedna porządną burza i będzie po wszystkim.

Przez resztę dnia opróżnialiśmy Sierra Mądre przewożąc nasze zapasy szalupa na brzeg. Żmudna praca wyciskała z nas siódme poty. Nie zdawałem sobie sprawy, ile rzeczy ze sobą zabraliśmy. Mnóstwo worków z żywnością, beczki z paliwem, plecaki i sprzęt biwakowy, dmuchane tratwy, pilę łańcuchową, dwie skrzynie z bronią i ciężkie torby, które przywiózł ze sobą Howie. Miałem ochotę zajrzeć do środka, ale suwaki wciąż były spięte kłódką.

Kiedy skończyliśmy, słońce chyliło się ku zachodowi, a na plaży piętrzyła się góra ekwipunku. Patrzyłem na nią i przeraziłem się na samą myśl, że następnego dnia będziemy musieli załadować wszystko z powrotem na pokład. A jeżeli znów przytrafi nam się to samo? Rzeka stawała się coraz płytsza i mogliśmy stracić całe tygodnie, przewożąc wszystko na brzeg i z powrotem za każdym razem, kiedy łódź osiadł na mieliźnie.

Tillman otworzył jedną ze skrzyń, wyjął z niej strzelbę i zaczął wsuwać naboje do magazynka. Widząc bron w jego rękach, poczułem niepokój.

- Co robisz?

- Idę zapolować - odparł i potoczył wzrokiem dookoła, jakby czekał, że ktoś mu się sprzeciwi.

- Uzgodniliśmy, że będziemy polować tylko w razie konieczności - zaproponowała Drew. - Nie przyjechaliśmy tu po to, żeby wybijać miejscową faunę,

- A ja nie przyjechałem tu po to, żeby codziennie jeść ryz.

- Jeśli Indianie usłyszą strzały, mogą się nami zainteresować - odezwał się Fablo.

Spojrzałem z obawą w stronę drzew. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że możemy mieć towarzystwo. Od czasu opuszczenia Esperanzy nie widzieliśmy w okolicy żywego ducha.

Drew spojrzała na Antona.

- Zamierzasz mu na to pozwolić? - spytała.

Anton się zawahał. Jego niezachwiana pewność siebie na chwilę znikła i zauważyłem, że wygląda na zmęczonego. Nie chciał urazić swojej dziewczyny, ale też nie znosił, kiedy inni mówili mu, co ma robić.

- Idź - zwrócił się do Tillmana. - 1 weź ze sobą Fobia.

- Świetny pomysł - mruknął Howie na tyle cicho, że nikt oprócz mnie go nie słyszał, - Posyłać tych dwóch do lasu ze strzelbą.

- I staraj się nie strzelać do chronionych gatunków - dodał Anton.

Rozbiliśmy obozowisko na brzegu. Howie i ja nazbieraliśmy drewna, a Zia rozpałała ognisko. Raz czy dwa z głębi dżungli dobiegło nas echo strzałów. Słyszając je, Drew

Czarna rzeka

wzdrygała się za każdym razem. Nic nie mówiła, ale napięcie między nią i Antonem wpływało na nas wszystkich. Staralem się o tym nie myśleć.

Było już ciemno, kiedy nasi myśliwi wrócili. Upolowali pękaci i przynieśli je w klasyczny sposób, przywiązane za nogi do kija. Głowa zwierzęcia kołysała się miarowo w rytm ich kroków, a z poderżniętego gardła kapłała krew. pozostawiając ślad na piasku. Gryzący dym. won krwi i migotliwy blask ogniska obudziły we mnie jakieś prymitywne instynkty. Każdy jaskiniowiec poczułby się swojsko na moim miejscu.

Tillmana wciąż jeszcze rozpieęły emocje.

- Ustrzeliłem skurwiela - chwalił się wszystkim, którzy mieli ochotę go słuchać. - Bang. bang i gotowe.

Fabio oprawił zdobycz - na szczęście mrok oszczędził nam widoku jatki - a Zia nadziała ją na rożen i zawiesiła nad ogniskiem. Raz po raz rozlegał się syk skapującego tłuszczu. Sam zapach wystarczył, bym zapragnął wziąć strzelbę i samemu coś upolować.

Tej nocy urządziliśmy ucztę. Nawet Drew zapomniała o swoich obiekcjach co do polowania i przyłączyła się do nas. Wciąż mieliśmy sporo piwa, którego sobie nie żałowaliśmy, bo Anton powiedział, że to dla Sierra Mądre zbędny balast. Nikt (ego nie powiedział, ale wszyscy mieliśmy wrażenie, jakby to była ostatnia noc wakacji. Było oczywiste, że już dalej nie damy rady popłynąć. Nawet jeżeli uwolnimy się z tej mielizny, utkniemy na następnej. Anton wpatrywał się w mapę jak hazardzista w tabelę wyścigów, ale nie mógł zmienić ukształtowania terenu. Od wodospadu nadal dzieliło nas co najmniej czterdzieści kilometrów.

Dystans czterdziestu kilometrów nie wydaje się ogromny. W normalnych warunkach można go pokonać na piechotę w ciągu dnia albo przejechać w dwadzieścia minut po gładkiej szosie. Ale w dziczy porośniętej gęsto drzewami, gdzie nie ma ścieżek i ani skrawka otwartej przestrzeni, odległości nabierają zupełnie innego wymiaru.

Kiedy jedliśmy i piliśmy, Fabio umiłał nam czas, grając na gitarze, a potem Tillman puścił muzykę z magnetofonu, który zabrał ze sobą. Był to jeszcze jeden relikwiarz lat osiemdziesiątych. Drew wstała i zaczęła tańczyć, wirując z zamkniętymi oczami w blasku płomieni. Całkowicie bez skrępowania, jakby wzięta sobie do serca tę ckliwa maksymę drukowaną na kartkach urodzinowych: „Tańcz tak, jakby nikt nie patrzył”. Przyłączył się do niej Anton, a po dłuższej chwili również ja. Drew kołysała się między nami i we troje pograżaliśmy się w swoim małym wszechświecie,

Fabio i Zia też me zamierzali siedzieć beczynnienie i niebawem wszyscy pływaliśmy na plaży. Dźwięki muzyki niosły się po wodzie. Tillman dorzucił kolejne polano do ognia i na moment zapomnieliśmy o dżungli i rzece. Nawet komary trzymały się z daleka - zapewne odstraszył je dym, a może wymyślne figury taneczne Antona.

Później, kiedy ognisko zaczynało już przygasać, zmęczony osunąłem się na piach obok Drew. Jej twarz promieniowała, a na policzkach płonęły rumieńce

- Naprawdę świetnie tańczysz - powiedziała.

Pablo ustawił głośniejszą muzykę i musiała przysunąć się do mnie, żebym ją słyszał. Jej twarz dzieliło od mojej zaledwie kilka centymetrów. Niebezpiecznie blisko, zwłaszcza gdy w naszych żyłach buzował alkohol.

Kiedy zbliżamy się do kogoś tak bardzo, wszystko się zaciera. Granice, które wytyczyłem w mojej głowie, teraz nie były już tak wyraźne, jak w świetle dnia. Mogłem niemal...

Nagle coś ukiulo mnie w policzek. Odruchowo pacnąłem się dłonią, myśląc, że to komar, i poczułem wilgoć pod palcami. Alenienie była to krew. Poczułem kolejne ukłucie, a potem jeszcze jedno, w czubek głowy. Drew usiadła i rozpostarła ręce

Czarna rzeka

- Czy to deszcz?

Gdy wszyscy zbiegliśmy na brzeg, ujrzeliśmy kręgi rozchodzące się na powierzchni wody.

- Nie powinniśmy wrócić na łódź? - zapytał Howie.

- Uptynie kilka godzin, zanim rzeka wzbierze - odparł Anton. - Teraz trochę się prześpimy, ale najpierw musimy wszystko zabezpieczyć.

Okryliśmy nasz ładunek plandeką. Pedro i Pablo przeprawili się na pokład Sierra Mądre, na wypadek gdyby w nocy rzeka zaczęła ją znosić. Dla pewności przywiązaliśmy fódz długą liną do drzewa na brzegu, zęby nie odplynęła z prądem. Uznaliśmy, że dwaj członkowie załogi, kotwica i cuma stanowią wystarczające zabezpieczenie.

- Lekka przesada jak na łódź, która osiadła na mieliźnie - rzekł Howie.

Tej nocy zasypiałem przy akompaniamencie kropel bębniących o płachtę nad moją głową. Zapadając w sen, zdążyłem jeszcze pomyśleć o twarzy Drew. która znalazła się tak blisko mojej.

Kiedy się obudziłem, miałem wrażenie, że śnie. Ziemię okrywał gruby tuman mgły, która unosiła się znad rzeki i szczelnie wypełniała przestrzeń między drzewami. Mgła była tak gęsta, że ledwie widziałem własne stopy. Moi towarzysze wciąż jeszcze leżeli w swoich hamakach, które wisały rozpięte między drzewami jak kokony. Już nie padało, ale wciąż dał się słyszeć plusk kropel ściekających z liści.

Wysikałem się za drzewem i zszedłem na brzeg, zęby umyć ręce, W ciągu nocy rzeka sporo przybrała; wodazblizyla się o metr do sterty naszego ekwipunku.

Zaciekawiony, czy nocny deszcz uwolnił naszą łódź z potrzasku, uniosłem wzrok. Przez chwilę zastanawiałem się, czy mgła nie spłatała mi figla. Potem pomyślałem, że być może faktycznie jeszcze śnię. Albo przyszedłem w inne miejsce. Ale wtedy zobaczyłem przywiązaną do drzewa linę, której drugi koniec unosił się luźno na falach. Sierra Mądre zniknęła.

20.

- Perfidni, zakłamani, przekłęci skurwiele. - Titlman kopnął puszkę po piwie, która poszybowała nad plażą, wylądowała na wodzie i odplynęła niesiona prądem. - Mówiłem ci, żebyś im nie ufał. Ci faceci od początku m< się nie podobali.

Anton wzruszył ramionami Przyjął to z niewiarygodnym spokojem Chyba byłem bardziej wzburzony, kiedy ktoś wybił mi szybę w samochodzie.

- Dopłynęli z nami aż tutaj.

- A potem się na nas wypięli. Gnoje w mordę kopane.

- Niewiele to zmienia. Rzeka jest coraz płytsza i prawdopodobnie popłynęlibyśmy najwyżej jes2cze dzień. A poza tym zostawili nam szalupę. Pomieścimy się w niej wszyscy wraz z zapasem paliwa, który wystarczy nam na dopłynięcie do wodospadu.

Nie wierzyłem własnym uszom.

- O czym ty mówisz?

- O Paititi - odparł Anton z uśmiechem. - Chyba nie myślisz, że się poddamy tylko dlatego, że ukradli nam łódź?

Coś we mnie pękło.

- Właśnie myślę, że powinniśmy dać sobie spokój. Ile kilometrów przepłynęliśmy? A teraz w drodze powrotnej jesteśmy zdani tylko na tę szalupę i jeszcze może nam zabraknąć paliwa. Musimy natychmiast wracać.

- Możemy wrócić w inny sposób,

Czarna rzeka

- W workach na zwłoki, jeśli ktoś w ogóle nas znajdzie.

-Wszystko będzie dobrze.

Rozejrzałem się dokoła, poszukując wsparcia.

- Czy tylko mnie zależy, żeby wyjść z tego ca+o?

Wszyscy unikali mojego spojrzenia.

- Cipa - mruknął Tillman, nie starając się nawet ściszać głosu.

- Howie? - zapytałem.

Wpatrując się w czubki swoich butów, lingwista bąknął coś o tym, jak daleko już dotarliśmy.

- Drew?

Zeszłej nocy jej twarz była tak blisko mojej, ale teraz wydawała się oddalona o setki kilometrów.

- Ile paliwa możemy zabrać? - odezwał się Fabio.

Wszyscy spojrzeliśmy w stronę szalupy, która nie prezentowała się zbyt imponująco.

- Mamy jeszcze pontony. - Anton wyciągnął ze sterty sprzętu plastikowy rulon wielkości kłody drewna. - Wystarczy napompować takie maleństwo i można na nim przewieźć byka. Załadujemy na nie sprzęt k będziemy je holować za szalupą.

Rzucił mi zwinięty ponton, który okazał się niewiele cięższy od śpiwora.

- A jeśli to wszystko zatonie? - spytałem. - Nie mam zamiaru skończyć na pniu drzewa jak Roberto.

Zauważyłem, że przynajmniej Howiemu i Zii ten argument trafił do przekonania. Tillman pogardliwie wydał usta. Miałem wrażenie, że cała ta sytuacja tak naprawdę go cieszy, bo daje mu okazję do pozwania na twardego.

- A co powiecie na taką propozycję? - rzeki Anton. - Będziemy płynąć, dopóki nie zabraknie nam benzyny. Jeżeli znajdziemy wodospad i znaki na skale, o których pisał Alvarado, zastanowimy się, co robić dalej. Jeżeli nie, wrócimy tutaj, uzupełnimy paliwo i popłynemy do Puerto Tordoya.

Wsunąłem rękę do kieszeni i wymacałem lokalizator satelitarny, z którym się nie rozstawałem. Miałem ochotę uruchomić go w tym momencie, ale zdołałem się oprzeć tej pokusie.

- Jeśli do tego dojdzie, znajdziemy się w domu znacznie szybciej, bo z powrotem popłyniemy z prądem - dodała Drew.

- Jestem pewien, że Roberto myślał tak samo.

Napompowaliśmy pontony i załadowaliśmy na nie hamaki, kuchnie połową, plecaki, peleryny i buty. Przelaliśmy paliwo z beczek do kanistrów i ustawiliśmy je w szalupie, a na nich spoczęły worki z makaronem, mąką i ryżem. Znalazło się tam również miejsce dla broni, amunicji i maczet. Przygotowania zajęły cały ranek.

-W dżungli można przeżyć bardzo długo, jeśli zajdzie konieczność - oznajmił Anton

- Pod warunkiem, że masz maczetę. Bez niej nie zrobisz nawet kroku.

Zaniosłem do szalupy apteczkę. Howie chciał zabrać swój bagaż, co doprowadziło do wścieklej awantury z Antonem. Byłem zajęty pakowaniem i stałem dosyć daleko, więc umknął mi początek burzliwej wymiany zdań. Usłyszałem tylko, jak Anton krzyczą::

- Bierzemy tylko to, co jest nam niezbędne do przetrwania! Nie rozumiesz tego?

- Dałem ci osiem tysięcy dolarów na tę wyprawę! - wydarł się Howie. - Więc rób, co ci każe.

- To ja tutaj jestem od podejmowania decyzji.

- Skoro tak, to może zabrać tam, gdzie chcę,

W rezultacie jedna z jego toreb została na plaży, a druga miała popłynąć z nami. Szalupa zanurzyła się kilka centymetrów, kiedy Howie umieścił ją na pokładzie.

Czarna rzeka

Zjedliśmy na lunch wystygłe mięso z ziemniakami i wyruszyliśmy w drogę. Szalupa płynęła w górę rzeki, ciągnąc za sobą trzy pontony. Wszystkie łodzie były niepokojąco głęboko zanurzone, ale ponad połowę naszego ekwipunku zostawiliśmy na brzegu. Ukryliśmy między drzewami zapasowe ubrania, książki, gry, laptop i spory zapas prowiantu, którym mieli żywić się Pedro i Pablo, czekając na nas pod wodospadem. Anton obawiał się, że zwierzęta mogą się do niego dobrać, ale wszystko szczelnie opakowaliśmy i okryliśmy plandeką, którą obciążyliśmy połamanymi konarami. W ciągu następnych dni często myślałem o tej górze jedzenia, a pod koniec wręcz o niej marzyłem,

Prując dziobem czarne fale, płynęliśmy w górę rzeki i wkrótce plaża znikła nam z pola widzenia. Szalupa była tak wypakowana sprzętem, że nie zdołaliśmy wszyscy się w niej pomieścić i ostatecznie czworo z nas musiało zająć miejsce w pontonach. Mowie buntował się, twierdząc, że należałoby tam umieścić żywność, lecz Anton kategorycznie odmówił.

- Jeśli wpadniesz do wody, możesz się wysuszyć. Jeśli prowiant zamoknie, będziemy głodować.

Później, kiedy poczułem na własnej skórze, z czym tak naprawdę wiąże się wędrówka przez dżunglę, zrozumiałem, dlaczego tak uparcie obstawaliśmy przy łodziach. Ale wtedy nie potrafiłem sobie wyobrazić gorszego sposobu podróżowania. Zewnętrzny silnik szalupy zmagał się z przeciwnym prądem, z obciążeniem łodzi i masą pontonów, które holowaliśmy. Pracował z takim mozołem, że obawiałem się, czy to wytrzyma.

Holowanie pontonów okazało się istnym koszmarem. Zarzucało nimi, ilekroć szalupa zmieniała kierunek, co zdarzało się często. W efekcie wszystkie łodzie ustawiały się w poprzek rzeki. Musieliśmy wtedy gorączkowo wiosłować, zęby wyrównać kurs i uniknąć zderzenia z przeszkodą, która pierwotnie zmuszała nas do skrętu.

A było czego unikać. Koryto stawało się coraz węższe, a na każdym zakręcie leżały w wodzie zwalone drzewa. Niektóre były tak długie, że nie dało się ich ominąć, a wtedy Tillman wkraczał do akcji z piłą łańcuchową i stojąc na dziobie, torował nam drogę, podczas gdy Fabio walcząc z prądem, utrzymywał łódź w miejscu. Czasami pień był tak gruby, że musiał się na niego wspinać i spod jego stóp sypały się na nas wióry. Ani razu nie wpadł do wody.

Nawet gdyby Pedro i Pablo nas nie porzucili, Sierra Mądre nie dołynęłaby dużo dalej. Było to jedyne pocieszenie w tej niewesołej sytuacji.

- Ale byłoby miło, gdyby czekali tutaj na nasz powrót - powiedziała Drew

Tłoczyliśmy się razem w jednym pontonie już drugi dzień. Przemierzaliśmy właśnie łatwiejszy odcinek trasy, prosty i wolny od przeszkód. Drew siedziała na dziobie zwrócona twarzą do mnie, podczas gdy ja obserwowałem rzekę u przed nami, patrząc nad jej ramieniem. Wystarczyłaby jedna astra gałąź, żeby nasza wąż gumowa jednostka pływająca poszła na dno.

- Nie sądzisz, że Anton zrobił to celowo? Jak Cortez, który kazał spalić statki, zęby żaden z jego ludzi nie stchórzył.

Powiedziałem to żartobliwym tonem. Nie byłem pewien, czy moje podejrzenia są całkowicie nedorzeczne. Ta myśl nie dawała mi spokoju od zeszłego ranka. Zanim wyruszyliśmy w dalszą drogę, zwinąłem przywiązaną do drzewa cumę. Długość liny wyraźnie świadczyła o tym, że została przecięta na brzegu. Być może zrobili to Pedro i Pablo, kiedy zakradli się na plażę, żeby ukraść część zapasów, nie zauważyłem jednak, aby coś zginęło.

„Żadnych czarnych owiec - przypomniałem sobie słowa Antona.

Nie wspominałem o tym Drew. Nie chciałem, aby pomyślała, że jest uwięziona

Czarna rzeka

w jednym pontonie z paranoicznym szaleńcem.

- Anion wie, co robi - powiedziała tylko.

Dzień był pogodny. Na środku rzeki, z dala od cienia słońce prażyło niemilosiernie.

Z magnetofonu Tillmana, który płynął w szalupie przed nami. dobiegały dźwięki

Times, Bad Times Led Zeppelin.

Pontonom szarpnęło lekko, kiedy łódź. wchodząc w zakręt, napięła linę, która łączyła naszą małą flotyllę. Zanurzyłem wiosło w wodzie, żeby wyrównać kurs

- Jak się poznaliście?

- Na portalu randkowym.

- Naprawdę?

- Nie wiedziałeś? Teraz wszyscy się tak poznają. - Drew roześmiała się. -

Niezupełnie. Pracowałam w Limie dla organizacji pozarządowej. Pewnego dnia byłam w Ministerstwie Kultury i wpadłam prosto na Antona. Nie sposób było go nie zauważyć - powiedziała, odkładając wiosło, po czym odchyliła się do tyłu i zaczęła rozpinąć guziki koszuli. Skierowałem wzrok ku rzece - Wiesz, jaki on jest. Potrafi zwalić z nóg.

- Racja.

Drew zdjęła koszulę. Pod spodem miała czarny biustonosz na cieniutkich ramiączkach.

- Zaczęliśmy rozmawiać, zaprosił mnie na lunch, a potem opowiedział o Paititi i relacji Alvarada. Mówił z laką powagą i zapałem, że nie mogłam mu się oprzeć. Dopiero następnego dnia rano, kiedy obudziłam się w jego łóżku, wyznał mi, że to wszystko znalazła Megan.

- Megan? - zapytałam, próbując odpędzić od siebie sceny, które podsuwała mi wyobraźnia.

- Jego dziewczyna, ale me byli już razem - wyjaśniła, po czym wyjęła z kieszeni szortów buteleczkę olejku do opalania i zaczęła nacierać sobie ramiona. - Zerwali ze sobą, zanim go poznałam. Anton nie mógł uzyskać potrzebnych zezwoleń i zamierzał wrócić do Stanów.

Zadałem sobie w myślach pytanie, czy Megan postrzegą to tak samo.

- Myślisz, że ten rękopis jest oryginalny?

- Sprawdziliśmy go na wszystkie możliwe sposoby. Badania paleograficzne. analiza lingwistyczna. Nie znaleźliśmy nic więcej na temat Alvarada, ale udało nam się dotrzeć do dokumentów klasztoru, w którym znalazł schronienie. Przeor, którego wspomina w swojej relacji, faktycznie był tam dokładnie w tym okresie. A poza tym te petroglify. Niemożliwe, żeby naszkicował je ktoś, kto nie był u źródeł Rio Pachacamac.

Drew opryskała sobie dekolt olejkami i zaczęła wcierać go w skórę. Skupiłem całą uwagę na wiosle, udając, że koryguję kurs.

- Ale nawet gdyby wszystkie te analizy wykazały, że to mistyfikacja, Anton i tak zorganizowałby tę wyprawę - dodała - Taki już jest,

- Przypuszczam, że wkrótce się przekonamy, jak jest naprawdę.

- Posmarujesz mi plecy? - Drew wręczyła mi buteleczkę i obróciła się tyłem do mnie.

Nachyliłem się w jej stronę, próbując nie rozkołysać wyładowanego po brzegi pontonu.

- Jesteś zadowolony? - spytała.

- No pewnie.

Olejek był lepki i gęsty, więc musiałem się przyłożyć, żeby go rozsmarować. Ciało Drew ugięło się pod naciskiem mojej dłoni.

- Nie żałujesz?

- Żałowałbym, gdybym został w domu.

Czarna rzeka

- I o to chodzi - powiedziała, wyciągając się na dziobie i oparła głowę na splecionych rękach jak rozleniwiony kot. - Wiem, że trochę się pochrzanilo. Nolebcrto potem ten facet płynący na pniu, a teraz Pedro i Pablo Ale nieźle sobie radzisz

Nic nie odpowiedziałem. Byłem zbyt skupiony na kontrolowaniu swoich ruchów. W ciasnym i chybottliwym pontonie moja ręka zbyt łatwo mogła ześliznąć się za daleko.

- Gotowe - oświadczyłem, opierając się z powrotem o gumową burtę.

Mokra koszula kleiła mi się do skóry, a twarz zalewały strużki potu ściekające spod kapelusza. Oddychałem z trudem. Zanurzyłem dłoń w rzece, zęby woda splukwała z niej olejek.

- Nie rób tego - ostrzegła mnie Drew.

Gwałtownie cofnąłem rękę.

- Dlaczego?

- Wepchniesz łapę gdzie me trzeba, to coś ci ją odgryzie.

Po południu zacumowaliśmy przy zwałonym drzewie, zęby zjeść lunch. Chrupaliśmy krakersy z serem, popijając je kool-aidem rozpuszczonym w wodzie z rzeki. Zauważyłem, że moje spodnie stały się luźniejsze w pasie.

-Wiecie, dlaczego Anton każe nam pić kool-aid? - odezwał się Tillman. - Bo chce nas otruć jak Wielebny Jones swoich wiernych.

Anton f zuch w niego kawałkiem krakersa.

- Raczej Indiana Jones, dupku.

- On nie prowadzi nas do Paititi. Idziemy za nim do Jonestown.

- Mozesz mieć pretensje tylko do siebie. Ju2 wypieś.

Znów zapadło milczenie. Wtem Anton wyprężył się. nasłuchując,

- Słyszycie?

- Słyszę tylko brzęczenie owadów - odparł Howie.

- Nie o to chodzi.

Wy tężyłem słuch. Moje uszy złowiły dobiegający z oddali stłumiony pomruk, jakby odgłos dalekiej autostrady.

- Wiatr szumi w drzewach? - spytałem niepewnie.

- To nie wiatr. - Anton obrócił się w stronę silnika i obrócił dźwigenkę przepustnicy.

- Sprawdźmy, co to takiego.

Przełykając ostatnie kęsy, zajęliśmy z powrotem miejsca w łodziach. Za następnym zakrętem koryto rzeki zamieniło się w wąski kanał, a prąd stał się jeszcze bardziej wartki. Warkot silnika odbijał się echem od ściany drzew niczym wrzask tysiąca papug. Skróciliśmy liny między pontonami, żeby ułatwić sterowanie. Wszyscy patrzeliśmy w górę.

Najpierw zobaczyliśmy światło. Juz z daleka widać było jaśniejącą lunę, jak gdyby przez chmury przedarł się promień słońca. Tylko że niebo było bezchmurne. Potem drzewa się rozstały, koryto rzeki stało się szersze, az nagle naszym oczom ukazało się rozległe jezioro otoczone przez gęstą dżunglę. Na jego przeciwległym krańcu wznosiła się wysoka skala, a spadające z niej masy wody uderzały o powierzchnię jeziora z takim hukiem, ze nawet warkot naszego silnika nie był w stanie go zagłuszyć.

- Wodospad - wyszeptała Drew, jakby me wierzyła własnym oczom.

Otarłem policzek, na którym zamiast potu poczułem chłodne drobinki rozpylonej wody. Fabto podpłynął do wodospadu i przyciągnęliśmy pontony blisko szalupy, kołyszając się na granicy spienionej kipieli u podnóża skały. Anton spojrział w górę, mierzając wzrokiem skalny próg, jakby przygotowywał się do rozbiegu przed skokiem o tyczce. Wszyscy przyglądali się badawczo mokrej bazaltowej ścianie, wypatrując wyrytych na niej znaków. Teraz nikt nie myślał o powrocie do domu.

Czarna rzeka

samego szczytu. Wszystkie solidnie tkwiły w skale. Przypiął się do ostatniego z nich i zwisając wysoko nad naszymi głowami, rabał maczetą gąszcz wokół siebie. Kawalki pociętych łodyg i liści spadały na nas jak deszcz

- Widzisz jakieś znaki? - zawołała Drew.

- Tu jest tyle tego gówna, że cały billboard Coca-Coli na Times Square mógłby się pod nim schować! - odkrzyknął i znów zabrał się do dzieła.

Tillman i Fabio popuszczali linę, a Drew wykrzykiwała słowa zachęty. Nie byłem im do niczego potrzebny, zresztą nie sądziłem, aby lada chwila dokonali dramatycznego odkrycia. Miałem wrażenie, że coś tu nie gra. Przysiadłem na głazie i próbowałem sobie wyobrazić, co robił w tym miejscu Diego Atvarado.

Najważniejsze to podchodzić do historii z respektem, traktować ją poważnie.

Alvarado nie miał ze sobą maczety ani sprzętu wspinaczkowego. Dotarł tutaj - jeśli faktycznie był w tym miejscu - po trzynastu dniach wędrówki przez dżunglę. Był osłabiony, głodny i samotny. Nie szukał zaginionego miasta, bo właśnie z niego wracał.

Chwyciłem maczetę Tillmana. która stała oparta o pień drzewa, i zagłębiłem się w las otaczający skaliste wzniesienie. Nikt nie zauważył mojego odejścia. Nigdy wcześniej nie posługiwałem się maczetą, więc mojej technice brakowało finezji, ale samo narzędzie też nie miało w sobie wiele wdzięku. Zamach, cięcie, zamach, cięcie. Rozpierała mnie energia. Spędziłem tydzień na pokładzie łodzi, zdany na łaskę innych, więc czułem się świetnie, mogąc zrobić coś samodzielnie.

Pnie drzew wyrastających z piaszczystej gleby nie były grube. Na ziemi leżała warstwa zeschniętych liści, jak jesienią w angielskim lesie. Wokół mnie brzęczał rój czerwonych much zwabionych wonią potu, którym przesiąkała moja koszula.

Kiedy tu trafisz, staniesz się częścią ekosystemu, potencjalnym łupem. Czy to były sowa Antona? Wydawało mi się, że kiedyś padło z jego ust coś w tym rodzaju.

Wtem moją uwagę przykuł leżący przede mną podłużny kształt. Czyżby wąż? Cofnąłem się gwałtownie i omal nie upadłem, a potem ująłem maczetę oburącz jak samuraj. Z przerażenia wstrzymałem oddech. Zaabsorbowany wyrąbaniem ścieżki, niemal zapomniałem, że jestem w dżungli.

Przez kopulę, którą tworzyły korony drzew nad moją głową, sączyło się trochę promieni słonecznych, ale żaden z nich nie padał na węża, który leżał nieruchomo. Był ukryty w cieniu, ale widziałem, że jest wielki.

- Bu! - huknęła Drew za moimi plecami,

Omala nie przeciąłem jej na pół. Ruchem głowy wskazałem przed siebie.

- Tam jest wąż - wyszeptałem, starając się nie spuszczać gada z oczu.

- Węzo są głuche - powiedziała. - Podobnie jak rośliny.

Przeszła obok mnie, ocierając się o moją nogę, po czym schyliła się, zęby podnieść węża, i pomachała mi mm przed nosem.

- To liano,

Opuściłem maczetę. W głowie dzwoniły mi słowa Cate: „Myślisz, że będziesz ganiał po dżungli, bawiąc się w Indianę Jonesa?”.

- Nie powinieneś się oddalać w pojedynkę bez naszej wiedzy - dodała, odrzucając liano. - Mogłeś tu spotkać coś o wiele groźniejszego niż to pnące.

- Pomyślałem tylko, że znaki mogą się znajdować po tej stronie - wyjaśniłem niepewnie.

- W porządku. - Drew odsunęła się na bok i dała mi znak ręką. - No to dawaj.

Tak naprawdę nie miałem już na to ochoty. Widok węża, nawet jeżeli nie był to wąż, uprzytomnił mi, że nie powinno mnie tu być. A maczeta już nie spisywała się tak dobrze - ostrze musiało się stępić. Karczowałem zarosła, aż poczerwieniałem na twarzy

Czarna rzeka

z wysiłku, ale nie posunąłem się zbyt; daleko. Drew przyglądała mi się w milczeniu.

Kawałek przed nami skała tworzyła wąską odnogę. Okrążyliśmy ją u podstawy i dotarliśmy do niewielkiej szczeliny. Pod nią rozciągało się osuwisko skalne, pokrywając strome zbocze ostrymi kamieniami, które wdzierały się w głąb dżungli. Musiały tam leżeć od dawna; były pokryte mchem, a pomiędzy nich wyrastały kępy trawy i małe drzewka. Nieco wyżej ściana wyglądała na nienaruszoną, a szereg zachodzących na siebie występów skalnych tworzył coś na kształt stopni, które kończyły się pod wyszczerbioną krawędzią szczeliny.

- Czy to mogły być schody?

Drew zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

- Myślę, że to dzieło natury.

- Pójdę się rozejrzeć.

Zanim zdążyła zaprotestować, ruszyłem pod górę. Stąpałem ostrożnie po luźnych kamieniach, które w każdej chwili mogły osunąć mi się spod nóg. Z duszą na ramieniu patrzyłem przed siebie, obawiając się, by pomiędzy skalnych odłamków nie wychynął jakiś wąż albo skorpion. Wydawało mi się, że słyszę skwierczenie kropeł mojego potu, które spadały na rozgrzane kamienie. Na pozór solidne głazy chygotały się pod moim ciężarem, spod butów osypywał się żwir. Jakiś zwietrzały odłamek skalny pokoziołkował w dół zbocza, przelatując tuż obok mojej głowy.

- Powinieneś poczekać na Antona - odezwała się Drew.

Sam nie potrafię pojąć, dlaczego wtedy parłem dalej przed siebie. Jeszcze przed miesiącem wyśmiałbym każdego, kto powiedziałby mi, że będę się wspinał po zdradliwych skałach, wśród których roi się od najbardziej jadowitych mieszkańców dżungli. Ale wystarczyło, żebym dostrzegł jakiś cel. Zęby mój mózg uczeplił się jakiegoś konkretnego motywu. Doprawdy, nie ma groźniejszej pułapki od naszej wyobraźni. Drew, która obserwowała z dołu moje poczynania, leż miała z tym coś wspólnego.

Sięgnąłem w górę i zaczepiłem palcami o występek skalny, który zobaczyłem nad sobą. Ostra krawędź wbijała się boleśnie w moje ciało. Gdy zawisłem na niej, rozciągnięty do granic możliwości. Wyprężyłem mięśnie i odbiłem się, zęby sięgnąć wyżej.

Zwietrzała półka, na której stałem, osunęła mi się spod nóg. Próbowałem się podciągnąć, ale moje palce nie utrzymały ciężaru. Porwała mnie fala odrywających się skalnych odłamków. Koziołkowały w dół razem ze mną i czułem ich uderzenia, kiedy staczałem się zwinięty w kłębek, osłaniając głowę rękami. Zatrzymałem się na rumowisku u podnóża skarpy. Wciąż słyszałem łoskot spadających kamieni. Kilka z nich mnie trafiło. Wciąż leżałem skulony, zastanawiając się, czy osunie się na mnie cała ściana. Czy ktoś zdoła mnie odkopać, czy zginę pogrzebany pod tonami skał?

Poczułem szarpnięcie. Odłoniłem głowę i spojrzałem w górę. Drew miała pobladałą twarz.

- Nigdy więcej nie funduj mi takich emocji. Nic ci się nie stało?

Niepewnie poruszyłem rękami i nogami, obmacałem się cały, szukając urazów, a potem spróbowałem wstać. Byłem mocno potłuczony i z trudem utrzymywałem równowagę. Piekielnie bolała mnie prawa kostka i czułem, jak obrzęk zaczyna rozsadać cholewkę buta. Ale...

- Żadnych złamań - oświadczyłem.

- Masz więcej szczęścia niż rozumu.

Spojrzałem w górę na świeży ślad, który pozostawiłem na skarpie, osuwając się wraz z lawiną kamieni.

- Myślę, że Alvarado nie przyszedł z tej strony.

Czarna rzeka

z wysiłku, ale nie posunąłem się zbyt; daleko. Drew przyglądała mi się w milczeniu.

Kawałek przed nami skała tworzyła wąską odnogę. Okrążyliśmy ją u podstawy i dotarliśmy do niewielkiej szczeliny. Pod nią rozciągało się osuwisko skalne, pokrywając strome zbocze ostrymi kamieniami, które wdzierały się w głąb dżungli. Musiały tam leżeć od dawna; były pokryte mchem, a pomiędzy nich wyrastały kępy trawy i małe drzewka. Nieco wyżej ściana wyglądała na nienaruszoną, a szereg zachodzących na siebie występow skalnych tworzył coś na kształt stopni, które kończyły się pod wyszczerbioną krawędzią szczeliny.

- Czy to mogły być schody?

Drew zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

- Myślę, że to dzieło natury.

- Pójdę się rozejrzeć.

Zanim zdążyła zaprotestować, ruszyłem pod górę. Stąpałem ostrożnie po luźnych kamieniach, które w każdej chwili mogły osunąć mi się spod nóg. Z duszą na ramieniu patrzyłem przed siebie, obawiając się, by pomiędzy skalnych odłamków nie wychynął jakiś wąż albo skorpion. Wydawało mi się, że słyszę skwierczenie kropeł mojego potu, które spadały na rozgrzane kamienie. Na pozór solidne gązdy chyboły się pod moim ciężarem, spod butów osypywał się żwir. Jakiś zwietrzały odłamek skalny pokoziołkował w dół zbocza, przelatując tuż obok mojej głowy.

- Powinieneś poczekać na Antona - odezwała się Drew.

Sam nie potrafię pojąć, dlaczego wtedy parłem dalej przed siebie. Jeszcze przed miesiącem wyśmiałbym każdego, kto powiedziałby mi, że będę się wspinał po zdradliwych skałach, wśród których roi się od najbardziej jadowitych mieszkańców dżungli. Ale wystarczyło, żebym dostrzegł jakiś cel, zęby mój mózg uczeplił się jakiegoś konkretnego motywu. Doprawdy, nie ma groźniejszej pułapki od naszej wyobraźni. Drew, która obserwowała z dołu moje poczynania, też miała z tym coś wspólnego.

Sięgnąłem w górę i zaczepiłem palcami o występow skalny, który zobaczyłem nad sobą. Ostra krawędź wbijała się boleśnie w moje ciało. Gdy zawisłem na niej, rozciągnięty do granic możliwości. Wyprężyłem mięśnie i odbiłem się, zęby sięgnąć wyżej.

Zwietrzała półka, na której stałem, osunęła mi się spod nóg. Próbowałem się podciągnąć, ale moje palce nie utrzymały ciężaru. Porwała mnie fala odrywających się skalnych odłamków. Koziołkowały w dół razem ze mną i czułem ich uderzenia, kiedy staczałem się zwinięty w kłębek, osłaniając głowę rękami. Zatrzymałem się na rumowisku u podnóża skarpy. Wciąż słyszałem łoskot spadających kamieni. Kilka z nich mnie trafiło. Wciąż leżałem skulony, zastanawiając się, czy osunie się na mnie cała ściana. Czy ktoś zdoła mnie odkopać, czy zginę pogrzebany pod tonami skał?

Poczułem szarpnięcie. Odsłoniłem głowę i spojrzałem w górę. Drew miała pobladłą twarz.

- Nigdy więcej nie funduj mi takich emocji. Nic ci się nie stało?

Niepewnie poruszyłem rękami i nogami, obmacałem się cały, szukając urazów, a potem spróbowałem wstać. Byłem mocno potłuczony i z trudem utrzymywałem równowagę. Piekielnie bolała mnie prawa kostka i czułem, jak obrzęk zaczyna rozsadać cholewkę buta. Ale...

- Żadnych złamań - oświadczyłem.

- Masz więcej szczęścia niż rozumu.

Spojrzałem w górę na świeży ślad, który pozostawiłem na skarpie, osuwając się wraz z lawiną kamieni.

- Myślę, że Alvarado nie przyszedł z tej strony.

Czarna rzeka

Mój głos brzmiał chrapliwie i Drew podała mi manierkę z wodą. Wypłukałem usta, a resztę wylałem na twarz, obmywając ją z pyłu. W kilku miejscach poczułem piekący ból otartej skóry. Potrząsnąłem głową jak pies, który otrzepuje się po kąpieli

I właśnie wtedy to zobaczyłem. Dostrzegłem to kątem oka u podstawy bazaltowej ściany, w miejscu, które musiałem mijać, rozpoczynając wspinaczkę. Może mała lawina, która wywołałem, zmiotła rosnący u podnóża gąszcz, a może wszystko było odsłonięte, tylko gdy przechodziłem tamtędy, patrzyłem w mnie stronę. Płytkie wyżłobienia były ledwo widoczne na wygładzonej powierzchni skały. To, że przetrwały tyle stuleci, zakrawało na cud. Ale nie ulegało wątpliwości, że mamy przed sobą to, czego szukaliśmy.

Spiralę otoczoną wieńcem trzynastu promieni, które rozchodziły się we wszystkie strony. Cztery biegnące równolegle zygzakowate linie. Szkic labiryntu.

Podbiegłem do ściany. Drew zaczerpnęła powietrza, zęby coś powiedzieć, ale zrezygnowała i w milczeniu ruszyła za mną. Stojąc obok siebie, wodziliśmy dłońmi po wrytych w skałę znakach, a nasze palce raz po raz ocierały się o siebie

- A więc naprawdę tu są. Tak jak napisał Alvarado.

Staliśmy w bezruchu, wspólnie upajając się tym cudownym odkryciem. Patrzeliśmy na dziwne postacie o serc owa tych głowach, na faliste linie przywodzące na myśl morze na rysunkach Peggy i kanciastą maskę, która kojarzyła mi się z hełmem Boby Fetta. Pragnąłem, aby ta chwila trwała wiecznie. Nasze dłonie znów się zetknęły i moją głowę ponownie wypełniły marzenia, ale część z nich nie miała nic wspólnego z petroglifami i zaginionymi skarbami Inków.

- Trzeba im to pokazać - odezwałem się w końcu.

Wszystkie porażki, jakie spotkały nas do tej pory, poszły w niepamięć. Drew pobiegła zawiadomić resztę ekipy, a ja zająłem się swoją kostką. Czuję się jak chłopiec, który strzelił zwycięską bramkę na oczach swojego taty, kiedy Anton oglądał znaki i porównywał je ze szkicem. Potem poklepał mnie po plecach i podał mi butelkę rumu. Nawet Tillman był pod wrażeniem.

Anton dopytywał się, jak dotarłem w to miejsce

- Jesteś pewien, że nikt tędy nie szedł przed tobą?

Wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem, że nie sędzę.

- W takim razie Menendez niczego tu nie znalazł - skonstatował.

- Bo nie szukał żadnych znaków - wtrąciła Zia znużonym tonem.

Tillman przłożył dłoń do ust i zakasał ostentacyjnie.

- Akurat.

- To bez znaczenia, ale możemy wykorzystać jego trasę wspinaczki, zęby wejść na szczyt-rzeki Anton i kopnął jeden z luźnych kamieni, które piętrzyły się na usypisku. - To bezpieczniejsze od wdrapywania się tędy. A potem już prosto do Paititi.

- Teraz na górze będzie trudniej - odezwał się Fabio. - Będziemy posuwać się wolniej.

Anton powoli obrócił głowę, po kolei mierząc wzrokiem każdego z nas. Kiedy spojrział mi przenikliwie w oczy, miałem wrażenie, jakby oślepił mnie blask reflektora.

- Nie zamierzam was okłamywać. C2 eka nas ciężka przeprawa i może być znacznie trudniej niż do tej pory. A co gorsza, straciliśmy Sierra Mądre. Nie mamy odwrotu,

- Tez mi odkrycie - mruknął Tillman, strugając nożem końcówkę gałęzi, która zamieniła się w ostry szpic.

- Zaszliśmy już tak daleko... - dodała Drew.

- Kel?- Anton spojrział na mnie wyczekująco.

Wstałem z ziemi i zatoczyłem się, lekko zamroczony mieszanką adrenaliny, rumu

Czarna rzeka

i tabletek przeciwko malarii. Czułem się podekscytowany i szczęśliwy. Patrząc na moich towarzyszy, miałem wrażenie, że to najlepsi przyjaciele, jakich w życiu spotkałem,

- Nie wiem jak inni. aleja właśnie na to się pisałem - powiedziałem. - Na bogactwo i sławę.

Fabio pokiwał głową.

- A co mi tam, idę.

- Ja też - zawtórował mu Howie.

Butelka rumu była już pusta i Anton cisnął nią o skalę. Od amki potłuczonego szkła bezgłośnie wylądowały w zaroślach.

- No to witajcie w czarnej dupie - rzeki Tiltman i z rozmachem wbił zaostrowany kij w ziemię.

ROZDZIAŁ 4

W ZABÓJCZEJ DZICZY

22.

Kiedy Peggy przyszła na świat, wydarzyło się coś zabawnego. Jeżeli macie dzieci, dobrze wiecie, co mam na myśli, a jeżeli nie macie, pomińcie ten akapit. Całe zadbała, abym przeczytał wszystkie poradniki, wysłucha; wszystkich wskazówek i przeszedł tyle kursów, że mógłbym zostać dyplomowaną położną.

I wiecie, co się stało? Wiele się dowiedziałem. W ciągu pierwszych kilku tygodni nie stało się nic, na co nie byłbym przygotowany, nie było żadnych niespodzianek. Ale jednocześnie nic nie było takie, jak to sobie wyobrażałem. Cała wiedza wyniesiona z książek i wykładów była jak tysiąc elementów układanki, ale nie mogłem ich do siebie dopasować, dopóki me urodziła się Peggy. Dopiero ona pokazała mi obraz, który miałem ułożyć.

Podobnie wyglądał mój pierwszy dzień w dżungli. Zostałem tam wszystko, czego się spodziewałem, i nic nie pokrywało się z moimi wyobrażeniami. Wiele przeczytałem o lasach deszczowych, ale nie rozumiałem tego w pełni, dopóki się tam nie znalazłem. Myślałem, że dżungla przytłoczy mnie zieloną nawałnicą liści, pnączy i gałęzi, że na każdym kroku będą czyhać kły, ząbia i pazury. To wszystko tam jest. lecz o wiele bardziej rozproszone, więc nie rzuca się w oczy tak od razu. Dżungla wchłania człowieka powoli, aż wreszcie stanie się jasne, że nie ma już odwrotu

Co do jednego się nie myliłem - to była piekielna mordęga. Zaczę od ekwipunku. Kiedy straciliśmy Sierra Mądre, myślałem, że drastycznie ograniczyliśmy ilość sprzętu i zapasów, ale to było nic w porównaniu z tym, co czekało nas teraz. Mogliśmy zabrać tylko tyle, ile zdołamy unieść na plecach - włącznie z linami, bronią i amunicją, hamakami, pałatkami i żywnością. Anton upadł się, żebyśmy wzięli również wszystkie trzy pontony.

- Nigdy nie wiadomo, przez jakie rzeki przyjdzie nam się przeprowiać - powiedział.

Z niepokojem przyglądałem się, jak Zia odmierza racje żywnościowe, pakując je do foliowych woreczków, które potem rozdzieliła między nas. Porcje wyglądały dosyć skromnie.

- Na długo nam to wystarczy? - zapytał z powątpiewaniem Howie.

- Upolujemy coś w dżungli - obiecał Fabio.

- A jeśli spotkamy Indian, możemy kupić od nich coś do jedzenia - dodał Anton.

- Al va rado pisał, że marsz w jedną stronę zajmuje dwa tygodnie.

- Bez obaw. - Tillman uniósł strzelbę jak bohater filmu akcji. - Będzie jak na stoisku w masarni.

Jak na ironię byliśmy nie tylko zbyt ubogo wyposażeni, ale również przeciążeni. Po pięciu minutach marszu wydawało mi się, że zaraz dostanę zawału. Szelki plecaka wpijały się w ramiona, a mięśnie pleców napinały się boleśnie.

- Nie przejmuj się - zagadnęła mnie Zia na pierwszym postoju. - Będzie mniej do dźwigania, kiedy skończy się prowiant.

Czarna rzeka

Siedząc na plecaku, obserwowałem kolumnę mrówek, które niosły kawałki liści, wytyczając u moich stóp ruchomą zieloną linię. Moje ubranie było tak mokre, że można by je wykręcać, bolały mnie stopy i wciąż czułem rwący ból w kostce, którą stłukłem, staczając się po rumowisku, Zoiadek domagał się jedzenia, ale nie byłem pewien, czy w ogóle zatrzymamy się na posiłek.

Fabio uważnie patrzył na kompas, a potem unosił wzrok, wypatrując słońca, które zasłaniały gęste korony drzew.

- Za bardzo zboczyliśmy na północ - oświadczył. - Powinniśmy odbić na zachód.

Anton pokręcił głową.

- Według GPS-u jesteśmy na dobrej drodze.

- Wpisałeś Paititi do nawigacji? - zdziwił się Howie.

- Za bardzo na północ - powtórzył Fabio. - Jeśli dalej będziemy tak iść, możemy ominąć nasz cel o jakieś pięćdziesiąt kilometrów.

Sięgnął po GPS, ale Anton chwycił urządzenie i unosił je wysoko nad głowę jak uczeń, który ukradł koledze kanapkę.

- Okaz więcej wiary.

Tego wieczoru rozbiliśmy obóz nad małym strumieniem. Kiedy Anton zarządził postój, omal nie padłem z nóg. Siedziałem na zwalonym pniu, z twarzą w dłoniach, podczas gdy Zia rozpałała ognisko, a Drew zaczęła rozwieszać hamaki. Fabio i Tillman poszli na polowanie. Bolały mnie nogi, ramiona, głowa, a całe moje stopy pokrywały pęcherze. Przeprowadzając się przez bioto i kałuże, w których zapadaliśmy się nawet po pas, kompletnie przemoczyłem buty. Wolałem nawet nie myśleć, jakie niewidzialne paskudztwa mogły dobrać mi się do skóry.

Wciąż siedziałem, kiedy zjawiał się Howie. Wszystkie niewygody, które dawały mi się we znaki, on znosił o wiele gorzej. Był w kiepskiej formie, a jego plecak wyglądał na dziesięć kilo cięższy od mojego. Twarz miał tak pobladłą, że obawiałem się, czy nie doznał ataku serca. Potykając się, wszedł na polanę, potoczył dokoła nieprzytomnym wzrokiem i zwałił się do tyłu. Leżał rozkraczony na swoim plecaku niczym pacjent na stole operacyjnym i gdyby nie ciężkie sapanie i strużki świeżego potu, które ciekły po jego twarzy, byłbym pewien, że wyzionął ducha.

- Daleko dzisiaj zesliśmy? - spytałem Antona.

- Sześć koma osiem kilometra:

Nie musiał nawet patrzeć na GPS. Przez cały dzień trzymał go jak książeczkę do nabożeństwa i wykrzykiwał komendy do idących przodem Fabia i Tillmana, ilekroć zboczyli z kursu.

- To dużo?

- Jutro musimy zrobić więcej-powiedział, a 2 ust Howiego wydobył się głośny jęk. Przynajmniej dał jakiś dowód życia. - Według moich obliczeń mamy przed sobą pięćdziesiąt, góra pięćdziesiąt pięć kilometrów. Powinniśmy zmieścić się w tygodniu.

- Wywnioskowałeś to z manuskryptu?

Anton zrobił przebiegłą minę,

- Duch AJvarada mi powiedział.

2 głębi dżungli dobiegi spotęgowany echem grzmot i spłoszone ptaki ze skrzekiem poderwały się z drzew. Howie usiadł gwałtownie.

- Co to było?

- Kolacja.

Lingwista z powrotem opadł na plecy.

- W tej chwili oddałbym wszystko za big maca z cola.

Czarna rzeka

Zszedłem na brzeg strumienia, zęby się umyć i wyptukać ubranie. Niewiele to da o - kiedy skończyłem, moja koszula i spodnie wciąż były mokre, a ja śmierdziałem tak samo. Chciało mi się śmiać. Wszystko, nawet trudy podróży, zupełnie różniło się od tego, co sobie wyobrażałem. Nawet gdybyśmy niczego nie znaleźli, byłem zadowolony z tej wyprawy.

Obróciłem się, słysząc szelest krzaków i zobaczyłem Drew, która schodziła ze skarpy, niosąc pusty garnek. Złapałem spodnie i zacząłem naciagać je na siebie, ale mokra tkanina nie ułatwiała mi zadania. Dziewczyna wyszczerzyła zęby w uśmiechu, nie odwracając wzroku.

-Zeszczuplałeś. Nieźle wyglądasz.

Jej komplement sprawił mnie w błogość granicząca z absurdem.

- Dieta amazońska - odpartem, siląc się na nonszalancję. - Lepsza niż liczenie kalorii.

Włożyłem koszulę i przez pół minuty czułem się prawie czysty. Drew uklękła nad strumieniem w miejscu, gdzie się kąpałem, i napełniła garnek wodą. Prostując się, jęknęła z bólu.

- Ciężki dzień - powiedziałem współczującym tonem.

- To przez ten plecak. Prawie nie czuję ramion.

- Wymasować ci plecy? - Uniosłem dłonie w niewinnym geście, który nie zdradzał żadnych dwuznacznych intencji. - Jestem w tym naprawdę dobry.

Posłała mi promienny uśmiech

- Byłoby wspaniale.

Usiadła na brzegu strumienia, zanurzając białe stopy w wodzie, a ja zająłem miejsce na kamieniu za jej plecami. Zaczęłem ugniatać palcami jej ramiona, wyczuwając pod skórą stwardniałe mięśnie.

- Tak to sobie wyobrażałeś?

Popatrzyłem na otaczające nas drzewa i nie mogłem powstrzymać śmiechu.

- Niezupełnie.

-Ja też. Dżungla jest znacznie większa, niż się spodziewałam.

- Myślałem, że to dla ciebie nic nowego.

- Jestem tu pierwszy raz, tak samo jak ty. Miastowa dziewczyna ze mnie - powiedziała i wydała cichy pomruk, kiedy ucisnałem mocniej jej barki. - Bardzo dobrze. A teraz trochę niżej.

- Jak to się stało, że mając doktorat z Yale, wylądowałaś w takim miejscu?

-Tak naprawdę mam tylko dyplom magistra. Wciąż to powtarzam Antonowi, ale on i tak mówi wszystkim, że jestem doktorem.

- Chce, żeby wszystko wyglądało lepiej, niż jest w rzeczywistości.

- Otóż to. Nie mów mu, że ci się przyznałam.

- To będzie nasza tajemnica,

Nad brzegiem strumienia przeleciał olśniewająco błękitny motyl. Po całym dniu wpatrywania się w jednostajną zielenie dżungli jego kolor poraził moje oczy jak błyskawica.

- Ale tak na poważnie — podjąłem na nowo temat. - Jak się tutaj znalazłaś?

- Chciałam wyruszyć w szeroki świat, coś zmienić w swoim życiu. Zaraz po ukończeniu studiów zostałam wolontariuszką USAID. Miałam pracować tylko przez wakacje, bo w Nowym Jorku czekał na mnie chłopak, wynajęte mieszkanie i miejsce na studiach prawniczych. Poważne życie jak się patrzy. Moi rodzice są dentystami, więc byli przerażeni, ale... - Drew uśmiechnęła się wstydliwie. - Złapałam bakcylię. Po dwóch miesiącach w Gwatemali uświadomiłam sobie, że nie mogę wrócić. Pewnie brzmi to

Czarna rzeka

strasznie głupio.

Roześmiała się zażenowana.

- Myślę, że jesteś niesamowita. Kiedy miałem dwadzieścia dwa lata, odbywałem staż na Filipinach, w tej przychodni dla dzieci ze slumsów, o której wspominałem. Wróciłem do kraju tylko po to, żeby dokończyć ostatni rok studiów i zdobyć dyplom. Obiecałem sobie, że gdy tylko zostanę doktorem MacDonaldem, wrócę do Manili pierwszym samolotem.

- I co się stało?

- Poznałem Cate. Ona miała już pracę, a ja nie chciałem jej opuszczać. Powiedziałem sobie, że praktyka w klinice dobrze mi zrobi, że zdobędę trochę doświadczenia. Takie organizacje jak Lekarze bez Granic nie potrzebują nieopierzonych lekarzy zaraz po studiach. To miało jakiś sens. Dałem sobie trzy lata. Góra pięć. - Przerwałem i westchnąłem ciężko. - Ale żaden moment nie wydawał się odpowiedni. Co roku wyskakiwało coś nowego. Zmienialiśmy pracę, wzięliśmy ślub, kupiliśmy dom. A potem urodziła się Peggy i to by było na tyle. Szczerze mówiąc, jestem zdumiony, że Cate pozwoliła mi na tę wyprawę.

Moje ręce wędrowały w dół kręgosłupa Drew, która wydała błogie westchnienie i odchyliła głowę,

- Cieszę się, że tu jesteś - powiedziała, zamykając oczy.

- Ja też.

Jej usta znalazły się znów tak blisko moich. Żałowałem, że nie potrafię przemknąć jej myśli. Tego dnia poświęciłem już zdecydowanie zbyt wiele czasu na rozmyślanie o niej, kiedy uciekając przed monotonią wędrowki przez dżunglę i bólem otartych stóp, mój umysł zapuszczał się w niebezpieczne rejony. Przeżywałem na nowo tamte magiczne chwile u podnóża skały, gdy nasze dłonie stykały się, gładząc starożytne znaki. W wyobraźni znów tańczyłem obok niej na piaszczystej plaży. Od czasu do czasu przytapywałem się na tym i karciełem w duchu. Wracałem myślami do Cate i koncentrowałem uwagę na dżungli, ale po kilku minutach mój umysł znów się wymykał jak dziecko, które puszcza rękę rodzica i biegnie z powrotem do sklepu z zabawkami.

Wstałem i podniosłem z ziemi garnek z wodą.

- Pomogę ci go zanieść.

Kiedy wróciliśmy do obozowiska, uderzył nas w nozdrza straszliwy smród. Ostry ■ duszący jak won palonego plastiku. Nad ogniskiem unosiły się kłęby czarnego dymu.

Fabio i Tillman już wrócili. Śmiali się i żartowali, a w zakopconym powietrzu widziałem ich rozbawione miny. Na stosie gałęzi obok ogniska coś leżało. Domyśliłem się, że to kolacja, ale z daleka nie widziałem, co upolowali. Tillman zauważył mnie, kiedy dźwigając garnek, szedłem w ich stronę, i pokazał mi uniesiony kciuk, wskazując głową zdobycz.

Wciąż nie widziałem wyraźnie, co leży na stercie drewna. Dym gryzł mnie w oczy i najpierw pomyślałem, że coś mi się przywidziało. To musiało być złudzenie. Patrzyłem na małe rączki i nóżki zwisające bezwładnie, na odrzuconą do tyłu główkę, poderżnięte gardło i nagą skórę.

Zamrugąłem nerwowo, ale widok się nie zmienił. Teraz dostrzegłem palce u dłoni i stóp, małżowiny uszne. Szczerząc zęby w uśmiechu, Tillman uniósł maczetę i przejechał sobie ostrzem pod brodą, markując cięcie. Potem wskazał na małe osmalone ciało. Nie miałem wątpliwości, że należało do Jakiegoś dziecka.

Czarna rzeka

Upuściłem garnek i woda chlusnęła mi na nogi. Drew podbiegła do Tillmana i zaczęła na niego wrzeszczeć:

- Co wyście zrobili!? Co wyście, kurwa, zrobili!?

Jak w jakimś koszmarnym śnie Tillman chwycił małe zwłoki za raczki i pomachał nimi przed twarzą Drew, jakby trzymał kukietkę.

- O co ci chodzi? - spyta! niedbałym tonem. - Nigdy nie jadłaś małpy?

Spojrzałem jeszcze raz. Choć teraz wiedziałem, na co patrzę, widok był tak samo makabryczny. Opalone z sierści kończyny i tułów swoimi rozmiarami do złudzenia przypominały małe dziecko.

Chociaż wzbraniałem się przed tym, oczywiście pomyślałem o Peggy. Przypomniałem sobie, jak w wieku trzech lat darła się wniebogłosy, zwisając na rękach ze szczebla poziomej drabinki na placu zabaw, podczas gdy ja stałem obok i zapewniałem ja, że da sobie radę.

- To ohydne - powiedziała Drew.

- Mięso jak każde inne - odparł Fabio.

Sprawił wrażenie znudzonego. Przypuszczalnie nie pojmował, o co całe to zamieszanie. Ale mimo wszystko nie polecałbym tego widoku nikomu, kto ma dzieci.

Drew spojrzała na Antona.

- Ja tego nie tknę.

- Rób, co Chcesz.

- Ty też nie powinieneś tego jeść.

- Małpy mogą przenosić różne paskudne choroby - odezwałem się.

Anton posiał mi nienawistne spojrzenie.

- Jesteśmy w dżungli i będziemy jeść to, co upolujemy.

- To niemoralne - protestowała dziewczyna. - Patrzcie, przecież to zwierze wygląda jak dziecko.

- Uspokój się.

- Przestań mnie uspokajać. - W jej głosie zaczął pobrzmiwać histeryczny ton.

- Pod skórą wszyscy mamy mięso - wtrącił Tillman.

- No cóż, a ja spróbuję - oznajmił Howie. - Możecie sobie zdychać z głodu, jeśli chcecie, albo żywić się robakami i korzonkami. Ja chcę jeść.

Mnie nikt nie pytał o zdanie, co bardzo mi odpowiadało, jednak Tillman w końcu zwrócił na mnie uwagę.

- A ty, doktoru? - spytał, zerkając z ukosa, jakby prowokował mnie, żebym odmówił.

- Przyłączysz się?

Z jednej strony miałem wielką ochotę przyjąć zaproszenie, byle tylko pozbawić go satysfakcji, lecz kiedy spojrzałem na osmalone zwłoki i pomyślałem o Peggy, z trudem udało mi się powstrzymać wymioty. Drew i Anton również wbijali we mnie wzrok. Każde z nich szukało u mnie poparcia, oczekując, że opowiem się po jego stronie, jak skłóceniu rodzice, którzy rozgrywają swoje potyczki za pośrednictwem dzieci Anton stał na czele tej wyprawy i gdyby nie on, nie byłoby mnie (utaj. Ale...

- Jeśli zjem małpę, będę pierdział przez całą noc - powiedziałem. Fabio parsknął śmiechem, Anton zmrużył oczy, a ja schyliłem się po upuszczony garnek. - Przyniosę wody, żeby zagotować ryż.

Drugi dzień wędrówki różnił się od pierwszego tylko tym, że już nic nie było dla nas nowością. Choć to niedorzeczne, awantura o małpę doprowadziła do rozłamu między nami. Gdy kolacja była już gotowa, jedliśmy osobno Anton, Tillman, Fabio i Howie zasiedli po jednej stronie obozu, a po drugiej ja i kobiety z miskami ryżu w dłoniach. Nawet przy śniadaniu mało kto się odzywał. A potem ruszyliśmy w dalszą drogę i nikt

Czarna rzeka

nie miał siły na nic innego oprócz dźwigania bagażu.

Tego dnia robiliśmy większe postępy. Oko o jedenastej natrafiliśmy na wyschnięte koryto rzeki, które prowadziło mniej więcej w tym samym kierunku i Anton zdecydował, że dalej pójdziemy jego dnem. Ponieważ nie musieliśmy wyrąbywać sobie ścieżki w gęstwinie, mogliśmy iść szybciej. Plecaki na naszych grzbietach zdawały się mniej ciężkie. Zewsząd dobiegało brzęczenie komarów, a wokół nas latały motyle, trzepocąc opalizującymi skrzydłami, na których jarzyły się jaskrawozielone plamki. Chciałem zrobić zdjęcie dla Peggy, ale udało mi się tylko rozładować baterię.

Tego dnia zśliśmy w bardziej swobodnym szyku i tylko Howie niezmiennie włókł się z tyłu, Wczesnym popołudniem dogoniłem Antona.

- Dajesz radę? - zapytał.

Pokiwałem głową. W wyschniętym korycie rzeki nie było cienia, a słońce mocno przypiekało.

- Przynajmniej się upewniłem, z czego naprawdę są moje koszule, skoro się nie zbiegły w tej łaźni.

Anton pokazał przed siebie. W oddali nad wierzchołkami drzew wznosiły się zalesione zbocza, które tworzyły ciągnący się wzdłuż horyzontu masyw. Wierzchołki gór tonęły w gęstych chmurach,

- Jesteśmy już blisko.

Nie mogłem zbyt długo rozkoszować się tym widokiem. Idąc po kamieniach, łatwo mogłem zwichnąć nogę, a miejscami piaszczysty grunt osuwał się niespodziewanie i można było zapaść się po kolana. Brnąłem przed siebie, starając się zapomnieć o upale i ciężkim plecaku.

- O czym myślisz?

Lejący się z nieba zar przełamywał bariery, sprawiając, że byłem bardziej skłonny mówić o rzeczach, które powinienem zachować dla siebie.

- Niepokoi mnie Tillman.

Rzeczywiście rozmyślałem o nim od samego rana, a teraz, kiedy był sto metrów przed nami, mogłem bezpiecznie poruszyć tę kwestię.

- Co się stało?

-Ten wczorajszy incydent przed kolacją.

Anton nie krył zdumienia.

- Przecież to bzdura, Drew nie powinna brać tego tak bardzo do siebie.

- Nie chodzi tylko o małą - odparłem, przypominając sobie jego nieustępliwe spojrzenie, którym chciał wymusić na mnie, żebym opowiedział się po jego stronie. A potem ten wyraz dzikiego zadowolenia na jego twarzy, kiedy poparłem Drew, jakbym swoją decyzją potwierdził wszystko, co myślał na moj temat - Nie sądzisz, że on w ogóle ma trudny charakter?

Anton pacnięciem dłoni zabił muchę, która przysiadła na jego rękawie

- Myślisz, że mielibyśmy szansę dotrzeć do Paititi, gdyby to Howie wyrąbywał ścieżkę?

-Jesteśmy niewielką grupą, Żadnych czarnych owiec, pamiętasz?

- Tillman jest facetem, którego zdecydowanie chciałbym mieć u swojego boku, gdybyśmy znaleźli się w tarapatkach.

Trudno mi było to sobie wyobrazić.

- Jak się poznaliście?

- Pracowaliśmy razem na Florydzie. Penetrowaliśmy zatopiony statek. Okazało się, że jeden facet w naszej ekipie ma powiązania z kubańskimi gangsterami i chce, żebyśmy odpalili im dołą. Tillman odwiedził go w domu i wybił mu to z głowy. Na drugi

Czarna rzeka

dzień ten Kubanczyk przyszedł ze swoimi kolesiami, ale Tillman skrzyknął! kilku naszych i znów spuścił im iomot. Właśnie taki ma charakter. - Anton zaśmiał się do siebie, - Zabawne jest to, że nie znaleźliśmy w tym wraku kompletnie nic.

Ani trochę nie rozwiało to moich wątpliwości.

-Warto wiedzieć - mruknąłem.

- Potrzebowałem kogoś, na kim mógłbym polegać. Wszyscy inni są nowicjuszami.

- Czy to normalne?

- Nie jest nienormalne, że tak powiem. W tej branży nie można liczyć na świadczenia emerytalne. Trafiasz na różnych ludzi, pracujecie razem jakiś czas, a potem każdy idzie w swoją stronę. Większość próbuje swoich sił i odchodzi. Inni zostają trochę dłużej, ale jest to coś, do czego nigdy się nie wraca. Tutaj nie można odłożyć z pensji, nie można pójść na urlop, a oni chcą się żenić i zakładać rodziny.

Zabrzmiało znajomo.

- A ty zamierzasz zostać weteranem?

-Ja? Ja jestem weteranem. Za parę lat stuknie mi czterdziestka. Ale muszę wrócić do cywilizacji i spędzić trochę czasu z moim synem, zanim dorośnie.

2 synem? Tak szeroko otworzyłem usta ze zdumienia, że omal nie zaryłem szczęką w piach.

- Ile ma lat?

- Piętnaście. Mieszka na przedmieściach San Diego z matką. Oczywiście ona i ja nie jesteśmy już razem - wyjaśnił i zdjął okulary przeciwsłoneczne, zęby wytrzeć pot z twarzy. Po raz pierwszy zauważyłem siateczkę zmarszczek otaczającą jego błękitne oczy. - Możę po tym wszystkim spróbuję odbudować to, co było między nami.

- A co z Orew?

Trochę za szybko mi się to wyrwało, na szczęście Anton był zbyt pochłonięty swoimi myślami, zęby to zauważyć.

-To jeszcze dziecko, które próbuje zrozumieć świat. Jest wspaniała, nie przeczę, ale przecież nie spędzi całego życia z takim starym przykiem jak ja.

- Czy coś między wami nie gra? - zapytałem.

Wiedziałem, że nie powinienem tego robić, ale nie mogłem się powstrzymać. Zauważyłem, że Orew nie odzywała się do mego cały dzień i celowo zostawała w tyle. Parę razy Anton zwalniał, zęby iść obok mej, ale wtedy ona przyspieszała.

- To trudna sytuacja, która tylko potęguje napięcie - odparł. - Tillman mówił mi, że bym jej nie zabierał.

Nie przychodziło mi na myśl nic, co mógłbym na to odpowiedzieć, nie zdradzając swoich intencji. Anton posłał mi spojrzenie, którego nie potrafiłem rozszyfrować.

- Ale ty tego nie zrozumiesz. Masz idealne życie, piękna żonę, wspaniałe dziecko i dobrą pracę. A ja już wszystko spieprzyłem.

Zazdrości! mi, Kiedy na mnie spojrzał, jego oczy wyrażały zawiść. Ten człowiek, który był moim rówieśnikiem - a myślałem, że jest o dziesięć lat młodszy - który zapuszczał się w najbardziej egzotyczne miejsca na ziemi. Zazdrościł mi domu na przedmieściach Londynu i codziennych dojazdów do szpitala.

- Powtórzysz mi to, kiedy znajdziemy Paititi - powiedziałem.

Jednak przez całe popołudnie rozmyślałem nad jego słowami. Chyba powinienem się poczuć mile połączony, ale nie odebrałem tego w ten sposób. Nikomu nie chce się wierzyć, że droga, którą w życiu kroczy, jest najlepszą rzeczą, jaką mógł wybrać. I właśnie dlatego wyruszamy na poszukiwanie zaginionych skarbów.

Czwartego dnia zacząłem naprawdę dobrze się bawić. Rzeczy, które wcześniej widziałem tylko w filmach, stały się czymś normalnym. Abyśmy mogli przeprawić się

Czarna rzeka

przez głęboki parów, Fabio sciał drzewo, a potem przeszedł bez asekuracji na drugi brzeg i rzucił nam linę, która miała służyć za poręcz. Kiedy stąpałem po śliskim i nierównym pniu, przytrzymując się liny niewiele grubszej od sznurka do suszenia prania, a plecak kołysał się niebezpiecznie na moich ramionach, czułem się jak Indiana Jones. Lepiej niż Indiana Jones. Tak bardzo czułem, że żyję. Parę razy Anton rzucał nu maczetę i puszczał mnie na czoło pochodu, abym zastąpił Ullmana, który zmęczył się wyrąbaniem ścieżki ■ potrzebował chwili wytchnienia. Nawet kiedy bolała mnie ręka, a pot zalewał oczy, ani na chwilę nie zapomniałem, że mogę być pierwszym człowiekiem, który tędy idzie. Każdy krok wprawiał mnie w podniecenie. Na samą myśl, że ścinając następną gałąź, mogę ujrzeć mury zaginionego miasta, ogarniało mnie podniecenie. Przedzierając się przez pnącza, tylko czekałem, aż ostrze maczety zazgrzyta o kamień.

Zapomniałem, że nie wierzę w ukryte pośród dżungli twierdze pełne skarbów. Jakżebym mógł, skoro każdego dnia otaczało mnie tyle niewiarygodnych widoków. Drzewo kapokowe o tak wielkim obwodzie, że można by w jego wnętrzu urządzić dom, szerokie u podstaw pnie figowców, przypominające kształtem rakiety, palmy o rozczapierzonych korzeniach, na których unosiły się wysoko nad ziemią. Ilekroć wychodziliśmy na polanę albo przeprawialiśmy się przez koryto wyschniętej rzeki, unosiłem głowę i patrzyłem w stronę horyzontu, na pasmo gór o wierzchołkach ukrytych we mgle. które zdawało się przybliżyć, rosnąc w oczach jak senne rojenie. Kiedy Anton spojrział na GPS i powiedział, że za dwa dni powinniśmy dotrzeć do celu, w wyobraźni już przechodziłem przez most Anakondy.

Droga nie była łatwa. To, co na zdjęciach satelitarnych wyglądało jak płaskie morze zieleni, w rzeczywistości stanowiło brutalny tor przeszkód złożony ze stromych podejść 1 spadzistych zboczy. O ile nie szedłem na czele, zazwyczaj trzymałem się blisko końca pochodu, więc gdy przychodziła moja kolej na wspinaczkę, rozdeptana ścieżka przypominała błotnistą ślizgawkę, a jedyne rośliny, jakich mógłbym się przytrzymać, były najeżone kolcami albo roiiio się na nich od jadowitych mrówek. Droga w dół nie była ani trochę łatwiejsza. Musieliśmy uważać, żeby się nie nabić na sterczące z ziemi ostre kikuty gałęzi ociosanych naszymi maczetami, które tylko czekały, aż ktoś się potknie albo poślizgnie. W tych warunkach nawet złamanie nogi mogło być równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Ale nie to było najgorsze. Pewnego popołudnia natknęliśmy się na czarnego węża, który leżał poskręcany na środku ścieżki jak rzeźbiona laska. Ledwie się obejrzałem, jak Fabio zamachnął się maczetą i odrąbał mu głowę. Tillman przeszedł obok niego jak gdyby nigdy nic. W nocy krwiożercze nietoperze latały nad naszymi hamakami, a komary, kleszcze i muchy ucztowały na każdym nieosłoniętym kawałku skóry. Moje stopy, które ciągle były przemoczone, zaczynały wysyłać impulsy przenikliwego bólu, ilekroć opierałem na nich ciężar ciała.

A jakby tego było mało, obecność Drew wprawiała mnie w dziwny stan udręczenia, jak narkotyk, którego nie mam siły odstawić. Popadałem w obsesję. Kiedy idąc przede mną. zatrzymała się, zęby zawiązać sznurówkę, kiedy poczęstowała mnie wodą ze swojej manierki, kiedy podała mi rękę podczas wspinaczki w górę stromego zbocza, rozpamiętywałem to później całymi godzinami i odtwarzałem w pamięci jak powtórki goli w telewizyjnej relacji z meczu.

Między nią i Antonem coś się psuło. Od czasu awantury o małpę prawie wcale się do niego nie odzywała, unikała go na szlaku, a kiedy zatrzymywaliśmy się na biwak, rozwieszała swój hamak jak najdalej od niego. Wszyscy to zauważali

- Są takie dni w miesiącu - powiedział Tillman jakby sam do siebie. - I właśnie

Czarna rzeka

dlatego nie należy ciągnąc ze sobą panienek na wyprawę

Anton spioruno wal go wzrokiem, a ja starałem się uniknąć jego spojrzenia.

Ale i tak było warto. Przytłaczający do ziemi ciężar plecaka, ból otartych i krwawiących stóp, swedzenie pokąsanej skóry i ciągły głód - co wieczór Zia narzekam, że zbyt szybko pochłaniamy zapasy żywności - to była cena przygody, którą płaciliśmy, aby poczuć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Cena przygody. Wciąż nie mogę uwierzyć, że naprawdę to powiedziałem.

24.

Piątego dnia przedzieraliśmy się przez las bambusowy, którego grube i dziwacznie poskręcane pnie przywodziły na myślenie jakiś postapokaliptyczny krajobraz. Posuwaliśmy się przed siebie w ślimaczym tempie i przez godzinę Tillman przeklinał bez przerwy. Nagte zamilkł.

Kolejno docieraliśmy do niego ■ przystawaliśmy. Zobaczyłem, że Fabio trzyma w ręce coś, co wygląda na łodygę bambusa i maczetą zdiera z niej wierzchnią warstwę. Potem uświadomiłem sobie, że to nie bambus. Wnętrze nie było puste, lecz wypełniała je wilgotna biała masa podobna do mięszu jabłka. Fabio odciął kilka kawałków i rozdał je nam

- Przeżuwajcie, ale nie połykajcie.

Gdy tylko zacząłem poruszać szczękami, w ustach rozplynął mi się cudownie słodki smak. Gwałtowny wzrost poziomu cukru przyprowadził mnie o lekkie drżenie. Przeżuwałem łapczywie, wysysając słodycz do ostatniej kropli.

- Myślicie, że to może być roślina, którą Inkowie karmili Alvarada? - zapytała Drew. - Ta, której smak przyrównywał da miodu?

- To jest trzcina cukrowa - wyjaśnił Anton. - A ona nie rośnie dziko

Wyplułem przeżutą papkę. Gdy tylko upadła na ziemię, natychmiast obieży ją mrówki, zęby dokończyć po mnie ucztę.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś ją tu zasadził?

- Chcę powiedzieć, że nie jesteśmy tu sami.

Szliśmy powoli, rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Pięć minut później Tillman znów przystanął i zakreślił maczetą szeroki łuk.

- Skrzyżowanie.

Sam bym tego nie zauważył. Było zbyt ciasno, całą przestrzeń wokół nas wypełniało gęste listowie. Ale miał rację. Wąska ścieżynka, która wyglądała na wydeptaną przez zwierzęta, przecinała ukośnie naszą drogę.

- Co robimy, szefie? - zapytał Tillman, spoglądając na Antona.

Fabio przykucnął i dokładnie zlustrował podłoże.

- Żadnych śladów. Może to jakiś stary szlak.

- Widzicie tamte bananowce? - Tillman wskazał przed siebie. - Nie są tak wybujałe jak te, które rosną dziko Ktoś się mmi opiekuje.

Anton długo wpatrywał się w korony drzew, pocierając zawieszony na Szyi ząb rekina.

- Tam jest jaśniej - zauważyła Drew. - Może to jakaś polana?

Przypomniałem sobie ostrzegawczą tablicę na brzegu rzeki. Przypomniałem sobie wzmianki z Wikipedii o podróżnikach, którzy zostali zabici przez dzikich Indian. Przypomniałem sobie wzburzenie w głosie starego Indianina z Esperanzy, który opowiadał nam przy ognisku o zagrożeniach czyhających w dżungli.

- Przecież mamy broń - odezwał się Tillman, jakby czytał w moich myślach,

Czarna rzeka

- I urządzimy tu masakrę? - Fabio wypluł kęs trzciniowego miazgu, - A potem będziemy się ostrzeliwać w drodze powrotnej?

- Kto powiedział, że nas zaatakują? - zapytał Howie, ostatnia osoba* po której spodziewałbym się optymizmu. - Podejźmy, zachowując się przyjaźnie, podarujemy im trochę garnków albo noży. Może dowiemy się od nich czegoś o jakichś ruinach w okolicy.

- Nie warto ryzykować - zaprotestował Fabio.

- No, racja... - przytaknął Anton, ale w jego tonie nie było przekonania.

- Obiecałeś, że będziemy spotykać Indian. - Howie obstawa! przy swoim jak turysta rozczarowany zmianą planu wycieczki.

- Obiecałem ci, że odnajdziemy Paititi.

- Ale ja chcę z nimi porozmawiać.

Widziałem, że Anton też odczuwa taką pokusę, i sądzę* że uległby jej, gdyby Howie nie dodał niepotrzebnie:

- Kto tutaj rządzi?

Anton spochmurniał Poprawił szelki plecaka, chwycił maczetę i zaczął wyrąbywać ścieżkę, która oddalała się od szlaku prowadzącego w stronę bananowców. Ruszyliśmy w ślad za nim. Fabio na wszelki wypadek zamykał pochód.

Tego wieczoru zawiesiliśmy hamaki blisko siebie, a Anton zdecydował, że kolejno będziemy trzymać wartę. Wciąż zachodziliśmy w głowę, co mogło znajdować się na końcu tamtej ścieżki. Zgłosiłem się do pilnowania obozowiska jako pierwszy* ale nawet potem byłem zbyt zmęczony całodzienną wędrówką, zęby zasnąć. To było (jakie samo uczucie, jak tamtej nocy przed podróżą, kiedy świadomość, że muszę wcześniej wstać, me pozwalała mi zmrużyć oka. Z tą tylko różnicą, że wtedy nie musiałem nasłuchiwać, czy skradają się dzicy.

Las deszczowy po zmroku nie jest miejscem, w którym dałoby się usłyszeć nadciągające zagrożenie. Zewsząd dobiegały tysiące dźwięków, a mój mózg chciał rozpoznać każdy z nich. Minęło pół godziny, zanim zebrałem się na odwagę i poszedłem się wysikać. Kiedy stałem w ciemności z opuszczonymi spodniami, wszystkie moje mięśnie były tak napięte, że ledwie zdołałem rozluźnić zwieracz pęcherza.

Nagle usłyszałem coś za plecami. Odwróciłem się, obsikując sobie rece, i zobaczyłem światło latarki oddalające się między drzewami. Nie sądziłem, aby jakiś Indianin robi! tyle hałasu, a tym bardziej używał czołówki. Podciągnąłem spodnie I pobiegłem za nim.

Usłyszał moje kroki i obrócił głowę, Z wyrazu jego twarzy zalanej poświatą latarki wywnioskowałem, że boi się jeszcze bardziej niż ja.

- Howie?

Miał na sobie kompletny strój, a nawet plecak i broń przewieszoną przez ramię.

- Dokąd stę wybierasz? - zapytałem.

- Wydawało mi się, że coś usłyszałem - odparł i dotknął strzelby. - Mam teraz wartę.

To prawda, trzymał wartę* ale Howie nie należał do ludzi, którzy chętnie zapuszczają się do ciemnej dżungli* gdy słyszą jakieś podejrzanе odgłosy.

- Czy ty aby nie wracaś do tej indiańskiej ścieżki?

- Nie - odparł, prze stepując z nogi na nogę, Nie potrafił kłamać. - Nic nie mów Antonowi.

- W pojedynkę? Nocą? Bój się Boga.

Zmarszczył czoło. Mozę i miał trzy fakultety z lingwistyki, ale teraz przypomina! skarconego uczniaka.

- Możesz iść ze mną, jeśli chcesz.

Czarna rzeka

Nie sadzę, by się spodziewał, że z nim pójdę. Być może liczył na wsparcie, a może zależało mu na prywatności podczas tej małej eskapady. Ale nie mogłem puścić go samego. Zresztą mnie też zżerała ciekawość.

- Pod warunkiem że wrócimy, zanim mm się obudzę.

Włożyłem buty i wziąłem broń, a także kilka innych rzeczy. Pomimo ciemności bez trudu wróciliśmy tę sarną drogę, która szliśmy po południu. Nawet bez pił łańcuchowych i buldożerów siedmioro ludzi potrafi wydeptać w dżungli całkiem wygodny szlak. Sowy po hu ki wały, żaby skrzeczały, a moje nerwy zdawały się trzeszczeć, napięte do granic wytrzymałości. Skupiałem całą uwagę na ścieżce, próbując nie myśleć o zatrutych strzałach, które w każdej chwili mogą ze świstem wylecieć spośród liści. Puściłem Howiego przodem.

Szliśmy dłużej, niż się spodziewałem. Zacząłem się zastanawiać, jak znajdziemy to miejsce, jak wrócimy do obozu i jak przejdę kolejne dziesięć kilometrów następnego dnia. zmęczony tym nocnym wypadem, kiedy Howie zatrzymał się i przykucnął, W świetle latarki zamigotało foliowe opakowanie po gumie do żucia, którym był owinięty jeden z cierni wyrastających z gałęzi palmy.

- Wiedziałeś, że tu wrócimy - powiedziałem niemal z podziwem

Skręciliśmy w ścieżkę, którą wypatrzył Tillman. Nie była tak dobrze wydeptana i szło się nam o wiele trudniej. Gałęzie i liście wciąż zaczepiały o rękawy mojej koszuli. Zdjąłem broń z ramienia i trzymając ją oburącz przed sobą, przedzierałem się przez zarośla. Już postanowiłem, że gdyby doszło do konfrontacji, nie będę zwracał sobie głowy strzałami ostrzegawczymi. Gdyby miało od tego zależeć, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę Cate i Peggy, nie zawahałbym się strzelić do jakiegoś dzikusa tkwiącego w epoce kamienia łupanego.

Dotknąłem ramienia Howiego. Gwałtowność, z jaką się obrócił, uświadomiła mi, że nie tylko ja jestem na skraju pani ki.

- Nie powinniśmy zgasić latarek? Mogą nas zauważyć.
- Jeśli będziemy się skradać, mogę pomyśleć, że marny złe zamiary.
- Możemy faktycznie mamy, z ich punktu widzenia.

Zacząłem sobie uświadamiać powagę sytuacji i nie chodziło wyłącznie o to, że w każdej chwili możemy zginąć.

- Nikt mi nie mówił, że będzie łatwo.

Omów nie wypuściłem broni, gdy niespodziewanie dżunglę wypełnił nowy dźwięk. Fałszywie brzmiący baryton zawodził z udawanym namaszczeniem. Śpiew dobiegał z ust Howiego.

- Co ty, do cholery, wyrabiasz? - syknąłem.
- Daję im do zrozumienia, że przychodzimy w pokojowych zamiarach.

Przez chwilę miałem ochotę go zastrzelić. Gdyby ścieżka była dłuższa, natychmiast bym zawrócił, ale w tym momencie wyszliśmy niespodziewanie na polanę. Oświetlona blaskiem księżycy wyglądała jak boisko piłkarskie. W głębi zobaczyłem kontury budynków.

Howie, nie przestając śpiewać, zrobił kilka kroków przed siebie z rozpostartymi szeroko rękami. Wyłączyłem latarkę i ukryty w cieniu czekałem na rozwój wypadków. Przed sobą widziałem wioskę. Uważałem, że łesperanza jest prymitywna, ale w porównaniu z tym, na co właśnie natrafiliśmy, była jak Manhattan. Wokół placu na środku polany stało kilka prostych chat o dachach ze strzechy, które otaczały puste palenisko. Obok piętrzyła się sterta suchych gałęzi i liści palmowych.

Teraz brzmi to niewiarygodnie. Patrzyłem na coś, czego dotychczas nie oglądał nikt z zewnątrz, nietkniętą skamieniałość z epoki kamienia. Ale wtedy martwiłem się czymś

Czarna rzeka

innym,

Ho wie opuści! ręce i odwrócił się w moją stronę.

- Nikogo nie ma w domu.

Jego słowa zabrzmiały jak kuszenie losu. Spodziewałem się, że zaraz nastąpi nieuchronna riposta i z jego piersi wyłoni się nagle ostrze rzuconego z tyłu oszczepu, który przebił go na wylot. Ale nic takiego nie nastąpiło.

Howie podszedł ostrożnie do najbliższej chaty i zajrzał do środka, a potem zniknął we wnętrzu. Wyobraziłem sobie wyrwanych ze snu Indian, których jego widok przyprawia o szok i przerażenie. Usłyszałem szelest otwieranego plecaka. Czyżby zabierał coś na pamiątkę?

Ciekawość wzięła we mnie górę. Z bronią gotową do strzału zrobiłem krok przed siebie, wyłaniając się z cienia. Tymczasem Howie wyszedł z chaty i skierował się w stronę sąsiedniej.

kiedy coś trzasnęło pod moją stopą, odskoczyłem gwałtownie do tyłu. W poświacie księżyca upiornie bielą kupka kości. Były tak drobne, że wziąłem je za chrust, gdybym nie ukończył medycyny. Leżało ich tu zbyt wiele, aby mogły pochodzić z jednego szkieletu. W miejscu, gdzie rozdeptałem kilka żeber, widniał odcisnięty w szarym pyłe bieżnik mojego buta, leżąca obok filigranowej czaszki drewniana latka przyglądała mi się z wyrzeźbionym na twarzy uśmiechem.

Wziąłem cztery głębokie oddechy i policzyłem do dziesięciu. To kości małp - powtarzałem sobie w myślach, próbując nie zwracać uwagi na lalkę. To muszą być kości małp. Miałem już okazję się przekonać, jak bardzo ich ciała są podobne do szczątków dzieci, kiedy zostaną pozbawione futra. Nie mogłem uwierzyć, że jest ich tutaj tak dużo.

Używając suchego liścia jako rękawiczki, podniosłem jedną z kości i schowałem do worka foliowego, w którym trzymałem notes. Makabryczna pamiątka. Ktoś mógłby to uznać za dziwne, ale zamierzałem zbadać ją dokładnie po powrocie do domu. Ot tak, dla pewności.

Stojąc sam na polanie, czułem się nieswojo. Wydawało mi się, że słyszę jakieś dźwięki, szepty dobiegające z gęstwiny, do której nie docierało światło księżyca. Ale podsuwała je tylko moja wyobraźnia. Przez szczeliny w plecionej ścianie jednej z chat, w której myszkował Howie, saczyła się żółta poświata jego latarki. Nagle poczułem, że nie wytrzymam ani chwili dłużej na otwartym terenie.

Schyliłem się i wszedłem do chaty. Wnętrze wyglądało tak, jakby od miesięcy nikt w nim nie mieszkał. Ze ścian zwisały tykwy, a na klepisku leżała porzucona drewniana misa. Howie przyglądał się dokładnie drewnianemu podestowi okrytemu zwierzęcymi skórąmi, który mógł pełnić funkcje legowiska lub stołu. Naprzeciw niego znajdowało się prymitywne palenisko otoczone kamieniami. Od razu dało się zauważyć, że dawno nikt z niego nie korzystał. Nawet popiół pokrywała warstwa kurzu.

Zrobiłem krok przed siebie i potrąciłem czubkiem buta coś, co potoczyło się po ziemi z głuchym stukotem. Brzmiało to tak, jakby przedmiot był pusty w środku i lżejszy od drewna, a nawet kości. Odbił się od ściany i potoczył z powrotem pod moje nogi. Schyliłem się i podniosłem go. Nagle wszystko dookoła stało się jeszcze bardziej zagadkowe.

- To twoje? - zapytałem.

Howie obrócił się do mnie. Mozę przez to niesamowite otoczenie albo przez światło jego czołówki, które mnie oślepiło, prawie nie poznałem Jego twarzy. Pokrywał ją gęsty zarost, na policzkach łuszczyła się spieczona słońcem skóra, a oczy zdawały się zapadać w głąb czaszki.

Czarna rzeka

- Czy to jest...?

Wyciągnąłem rękę w jego stronę, zęby mógł dokładniej się przyjrzeć. Na mojej dloni: leżała pusta buteleczka z przezroczystego plastiku, bez zakrętki, na oko sto mililitrów. Obróciłem ją i spojrzałem na etykietkę. „Blackwater 102b substancja aktywna”.

- Nie, nie moje - rzekł Mowie. - Może należało do tego całego Menendeza.

Wsunąłem buteleczkę do kieszeni, w której spoczywała już zawinięta w folię kość.

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o nieskażonych cywilizacją Indian. Chyba... - zawiesiłem głos i po chwili dodałem szeptem: - Wyłącz latarkę.

Otoczyła nas kompletna ciemność. Czekając, aż mój wzrok przywyknie do mroku, czujnie łowiłem wszystkie dźwięki. Brzęczenie owadów, szum liści. Przez chwilę wydawało mi się, że podniosłem fałszywy alarm, ale potem znów to usłyszałem. Odgłos ściszonej rozmowy. Wyrzałem przez szczelinę w ścianie i w blasku księżyca zobaczyłem sylwetki ludzi. Byli już na polanie, a jeden z nich trzymał coś, co przypominało włócznię. Musieli zauważyć światło w chacie, bo kierowali się prosto na nas, formując tyralierę. Naliczyłem pięć postaci.

Ręce trzęsły mi się Lak mocno, że ledwie zdołałem utrzymać broń. Przykucnąłem obok drzwi, a Howie klęczał za moimi plecami i w kółko coś mamrota). Tamci musieli zauważyć mój ruch albo lufę strzelby połyskującą w świetle księżyca. Zatrzymali się i teraz dzieliło ich od chaty około dziesięciu metrów. Wycelowałem w tego z włócznią. Niech tylko zrobi krok...

- Możę już dość tej zabawy w chowanego, pedały - odezwał się Tiliman.

25.

- W życiu nie widziałem większego kretynstwa. Gdybym mógł, w tej chwili odesłałbym was z powrotem do Puerto Tordoya. Zachciało się wam zabawy w Tarzana? Byliście ciekawi, jak długo uda się wam przeżyć?

Nigdy nie widziałem Antona tak wzburzonego.

- To było głupie - przyznałem. - My tylko...

Nie zwrócił na mnie uwagi.

-A ty pamiętasz, jaki był układ! - krzyknął na Howiego.

- Układ był taki, że nawiążę kontakt z miejscowymi Indianami.

- Tutaj nie ma miejsca na demokrację. To nie jakieś pieprzone posiedzenie rady miasta. Tutaj stawką jest życie i ja podejmuję decyzje. A gdybyście zastali tutaj Indian i gdyby nie spodobało im się wasze towarzystwo?

W ciemności Anton wydawał się jeszcze potężniejszy, wręcz monstrualny. Przy pasie miał nóż, a na ziemi pod jego nogami leżała maczeta

- Postanowiłem zaryzykować - odparł Howie.

- Miałeś trzymać wartę. Miałeś nas chronić. - Anton podpart się pod boki i dyszał ciężko, a jego poczerwieniała ze złości twarz wydawała się czarna w księżycowej poświacie. Jego wygląd nasuwał mi na myśl zabawne skojarzenie z Peggy, którą zmęczył dfugi atak wściekłości. - Gdyby to było wojsko, obaj zostalibyście rozstrzelani.

Mógłby tak jeszcze długo nadawać, ale wtem w jednej z chat rozległo się przekleństwo Tillmana, który po chwili wyszedł na zewnątrz, machając w naszą stronę małym pudełkiem.

- Co to jest? Pierdolone kółko czytelnicze?

Dopiero wtedy zorientowałem się, że przedmiot w jego dłoni, który wziętem za pudełko, to w rzeczywistości książka. Howie wyrwał mu ją i przycisnął do piersi, coś mamrocząc Na pozbawionej napisów okładce widniał wytłoczony krzyż.

Czarna rzeka

- Czy to jest Biblia? - zapytała Drew. W ręku trzymała identyczną książkę z krzyżem na okładce, którą wyjęła z plecaka Howiego.

Howie pokiwał głową i wbił wzrok w Antona. Po jogo minio widać było, że się powstrzymuje się od płaczu.

- Powiesz im?

- Oczywiście. - Anton rozdeptał mrówkę obcasem. Tym razem sprawia! wrażenie, jakby wcale nie chciał być w centrum uwagi. Tak naprawdę wygląda! na zakłopotanego.

- Jestem misjonarzem - oznajmił Howie. - Przystał mnie tutaj mój Kościół, żebym ewangelizował tubylców,

- O ja pierdolę - prychnął Ti liman.

- Nie wierzę, że to zrobisz - zwróciła się Zia do Antona. - Wiesz, jacy są ci ludzie.

- Więc lepiej, żeby żyli w ciemnocie jak bydłota? Uszlachetnimy ich dusze.

- Żeby wyszli na tym tak, jak mieszkańcy Esperanzy?

- Możemy porozmawiać o tym później - wtrąciłem i zataczając ręką luk, wskazałem na wioskę. - Szlachetni czy nie, mogą zaraz tu wrócić.

- Możę usłyszeli, że nadchodzi boży wysłannik i dali drapaka - odezwał się Tillman.

Howie dumnie uniósł głowę.

- Nie zamierzam słuchać, jak mnie szykanujesz,

- Szykanuję? Ja cię szykanuję? - Tillman podniósł kamień i cisnął w Howiego, trafiając go w ramię. - Jeszcze raz wywiniesz taką głupotę, a dowiesz się, co to znaczy szykanowanie, świętoszku.

- Ta wioska wygląda na opuszczoną od kilku tygodni - powiedziała Drew.

- W takim razie gdzie się wszyscy podziali?

- To koczownicy. Potrafią wędrować całymi dniami, żeby dotrzeć na łowisko albo odwiedzić krewnych z sąsiedniego plemienia. Tak samo jak my chodzimy na zakupy.

Wyjąłem z kieszeni plastikową buteleczkę, którą znalazłem w chacie.

- Myślę, że to należało do Menendezza - powiedziałem,

Zia pokiwała głową.

- Musiał tu być.

- Hej! - Fabio przywoływał nas ruchem ręki z drugiego końca polany, gdzie poszedł się rozejrzeć. Kiedy podeszliśmy do niego, pokazał maczetą ciemną lukę między drzewami. - Tu jest ścieżka.

- A jeżeli natkniemy się na Indian? - zapytałem z obawą,

- Ta ścieżka może prowadzić do Paititi - powiedział Tillman.

Myślałem, że żartuje, ale Anton przytaknął skinieniem głowy.

- Miejscowi znali drogę do każdego z tych zaginionych miast, które kiedykolwiek odnaleziono. Jesteśmy w odpowiednim rejonie. Jeżeli Paititi mieści się gdzieś w pobliżu, wydaje się sensowne, że prowadzi do niego jakiś szlak.

- Wczoraj nie chciałeś się tu zapuszczać - przypomniałem mu. Nie potrafiłem zrozumieć, czemu nagle zmienił zdanie.

- A dzisiaj chcę - odpari Anton i pokazał Howiemu uniesiony kciuk. - Może nawet spotkamy Indian, których będziesz mógł nawrócić.

Zia i Fabio zostali w wiosce, podczas gdy cała reszta poszła do obozowiska, żeby zabrać sprzęt. Kiedy wróciliśmy, stopy bolały mnie niemiłosiernie, Przemierzyłem ten skrawek dżungli cztery razy w ciągu ostatniej doby. Anton postanowił ukarać Howiego i mnie obarczając nas dodatkowymi plecakami. Nieśliśmy je zawieszane na długiej zerdzi, której końce opieraliśmy na ramionach.

Gdy dotarliśmy z powrotem do wioski, poczułem zapach jedzenia. Czekała na nas błyskawiczna owsianka z torebek i dzikie banany pieczone na ognisku. Zjadłem swoją

Czarna rzeka

porcję tak łąpczywie, że ogarnęły mnie mdłości.

- Spokojnie - upomniała mnie Zia. - To Jest jedzenie, które miało nam wystarczyć na powrót do domu.

- Szybko go ubywa - zauważyła Drew.

- Straciliśmy cały worek ryżu, kiedy Howie wpadł do strumienia. - Zia wyliczała, odginając kolejno palce. - Od czasu tamtej mały nie upolowaliśmy żadnej zwierzyny. Udało nam się jedynie zebrać tych kilka bananów i trochę orzechów, to wszystko.

Anton popatrzy! na nas przez kłęby pary, które unosiły się nad skwiercząca patelnia.

- Nie wiem jak wy, ale ja tu szukam zaginionych skarbów i nie przeszkadza mi, że przez kilka dni będziemy głodni.

- A mnie przeszkadza perspektywa śmierci głodowej - odparł Howie.

Ti liman zamachnął się w powietrzu nożem, jakby wyobraża! sobie, że odkrawa kawałek mięsa z jego ramienia.

- Gdybyś nie dźwigał tyłu cholernych Biblii, mógłbyś zabrać więcej zarcia.

Nikom nie było spieszno w dalszą drogę, bo z powodu niewyspania wszyscy czuliśmy się osłabieni i rozdrażnieni. Nawet prawdopodobieństwo, że wrócą Indianie, rozwiało się wraz z nadejściem świtu. W świetle dnia wioska wcale nie prezentowała się egzotycznie ani romantycznie. Była po prostu brudna i zapuszczona,

Kiedy Anton poszedł z Fabiem nabierać trzciny cukrowej, wyjąłem jego plecaka GPS i mapę.

- Planujesz ucieczkę?-zapytała Drew Uśmiechała się. ale widziałem zmęczenie na jej twarzy.

- Chcę zlokalizować tę wioskę.

Rozłożyłem mapę na ziemi, a Drew włączyła nawigację. Na polanie nie było problemu z sygnałem.

- Dwanaście stopni, dwadzieścia osiem minut i dwanaście sekund szerokości południowej i siedemdziesiąt jeden stopni, trzydzieści siedem minut i czterdzieści cztery sekundy długości zachodniej - odczytała liczby z wyświetlacza.

Zaznaczyłem punkt na mapie, a potem wyjąłem notes i zacząłem zapisywać w nim współrzędne. 12, 28, 12, 71.,. Nagle przerwałem.

- Usłyszałeś coś? - spytała Drew.

- Właśnie doświadczyłem *dója vu*.

Przewracając kartki notesu, cofnąłem się do początku. Szybko omiatałem wzrokiem krótkie notatki, spostrzeżenia, opatrzone datami wpisy do dziennika i koślawe szkice. W końcu na jednej z pierwszych stron znalazłem... „12 28 47 71 37 09”.

- Człowiek, którego uratowaliśmy, płynąc w górę rzeki, miał na ramieniu wytatuowane te cyfry - mówiłem szeptem, czując, jak serce uderza mi coraz mocniej. Położyłem otwarty notes obok GPS-u, który pokazywał naszą obecną pozycję. Liczby były niemal identyczne. - To były współrzędne.

Na brzegu mapy odnalazłem linię wyznaczającą odpowiednia szerokość geograficzną. Drew uklękła obok mnie i powiodła palcem po linii południka. Nasze palce spotkały się tuż obok punktu, w którym zaznaczyłem ołówkiem położenie wioski.

- To miejsce jest nie dalej niż półtora kilometra stąd - powiedziałem, obracając mapę zgodnie ze wskazaniem kompasu. - W tamtym kierunku.

Obydwoje powiedliśmy wzrokiem za moją uniesioną ręką. Patrzyliśmy w stronę widniejącego na przeciwległym krańcu polany wylotu ścieżki, którą w nocy znalazł Fabio. Za naszymi plecami rozległ się chrzęst zeschniętych liści.

- Znaleźliście coś? - zapyta i Anton.

Kiedy wstałem, ugięły się pode mną nogi i zakręciło mi się w głowie. Niedożywienie

Czarna rzeka

dawało mi się we znaki.

-Dokąd nas prowadzisz?

26.

Anton diugo wpatrywał się w mapę, notatnik i GPS. Jego dłoń powędrowała w stronę wiszącego na szyi zęba rekina, a palce zaczęły gładzić i tak już mocno wyslizganą powierzchnię.

- Te współrzędne to liczby, które Roberto miał wytatuowane na ramieniu - powiedziałem złowieszczo spokojnym tonem, - A to jest miejsce, w którym teraz się znajdujemy. Widzisz jakieś zbieżności? Cztery trafienia na sześć gwarantują wygraną.

Wpatrywał się we mnie uporczywie, jak gdyby jego błękitne oczy szukały na mojej twarzy odpowiedzi, która mogłaby mnie zadowolić. Potem wzruszył ramionami.

- Masz rację. Też wpadłem na to, że te liczby wyglądają jak współrzędne i sprawdziłem je na mapie. Okolica wydawała się odpowiednia, a facet należał do ekspedycji Menendezza, więc postanowiłem zaryzykować.

- I nic nam nie powiedziałaś? - odezwała się Drew. - Z nikim się nie skonsultowałaś?

Anton wyprężył się i wypiął pierś.

- To moja wyprawa i ja tu decyduję. Zależy mi na znalezieniu Paitili bardziej niż komukolwiek z was. Jeśli nam się nie uda, to ja położę głowę na piu.

- Ty durniu - odezwał się Fabio, który stał za naszymi plecami i słyszał całą rozmowę. Chwył mapę i potrząsnął nią Antonowi przed nosem - To dlatego nie wypuszczałeś nawigacji z rąk. Mówiłem ci, że idziemy w złą stronę. Gdybyśmy kierowali się na zachód od wodospadu, już dawno byłibyśmy na miejscu. Ale oddaliliśmy się od celu o trzydzieści, nawet czterdzieści kilometrów. I jak tam teraz dotrzemy?

Fabio odrzucił mapę i wyrwał GPS z rąk Drew.

- Oddaj mi to - rozkazał mu Anion.

-A po co? Żebyś jeszcze bardziej wyprowadził nas w pole? Po co zatrudniałeś mnie jako przewodnika, skoro nie pozwalałeś mi prowadzić?

-Zatrudniłem cię, żebyś zaprowadził mnie tam, gdzie ci każę.

-Więc dlaczego mi nie powiedziałaś, dokąd naprawdę chcesz iść?

- Możę ci nie ufam.

Anton nie zamierza! cierpliwie Czeakać. Rzucił się w stronę Fabia, który gwałtownie uniósł rękę z GPS-em. Nie wiem, czy chciał go odrzucić, czy spocone palce ześliznęły się z plastikowej obudowy, ale urządzenie zatoczyło szeroki krąg w powietrzu i wylądowało na kamieniu. Wszyscy usłyszeliśmy niepokojące chrupnięcie.

- Sukinsynu. - Anton podbiegi do GPS-u i zaczął gorączkowo naciskać guziki. - Zepsułeś.

- Sprawdź baterie - doradziła Drew, - Możę się obłuzowały.

- Mam zapasowe - wtrąciłem.

- To nie baterie - warknął Anton. - Wczoraj je wymieniałem.

- Mogły być felerne.

- To nie przez żadne jebane baterie.

Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Uniósł GPS, żebyśmy mogli zobaczyć pęknięty wyświetlacz i odstający od obudowy wyłamany kawałek plastiku. Potem wydał ryk wściekłości i rzucił się na Fabia. Obaj zwarli się ze sobą, upadli i zaczęli się tarzać w błocie jak para wieprzków. Drew krzyczała na nich, każąc im przestać, a Zia próbowała ich rozdzielić. Za plecami usłyszałem metaliczny zgrzyt, kiedy Tillman wyciągnął maczetę.

Czarna rzeka

Wszystko rozegrało się zbyt szybko, by ktoś zdołał to powstrzymać. Stojące dookoła porzucone chaty zdawały się nam przyglądać pustymi oczodołami, jak gdyby nie mogły się doczekać, a z popłynie krew. Miałem przeczucie, że cokolwiek spotkało mieszkających tu Indian, nie było to nic dobrego.

Ziai Drew zdołały wspólnymi siłami odciągnąć Antona. Fabio klęczał, opierając się na rękach, i ciężko dyszał. Włosy miał posklejane błotem. Nagle sięgnął po nóż.

- Kompletnie wam odbiło? - krzyknąłem, stając między nimi. - Biorąc się za lby, nie naprawicie GPS-u ani nie znajdziecie Paititi. Nie mówiąc o powrocie do domu.

Mięśnie Antona zadrżały i oślepił mnie promień słońca odbity od wypolerowanego ostrza. Spiałem się w sobie, przygotowany na cios pięścią w brzuch albo nożem pod zebra.

- Zeszliśmy już tak daleko. Zostało nam tylko półtora kilometra - dodałem, wskazując na ścieżkę między drzewami. - Nie chcecie zobaczyć, co jest na drugim końcu tęczy?

Odmierzyłem dystans na mapie. W niektóre dni pokonanie półtorakilometrowego odcinka zajęłoby nam cały ranek, ale idąc przetartym szlakiem, utrzymywaliśmy niezłe tempo. Zbliżając się do kolejnych zakrętów, czułem rosnącą nadzieję, która szybko ustępowała miejsca rozczarowaniu, gdy naszym oczom znów ukazywały się drzewa.

Ścieżka urywała się nagle u podnóża wysokiego urwiska. Zwieszały się nad nim girlandy rdzawoczerwonego mchu, a skalną ścianę pokrywały zacieki ptasich odchodów. Nad przepaścią tłoczyły się drzewa niczym tłum potępieńców. Mdlące zielonkawe światło sączyło się przez gęste korony drzew, a pokrywający ziemię gruby dywan opadłych liści tłumii nasze kroki. Panowała złowieszcza atmosfera, ale żadne z nas się tym nie przejmowało.

Przed sobą zobaczyliśmy ziejący w skale otwór. Anton podbiegi do niego, zatrzymał się na progu, po czym z okrzykiem uniósł maczetę i zdrapał nią trochę mchu zwisającego nad wejściem.

Miałem wrażenie, że moje serce na moment przestało bić. Przypuszczalnie inni poczuli to samo. Jakby na tę krótką chwilę cały świat dookoła wstrzymał oddech. Nie byliśmy sami. Spoglądała na nas wyrzeźbiona w skale nad jaskinią jedna z tych dziwacznych istot osercowatej głowie i spiralnym tułowiu.

- Wszędzie ich tu peino.

Drew zrobiła krok w tył, pokazując urwisko. Cała ściana była pokryta ornamentami jak katedra Gaudiego. Zdobiły ją spirale i okręgi, romby, labirynty i symbole słońca, patykowane sylwetki i trójokie twarze w kształcie serca; wszystko to zachodziło na siebie i zlewało się jak w jakimś psychodelicznym śnie. Znaki tworzyły tak spójną całość, że na pierwszy rzut oka można by je wziąć za naturalną fakturę skały. A pośrodku widniał otwór jaskini, tak ciemny, że zdawał się zasysać światło.

- Ty pieprzony wariacie. - Tillman uderzył Antona pięścią w plecy. - Nie wierzę, że ci się udało.

Zrzuciliśmy plecaki na ziemię i wyjęliśmy z nich latarki. Fabio zaczął filmować ścianę kamerą wideo.

- Lepiej zostaw baterię na 10. co jest w środku - poradził mu Anton.

Pół godziny temu byli gotowi się pozabijać, ale teraz przewodnik bez słowa wyłączył kamerę. Ullman zdjął strzelbę z ramienia.

- No to zobaczmy, kto tu mieszka.

Czarna rzeka

Gdy tylko zagłębiliśmy się w ciemność, owionęło nas zatęchłe powietrze. Rozglądaliśmy się po wnętrzu jaskini, a snopy światła z naszych czołówek omiały skaliste wnętrza, krzyżując się i rozbiegając we wszystkie strony.

- Teraz mozesz włączyć kamerę - odezwał się Anton, rozcinając maczetą grubą pajęczynę.

Tutaj lownie otaczały nas wymyślne desenie podobne do tych, które widzieliśmy na zewnątrz. Pokrywały każdy skrawek ścian i stropu, ale nie były wykute w skale, tylko namalowane. Ich grube brązowe linie przypominały obrazy z badania tomograficznego, które oglądałem w szpitalu. Miałem wrażenie, jakbym zapuszczał się w głąb czyjegoś mózgu. Spod moich nóg czmychnął pająk.

- Jak myślicie, ile to może mieć lat? - zapytałem.

- Nie sposób określić - odparła Drew - W wilgotnym powietrzu malowidła starzeją się szybciej. A poza tym niewykluczone, że Indianie odświeżali stare W2ory, pokrywając je kolejną warstwą farby. Albo...

Anton zatrzymał się nagle. Otoczyliśmy go wszyscy, patrząc tam, gdzie skierował światło latarki.

- Ktoś tu był przed nami.

W czerwonej glinie, która pokrywała dno jaskini, widniał wyraźny ślad ludzkiej stopy. A raczej ślad buta. Solidne gumowe podeszwy o grubym bieżniku odcisnęły się głęboko w grząskim podłożu.

- Indianie noszą trapersy? - zapytał Tillman,

Anton ruszył dalej. Tillman kroczył tuż obok niego, wodząc w lewo i w prawo lufą uniesionej strzelby jak ktoś, kto zbyt dużo czasu poświęcił na gry wideo. Po obu stronach korytarza otwierały się czeluście prowadzące do skalnych komnat. Niektóre z nich wyglądały na zabarykadowane gałęziami i kłodami drewna, które ktoś ułożył w przejściu.

W glebi jaskini coś się poruszyło i światło siedmiu laterek natychmiast skierowało się w tamtą stronę. Podobnie lufa strzelby Tillman a Nagle jaskinią wstrząsnął ogłuszający huk, a moje oczy poraził jaskrawy błysk. Jakbym znalazł się w lufie armaty podczas wystrzału. Zasypał nas grad drobnych kamieni i piachu. Oślanając głowę rękami, czekałem, aż cały tunel zawali się, grzebiąc nas żywcem.

Powoli uniosłem powieki. Ze stropu sypał się drobny deszcz skalnego pyłu. Inni również przykucnęli skuleni, a Howie leżał rozciągnięty na ziemi. Dzwoniło mi w uszach, z trudem łapałem oddech, krztusząc się dymem i kurzem. Przed nami leżał rozerwany na strzępy nietoperz.

- Trochę szacunku, do kurwy nędzy - powiedział Anton. Jego głos zdawał się dobiegać spod wody. - To zabytkowe miejsce.

Wyrwał Tillmanowi strzelbę i ruszył dalej. Nie uszedł daleko. Kilka metrów dalej korytarz się kończył, a drogę zagrażała nam kamienna ściana, którą także pokrywały rzeźbione wzory. Przed nią niczym stół spoczywał ogromny płaski g*az. A na nim, jak w scenie z *Poszukiwaczy zaginionej arki...*

- Nie do wiary - mruknął Tillman.

Przed nami stał posązek idola. Nie potrafię określić tego innym słowem. Bryłę białego kamienia wielkości grubej książki zdobiły wzory, które zdążyliśmy już dobrze poznać. Jednak były wyrzeźbione o wiele kunsztowniej niż pozostałe. Przywodziły na myśl zadrukowaną stronę na tle dziecięcych gryzmołów.

Anton zrobił krok naprzód, a Tillman skierował światło latarki pod nogi. Zia krzyknęła, a Howie odskoczył, wpadając na mnie. Zachwiałem się, próbując odzyskać równowagę, i wszyscy omal nie runęliśmy na ziemię.

Czarna rzeka

- Proszę, powiedzcie mi, że to nie byli ludzie - wykrztusiła Drew. Mówiła takim głosem, jakby żołądek podjeżdżał jej do gardła.

Na ziemi pod posążkiem ciągnął się rząd białych czaszek różnych kształtów i rozmiarów. Zeschnięte liście i kwiaty leżały dookoła nich albo sterczały powtykane w oczodoły.

- To zwierzęta zlozorte w ofierze - wyjaśnił Fabio, Podniósł jedną z czaszek i przybliżając ją do Howiego, kłapnął żuchwą - Kapibara.

- Co za ohyda - obruszył się Howie.

Dotknąłem figurki, wodząc palcami po rowkach wyrzeźbionego pośrodku labiryntu. Poczułem się jak rabus plądrujący starożytne groby i przeszył mnie dreszcz emocji. W Anglii mógłbym oglądać takie rzeczy tylko przez kilkucentymetrową taflę pancernego szkła.

- Możemy to ze sobą zabrać?

Wspólnie z Antonem chwyciłem figurkę, ale mimo wysiłków nie zdołaliśmy jej oderwać od kamiennego podłoża

- Nie dalibyśmy rady dźwigać tego przez dżunglę.

Anton pochylił się nad posążkiem, przyłożył do niego głowę, po czym wyciągnął rękę z aparatem i zrobił sobie zdjęcie

- Selfie z bożkiem.

- No i co teraz? - odezwał się Howie. - Czy o to chodziło? Znaleźliśmy Partiti?

- Nie sądzę - odparła Drew. - Alvarado wspominał, że przy drodze, która zaprowadziła go do wodospadu, stały rzeźbione drogowskazy. To mógł być jeden z nich. - Położyła dłoń na wyrytym w kamiennym bloku labiryncie. - Partiti osiem kilometrów. Może Indianie znaleźli go i umieścili w swojej świątyni.

Twarz Antona płonęła z podniecenia.

- Musimy być bardzo blisko.

- Równie dobrze mogli go przynieść z daleka - zaznaczyła dziewczyna, ale on nie zwrócił na to uwagi.

- Musimy obejrzeć resztę jaskini.

Ruszyliśmy z powrotem. Żadna z bocznych odnóg nie ciągnęła się daleko i wszystkie przypominały raczej komnaty przylegające do głównego korytarza. Roilo się w nich od nietoperzy, szcurków, pajaków i innego paskudztwa, ale me było tam nic wartego zabrania.

Tillman kopnięciem odrzucił stertę gałęzi, która tarasowała kolejne wejście, przystanął i poświecił do środka.

- Chodźcie tu.

Stłoczyliśmy się za jego plecami, a światło z naszych czołówek wypełniło skalną komnatę. Na ziemi leżały dwie podłużne torby z zielonego drelichu, które zupełnie nie pasowały do otoczenia. Tillman przyklęknął obok jednej z nich, odsunął zamek błyskawiczny i wsunął rękę do środka. Wyciągnął sfatygowane czasopismo o stronach zwiotczonych od wilgoci i rzucił w naszą stronę.

- Odkryliśmy tajemny skarbiec - powiedział.

Instynktownie złapałem magazyn. Z okładki spoglądała na mnie Pamela Anderson ubrana jedynie w rozchełstaną marynarkę i krawat. Ten numer „Playboya” był chyba ostatnią rzeczą, którą spodziewałbym się znaleźć w takim miejscu. Trzymałem go jak zabytkowe wydanie Biblii, niepewny, co z nim zrobić. Anton parsknął śmiechem.

- Ty zawsze masz szczęście.

- Jest tam coś jeszcze? - zapytał Fabio.

- Pornoli już nie ma - odparł Tillman. - Ale... zobaczcie to.

Czarna rzeka

Ponownie sięgnął do torby i wyjął z niej foliową paczuszkę, W środku znajdowała się biała kostka przypominająca bryłę kitu. Pochyliliśmy się niżej.

- Czy to.*.?

Odpowiedź była tak oczywista, że dopiero po chwili zrozumiałem, na co patrzę. Jak filmowy gliniarz Tillman przebił folię swoim nożem myśliwskim, a kiedy wyjął go z powrotem, ostrze pokrywał biały nalot. Uniósł nóż do ust i oblizał go.

- Jak to możliwe, że koka w Peru zawsze smakuje lepiej niż gdziekolwiek indziej.

Przypomniałem sobie wiszący na lotnisku plakat, z którego spoglądała para rozognionych oczu, „Nie dla narkotyków”. Przypomniałem sobie też rozmowę z Amerykaninem, który zaczepił mnie w barze w Puerto Tordoya: „Jak Tajlandia słynie z zon na zamówienie, tak ten rejon to światowe zagłębie koki \

- Czy przemytnicy narkotyków urządzili sobie tu magazyn przerzutowy?

- Jeżeli tak, to nie spieszyło im się po towar. - Tillman wskazał datę na okładce magazynu, który pochodził z września 1991 roku. - To leży tutaj od prezydentury Reagana.

Nie odrywałem wzroku od paczuski, którą trzymał w rece. Połyskująca w świetle latarki folia nawet po tylu latach szeleściła miękko, uginając się pod jego palcami. Nie miałem pojęcia, jak te torby mogły się tu znaleźć. Czy zrabowali je Indianie, czy porzucili przemytnicy... A może po prostu spadły z nieba.

Tillman zanurzył rękę we wnętrzu torby. Znow zaszeleściła folia.

- Tu będzie ze dwadzieścia kawałków jak nic - powiedział, wpychając sobie dwie paczuski do kieszeni. Kilka dodatkowych trzymał w rękach.

- Chyba nie zamierzasz tego zabrać? - zapytała Drew i spojrzała na Antona. - Wiesz, jakie możemy mieć przez to kłopoty.

- A wiesz, ile to jest warte? - odparł Tillman. - Możę wam zależy na sławie i szukacie tu gównianego dziedzictwa cywilizacji, ale ja chcę się obłowić. Pamiętasz Aguas Verdes? - dodał, widząc wahanie na twarzy Antona. - Nigdy nie zostawiaj kasy na stole.

- Dobra. - Anton pokiwał głową. - Weź tyle, ile zdołasz unieść.

Drew zaczęła protestować, ale nie sądziłem, że zdoła go przekonać. Widziałem błysk w jego oczach. Bądź co bądź, był poszukiwaczem skarbów, a ten towar nawet po dwudziestu pięciu latach wciąż był wart fortunę.

Moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Zauroczenie tajemniczą jaskinią mijało i coraz bardziej dokucza! mi ból głowy spowodowany cuchnącym powietrzem i hukiem wystrzału w ciasnym korytarzu. Odnalezienie narkotyków było dla mnie tak wielkim zaskoczeniem i pociągało za sobą tyle trudnych pytań, że czułem się kompletnie skołowany.

Uświadomiłem sobie, że wciąż ściskam w rękach numer „Playboya’*. Oddałem go Fabiowi i ruszyłem w stronę wyjścia. Potrzebowałem świeżego powietrza, jednak po drodze za u ważyłem t ze została jeszcze jedna komnata, której wnętrza nie zbadaliśmy. Ciekawość wzięła górę. Kiedy zajrzałem do środka, moim oczom ukazała się sarta bagażu. Plecaki i torby podróżne piętrzyły się na ziemi, jakby ktoś przygotował je do wyjazdu na urlop.

- Znalazłeś coś? - zapytał Fabio, zatrzymując się za moimi plecami.

- To chyba biuro rzeczy znalezionych.

Ale nie było to trafne określenie. Nie miałem wątpliwości, że to, co widzę przed sobą, nie jest zbieraniną przypadkowych rzeczy, i wiedziałem dokładnie, do kogo należały.

Czarna rzeka

28.

Wyciągnęliśmy bagaże z jaskini. W świetle dziennym nie dało się przeoczyć dużych czarnych liter wypisanych na tkaninie wodoodpornym flamastrem: „Pachacamac - misja medyczna Menendeza”.

- Możę tutaj obozowali - powiedziała Drew, stawiając menażkę z wodą na palniku kuchenki turystycznej. - Znaleźli jaskinię i postanowili w niej ukryć część sprzętu, żeby potem po niego wrócić.

-Możę... - odezwał się Anton z powątpiewaniem w głosie.

Zia siedziała, obejmując kolana rekami, i wpatrywała się w ciemny otwór jaskini, jakby to była ogromna paszcza, która chce ją pochłoniąć.

- Zobaczmy, co tu zostawili. - Tiliman otworzył jeden z plecaków i zaczął przerzucać jego zawartość.

Spojrzałem na Zię, Na pewno nie było jej łatwo na to patrzeć. Sam miałem wrażenie, jakbym uczestniczył w publicznej autopsji, ale prawda była taka, że ekspedycja jej narzeczonego zaginęła wiele miesięcy temu. Trudno było liczyć, że ktokolwiek jeszcze wróci po te rzeczy.

Członkowie wyprawy Menendeza nie zabrali ze sobą wiele. W plecaku było kilka ubrań, osobistych drobiazgów i zużyty sprej przeciw owadom. Tiliman wyciągnął kapelusz tropikalny w kolorze khaki i go założył.

- Myślicie, że wyglądam w tym jak Indiana Jones? - zapytał, oglądając kształt swojego cienia na piasku.

- Chyba me zamierzasz tego nosić - zaprotestowała Drew.

- A owszem, dopóki Fabio nie odkupi mi tego, który utonął w rzece

Fabio mruknął coś pod nosem i podał mi plastikową saszetkę ze znakiem czerwonego krzyża. W środku coś zagrzechało, kiedy wziąłem ją do ręki. Odsunąłem zamek błyskawiczny i w nozdrza uderzyła mnie dobrze znana ciężka metaliczna woń krwi. Wnętrze pokrywały czerwone plamy, wśród których zauważyłem połyskujące drobinki sztucznego szkła. Zamarłem na moment, przygotowując się na jakiś makabryczny widok - ociekające krwią trzewia albo odciętą rękę czy gŁowę. Ale w środku znajdowała się tylko plastikowa ramka służąca do transportowania próbek krwi. W całości zachowało się tylko kilka próbek, większość była potłuczona, co tłumaczyło, skąd się wzięły odłamki szkła i krwawe plamy.

- Gdzie jest nasza apteczka?

Fabio rzucił mi zestaw pierwszej pomocy, z którego wyjąłem parę lateksowych rękawiczek. Nałożyłem je i ostrożnie wyciągnąłem z oprawki jedną z ocalałych próbek. Była na niej naklejka z kodem kreskowym i numerem, który musiał dla kogoś coś znaczyć. Wyglądało to bardzo fachowo.

Drżały mi ręce - nic dziwnego, zwąszywszy na to wszystko, co przeżyłem w ciągu ostatnich godzin - i próbówka wysliznęła mi się z palców. Upadła na kamień, roztrzaskując się w drobny mak. Klnąc, odskoczyłem w tył. Natrętne muchy, które nieustannie mnie prześladowały, odleciały w stronę świeżej kafuzy, rozlewającej się na kamieniu.

- Wygląda na to, że im naprawdę chodziło o program szczepień.

- Przecież mówiłam - odpada Zia. a wściekłość w jej głosie walczyła ze zmęczeniem

Zsunąłem zamek saszetki. Brzęczenie uwięzionych w środku much przynosiło mi okrutną satysfakcję.

- Ale próbki krwi raczej nie są do tego potrzebne.

-Wiem, o co tu chodzi - wtrącił Tiliman. - Menendez był wampirem, żywił się krwią

Czarna rzeka

i mieszkał w jaskini z nietoperzami.

-Zamknij się - skarciła go Drew, podając Zii kubek świeżo zaparzonej kawy. - Na miłość boską, on był jej narzeczoną

Tillman posiał jej nonszalanckie spojrzenie.

- Nie podniecaj się tak.

- Zobaczcie to! - zawołał Fabio. wyjmując aparat cyfrowy z plecaka, który właśnie przeszukiwał.

Urządzenie było nieuszkodzone i wciąż działało. Kiedy Anton je włączył, wyświetlacz rozbłysnął przy wtórze elektronicznego świergotu, który w środku dżungli brzmiał bardzo niestosownie. Wszyscy tłoczyliśmy się, zaglądając mu przez ramię, kiedy nacisnął guzik przewijania galerii.

Na ekranie pojawiło się pierwsze zdjęcie, które przedstawiało ciemnowłosego mężczyznę mniej więcej w moim wieku. Miał na sobie przepoconą koszulę w kolorze khaki, czerwona bandanę zawiązaną na szyi, a spod runda kapelusza - tego samego, który teraz nosił Tillman - wystawała klejąca się do czoła krótka grzywka. Zmęczony, ale uśmiechnięty wyciągał w stronę obiektywu uniesione kciuki.

- Doktor Menendez, jak przypuszczam - powiedziała Drew.

Anton zaczął wyświetlać kolejne zdjęcia. To był typowy album z wyprawy - Menendez na łodzi trzymający rybę, którą właśnie złowił; Menendez w uprząży wspinaczkowej na skale w pobliżu wodospadu; Menendez przedzierający się przez dżunglę z maczeta w dłoni; Menendez w otoczeniu grupy uśmiechniętych mężczyzn obok zawieszanej na drzewie małpy, którą upolowali. Poczujęm się nieswojo, uświadomiwszy sobie, że kilka ostatnich tygodni spędziłem w identyczny sposób.

Rozległ się pisk informujący o rozładowaniu baterii i po chwili ekran zgasi. Anton wyjął kartę pamięci z aparatu.

“ Przypilnuję tego - zwrócił się do Zn, która wyciągnęła do niego rękę w wyczekującym geście.

- To należało do Felixa.

- Przypilnuję tego - powtórzył. - A kiedy znajdziemy Menendeza, oddam mu to osobiście.

Wsunął kartę do woreczka strunowego i wiozł go do portfela z materiału pokrytego plamami maskującymi, który nosił w kieszeni. ZIM mierzyła go wzrokiem, jakby chciała rzucić się na niego z pięściami, co zapewne by zrobiła, gdyby była silniejsza.

- Więc gdzie on teraz jest⁹ - odezwał się Mowie.

Jego pytanie zawisło w powietrzu. Wszyscy starali się nie patrzeć na Zię.

- Możliwe, że przeżył - powiedziałem. W moich słowach było tyle nadziei, ile rzeczywiście czułem.

- Pewnie - dodał Fabio.

- Chcicie wiedzieć, co myślę? - zaczął Anton, a z tonu jego głosu domyśliłem się, że do czegoś zmierza. - Indianie złapali Menendeza wraz z całym towarzystwem i uwięzili ich w tej jaskini. A potem nasz znajomy, Roberto, uciekł. Jakoś udało mu się zdobyć namiary GPS-u, które wytatuował sobie na ręce

- Ten aparat - wtrąciłem. - Założę się, że ma wbudowaną nawigację.

- Skoro Roberto zapisał współrzędne, zamierza tu wrócić, na przykład z ekspedycją ratunkową. A to oznacza, że Menendez i inni nie zginęli.

- W każdym razie wtedy jeszcze żyli - dodał Tillman.

- Po ucieczce Indianie zorientowali się, że jaskinia nie jest bezpieczna i przenieśli więźniów w inne miejsce.

- Musimy ich poszukać - powiedziała Zia.

Czarna rzeka

Kolejna dawka nadziei była dla niej udręką. Ścisnęła kubek z kawą tak mocno, jakby chciała go z miażdżyc.

- Ta dżungla ma tysiąca kilometrów kwadratowych - odezwał się Tillman, przeżuując kawałek trzciny cukrowej.

- Nie ma szans - poparł go Fabio.
- Pierdolę was. Pójdę sama. jak będzie trzeba.
- I zginiesz w tej dżungli.

Byliśmy tak zmęczeni, że kolejny wybuch wisiał w powietrzu. Tego ranka dwóch z nas omal się nie pozabijało.

- Naprawdę kłócimy się o coś takiego? Naprawdę? - Potoczyłem wzrokiem po twarzach towarzyszy, rzucając im wyzwanie. - Jeżeli Menendez tu jest, a nie zauważyłem niczego, co wskazywałoby na to, że nie żyje, czy nie powinniśmy spróbować mu pomóc? Tego wymaga od nas człowieczeństwo.

- Pieprzyć człowieczeństwo - odparł Tillman. - Jeśli zgubimy się w dżungli ■ pozdychamy z głodu, ani jego nie uratujemy, ani nikt nie uratuje nas.

Odpiąłem od paska lokalizator satelitalny i uniosłem go, pokazując wszystkim.

- Mam coś takiego. Kiedy naciśnę ten guzik, pomoc dotrze do nas w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Howie miał tak zdesperowaną minę, jakby zamierzał wyrwać mi urządzenie z ręki.

- O ile zadziała - rzekł Anton. - I pod warunkiem że złapie zasięg. A poza tym jesteśmy w strefie zamkniętej dla ruchu powietrznego, pamiętasz?

- A co z jedzeniem? - zapytał Howie. - Podobno zjadamy już prowiant przeznaczony na drogę powrotną.

Tillman wymierzył mu kuksańca.

- Dobrze kombinujesz, Jezusku.

- Ale to prawda - potwierdził Fabio, wpychając 2 powrotem ubrania do plecaka Menendeza.

- Trzy dni - oznajmił Anton. - Poświęcimy na to trzy dni. Na tyle jeszcze wystarczy nam żywności. A jeżeli ich nie znajdziemy, wrócimy do Puerto Tordóya i zawiadomimy władze.

- Nie zapomniałeś o czymś? - zapytał Tillman. - Fabio rozwalił GPS. Chcesz się przedzierać przez tę dżunglę bez nawigacji? Pogubimy się jeszcze bardziej niż Menendez.

- W tamtym aparacie może być GPS - przypomniałem im, - Da się go uruchomić?

Fabio podważył kciukiem klapkę w obudowie urządzenia.

- Nic z tego. Tu pasuje tylko specjalna bateria.

- A może ktoś jeszcze ma aparat z nawigacją? - zapytałem, ale odpowiedziało mi milczenie. - To może telefon?

Oczywiście mój smartfon był wyposażony w GPS, ale nie przetrwał upadku na placu w Puerto Tordóya. Anton miał jakiś zabytek z przyciskami, a bateria w iPhone'ie Drew padła wiele dni temu. Inni nie zabrali komórek.

- Nic nie szkodzi - powiedział Anton. - Ludzie zapuszczali się w głąb dżungli już kilkaset lat przed tym, jak wynaleziono nawigację satelitalną.

- A niektórzy z nich nawet wracali - dodał Fabio.

Anton poderwał się z ziemi.

- Nigdzie nie dojdziemy, jeśli będziemy siedzieć na tyłkach. Zbierajmy się - rozkazał i objął Zię ramieniem. - Obiecuję ci, że jeśli Menendez tu jest, uratujemy go. A może nawet znajdziemy Paititi.

Ostatnie zdanie zabrzmiało w jego ustach jak żart. Ale przypomniałem sobie, jak wyglądał, kiedy znaleźliśmy posążek idola - był jak hazardzista, który dostał fartowne

Czarna rzeka

rozdanie. I nadal wierzył w swoje szczęście - bardziej niż kiedykolwiek.

Nie zależało mu na odnalezieniu Menendeza. Był poszukiwaczem skarbów. I zęby je zdobyć, był gotów zaprowadzić nas na skraj przepaści.

29.

-Jeżeli Indianie zabrali ich gdzie indziej, może wydeptali jakąś ścieżkę - zastanawiał się na głos Anton.

Rozproszyliśmy się, zęby przeszukać polanę u podnóża skały. Rozglądałem się wśród zarośli, ale nie mogłem się skupić. Wciąż zastanawiałem się, czy zdołamy uniknąć tego, co spotkało Menendeza. Nie zdążyłem się zbyt oddalić, gdy usłyszałem wołanie Antona.

-Tutaj!

Stał wśród sięgających mu do kolan paproci i trzymał między palcami strzępek czerwonego materiału. Kolorem przypominał bandanę, którą widzieliśmy na zdjęciach owinięta wokół szyi Menendeza. Podał go Zii.

- Czy to jego?

Kobieta przycisnęła kawałek tkaniny do ust i pokiwała głową. Anton wsunął jej dłoń pod brodę i unosił twarz, jakby przemawiał do dziecka.

- To jest dobry znak. Świadczy o tym, że przeżył i poszedł w tym kierunku - powiedział i spojrzał w stronę dżungli. - Czy ktoś tam widzi drogę?

Ti liman wskazał przerwę między drzewami,

- Mnie się wydaje, że tu coś jest.

- Możliwe - rzekł Fabio. - Ale zyczę powodzenia, jeśli spróbujesz tamtędy przejść.

Anton wyjął kompas i przyglądał mu się przez chwilę.

- Gdyby poprowadzić linię od jaskini do tego miejsca, wskazuje niemal dokładnie na zachód. Wyznamy azymut i pójdziemy tą trasą.

- Zaraz, zaraz - odezwał się Tillman. - Dlaczego zakładasz, że oni poszli prosto? Myślisz, że Indianie jeszcze nie nauczyli się skręcać w prawo i w lewo?

- Myślę, że wiedzą, gdzie zachodzi słońce. A ponieważ nie narysowali nam mapy i nie mamy GPS-u, podążanie za azymutem to jedyny sposób, który pozwoli nam tu wrócić. Chyba że chcesz znaczyć drogę okruszkami chleba. - Anton z trzaskiem zamknął kompas. - Wiem, że to strzał w ciemno, ale musimy spróbować.

Mogliśmy spróbować czegoś prostszego. Choć na mapie nie było tego widać, przez całą resztę dnia bez przerwy szliśmy pod górę. To musiało być jakieś nieoznaczone i niezbyt okazałe pasmo Andów. W Anglii tego rodzaju góry ludzie odwiedzają z litością,

Jedynym odgłosem, który oprócz nieustannego brzęczenia owadów wypełniał upalne powietrze, było narzekanie Howiego. Fabio i Ti liman bez większego entuzjazmu torowali drogę maczetami. Zia szła samotnie, a Drew była w nie najlepszym humorze. Ukrywała swoje myśli za ciemnymi szkłami okularów przeciwsłonecznych i wszystkich unikała. Przyglądałem się jej i rozmyślałem.

Drugiego dnia teren się zmienił. Ale nie na lepsze. Drzewa, które wyrastały z lepkiej czerwonej ziemi, stały się grubsze, a ich liście ostrzejsze i bardziej kłujące. Maczety tępiły się na nich tak szybko, że Ullman i Fabio ledwie nadążali z ich ostrzeniem. Może właśnie z tego powodu, a może przez zwykłe niedbalstwo, wykonywali swoje zadanie byle jak, pozostawiając na ścieżce płożące się gałęzie.

Brakowało nam optymizmu. Trudno myśleć pozytywnie, kiedy burczy w brzuchu. Głód jest czymś archaicznym dla człowieka Zachodu, który oglądając w telewizji

Czarna rzeka

wychudzone dzieci o zaro piątą oczach, sięga po kolejną paczkę chipsów. Nie chcę wyolbrzymiać - nie umieraliśmy jeszcze z głodu, ale mój skurczony żołądek zaczynał przysychać mi do kręgosłupa. Czułem mdłości i kręciło mi się w głowie. Stałem się niezdarny, co chwila potykałem się i ślizgałem. Kilka razy omal nie nadziałem się na ostre kikuty gałęzi albo długie na trzydzieści centymetrów ciernie palmy. Wtedy właśnie zacząłem myśleć, że ktoś z nas nie wyjdzie stąd żywy.

Niebo zasnuło się chmurami, które gęstniały i kottowały się w upalnym powietrzu. Słyszeliśmy dobiegające z oddali dudnienie, które mogło być odgłosem grzmotów albo walących się drzew. Jedynym odpoczynkiem, na jaki sobie pozwalaliśmy, było czekanie na Howiego. który włókł się za nami coraz wolniej Kiedyś dołączył do nas dopiero po półgodzinie. Tłumaczył, że kiepsko się czuje, boli go gardło i cierpi na rozstrój żołądka. Moim zdaniem były to najprawdopodobniej dolegliwości psychosomatyczne - tak reagował na perspektywę spędzenia kilku dodatkowych dni w dżungli.

- Po cholere wlec ze sobą takiego tłumacza, skoro w całym rezerwacie nie uświadczysz ani jednego przekłętego Indianina - narzekał Tillman

Anton zastąpił go przy wyrąbaniu ścieżki, więc szedł teraz przede mną. Nawet on wyglądał na wyczerpanego długim marszem. Nie chciałem ztorzczyć na Howiego. Gdyby nie on, to ja byłbym najślabszym ogniwem ekipy

- Jak myślisz, co się stało z Indianami?

- Doganiają dwudziesty pierwszy wiek? Możę odkryli telewizję i nie chcą przegapić

Ekipy z New Jersey.

Roześmiałem się, a Tillman splunął na ziemię.

- A tak poważnie? - dodał. - Myślę, że teraz gdzieś (u się czają.

Gdyby Howie był w pobliżu, uznałbym to za podpuchę, ale Tillman nie mówił upiornym głosem ani nie rozglądał się ostentacyjnie dookoła.

- Ck ludzie przez ostatnie pięćset lat bronili się przed cywilizacją, więc myślisz, że teraz przyjdą uściskać nam dłonie. bo Howie chce im opowiedzieć o Jezusie? - powiedział! zamachnął się maczetą, ścinając gałązkę, którą zostawił Fabio. - Wszyscy ci cholerni Indianie są tacy sami...

Poczułem zażenowanie, jakbym słuchał taksówkarza, który zaczyna pomstować na imigrantów.

- To znaczy, w gruncie rzeczy są tchórzliwi. Zawsze tacy byli. Wiesz, dlaczego w Brazylii i na Karaibach jest tylu czarnych? Bo Indianie nie byli wystarczająco silni, żeby pracować na plantacjach. Są słabi. Zamiast stawie czoło, uciekają i zaszywają się w swoich kryjówkach. Nie mówię, że to jest głupie. Trzeba odpowiednio wazyć sity. Ale to podstępne gnojki, obserwują cię bez przerwy i gdy tylko popełnisz jakiś błąd. już cię mają. Tak jak wtedy w Aguas Verdes.,.

Wydawało mi się, że już słyszałem tę nazwę.

- Gdzie jest Aguas Verdes?

- W Meksyku - odpowiedział Anton. Idąc za plecami Tillmana, nie zauważyłem, że go dogoniliśmy. Siedział na kamieniu, a na jego twarzy malował się dziwny wyraz. - Pracowaliśmy tam razem jakiś czas temu.

- I co tam się stało?

Moi towarzysze wymienili spojrzenia.

- Lepiej ty to opowiedz, szefie - rzekł Tillman.

Anton rozprostował nogi i uniósł wzrok ku niebu.

- Aguas Verdes to kopalnia, w której Aztekowie wydobywali złoto, zanim jeszcze przybyli tu Hiszpanie. Legenda głosi, że właśnie stamtąd pochodziła połowa skarbów Montezumy. Konkwistadorzy eksploatowali ją przez jakiś czas, ale Indianie rzucili na

Czarna rzeka

nią klątwę i każdy, kto przychodzi! tam pracować, ginął straszliwą śmiercią. W końcu zabrakło chętnych, a po latach nikt już nawet nie pamiętał, jak tam trafić. Dwa lata temu podczas pobytu w Meksyku grałem w pokera z pewnym starym Metysem, który powiedział mi o mapie z czasów podboju Ameryki. Należała do jego przyjaciela, Indianina, więc wybraliśmy się do niego, żeby ją obejrzyć. Wyglądało na to, że jest oryginalna. Facet zgodził się ją sprzedać, ale pod warunkiem że jego dwaj synowie pójdą z nami jako przewodnicy.

- Chico i Jorge - mruknął Tillman.

-Tak, ci dwaj byli okropni Mówiliśmy, że w lewo, a oni skręcili w prawo, chcieliśmy iść w górę, a oni prowadzili nas w dół. Wodzili nas za nos, dopóki nie została nam tylko resztką prowiantu.

- To mi coś przypomina.

- A wtedy nagle zaczęli się dwoić i troić. Ni stąd, ni zowąd znaleźli drogę, która prowadziła dokładnie tam, gdzie chcieliśmy trafić. I wiesz, co się stało? Jeszcze tego samego dnia o zachodzie słońca dotarliśmy na polane i zobaczyliśmy kopalnię. Wielka dziura u podnóża skały, a przed nią hałda odpadów, która wyglądała tak, jakby konkwistadorzy porzucili ją dopiero wczoraj.

- Nieźle.

- Ale nie przyszliśmy tam, żeby tyrać w kopalni. Harowa nam nie pasowała. Trzeba specjalnego sprzętu, ciężarówek do wywożenia urobku, należy opłacić starszyznę każdej wioski, przez którą chcesz przejechać, nawet jeżeli masz wszystkie stosowne zezwolenia. A my nie mieliśmy żadnego. Ale ze stoki zawsze spadnie kilka okruchów, więc na klęczkach zaczęliśmy przekopywać hałdę. Nie łudziliśmy się, że kupimy sobie za to porsche czy wille z basenami; wystarczyłoby tyle, żeby zwrócić się nam wyprawa i było za co wrócić do domu. Albo zacząć nowe poszukiwania. Ale wtedy okazało się, że nie jesteśmy sami, bo Chico i Jorge przyprowadzili swoich kumpli. Bóg jeden wie, jak oni nas tam znaleźli. Przez dziesięć dni włóczyliśmy się po tych górach i nie widzieliśmy żywego ducha, a nagle jak spod ziemi wyrosło dziesięciu czy dwunastu Indian, wszyscy z nożami i splotkami.

- A my nie mieliśmy broni - wtrącił Tillman.

-To było jedno wielkie oszustwo. Montezuma nigdy nie postawił stopy w tej okolicy, a oni zaprowadzili nas do jakiegoś dzikiego wyrobiska, które ogołociono wiele lat temu. Musieliśmy im oddać aparaty fotograficzne, GPS, pieniądze i mapę. Zostawili nam tylko kompas i kilka batoników i kazali się wynosić. Na pożegnanie powiedzieli, że nas zabiją, jeśli kiedykolwiek tam wrócimy.

Spróbowałem sobie wyobrazić to wszystko.

- To mi przypomina scenę z jakiegoś filmu - powiedziałem.

Anton zatoczył ręką luk, pokazując gęstwinę drzew i obłoczki białej mgły, które unosiły się nad doliną.

- A to nie?

W chmurach nad naszymi głowami przetoczył się grzmot, a na ścieżce sto metrów za nami pojawił się Howie.

- W drogę. - Anton wstał z kamienia. - Nie zapominajcie, że my też jesteśmy koczownikami.

Pięć minut później zaczęło padać. Nałożyłem pelerynę, ale pokryte ostrymi cierniami gałęzie krzewów, między którymi się przedzierałem, szybko podarły ją na strzępy. Schowałem to, co z niej zostało, i po chwili byłem przemoczony do suchej nitki. Pocieszałem się myślą, że przynajmniej zawartość mojego plecaka jest bezpieczna w wodoszczelnym worku Akurat tej rady Antona warto było posłuchać.

Czarna rzeka

To było długie i męczące popołudnie. Teren stał się równy, kiedy wyszliśmy na płaskowyż gęsto porośnięty drzewami. Przez liściaste sklepienie sączyły się krople deszczu, a z pnączy zwisały zielone frędzle mchu. Wszystko dookoła wydawało się tak wiekowe i prastare, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby spośród zarośli wyłonił się triceratops.

- To niemożliwe, żeby Menendez tutaj dotarł - powiedziała Drew. kiedy zatrzymaliśmy się na postój. - Odkąd wyruszyliśmy spod jaskini, nie widziałam nic, co wyglądałoby jak przetarty szlak.

Syknąłem, zęby ją uciszyć, i obejrzałem się przez ramię w nadziei, że Zia tego nie słyszała. Zewsząd otaczała nas nieprzebyta dżungla.

- Nie widzę nawet naszych śladów.

- Miejmy nadzieję, że kompas Antona jest sprawny.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Anton kazał mi sprawdzać, czy nie zgubiliśmy Howtego, więc wciąż pozostawałem w tyle, tymczasem zaczęło się ściemniać a ścieżka stawała się coraz mniej widoczna. Chwilami nie słyszałem już nawet świstu maczet na czele pochodu.

Do końca brakowało tak niewiele. Wspiąłem się na szczyt wzgórza, które opadało stromym zboczem w stronę płynącego na dnie doliny strumienia. Pozostali już zeszli i zaczęli przygotowywać biwak na kamienistym brzegu. W półmroku widziałem, jak Zia rozkłada naczynia, Tillman znosi drewno na ognisko, a Anton rozwiesza hamak. Ruszyłem w dół skarpy, przytrzymując się gałęzi. Pięć par butów rozdeptało wilgotną ziemię, zamieniając ją w błotnistą ślizgawkę.

- Uważaj! — zawołała Drew. - Tu nie jest bezpiecznie.

W tej samej chwili pośliznąłem się i zjechałem w dół. Howie stał na szczycie i przyglądał mi się z nieszczęśliwą miną.

- No, dawaj! ~ krzyknąłem.

- Ścieżka sprawiedliwych wiedzie przez ciernie - powiedział nabożnym tonem, a chwilę później wydał przeciągły jęk.

Parsknąłem śmiechem przekonany, że to żart. Ale potem odwróciłem głowę i zobaczyłem, że leży na ziemi, wijąc się z bólu. i trzyma się oburącz za tyłek. Domyśliłem się od razu. Torując drogę przez zarośla, Tillman i Fabio ociosy wali maczetami krzaki, pozostawiając sterczące z ziemi długie na kilkanaście centymetrów szpikulce. Howie pośliznął się i spadając, trafił prosto na jedną z takich zaostzonych gałęzi.

Podpełzłem z powrotem do góry i podparłem go ramieniem, pomagając mu wstać. Jego spodnie były rozdarte na siedzeniu, a z dziury sączyła się krew.

- Chyba nie dam rady - wyszeptał.

30.

- Będzie mógł iść? - zapytał Anton.

Siedzieliśmy wokół ogniska, zlizując tłuszcz z palców. Pomimo deszczu Tillman zdobył suche drewno, wydłubując z wnętrza rozszczepionego pnia kilka szczapek, które łatwo dano się rozpaścić. Jeszcze lepiej spisał się Fabio. który upolował dzikiego indyka, dostarczając nam dawkę wielce pożądanых kalorii, chociaż mięsa było zdecydowanie za mało, żeby siedem osób mogło się najeść. Nowie leżał na hamaku i pojękiwał od czasu do czasu, dając nam znak, że jeszcze żyje.

-Ta gałąź wbiła mu się w odbył-oznajmiłem, wzbudzając złośliwy chichot Tillmana. Nie potrafiłem tego przekazać w łagodniejszy sposób. - Nastąpił krwotok wewnętrzny.

Czarna rzeka

Bog jeden wie. jakie są obrażenia i czy nie dojdzie do infekcji. Gdyby gałąź była kilkanaście centymetrów dłuższa, mógłby tego nie przeżyć.

- Ale czy będzie mógł iść? - powtórzył pytanie Anton.

- Być może. Powoli.

- Jeszcze wolniej niż dotychczas? - zapytał Tillman z udawanym niedowierzaniem. -

Chyba ze zacznie się cofać.

- Potrzeba mu odpowiedniej opieki.

- Przecież umiesz przeprowadzić badanie odbytu, doktorku, no nie?

- Martwi mnie coś innego. Nie zostało nam zbyt wiele antybiotyków, a jeżeli wda się zakażenie..,

- Znam zioła, które pomagają w takich sytuacjach - powiedział Fabio.

Nie należę do entuzjastów medycyny naturalnej, ale byłem zbyt zmęczony i nie miałem innego wyjścia.

- Czy któreś z nich rosną w pobliżu?

- Mozo uda mi się je znaleźć,

Fabio wziął maczetę i poszedł w głąb dżungli. Światło jego czołówki migotało między pniami drzew niczym błędny ogień, unosząc się i opadając od czasu do czasu, kiedy schylał się, zęby obejrząc z bliska jakiś kwiat albo liść.

Anton spojrzął na Zię.

- Idź do niego i zobacz, czy nie trzeba mu pomóc.

- Poradzi sobie.

- Idź

Zia odłożyła garnek, który właśnie szorowała, i wstała. Prawdopodobnie domyślała się, o czym chcemy porozmawiać.

- Howie dalej nie pojdzie, prawda? - zapytał Anton, kiedy znikła wśród drzew.

- Jeżeli wróci o własnych siłach do wodospadu, zastanowię się poważnie nad kupnem jednej z jego Biblii.

Anton zapatrzył się w ogień. Wiedziałem, o czym myśli, i na pewno nie zastanawiał się teraz nad fosami Menendezów. Marzenia o zaginionym mieście pełnym złota waliły się w gruzy.

- A gdybyście zczekali z nim tutaj kilka dni? - zaproponował. - Fabio, Tillman i ja moglibyśmy się rozejrzeć po okolicy.

- Nie rozdzielajmy się. Nie mamy GPS-u, a gdzieś w pobliżu jest wioska pełna Indian, których zamiarów nie znamy w zasadzie... - Przerwałem, wyciągając z futerału lokalizator satelitarny. Odkąd zesliśmy na ląd, cały czas nosiłem go przy pasku i nie rozstawałem się z nim nawet we śnie. Na czerwonej osłonce widniał napis: „Zdjąć tylko w przypadku zagrożenia”. Wystarczyło nacisnąć jeden guzik i byłoby po wszystkim. - Chyba nadszedł czas, żeby tego użyć.

- Nie rób tego - zaprotestował Anion. W jego głosie wyczułem ton przestrogi, ale nie przejmowałem się tym.

- Nie rozumiesz, że chodzi o Życie Howiego? To już nie jest zabawa w Indianę Jonesa

- Dla mnie to nigdy nie była zabawa. Ale pomyśl tylko, zastanów się nad tym, jak daleko za szliśmy. Jeśli teraz się wycofamy, już nigdy tutaj nie wrócimy.

Patrzyłem na niego nad płomieniami ogniska. W powietrze wzbijały się iskry i dogorywały w ciemności. Zaszleściły zarosła i dostrzegłem zbliżające się do nas światło latarki.

- Przynajmniej się prześpij z tą myślą - dodał - Zobaczmy, jak Howie będzie się czuł. Możę ziołowe lekarstwo mu pomóc.

Czarna rzeka

Spomiędzy drzew wyłonił się Fabio, w jednej ręce niosąc pęk liści, a w drugiej długi kawał pnącza. Roztarł liście między kamieniami, a potem dodał trochę wody, którą Zia zdążyła zagotować, i rozmieszał je na papkę.

- Posmarujesz tym ranę - powiedział, uśmiechając się do mnie znacząco i wykonał obsceniczny gest. - To dlatego lekarze tak dobrze zarabiają, co?

Z peleryny rozpiętej na gałęziach zrobiliśmy parawan, a Zia pomogła mi opuścić spodnie Howiego. Obmyliśmy go z krwi i zaaplikowałem mu specyfik przygotowany przez Fabla. Nietrudno się domyślić, że zabieg nie należał do przyjemnych, więc pominię drastyczne szczegóły, zęby nikogo nie przyprawić o niesmak.

Kiedy myłem ręce, Fabio zajmował się znalezionym w dżungli pnączem. Obrat je z kory i pokroił na kawałki, które wrzucił do wrz cej wody. Dodał trochę liści ■ zamieszał. Na powierzchni zaczął rosnać kożuch białej piany,

- Co to jest? - zapytałem.

- Piwo z liany.

Zebrał pianę ostrzem maczety, a potem, odcedzając zawartość garnka przez moskitierę, przelał ją do swojej manierki.

- Spróbuj - powiedział, wręczając mi naczynie. - Dobrze ci zrobi.

Nie musiał mnie namawiać. Słowo „piwo” niczym proustowska magdalena wyzwoliło w mojej głowie lawinę skojarzeń - powracały znane z reklam oszronione wysokie szklanki, upalne letnie dni orzeźwiający smak zimnego napoju. A ja przed chwilą musiałem grzebać w zakrwawionym tyłku Howiego Chyba nigdy tak bardzo nie miałem ochoty się napić.

Pociągnąłem nosem. Płyn miał strasznie gorzki smak, wciąż parował, a na powierzchni unosiły się drobinki rozgotowanych liści, Daleko mu było do bursztynowego nektaru, o którym marzyłem

“Zaszalej trochę ~ zachęciła mnie Drew.

Pociągnąłem spory łyk

Z początku nic nie czułem. Siedziałem przy ognisku, przysłuchując się rozmowie i wpatrując się w płomienie, które zaczęły przybierać kształty zwierząt. Gwiazdy świeciły jaśniej, a słowa zdawały się dobiegać z oddali.

A potem coś się zaczęło dziać z moim żołądkiem. Zgiąłem się wpół. W moich trzewiach płonął ogień, płomienie trawiły mnie od środka, Musiałem natychmiast je ugasić.

Poczołgałem się w stronę brzegu jak spragnione zwierzę idące do wodopoju. Wydawało mi się, że moj tułów pęknie od żaru. Ogień przypiekał moją duszę. Nagle zobaczyłem przed sobą rzekę, tak szeroką, że ledwie widziałem przeciwległy brzeg. Pochyliłem się nad czarną wodą. Wiedziałem, że mnie uleczy, jeżeli tylko zdołam się jej napić.

Wtem ogromne, pokryte łuskami cielsko wynurzyło się z czarnej toni, zasłaniając gwiazdy. Odskokczyłem przerażony.

- Co ty zrobisz? - zapytała Cate.

Wąż rzucił się w moją stronę. Czułem, jak jego gładki brzuch przesuwają się po mnie. Zacząłem się szamotać, napierałem z całej siły, aż w końcu udało mi się wyrwać z jego splotów Wtedy zorientowałem się, że to nie wąż. To było pnącze, które owinęło się wokół moje, szyi. wciskając się do ust, nosa i uszu. Na jego powierzchni kiełkowały liście. Zdzierałem je z siebie, lecz za każdym razem oplatało mnie kilka nowych pędów,

- Nie żałujesz? - wyszeptała Drew.

Była tak blisko, że muskała językiem moje ucho. Usiadła na mnie i zobaczyłem to samo białe bikini, które miała na sobie w Meksyku. Kołysała się, pocierając mnie

Czarna rzeka

biodrami, a ja sięgnąłem do spinki biustonosza i zdjąłem go, odsłaniając jej piersi. Nachyliła się nade mną, ale zrzuciłem ją z siebie i przygniotłem swoim ciałem. Wiedziałem, że muszę pamiętać o czymś ważnym, o czymś związanym z Cate, lecz umykało mi to, ilekroć zaczynałem coś kojarzyć.

- Pragnąłem tego od chwili, w której cię poznałem - wyszeptałem jej do ucha.

31.

Obudził mnie szum wody. Był zaskakująco głośny, ale kiedy otworzyłem oczy, zorientowałem się dlaczego. Leżałem na brzegu strumienia, zwieszając głowę tuż nad wodą. Czułem pustkę w żołądku. To nie był głód, tylko wrażenie próżni. Cierpka woń, jaką roztaczała moja koszula, nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Wszystko zwymiotowałem.

Skłamałbym, mówiąc, że nigdy wcześniej nic takiego mi się me zdarzyło. Ze nigdy nie budziłem się na podłodze sponiewierany, nie umiejąc sobie przypomnieć, jak się tam znalazłem. Ale odkąd Peggy przyszła na świat, już sobie na to nie pozwalałem. A na pewno nie w samym środku dzikiej i niezbadanej dżungli.

Jednak nie tylko to mnie zaintrygowało. Byłem cały obolały po nocy spędzonej na kamieniach, rwały mnie mięśnie jak po przebiegnięciu maratonu, ale nie czułem bólu głowy. Mogłem też trzeźwo myśleć. Oczywiście nie oznacza to, że wszystko było dla mnie jasne, ale chodzi o tę świeżość i przejrzystość umysłu, która pozwala zebrać się w sobie i chłonąć rzeczywistość. Świat dookoła zdawał się eksplodować kolorami, a dźwięki pulsowały w mojej głowie jakby spotęgowane przez wzmacniacz. Jakbym do tej pory patrzył na świat przez brudną szybę, która stała się teraz tak nieskazitelnie czysta, że dałoby się przełożyć przez nią rękę.

Poczułem dym z ogniska. Wszyscy moi towarzysze byli już na nogach i zwijali obozowisko. Howie siedział oparty o drzewo, a Zia gotowała wodę na ognisku. Fabio klecił prowizoryczne nosze, przeplatając giętkie pnącza między dwiema długimi żerdziami. Zauważył, że się obudziłem, i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wszystko w porządku?

Potałem czoło, spodziewając się, że skóra zatrzeszczy pod moją dłońią.

- Co było w tym piwie?

- Podobało ci się?

- Nie jestem pewien.

Zacząłem rozpinać koszulę, żeby wyprać ją w strumieniu. Pochwyciłem spojrzenie Drew i zarumieniłem się, przypominając sobie swój sen. A jeżeli coś powiedziałem? Albo coś zrobiłem?

Odruchowo wsunąłem dłoń do kieszeni, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu. Wychodząc z domu, zawsze upewniałem się, czy mam przy sobie portfel, klucze i telefon. Teraz w skład tej świętej trójcy wchodzi! nóż, tabletki przeciwko malarii i lokalizator satelitarny. Wymacałem futerał przy pasku. Moje palce natrafiły na rozsunięty zamek błyskawiczny i zsunęły się po gumowanej tkaninie do środka. Czy kiedy zeszłego wieczoru wyjąłem urządzenie, odłożyłem je gdzieś, zamiast od razu schować? Futerał był pusty.

Biegiem wróciłem do obozu i zacząłem krążyć wokół ogniska, patrząc uważnie pod nogi. Zauważyłem dziwne ślady, jakby jakaś bestia zryła ziemię wielkimi łapami. Czyżbym to ja je zostawił? Nigdzie nie wypatrzyłem żółtej obudowy lokalizatora.

- Szukasz czegoś? - zapytał Anton niewinnym tonem.

W mojej pamięci przewijały się urywki rozmów z poprzedniego wieczoru. Rzuciłem

Czarna rzeka

się na mego.

- Co z nim zrobisz? Balesz się, że uruchomię go w nocy? Ze położę kres twojej straceńczej, dziecinnej przygodzie? Że będziesz musiał zmierzyć się z rzeczywistością?

Tillman chwycił mnie i odciągnął do tyłu.

- Wyluzuj. doktoru - syknął mi do ucha.

- Uspokój stę - powiedział Anton, ocierając błoto z twarzy, a jego ton zdradzał, że jest spięty, więc przestałem się wyrywać. - To nie ja cię upiłem i nie ja zabrałem twój loka li za tor

-W takim razie gdzie się podział?

Mój wybuch przyciągnął uwagę innych. Wszyscy porzucili swoje zajęcia i patrzyli na nas.

- A nie leży w błocie? - zasugerowała Zia.

" Szukałem.

- Czy on unosi się na wodzie? - spytał Fabio.

Próbowałem sobie przypomnieć ten szczegół. Instrukcję obsługi przejrzałem tylko pobeżnie dzień przed wyjazdem.

- Tak sędzę.

Przewodnik wskazał głowa na strumień.

- Mozę ci wypadł.

Odepchnąłem ręce Ullmana i powlokłem się w stronę brzegu. Długo wyteżąłem wzrok w nadziei, że między kamieniami albo gałęziami zauważę cos żółtego. Na próżno.

Minęio juz oszołomienie i przejrzyste jak kryształ okno w mojej głowie rozprysło się na drobne kawałeczki. Podniosłem kamień i z wściekłością cisnąłem go do wody.

- Musimy wracać.

Podbiegłem do plecaka i podniosłem go gwałtownie. Suwak był otwarty i wszystko się wysypało. Odrzuciłem plecak, uklęknąłem w błocie i zacząłem upychać rzeczy z powrotem, jakby ktoś mnie poganiał. Zakląłem, widząc, że moja jedyna zmiana ubrania juz nie nadaje się do włożenia.

- Spokojnie - odezwał się Anton, - Przedyskutowaliśmy to wczoraj wieczorem.

Idziemy dalej.

- Oszalałeś? Właśnie straciliśmy ostatnią szansę na kontakt ze światem. Musimy natychmiast zawrócić. Howie nie może nawet iść.

- Howie miewa się całkiem nieźle. Widocznie pomogło mu to znachorskie gówno Fabia. Bodziemy go nieść, dopóki dupa mu się nie zrośnie.

Spojrzałem na swój wypchany plecak i pomyślałem o całym obciążeniu, które juz i tak dźwigaliśmy.

-Jak daleko zdołamy dotrzeć?

- Niedaleko. Dziś w południe zawrócimy, jeśli do tej pory nic nie znajdziemy.

Dzień był upalny, a po wczorajszym deszczu cała dżungla parowała. Upychając nerwowo rzeczy w plecaku, musiałem tekko zaburzyć rozkład masy, bo cały ciężar skupił się na moim lewym ramieniu. Choć próbowałem to skorygować, ściągając i popuszczając szelki, nic me pomagało. Nie zatrzymywaliśmy się na odpoczynek. Anton prowadził, rąbiąc zarośla maczetą, jakby chciał przetrzeć szlak do Paititi samą siłą woli.

Na zmianę nieśliśmy Mowiego. Podróżował jak rzymski cesarz w lektyce i nienawidziłem go za to. Podejrzywałem, że mógłby iść. gdyby tylko zechciał Rana nie była tak głęboka, jak się obawiałem, a specyfik Fabia ją odkaził. Kiedy go badałem, miał stan podgorączkowy, ale prawdopodobnie spowodowany udarem słonecznym, którego

Czarna rzeka

doznał dzień wcześniej podczas wędrówki przez góry.

Przed południem, kiedy Zia i Tillman przejęli nosze, zostałem sam na sam z Drew. Jej widok wciąż przywoływał w mojej pamięci żywe obrazy z sennych rojeń, Musiałem ją o coś zapytać.

- Czy zeszłej nocy, po tym, jak wypitem magiczny napar Fabia. powiedziałem może coś. hm... nietypowego.

Z jej spojrzenia domyśliłem się, że doskonale wie, o co mi chodzi.

- Nie martw się - powiedziała. - Twoje mroczne tajemnice są bezpieczne.

Jakoś mnie to nie pokrzepiło.

Szliśmy już około dwóch godzin. To było jak czekanie na spóźniony pociąg - co pięć minut spoglądałem na zegarek i poganiałem czas, który jakby uporczywie stał w miejscu. Drzewa zasłaniały słońce, ale upał wskazywał na to, że do południa już niedaleko. A my zbliżaliśmy się do końca wędrówki.

Usłyszeliśmy wołanie Antona. Spojrzałem na zegarek, ale do dwunastej zostało jeszcze dwadzieścia pięć minut. Pobiegliśmy przed siebie.

Anton wskazywał maczetą na ziemię i nagle zapomniałem o upływie czasu. Siady były tak wyraźne, jak gwiazdy na chodniku przy Hollywood Boulevard. Nawet ja bym ich nie przeoczył. Nie pozostawiły ich bosa stopy Indian, ale ciężkie traperskie buty, takie jak te, których odcisk widzieliśmy w jaskini. Wszyscy wymienialiśmy pytające spojrzenia.

- Myślicie, że to może być...?

- Od czasów Alvarada nie zapuścił się tutaj żaden gringo. Na pewno me w takich trepach.

- Ślady są świeże - rzekł Fabio - - Zostały odcisnięte po deszczu.

- Szli tędy dziś rano? - zapytała Zia. Widok jej przepętnionej nadzieją twarzy był wręcz nie do zniesienia.

Musiało tędy przejść kilka osób. Nawet tam, gdzie ziemię zaścielała warstwa liści, wykarczowane zarośla i zdeptane gałęzie wyraźnie wskazywały drogę. Tillman i Zia położyli nosze i wszyscy rzuciliśmy się biegiem przed siebie. Kątem oka dostrzegłem omszały konar drzewa, które rosnęło obok ścieżki. Okrągły sęk i zakrzywiona ostra gałąź do złudzenia przypominały głowę i dziób czapli.

Zatrzymałem się gwałtownie i Drew omal na mnie me wpadła.

- Zauważyłeś coś?

-

To musi być *dejavu*. Chyba ze...

Rozejrzałem się dookoła. Kawałek przed nami Anton i Fabio przystanęli, zęby złapać oddech. Nie było łatwo biec z plecakami na ramionach Sto metrów w tyte Howie usiadł na noszach i krzyczał, zęby go nie zostawiać.

Wypatrzyłem jeden ze śladów, za którymi podążaliśmy, i postawiłem stopę tuż obok. Naciskałem mocno, dopóki podeszwa nie odbiła się głęboko w grząskiej ziemi. Potem cofnąłem nogę i porównałem obydwa ślady. Były identyczne.

- Anton! - zawołałem. - Musisz to zobaczyć.

- GPS spierdolony. Kompas spierdotony. Mamy przejebane.

W powietrzu latały drzazgi. Zakończeniu każdego zdania towarzyszyło głucho uderzenie maczety, którą Tillman walił w pień drzewa, wyładowując frustrację.

Zadygotałem. Tak naprawdę znosiłem to wszystko całkiem spokojnie, zwazywszy na okoliczności. Jak podczas operacji, kiedy krytyczna sytuacja prowadzi do wyłączenia emocji i działa uspokajająco. Dopiero po wszystkim zacząłem trząść się lask bardzo, że ledwie byłem w stanie nalać sobie drinka.

- Jak to się stało, że chodzimy w kołko po własnych śladach?

Czarna rzeka

- Nie mam pojęcia - odparł Anton, a zakłopotanie w jego głosie tylko wzmagало moj niepokój. - Kierowałem się wskazaniem kompasu.

- W drzewach jest żelazo - powiedział Fabio. - To dlatego kompas wariuje.

Drew ukryła twarz w dłoniach.

- Poważnie?

- Tak się zdarza. A drzewa są tu bardzo duże.

- Więc jak się stąd wydostaniemy? - zapytałem i powiodłem wzrokiem po twarzach moich towarzyszy. - Jeżeli ktoś z was zabrał mój lokalizator, teraz jest odpowiedni moment, żeby go oddać. Bez zbędnych pytań.

Nikt się nie odezwał.

- I tak nie dowieźliby nam tu pizzy - przerwa! milczenie Anton.

Drew spiorunowała go wzrokiem.

- Ciebie to bawi? Skoro chodzimy w kółko, nie znajdziemy nawet drogi powrotnej.

- Jeżeli będziemy się kierować na wschód, w końcu dotrzemy do rzeki.

- Czym mamy się kierować? Kompasem, który zaprowadzi! nas w to samo miejsce?

- Będziemy obserwować słońce.

Jak na komendę unieśliśmy wzrok. Przez plątaninę lian i gałęzi nie było nawet widać koron drzew. O widoku nieba mogliśmy tylko pomarzyć.

- Prowiantu wystarczy nam jeszcze na trzy dni - przypomniała Zia

- Tarantule mogą żyć dwa lata bez jedzenia - powiedział Fabio, właściwie nie wiadomo po co.

- Będziemy polować.

- Na co chcesz polować? - zapytał Tillman. - Gdybyś me zauważył, nie jesteśmy w nowojorskim zoo. Od kilku dni nie widziałem nawet małpy. Nasza broń rdzewieje.

- Zawsze jest jeszcze twoja kokaina - wtrąciła zjadliwie Drew. - Działa pobudzająco.

Nagle Fabio zerwał się na równe nogi. Obracając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, wciągał nosem powietrze.

- Czujecie to?

Poczułem dopiero po chwili. Podmuch ciepłego wiatru przyniósł ciężką piźmową woń.

- Pekari - rzekł półgłosem.

Chwycił opartą o plecak strzelbę i wbił wzrok między drzewa. Być może coś zobaczył, ale ja widziałem tam tylko nieprzenikloną ścianę zieleni. Słyszałem jednak trzask łamanych gałązek, szelest liści, przenikliwe piski i stukot podobny do odgłosu, jaki wydaje patyk uderzający o pręty ogrodzenia.

- Zgubiliśmy się, ale nie będziemy głodować.

Brodząc wśród poszycia. Tillman i Fabio zniknęli między drzewami. Anton odpiął dwie kolejne strzelby i spojrzał na mnie.

- Przyłączysz się?

Poczułem dreszcz emocji, kiedy wręczył mi broń. Dziewicza dżungla kłuła mnie i szarpała, kiedy przedzieraliśmy się przez gęstwinę, ale nie zważałem na to. Trzymałem w rękach strzelbę. Czułem się, jakbym posiadał nieziemską siłę. Wspięliśmy się na szczyt niewielkiego wzniesienia i zeszliśmy w dół z boczka po drugiej stronie. Tutaj smród był jeszcze silniejszy - coś między szatnią po meczu a zapuszczoną lodówką.

Stojący u podnóża skarpy Fabio dał nam znak, żebyśmy się zatrzymali. Hałasy przybierały na sile, a ziemia pod moimi nogami zadrżała, jakbym znalazł się na Lorze wyścigowym, gdy konie wbiegają na ostatnią prostą. Między zaroślami zamigotały przemykające sylwetki, zakończone racicami nogi. podłużne ryje, pokryte ostrą szczecina grzbiety. Musiało ich tam być kilkanaście sztuk.

Czarna rzeka

Tillman, Fabio i Anton zakradli się bliżej. Byliśmy na zawietrznej, więc pekari nie mogły wyczuć naszego zapachu. Robiły laką wrzawę, że na pewno nie słyszały naszych kroków, ale musiał zadziałać szósty zmysł. Ich tętent wzmógł się, kiedy zaczęły szybciej przebierać nogami.

Tillman przyklęknął i przyłożył kolbę do ramienia. Ja również wycelowałem. Tak mocno napiciem mięśnie, że ledwie mogłem oddychać.

Pierwszy strzał był jak odgłos korka wyciąganego z butelki. Potem usłyszałem przeraźliwy huk, a odrzut omal nie wyłamał mi barku. Niewiele brakowało, a upuściłbym broń. Nikt mi nie pokazał, jak jej używać. Zaciśnąłem dłoń na kolbie i szarpnąłem strzelbą w przód, wyrzucając z komory pustą gilzę. Ten znany z filmów gest sprawił mi okropną uciechę. Wystrzeliłem jeszcze raz i liście przede mną zamieniły się w zieloną mgiełkę. Powietrze rozdarł okrzyk dzikiej rozkoszy. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że wydobył się z mojego gardła.

Strzelaliśmy dłużej, niż wydawało mi się to możliwe. Mój magazynek był pusty już po pięciu strzałach, ale tamci najwyraźniej zabrali ze sobą niewyczerpany zapas amunicji. To było jak scena z filmu o Zulusach, w którym szarżujące hordy nieszczęsnych dzikusów giną pod lawiną ognia. Nie czułem już zwierzęcego fetoru, tylko gryzący swąd kordytu. Zerknąłem w stronę Tillmana. Na którego twarzy malował się wyraz czystej rozkoszy. Wziął na cel małego warchlaka, który z trudem nadażał za swoją matką, wystrzelił i zwierzę zważyło się z kwikiem, brocząc obficie krwią. Uciekająca w panice locha nawet się nie obejrzała

- Mięso młodych ma najśodszy smak! - krzyknął Tillman.

Nie wiem, jakim cudem jego głos dotarł do mnie w tym huku. Szarpnął zamek sztucera, wyrzucając łuskę, i załadował kolejny nabój. Wystrzelił i znów przeładował. Jak w ekstatycznym transie.

Nagle coś się zmieniło. Ket doktorek nie zwróciłby na to uwagi, ale Kel myśliwy dostrzegł osobliwe falowanie zarośli, coś jakby zmarszczki rozchodzące się po powierzchni wody. Ziemia pod moimi stopami zaczęła pulsować szybciej.

- Biegną na nas! - zawołał Anton.

Stado pekari wypadło z gęstwiny, szarżując w naszym kierunku. Nie wiem, czy z przerażenia straciły orientację, czy był to desperacki akt odwagi. Na pozór brzmi to komicznie, jak żywcem wyjęte z kreskówki, ale w rzeczywistości na widok setki dzikich świń pędzących w amoku prosto na mnie włos zjeżył mi się na głowie. Jakbym obserwował akcję na meczu rugby, tylko że formacja ataku była dziesięciokrotnie liczniejsza, a każdy zawodnik miał parę ostrych kłów i galopował z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Fabio zauważył, że stoję na ich drodze.

- Uciekaj na drzewo!

Ogarnięty paniką potoczyłem wzrokiem dookoła. Oczywiście drzewa otaczały mnie ze wszystkich stron, ale ich konary nie zwieszały się dostatecznie nisko, żebym mógł się podciągnąć. Minęło wiele lat, odkąd ostatnio wspinałem się po drzewach, a teraz nie mogłem pozwolić sobie na najmniejszy błąd. Zignorowałem radę Fabia i rzuciłem się do ucieczki.

Bieganie po lesie deszczowym nie należy do łatwych, ale strach to najlepszy doping. Przedzierałem się przez najeżone kolcami zarośla* których w normalnych okolicznościach nawet nie odważyłbym się dotknąć. Potykałem się na korzeniach, a ciernie rozdzierały mi skórę. Moje nogi grzęzły i ślizgały się w błocie jak w koszmarnym śnie, kiedy podczas ucieczki wszystkie mięśnie zamieniają się w watę,

Tętent przybierał na sile, a zbocze stawało się coraz bardziej strome. Zacząłem

Czarna rzeka

wspinać się na czworakach, ryjąc dłońmi grząska ziemię i podciągając się na korzeniach i gałęziach. Teraz patrzyłem na dżunglę z perspektywy świni. Przez chwilę zastanawiałem się, czy gdyby Tiltman zauważył w tej chwili moją sylwetkę, zastanowiłby się przez chwilę czy od razu pociągnąłby za spust, biorąc mnie za zwierzynę.

W górze przed sobą zobaczyłem prześwit, a błotnista ślizgawka pod moimi nogami ustąpiła miejsca kamieniom, Pokonałem ostatni, najbardziej spadzisty odcinek i wspiąłem się na skalną półkę, która górowała nad skarpą. Rozciągnąłem się na omszałym głazie i nagle uszła ze mnie cała energia. Nie miałem nawet siły się obejrzeć, wszystko mnie bolało, byłem cały zakrwawiony i dygotałem, jakby coś we mnie pękło.

Z tyłu usłyszałem trzask pękających gałęzi. Oszalała horda wciąż deptała mi po pietach. Zerwałem się na równe nogi i rozejrzałem dokoła. Za plecami miałem pionową ścianę i żadnej drogi ucieczki, a strzelbę zgubiłem, przedzierając się przez dżunglę. Podniosłem z ziemi ułamaną galaz i zamachnąłem się nią jak pałką.

- Spokojnie, Rambo.

Z krzaków wyłonił się Anton. Strugi potu żłobiły bruzdy w warstwie kurzu pokrywającej jego twarz, miał podarty podkoszulek, ale przynajmniej nie stracił broni.

- Wyglądasz powalająco - powiedziałem

Anton nic nie odpowiedział, tylko na mnie patrzył. Widok musiał być przykry. Spodnie miałem w strzępach, ręce pokaleczone przez ciernie, a na łydce paskudną ranę. Otarłem czoło, ale na dłoni zamiast potu zobaczyłem krew. Skąd się tam wzięła?

- Następnym razem ucieknę na drzewo - dodałem, uśmiechając się szeroko.

Anton nie zwracał na mnie uwagi. Patrzył gdzieś w dal ponad moim ramieniem.

Obróciłem głowę. Na szczycie skarpy wznosił się skalny nawis, wokół którego biegła wąska półka. Spoglądając w dół, nie widziałem nic poza skalą, ale gdy uniosłem wzrok, zauważyłem występ o zabawnym kształcie, przypominający nos. A pozioma szczelina pod spodem i stercząca pod nią wypukłość były jak usta i podbródek. Popatrzyłem jeszcze wyżej i tam, gdzie powinny znajdować się oczy, ziało owalne wgłębienie, które zdawało się patrzeć na wprost. Pod nim sterczała krągła kość policzkowa, a jeszcze wyżej ukośna linia wyznaczała linię włosów.

Miałem przed sobą profil ludzkiej twarzy wyrzeźbionej w skalnym urwisku jak na Mount Rushmore. Zamrugąłem, nie dowierzając własnym oczom, ale twarz nie zniknęła. Monumentalna postać spoglądała ponad dolina, zbyt potężna, by przejmować się ludźmi, którzy przewijali się w zasięgu jej wzroku.

W tym momencie uwierzyłem we wszystko, co powiedział mi Anton. Byłem przekonany, że zdarłem zasłonę i poznałem utajoną prawdę o wszechświecie.

- To jest Strażnik.

Nie czekając na innych, ruszyliśmy przed siebie skalną półką, która okrążała głowę strażnika. Wzdrygnąłem się, kiedyż gniazda w jednym z oczodołów wyleciał spłoszony ptak, skrzecząc przeraźliwie i trzepocąc skrzydłami. Ścieżka doprowadziła nas do wąwozu. Był niewiele szerszy od skalnej szczeliny i brnąc przed siebie, ocierałem się pokaleczonymi ramionami o szorstkie ściany, pozostawiając na nich smugi krwi.

Do wąwozu wpadało niewiele światła słonecznego, a skalę pokrywały ciemne kępy mchu. Dopiero kiedy zaczepiłem o jedną z nich, odrywając ją od ściany, odsłoniłem fragment wyżłobionych linii. Takie same wzory jak przy wodospadzie. Wspólnymi siłami ogołociliśmy z mchu trzymetrowy pas. Te petroglify były większe, bardziej zawile i dostrzegłem wśród nich wiele nowych kształtów. Wodząc palcem po jednym z rowków, zobaczyłem GOL, 0 czym nawet nie śmiałem pomyśleć.

- Myślisz, że to ostrzeżenie?

Czarna rzeka

Nawet jeżeli faktycznie tak było, nie zważaliśmy na to. Wąwóz skręcił w prawo, potem ostro w lewo i nagle oślepiło nas światło słoneczne.

- Stój! - krzyknął Anton.

Zatrzymałem się w ostatniej chwili. Stałem na skraju urwiska, a w dole widziałem głęboką dolinę o stromych zboczach. Na jej dnie między ogromnymi głazami wiła się srebrzysta wstęga rzeki. Na szczycie urwiska po przeciwnej stronie rozciągał się płaskowyż, a porastające go drzewa przypominały gęsta czuprynę. Limę horyzontu zaburzały dziwne wzniesienia. Nie wyglądały jak naturalne pagórki.

Nad przepaścią wisiał most linowy. Splecione z jakiegoś tykowatego pnącza liny wyglądały na mocno sfatygowane, a ich końce były okręcone wokół dwóch skalnych słupów. Musiałem uklęknąć i dotknąć jednej z nich, zęby się upewnić, że nie doznałem halucynacji. Mimo to wciąż nie byłem pewien, czy magiczny wywar Fabia na pewno przestał już działać.

Słońce schowało się za chmurami, ale jeden z promieni przedarł się i zalał nas światłem. Twarz Antona wydawała się odlana ze złota i przypuszczam, że moja wyglądała podobnie. Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie półprzytomnym wzrokiem, a potem padliśmy sobie w ramiona. Nie sądzę, abym kiedykolwiek ścisnął mocniej Cate albo Peggy.

32.

Wróciliśmy po resztę ekipy. Nie było łatwo ich znaleźć, bo wszyscy się rozproszyli, szukając nas po okolicy. W końcu Zia ściągnęła wszystkich w jedno miejsce. Rozpaliła ognisko, zęby przyrządzie kolację, a my dołączyliśmy do niej jeden po drugim, idąc za zapachem pieczonego mięsa. Pięć ustrzelonych pekari leżało pokotem na ziemi niczym ciała poległych w bitwie, a nad nimi krążył rój much. Był to dosyć skromny łup, zważywszy na ilość zużytej amunicji.

- Wysuszone i uwędzone możemy zabrać w całości ze sobą - powiedziała Zia, oprawiając mięso rękami uwalanymi krwią po łokcie.

- Nie ma znaczenia - odparł Anton. - Trochę tutaj zabawimy.

Nie mogłem się doczekać powrotu na górę i przeprawy przez kanion, lecz Anton kazał nam najpierw pozbierać wszystkie plecaki, które porzuciliśmy w dżungli, ruszając na polowanie.

- Musimy zabrać cały sprzęt - powiedział.

Większe świnie, wypatroszone i opalone, zawiesiliśmy na gałęzi, zęby nie dostały się do nich mrówki. Potem Anton i ja poprowadziliśmy wszystkich w stronę wąwozu.

Obawiałem się, że tym razem nie znajdziemy drogi, że zaginione miasto, które przez chwilę mignęło nam przed oczami, rozptynie się w niebycie jak Brigadoon. Podczas wspinaczki po skarpie i skalnej półce Howie jęczał i zaklinał się, że nie da rady zrobić ani kroku dalej, ale nawet on zamilkł, kiedy zobaczył Strażnika. Za ostatnim zakrętem skalistego wąwozu, którego ściany pokrywały petroglify, wstrzymałem oddech, przygotowując się na wielkie rozczarowanie. Już pogodziłem się z myślą, że moja wyobraźnia spłatała mi figla, że była to tylko gra światła albo pagórek o dziwnym kształcie.

Ale obawy okazały się płonne. Moi towarzysze jeden po drugim stawali na krawędzi kanionu i patrzyli przed siebie w niemym zachwycie.

- Myślicie, że nadal ktoś tam mieszka?

Obserwowałem ścianę drzew, jakbym się spodziewał zobaczyć zaginionego Inkę, który macha do nas z przeciwległego brzegu. A czemu nie? Po tym wszystkim, co

Czarna rzeka

zobaczyłem tego dnia. nie byłby to wcale zaskakujący widok.

Drew uklękała przy moście.

- Most Anakondy - wyszeptwała, wodząc palcami po splocie liny. - A więc to prawda.

- Chyba nie zamierzacie się po tym przeprowiać? - odezwał się Howie. - Nie ma mowy, zęby nas utrzymało.

Patrząc na most. trudno było nie zauważyć jego mankamentów. Wyglądał mizernie, a gdzieniegdzie odstęp między deszczułkami były przeraźliwie szerokie. Nie łudziłem się, że będą wyglądać mniej groźnie, kiedy spojrzę na nie z bliska.

- Możemy pójdziemy wzdłuż rzeki i poszukamy innej przeprawy? - zaproponował Fobio.

Anton spojrział w głąb doliny, gdzie kilkaset metrów dalej rzeka łączyła się ze swoim dopływem i wpadała do kanionu, który wydawał się jeszcze głębszy.

- Alvarado napisał, że miasto leży na wyspie. Idę o zakład, że jeśli sforsujemy rzekę, po tamtej stronie zastaniemy dokładnie to samo. Oprócz mostu.

Otworzył plecak, z którego wyjął sprzęt wspinaczkowy. Jeden koniec liny owinął wokół skalnego słupa, a drugi przypiął do uprzęży.

- Naprawdę zamierzasz tędy przejść? - zapytała Drew.

Anton otrzepał spodnie z kurzu.

-Żeby dostać się do Paititi. trzeba przeprowić się po moście Anakondy, prawda?

Postawił nogę na chybotałej konstrukcji. Tillman asekurował go, popuszczając linę, a Fablo stał z boku, trzymając kamerę, i wszystko filmował. Anton wytarł dłonie w koszulę, obrócił się w stronę obiektywu i pokazał uniesiony kciuk.

- Do zobaczenia po tamtej stronie.

Nie wiem, czy kiedykolwiek tak długo wstrzymywałem oddech. Każdy jego krok rozchodził się fałą złowieszczych drgań, Kilka razy musiał rozstawiać nogi w szerokim rozkroku między brakującymi listewkami, czemu wtórowało skrzywienie napiętych lin. Most obniżył się pod jego ciężarem, kiedy znalazł się na środku. Kucał, a miejscami nawet poruszał się na czworakach, ręką sprawdzając każdą deszczułkę, zanim na niej stanął.

Kiedy się pośliznął!, Drew głośno wciągnęła powietrze, Tillman zaklął, napinając linę. Zacisnąłem powieki, nie chcąc patrzeć, jak jego ciało dynda nad przepaścią niczym kukła. Ale kiedy otworzyłem oczy, Anton wciąż panował nad sytuacją. Uczepiony jednej z lin pełniących funkcję poręczy posuwał się naprzód, Jak mała pokonując lukę, która była zbyt duża, aby dało się ją przekroczyć. Cała konstrukcja przechyliła się i jeszcze jedna oblużowana deszczuła wpadła do rzeki.

- Mówcie, co chcecie, ale nie można się przy nim nudzić - powiedziałem.

Anton dotarł do następnej listwy i wgramolii się z powrotem na most. Dalej drewno musiało być lepiej zachowane, bo posuwał się pewniej, Znow zaczął iść, a gdzieniegdzie wręcz przeskakiwał wyrwy w kładce.

- Nie szarżuj - mruknął Tillman.

Łukowata krzywizna zwisającego mostu zamieniała ostatnie kilka metrów w strome podejście. Drew odwróciła się, żeby na to nie patrzeć, a mnie wydawało się, że zaraz zwymiotuję z napięcia. Anton rozpędził się, jednym susem pokonał ostatnią wyrwę i wylądował na stałym gruncie. Obrócił się w naszą stronę, rozpostarł ręce i krzyknął tak donośnie, że dałoby się go usłyszeć nad Atlantykiem:

- Witajcie w Paititi.

Czarna rzeka

ROZDZIAŁ 5

JONESTOWN

33.

Dzięki Bogu żadne z nas nie musiało powtarzać tego karkołomnego wyczynu. Anton przywiązał linę do drzewa na przeciwległym brzegu i przypięci do niej nie byliśmy już zdani na zdezelowany most. Nawet nie dotykaliśmy go nogami. Kiedy przyszła moja kolej, czułem się jak bohater kiczowatego filmu akcji rodem z Hongkongu, który wisząc na stalowej linie, śmiga po dachach i ścianach z wdziękiem balet ni cy. Nie oznaczało to jednak, że przeprawa nie zrobiła na mnie wrażenia. Nigdy nie cierpiałem na taką wysokość, ale spojrzenie przez dziurę w moście na rzekę płynącą na dnie przepaści było najbardziej przerażającym wyczynem, na jaki się zdobyłem. Lina wyśliznęła mi się z rąk i zawisłem w uprzęży jak ustrzelony bażant. Musiałem wyteńczyć wszystkie siły, żeby podciągnąć się z powrotem.

Wreszcie przedostałem się na drugi brzeg. Jeszcze długo nie mogłem opanować drżenia nóg i czekając na pozostałych, rozglądałem się oszołomiony. Zauważyłem ścieżkę, która prowadziła w głąb dżungli, i wyteżając wzrok, wpatrywałem się w cień między drzewami. Nagle zatęskniłem za Cate. Tak bardzo chciałem jej pokazać, że dotarłem do celu, że to wszystko nie jest wytworem fantazji.

Howie nie chciał nawet słyszeć o przeprawie. W końcu Anton musiał po niego wrócić i niemal siłą założył mu uprzęż. Razem z Fabiem rozwiesił nad przepaścią drugą linę, za pomocą której przeciągnęliśmy Howiego na drugą stronę. W taki sam sposób przetransportowaliśmy cały bagaż.

- A teraz przekonajmy się, czy ktoś tu na nas czeka - powiedział Anton, odpinając strzelbę od plecaka.

Powiedział to beztrąsko, ale wyczułem napięcie w jego głosie. Ścieżka nie była zarośnięta i wyglądała na wydeptaną. Najwyraźniej ktoś już szedł tędy przed nami. Anton prowadził i wywijając maczetą, ścinał pojedyncze gałązki. Fabio nieomal deptał mu po piętach i filmował każdy jego krok. Tuz za nim kroczył Tillman, uzbrojony w strzelbę, Nawet Howie żwawo kuśtykał ich śladem, podpierając się laską, którą Fabio wyciął dla niego z mocnej zerdzi. Nikt nie chciał tego przegapić.

Kiedy zapuściliśmy się kawałek w głąb dżungli, ścieżka skręciła w prawo i biegnąc dalej równoległo do rzeki, zaprowadziła nas do wąwozu między dwoma pagórkami, które zauważyliśmy, stojąc jeszcze po tamtej stronie kanionu. Z porastającej zbocza gęstwiny dobiegało przeraźliwe skrzeczenie papug.

- Czy sądzicie, że te wzniesienia to dzieło natury? - zapytał Anton.

Nie czekając na odpowiedź, zoczył ze ścieżki. Karczując sobie drogę wśród zarośli, dotarł do podnóża skarpy k w miejscu, gdzie grunt zaczynał się wznosić, wbił maczetę w ziemię. Ostrze zagłębiło się na blisko trzydzieści centymetrów i utknęło,

- Kamień.

Zaczai kopać, wymachując maczetą jak saperka, aż w końcu powstało szerokie na metr zagłębienie. Metalowe ostrze zazgrzytało na kamieniu. Ogarnęliśmy resztki ziemi

Czarna rzeka

i naszym oczom ukazał się skalny blok o kanciastych brzegach, którego czarna powierzchnia odcinała się dumnie na tle czerwonej gliny.

- Ty szalony sukinsynu - powiedział Tillman. - Naprawdę ci się udało.

- Jeden kamień to jeszcze nie całe miasto - wtrąciła Drew, ale błysk w jej oczach świadczył o tym, że jest zafascynowana tak samo jak wszyscy.

Zacząłem odgarniać ziemię rękami, zęby poszerzyć wykop, ale Anton już wrócił na ścieżkę i znowo pomaszerował dalej. Nie pozostało nam nic innego, jak starać się dotrzymać mu kroku.

Jak mógłbym opisać tę pierwszą godzinę w zaginionym mieście? Jak gwiazdkowy poranek, jak początek wakacji, jak dzień narodzin dziecka, jak przebudzenie po stracie dziewictwa. Czułem, że cokolwiek się wydarzy, już nikt mi tego nie odbierze. Czysty zachwyt. Szliśmy wśród gęstwiny, która porastała przestrzeń między wzniesieniami, a skrzydła przelatujących nad naszymi głowami ptaków mieniły się bogactwem barw, jakich nigdy dotąd nie było dane nam podziwiać. Dyskutowaliśmy, prześcigając się w pomysłach, do czego mogły służyć budowle, które wyobrażaliśmy sobie wokół siebie. Anton nadawał im fantazyjne nazwy - „Zbrojownia*„ „Strażnica” albo „Plebania” - zapisując je na kartce papieru, na której naszkicował prowizoryczny plan.

- Miałbym czekać, aż jakiś archeolog mi powie, co tu było? Ochrciłem je i są moje Tacy faceci jak Bingham czy Schliemann nie mieli pojęcia, co odkopują, opierając się tylko na legendach i domysłach. Ale ich nazwy pozostały.

- Nie powinieneś przynajmniej się upewnić, że to faktycznie są budynki?

- Na to przyjdzie czas później - odparł. - Najpierw chce to wszystko ogarnąć.

Ścieżka biegnąca między dwoma niewielkimi kopcami - znajdowały tak blisko siebie, że Anton nazwał je „Bramą” - doprowadziła nas na skraj polany. Wszyscy przystanęliśmy niepewnie i nawet Anton zawahał się przed wejściem na otwarty teren. Przeczuwaliśmy, że mamy przed sobą wyjątkowe miejsce, być może centralny punkt zaginionego miasta. Z dwóch stron zamykały go płaskie pagórki, za to ten, który wznosił się na wprost, był najwyższy ze wszystkich, które dotąd widzieliśmy. Pnacza pokryte krwistoczerwonymi kwiatami oplatały go niczym siatka żył.

- Świątynia - odezwał się Anton i nikt się nie sprzeciwił. - Tutaj musiał się znajdować główny plac.

Ruszył przed siebie z rozpostartymi rękami, trzymając obnażoną maczetę. Wyobraziłem go sobie w zbroi, jako zaprawionego w bojach konkwistadora, który wkracza do podbitego miasta. Ukląkł na środku polany i znowu wbił ostrze w ziemię. Rozległ się zgrzyt metalu trącego o kamień.

Lecz Anton nawet się tym nie przejął. Nie odrywał wzroku od świątyni, której potężna bryła górowała nad naszymi głowami.

- Kto pierwszy na górę?

Przypomniałem sobie tamten świt w Meksyku, kiedy wraz z Antonem wspinałem się po stopniach na szczyt piramidy Majów. Tutaj było zupełnie inaczej, tylko czułem się tak samo oczarowany. Wspinaliśmy się na czworakach, przemykając jak małpy przez zaczarowany las, który porastał nachylone zbocze. Pnie służyły nam za uchwyty, a pnacza za liny, po których wciągaliśmy filę na górę.

Tak usilnie starałem się nadążyć za Antonem, że kiedy dotarliśmy na szczyt, byłem cały umorusany, pokaleczony i obolały. Stare zadrapania jeszcze nie zdążyły się zasklepić, a moje ręce znowu ociekały krwią. Chciałem otrzeć pot z czoła, ale rękaw koszuli był kompletnie przemoczony. Geste zarośla zostały w dole, a ja mogłem się cieszyć słońcem i świeżym powietrzem. Pod moimi nogami niczym dywan rozpościerała się warstwa splątanych pnaczy, tak gruba, że nie dało się dotknąć ziemi pod spodem.

Czarna rzeka

Pośrodku wierzchołka rósł samotny figowiec. Ukryłem się w cieniu jego rozłożystych gałęzi i pociągnąłem z manierki tyk wody.

Kiedy obróciłem głowę, poczułem się, jakbym znów siedział w samolocie. Wznosiłem się wysoko nad dżunglą i spoglądałem z góry na zielony ocean, który zalewał świat aż po horyzont. Widać było stąd całą okolicę. Zgodnie z relacją Alvarada miasto znajdowało się na wyspie, długiej na kilkaset metrów, wysokiej skale, która wznosiła się pośrodku rzeki. Była całkowicie odcięta od świata, me licząc mostu, który mogłem teraz podziwiać z oddali.

Pagórki, między którymi przechodziliśmy, pokrywały prawie całą powierzchnię wyspy. Zbyt regularnie rozmieszczone i mocno ścieśnione, aby mogły stanowić naturalny twór, przypominały odwrócony do góry dnem pojemnik na jajka. Naliczyłem ich ponad dwadzieścia. Pod okrywającą je zielenią oczyma wyobraźni widziałem domy, świątynie, place i ulice. Opuściłem powieki i zobaczyłem także mieszkańców miasta, dumnych Inków, którzy opuścili swoje ziemie w górach i woleli się zaszyć w dzikiej dżungli, aniżeli poddać najeźdźcom.

A teraz my znaleźliśmy ich kryjówkę.

Rozejrzałem się dookoła. Pasma gór na zachodzie piętrzyło się znacznie bliżej, niż przypuszczałem. Unoszące się nad stokami tumany białej mgły zlewały się z chmurami, w których tonęły szczyty.

Nasi towarzysze jeden po drugim docierali na wierzchołek świątyni i siadali obok nas pod drzewem. Fabioznów uruchomił kamerę, a Drew zerwała jeden z czerwonych kwiatów i wetknęła go sobie we włosy. Jej twarz promieniała ze szczęścia. Anton objął ją w pasie i pocałował namiętnie w usta, az Tillman wydał odgłos naśladujący wymioty.

- Kiedy się tutaj wybierałem, nie wyobrażałem sobie, że tu będzie,.. tak - powiedziałem, zataczając ręką luk nad koronami drzew.

Tego, co wszyscy przeżywaliliśmy w tej chwili, nie dało się wyrazić słowami i mówienie czegokolwiek nie miało sensu. Tillman wyjął nóż i przycisnął ostrze na płask do otwartej dłoni.

- Wiecie, co powinniśmy teraz zrobić? - zapytał. - Zawrzeć braterstwo krwi, żeby przypieczętować nasze odkrycie.

- Zapomnij - zaprotestowała ostro Drew. - Bog jeden wie, co masz teraz we krwi.

Pokiwałem głową.

- Nie potrzebujemy teraz dodatkowych skaleczeń, w które może się wdać zakażenie.

Tillman zarumienił się, mruknął coś pod nosem i wbił wzrok w ziemię. Zdałem sobie sprawę, że jest zażenowany, i niemal zrobiło mi się głupio.

- Ale mimo wszystko on ma rację - odezwał się Anton.

Sięgnął po nóż i bez zmrużenia oka zaciął się lekko w kciuk, wcisnął opuszkę, zęby parę kropel krwi spadło na ziemię, a potem oddał nóż Tillmanowi, który zrobił to samo. Fabio poszedł za ich przykładem.

Z ciężkim westchnieniem wyjąłem swój scyzoryk, ale zanim zrobiłem nacięcie, zdezynfekowałem ostrze żelem antybakteryjnym, który nosiłem w kieszeni. Moja krew ściekła po splątanych pnączach i zniknęła w szczelinie. Od razu zaroilo się w tym miejscu od much.

Podczas gdy Drew składała ofiarę ze swojej krwi, Anton wyjął nóż i wyciął w korze figowca litery „A M Wszyscy kolejno dodaliśmy swoje inicjały. Ostatni raz robiłem coś takiego, kiedy miałem piętnaście lat.

“ A Ho wie?

Howie został na dole. Na polanie piętrzyła się niewielka sterta naszych plecaków, ale jego nie było w pobliżu. Prawdopodobnie schronił się w cieniu.

Czarna rzeka

- On też dotarł tutaj z nami - powiedziałem. - Złóżcie podpis za niego.

Z kieszeni spodni Anton wyjął małą buteleczkę rumu Captain Morgan, po czym otworzył ją i wylał zawartość na ziemię.

-Zajmuję to miasto w imieniu ekspedycji badawczej El Dorado - oświadczył. - Za co zapłaciliśmy naszą krwią, potem i szlachetnym trunkiem.

- Amen - dodał Tillman

Padliśmy sobie wszyscy nawzajem w objęcia, próbując utrzymać równowagę na poskręcanych pnączach. Obejmowaliśmy się spoconymi ramionami, ciesząc się tą podniosłą chwilą. Wszystko, co się dotychczas wydarzyło - Nolberto, Menendez, Roberto, wypadek Howiego i topniejące zapasy żywności - nie miało żadnego znaczenia. Tuz obok stała Drew i ścisnęła moje ramię. Przyciągnąłem ją mocniej do siebie.

Później, kiedy wszyscy zaczęli już schodzić, zostałem na szczycie z Ullmanem, który osłaniając oczy dłonią, patrzył na wschód.

- Widzisz tam coś?

Pokręcił głową.

- Tak się tylko zastanawiam - odparł. - Kawał drogi mamy z powrotem.

34.

Znalazszy się na dole, przypomnieliśmy sobie, że od śniadania nic nie jedliśmy. Nazbieraliśmy drewno i na skraju polany rozpaliliśmy ognisko.

- Znowu szynka - jęknął niezadowolony Howie.

Nie wyglądał najlepiej. Pocił się obficie, jeszcze bardziej niż zwykle a twarz miał chorobliwie poszarzałą i tylko czerwona pręga biegnąca wzdłuż policzka odcinała się od bladej cery. Obawiałem się, czy jego rana nie uległa zakażeniu ale wcale nie uśmiechało mi się jej badać. Nawet nie tknął jedzenia.

- Powinieneś się przyzwyczaić - powiedziała Zia. - W drodze powrotnej nic innego me będziemy jedli.

- Kiedy tylko dotrzemy do Puerto Tordoya, zamówię największą pizzę ze wszystkimi dodatkami i kufel zimnego piwa - oznajmiłem.

Na chwilę zapadło milczenie. Ludzki umysł jest przewrotny. Wystarczy jeden impuls, by poddyzi w innym kierunku. Przed godziną wydawało się nam, że zdobyliśmy szczyt świata, a teraz nasze myśli już zaczynały krążyć wokół domu.

- Myślicie, że składali tutaj ofiary z ludzi? - zapytał Tillman.

- Inkwie nie robili takich rzeczy - wyjaśnił Anton. - To Aztekowie i Majowie.

- Nieprawda. - Drew podrapała ukąszenie na ramieniu i poprawiła ramiączko biustonosza. - Inkwie zabijali tysiące ludzi w ofierze za każdym razem, kiedy umierał ich władca.

- Dzięki, chodząca Wikipedio.

- Znalaziono również setki zmumifikowanych dzieci, które wyglądają, jakby zostały zabite podczas jakiegoś obrzędu.

- A mumie czternastu mkaskich monarchów? - zapytał Fabio. - Powinny znaleźć się tutaj, kiedy Inkwie uciekali przed Hiszpanami

Tillman prychnął!

- Wolałbym raczej znaleźć złote słońce z Cuzco i łańcuch Huascara. Podobno ma trzysta metrów długości, a każde ogniwo jest grube jak moja ręka.

-Szukajcie, a znajdziecie. Czyż me tak jest napisane w Biblii? - Anton odłożył talerz i zmierzwił włosy Howiego. - W takim razie poszukajmy.

Czarna rzeka

Rozdzieliliśmy się. Bez żadnego planu - po prostu rozeszliśmy się w różnych kierunkach. Myślę, że każdy potrzebował na swój sposób przetrawić to, co dzisiaj przeżyliśmy. A poza tym od trzech tygodni byliśmy skazani na przebywanie wciąż w tym samym towarzystwie i chwila samotności wydawała się takim samym luksusem jak gorący prysznic. Na wyspie czuliśmy się bezpieczni. Miała tak niewielka powierzchnię, że nawet gdyby ktoś się zgubił, nie musiałby długo szukać drogi powrotnej. A gdyby byli tu jacyś Indianie, już dawno byśmy ich znaleźli. Albo oni nas.

Mimo to nurtowało mnie, kto wydepta! ścieżkę, która zaprowadziła nas na plac przed świątynią, miałem oczy szeroko otwarte i strzelbę w pogotowiu.

Niebo zasnuło się szarymi chmurami. Cała dżungla parowała ■ odnosiłem wrażenie, jakbym znalazł się we wnętrzu kotła. Nawet brzęczenie owadów ucichło. Szedłem wąską ścieżką między dwoma mniejszymi kopcami, rozkoszując się ciszą. Odkąd zeszedliśmy z łodzi na brzeg, ani razu nie spojrziałem w lustro, ale wiedziałem, że mój wygląd uległ zmianie. Więcej włosów, mniej ciała. Zniknęła oponka, którą wyhodowałem po narodzinach Peggy. Moje ciało było poobijane i zmęczone, ale tak silny nie czułem się od lat - jakbym zrzucił z siebie słabość i zblazowanie nowoczesnej cywilizacji, odstawiając prawdziwego siebie.

- *Peso de ocho* za twoje myśli.

Drew wyłoniła się zza jednego z pagórków. Nie było w tym miejscu drzew, tylko wysoka trawa, w której poruszała się bezszelestnie jak kot.

Roześmiałem się.

- Myślałem o moim młodszym bracie. Jest glaciologiem i co roku spędza po kilka miesięcy na Syalbardzie, na Grenlandii i w tego rodzaju miejscach. Oglądając jego profil na Facebooku, miałem wrażenie, jakbym widział sceny z filmu o Bondzie, tymczasem ja tkwiłem w domu, próbując zatrudnić opiekunkę do dziecka. Dziś po raz pierwszy, odkąd skończył osiemnastkę, nie czuję zazdrości.

- Tylko uważaj, żebyś nie popadł tutaj w zbytnią próżność.

Przypomniałem sobie bezkresny ocean zieleni, który podziwiałem ze szczytu świątyni.

- Racja - powiedziałem.

Drew chwyciła mnie za rękę.

- Chciałabym ci coś pokazać.

Poprowadziła mnie w stronę, z której przyszła. Krocząc wśród wysokiej trawy, dotarliśmy na niewielką polankę otoczoną czterema przysadzistymi kopcami. Drew zatoczyła ręką luk, wskazując przed siebie.

- Spójrz na te rośliny.

Nawet moje niewprawne oko dostrzegło różnicę. Kępa krzaków rosnąca na środku była zupełnie inna - niższa, o beżowej barwie i idealnie okrągła jak przystrzyżony klomb.

- To miejsce jest niesamowite - powiedziała. - Pod ziemią kryje się tyle tajemnic, które tylko na nas czekają. W tym miejscu musiała być fontanna, a może ołtarz. Kilka lat temu znaleziono podobny w Templo Mayor w Meksyku

Przyglądałem się, jak kucając obok kręgu, wrywa rośliny z korzeniami i dłubie nożem w ziemi. W miejscu, gdzie naciąłem sobie palec, czułem pulsujący ból.

- Myślisz, że Zia jakoś sobie radzi?

Wzruszyłem ramionami.

- Nawet jeżeli Menendez jeszcze żyje, jest bardzo mało prawdopodobne, że udałoby się go odnaleźć.

- Tak samo nierealne wydawało się, że znajdziemy Paititi.

Czarna rzeka

Rozmyślając nad jej odpowiedzią, uniosłem wzrok ku niebu. Dostrzegłem maleńką czarną plamkę mającą na tle chmury.

- Kondor?

Drew popatrzyła w tamtą stronę.

- Zbyt daleko od gór. Może jastrząb.

Wytyłem wzrok. Cokolwiek to było, z tak wielkiej odległości niewiele dało się wypatrzeć. Zauważyłem jednak, że porusza się w dziwny sposób. Zbyt płynnie, niemal sztucznie.

- W Puerto Tordoya spotkałem faceta, który mówił, że ten teren patrolują amerykańskie drony.

Drew pokiwała głową.

- Całkiem możliwe. Tropią przemytników kokainy.

Wolałbym, aby zmieni! trasę. Nie podobało mi się, że ktoś mnie obserwuje, że zewnętrzny świat już wtrąca się w nasze sprawy. Czy jakiś dwudziestoletni smarkacz z bazy w Nevadzie obwieści światu, że odnaleźliśmy Paititi, zanim zdążymy nacieszyć się swoim odkryciem? A może tylko mi się przywidziało? Kiedy zamrugałem, czarna kropka rozpułyła się w chmurach.

Nagle Drew wydała głośne westchnienie.

- Spójrz na to.

Podważyła nożem bryłę czerwonej ziemi, a potem palcami odgarnęła mniejsze grudki. Zaczęłam rozróżniać kształty - czarne pękate nogi. długa szyja, szpiczaste ucho. Szczegóły były tak wyraźne, że dało się nawet zauważyć rozszczepione kopyta.

Drew splukała resztki ziemi wodą z manierki i teraz figurka leżała nieskazitelnie czysta na jej otwartej dłoni. Pokazała mi ją jak dziecko, które chwali się nową zabawką.

- Wiesz, co to oznacza?

- To jest lama - odparłam.

Figurce brakowało jednej nogi i ucha. a wzdłuż tułowia biegła długa, a głęboka rysa. Gdyby nie to, nie różniłaby się zbyt od pamiątek, które widziałem na lotnisku w Limie.

Nasze twarze dzieliło zaledwie kilkanaście centymetrów, Drew wpatrywała się we mnie z zapalem w oczach.

- W Amazonii nie ma lam, a to oznacza, że dotarli tutaj Inkowie.

Figurka nie była większa od My Little Pony. którymi bawiła się Peggy. ale patrząc na nią, miałem wrażenie, że jej mały przetrącony grzbiet dźwigał ogromne ciężary.

Na twarz Drew padł promień słońca i jej skóra zalśniła złocistym blaskiem.

- Musimy to pokazać Antonowi - powiedziała.

Nie miałem ochoty dzielić się tym odkryciem z Antonem. Nie chciałem dzielić się z nikim ta chwilą. Zamknąłem oczy, pochyliłem się i pocałowałem ją w usta. Jej wargi były ciepłe i miały słonawy smak. Boże. jak długo na to czekałem. Gdy tytko skosztowałem jej ust, od razu zapragnąłem więcej. Naparłem na nią, przyciskając jej plecy do ziemi, i zacząłem ocierać się o nią całym ciałem. Nagle opuściło mnie poczucie samotności i wyobcowania, kiedy poddałem się błogiemu upojeniu.

Drew odepchnęła mnie delikatnie. Posłusznie przetoczyłem się na bok, a ona usiadła. Spojrzałem Jej w oczy, chcąc zatrzymać tę chwilę. Wyraz jej twarzy mnie zmroził.

- Nie możemy - wyszeptła.

- Kocham cię.

Ot. proste zdanie, które powtarzałem tak często. Kończyłem nim rozmowy telefoniczne i wiadomości tekstowe albo wypowiadałem je po powrocie z pracy, mijając

Czarna rzeka

się w korytarzu zCate, która wychodziła na pilates. Było jak przyzwyczajenie, werbalny odruch. Teraz zabrzmiało dziko i żarliwie, tak jak powinno brzmieć. Tak jak w mniemaniu szesnastolatka należy je wymawiać do końca życia

Jeszcze raz spróbowałem ja pocałować, ale odwróciła głowę. Odepchnęła mnie delikatnie, lecz stanowczo.

-Jesteś wspaniałym facetem, Kel. Nie myśl. że nigdy sobie nie wyobrażałam... że nie chcę... Ale to nie jest odpowiedni moment.

Wiedziałem, że powinienem w tym momencie odpuścić, zanim zrobię z siebie idiotę. Ale nie potrafiłem się na to zdobyć.

- Nikt nie musi o tym wiedzieć.

- Doskonale wiesz, że to nieprawda - odparła i przecesała dłonią włosy, wygarniając z nich liście i żdźbła trawy.

- Chodzi o Antona?

Pokręciła głowa.

- To nie wygląda tak, jak myślisz. Ale dziś jest jego wielki dzień i nie chcę łamać mu serca.

Ogarnęła mnie fala zazdrości. Pomyślałem, że zależy jej, żeby pozować u jego boku do zdjęć, kiedy relacja z wyprawy ukaże się w „National Geographic”. Że zwodziła mnie tylko dla hecy, kusząc swoim młodzieńczym powabem. Czy sadziła, że jestem dla niej za stary? Na litość boską, przecież Anton i ja byliśmy w tym samym wieku.

Zdaję sobie sprawę, że może to wyglądać żałośnie, jakbym padł ofiarą tropikalnego żaru namiętności połączonego z kryzysem wieku średniego. Możę powinienem wtedy choć przez chwilę pomyśleć o Cate?

Huk wystrzału rozdarł ciszę niczym grom z jasnego nieba. Upuściłem figurkę i gwałtownie uniosłem głowę. Spodziewałem się zobaczyć Antona, który przyłapał nas na gorącym uczynku ■ składa się do kolejnego strzału. Ale w pobliżu nikogo nie było. Huk dobiegał z daleka, od strony placu przed świątynią.

- Puść mnie przodem.

Zerwałem się na równe nogi, otrzepałem spodnie z ziemi i ruszyłem biegiem w stronę ścieżki. Kiedy dotarliśmy na plac, wszyscy już tam byli. Nie wyglądali na zaniepokojonych, chociaż Tillman trzymał broń gotową do strzału. Zwolniłem i dostojnym krokiem wyłoniłem się z zarośli. Chwilę później Drew wyszła z drugiej strony pagórka.

- To ty strzelałeś? - spytał mnie Tillman.

- Myślałem, że to ty.

- A gdzie Anton?

Zobaczyliśmy go w tej samej chwili. Wybiegł pomiędzy krzaków po lewej stronie polany, a jego ubranie było uwalane błotem.

- Znalazłeś coś?

- Bierzcie łopaty - rozkazał - 1 weźcie też kamerę.

Drew wyjęła z plecaka trójkątną kiefnię archeologiczną. Tillman chwycił dwa krótkie szpadle, których używaliśmy do wykopywania latryn, a Fabio przygotował kamerę. Poszliśmy tam, skąd przybiegł Anton. Idąc ścieżką, okrążyliśmy świątynię i naszym oczom ukazał się niewielki kopiec. W porównaniu z innymi jego sylwetka miała bardziej wyraziste kontury i pod siecią pnączy, które go okrywały, dało się zauważyć zarys skalnych bloków. U jego podnóża piętrzyła się sterta kamieni i czerwonej ziemi.

- Poszedłem tą ścieżką - wyjaśnił Anton. - I wtedy znalazłem to, Pomóżcie mi.

Wraz z Tillmanem wziął jeden z leżących na stercie kamieni i położył go na ziemi.

Uklęknęliśmy wokół niego. Miał równo zeszlifowane boki. a z jednej strony widniała dobrze

Czarna rzeka

nam znana posiać o dużej głowie w kształcie serca.

-Jeszcze Jeden dowód, chociaż nikt już chyba nie ma wątpliwości, ale... mój Boże - powiedziała Drew i zwróciła się do Fabia. - Uchwycisz to w takim świetle?

- Nie rozumiecie, o co chodzi. - Anton podszedł do usypiska i zaczął wyciągać z niego drobne kamienie, które ciskał w krzaki. - Ta ziemia nie spadła z nieba.

Pojąłem, co miał na myśli.

- Ktoś to wszystko wykopał i zrzucił w tym miejscu.

-Kto?

- Chciałbym raczej wiedzieć dlaczego.

Anton chwycił jeden ze szpadli i zaczął rozgrzebywać usypisko. Tillman przyłączył się do niego. Wspólnymi siłami odstonili więcej kamiennych bloków, które tkwiły w zwalach ziemi jak śliwki w puddingu. Wyciągali je. a ja i Fabio przenosiliśmy na bok każdy z nich.

Nikt się nie odzywał. Nie było potrzeby nic mówić. Kiedy hałda się zmniejszała, zaczęliśmy dostrzegać to, co się za nią kryło. Naszym oczom ukazała się ciemna przestrzeń, czarna pustka ziejąca między dwoma kamiennymi słupami, które stanowiły obramowanie wejścia.

- Biegnij po latarkę - zwrócił się Anton do Zii.

Nie sądzę, aby którekolwiek z nas lekceważyło to, co odkryliśmy po przejściu na drugą stronę kanionu. Ale teraz wkraczaliśmy na zupełnie inny poziom.

Zia wróciła z naręczem czołówek, a za nią przykuśtykał Howie, podpierając się laską. Usypisko sięgało nam już tylko do kolan. Anton odrzucił szpadel, chwycił latarkę i poświecił do środka.

- Czuję żyłę złota - wyszeptał.

Wszyscy podążyliśmy wzrokiem za snopem światła.

- Robi się poważnie - powiedział Tillman.

- Nie ruszajcie tymi latarkami - rozkazał Anton. - Nie chcę, żeby to zniknęło.

- Raczej nigdzie ci nie uciekną - odpadem.

Z panującej wewnątrz ciemności spoglądały na nas pustymi oczodołami ludzkie czaszki.

35.

Światło latarki wydobyło z mroku komnatę o kamiennych ścianach, niewiele większą od salonu w moim domu. Wyglądała na nietkniętą. W przeciwieństwie do szkieletów, które leżały rozsypane w takim nieładzie, że nie dało się rozróżnić poszczególnych kości.

- Jest ich czternaście? - odezwał się Anton, Nawet on nie potrafi! zapanować nad drżeniem głosu.

- Nie pierdol - odparł Tillman tonem niedowierzania.

- Policzcie je.

- Zgodnie z legendą powinniśmy szukać mumii inkaskich władców - zauważyła Drew. - Tu są tylko szkielety.

- Przyjrzyjmy się im z bliska - rzekł Tillman i zrobił krok do przodu

Drew wyciągnęła rękę, blokując przejście.

- Nie wchodzimy tam.

- Wrócimy tu, kiedy będzie jasno - poparł ją Fabio.

Poszarzałe niebo stawało się coraz ciemniejsze, kiedy znikły ostatnie promienie słońca, które schowało się za górami.

- Ja tam się nie boję żadnej klątwy faraona. - Tillman nie dawał za wygraną,

Czarna rzeka

- Nikt nie wejdzie do środka, dopóki nie przeprowadzimy odpowiedniego rozpoznania - oświadczyła Drew i spojrzała na Antona takim wzrokiem, że coś ścisnęło mnie za gardło. - To jest odkrycie stulecia. Nie chcesz, żebyśmy zrobili to jak należy?

Anton wolno pokiwał głową, jakby dochodził do siebie po przebudzeniu ze snu.

- Chyba sobie, kurwa, żartujesz - zaperzył się Tillman. - Myślałem, że przyszliśmy tu szukać skarbów, że też chcesz się obłowić. W tej ziemi może leżeć złoty łańcuch Huascara.

- Zrobimy wszystko jak należy - powiedział Anton. - To nie są wykopki dla turystów na Omaha Beach. Kiedy po powrocie się wyda, że rozpieprzyliśmy stanowisko archeologiczne, do korca świata będą nas mieszać z biotem we wszystkich podręcznikach. Nie chcesz przynajmniej raz zostać bohaterem?

- Wolę być bogaty.

- Daj spokój - wtrącił Fabio - I tak jest już za ciemno. Musimy rozbić obóz.

Objął Tillmana ramieniem i próbował odciągnąć go na bok jak bramkarz, który wyprowadza pijanego gościa z lokalu. Tillman odepchnął jego rękę.

- Zabieraj łapy!

- Jak dzieci - odezwała się Drew.

Stałem w miejscu, z którego odszedł Tillman, żeby mieć lepszy widok. Ze środka wydobywał się obrzydliwy fetor, od którego zapało mi dech. Przypuszczalnie coś tam zdechło nieco później niż przed pięciuset laty. Zasloniłem nos kołnierzem koszuli i oświetliłem wnętrze latarką. Tuż za progiem leżały rozsypane na posadzce grudki ziemi i małe kamyczki. Nie sądziłem, aby to było nasze dzieło. Jakież zwierzę musiało dostać się do środka i gorączkowo próbowało się uwolnić, kopiąc tunel.. Byłem ciekaw, czy znalazło drogę na zewnątrz, czy to ono było źródłem tego smrodu.

Skierowałem światło w stronę szkieletów i policzyłem czaszki. Stojąc przy wejściu, nie widziałem ich wyraźnie, a szkielety nie były w najlepszym stanie, ale...

- Mówiliście o czternastu mumiach?

Anton obrócił się gwałtownie.

- O co ci chodzi?

- Bo tutaj widzę tylko osiem,

- Być może część z nich zdążyła już rozsypać się w proch. - Anton wbił dwa szpadle w ziemię przed wejściem i przechylił je, krzyżując trzonki. - Wróćmy tu rano.

- Jakie jest twoje największe dokonanie w życiu?

Dym i snopy iskier wirowały w powietrzu nad trzaskającym ogniskiem. Całym sobą czułem obecność miasta, które roztaczało się dokoła i zdawało się napierać na nas ukryte w ciemności. Wiedziałem, jakiej odpowiedzi oczekuje Anton.

- To tutaj...

- Naprawdę?

Nie ośmieliłem się spojrzeć na Drew. Wszystko potoczyło się tak szybko, że sytuacjaomal nie wymknęła mi się spod kontroli. Gnębiły mnie wyrzuty sumienia i czułem się zakłopotany, ale jednocześnie pragnąłem jej jeszcze bardziej. Wspomnienie tamtego pocałunku powracało w moich myślach jak tortura.

- Naprawdę. To najwspanialsza chwila mojego życia.

- A nie narodziny twojej córki?

- Mógłbym mieć więcej dzieci, ale to... - Zawiesiłem głos i zatoczyłem ręką łuk, wskazując ścianę nieprzeniknionego mroku. - Ale to jest jedyne w swoim rodzaju.

Złizałem tłuszcz z palców. Fabio upolował aguti, amazońskiego gryzonia podobnego do wyrosniętego szczura. W normalnych warunkach nigdy bym czegoś takiego nie tknął, ale tutaj obgryzłem dokładnie kości z mięsa.

Czarna rzeka

Anton uśmiechnął się.

- To prawda.
- Pamiętaj, jak poszliśmy do tego kasyna na statku? - zapytał Tillman.
- Natchez. - Anton wymówił to słowo, delektując się nim jak smakosz, który wypija tyk swojego ulubionego wina.

- Szło nam jak z płatką. Czego tylko dotknęliśmy, zamieniało się w złoto. Za każdym razem wyrzucaliśmy siódmkę. W kółko powtarzałem, żebyśmy już szli. dopóki jesteśmy na plusie, a ty za każdym razem odpowiadałaś...

- Jeszcze jedna kolejka.
- Następnego ranka wróciliśmy do domu bogatsi o dziesięć tysięcy dolarów.
- Tak. - Anton odchylił głowę do tyłu i zapatrzył się w gwiazdy. - A tydzień później przepuściliśmy wszystko na cynk o tej kopalni złota w Arizonie.
- Tu było podobnie. Ale lepiej na tym wyszliśmy.

Pod wpływem wspomnień twarz Tillmana przybrała zabawny wyraz. Sądzę, że to mogło być szczęście.

Anton parsknął śmiechem.

- Słyszycie nas? Rozpamiętujemy dawne czasy jak dwie cioty.
- A co teraz? - zapytałem, dorzucając do ognia kolejną szczapę.
- Zostaniemy tu jakiś czas, rozejrzemy się.
- A prowiant? - zainteresował się Howie.
- Mamy pekari. Może6Z się najeść do woli.

Nasze spojrzenia powędrowały w stronę Zii, która do tej pory nie odezwała się ani słowem - zapewne rozmyślała o Menendezie.

-Zostawiliśmy świnię po tamtej stronie kanionu - powiedziała

Anton oderwał wzrok od gwiazd¹.

- Kazałem ci je zabrać.
- Nic takiego nie mówiłeś.

Wyraźny ton irytacji w jej głosie przypominał sposób, w jaki zwracam się do Peggy, kiedy się upiera, że nigdzie nie może znaleźć swoich bransoletek. Antonowi też to się nie spodobało.

- Jesteś naszą kucharką, do jasnej cholery - warknął. - Odpowiadasz za jedzenie.
- Wrócimy po nie jutro - powiedział Fabio spokojnie, jak zwykle rozładowując sytuację. - Mamy dużo jedzenia i dużo czasu.
- Dużo czasu? - obruszył się Howie.

Leżał na plecach blisko ognia, miał zamknięte oczy i co kilka minut pojękiwał przeciągle. Działo się z nim coś niedobrego - podskoczyła mu temperatura, a na rękach i twarzy pojawiła się czerwona wysypka. Maść anty hi sta mi nowa nie pomagała. Przez cały wieczór nawet się nie poruszył.

- Jak długo tu zostaniemy? - zapytał,
- Czy kiedy Kolumb wylądował na Kubie, wyruszył w drogę powrotną następnego dnia rano? - odparł Anton. - Musimy dokładnie zbadać to miejsce. Sprawdzić, czy można wejść także do innych budynków A jeden z tych mniejszych oczyścimy z pnączy i odstonimy ściany. Na zdjęciach będzie wyglądać bosko.
- A mumie? - odezwał się.

Anton ujął w palce zawieszony na szyi ząb rekina. Nigdy dotąd nie zachowywał się tak powściągliwie, niemal jakby obawiał się czegoś, co może odkryć we wnętrzu kom naty.

- Znasz się na leczeniu ludzi, jak sądę, ale o tej branży jeszcze dużo musisz się nauczyć. Sponsorów nie pozyskujesz tym. co znalazłeś. Musisz rozbudzić w nich

Czarna rzeka

nadzieję na więcej. Jeśli pokażemy im, co odkryliśmy do tej pory, mógłbym ich namówić na sfinansowanie kolejnych wypraw w ciągu najbliższych dziesięciu lat.

- Ale Paititi naprawdę istnieje - wtrąciła Drew. - Tego już nikt ci nie odbierze. Mumie to tylko wisienka na torcie.

- Postawię ci i pomnik w Puerto Tordoya - dodałem.

- Jeśli ci zależy, żeby to miejsce pozostało nietknięte, mogę przeprowadzić szybkie badanie, bardzo powierzchowne - kontynuowała dziewczyna. - Mamy narzędzia i kamerę, wszystko udokumentujemy.. Zdejmiemy jedną warstwę ziemi, żeby się przekonać, co jest pod spodem,

- Ona ma rację, szefie - odezwał się Tillman. - Jeżeli tam naprawdę leżą mumie, musieliśmy natrafić na skarbiec. Wiesz, co jeszcze możemy tam znaleźć? Oo ja mam kilka pomysłów. Jeśli zamierzasz ogłosić, że odkryłeś zaginione Złote Miasto, wypadałoby pokazać ludziom kilka fantów ze złota.

- Możemy też pobrać próbkę kości z któregoś szkieletu i po powrocie zlecić badanie DNA - dodałem. - Pod kątem cech genetycznych Inków.

Anton włożył dwa palce do ust, wykonując gest, jakby prowokował wymioty.

- Wiesz, przestałem oglądać seriale kryminalne, odkąd zrobiło się głośno o testach DNA Wolę detektywów w starym stylu, którzy kierują się intuicją.

Drew zmierzyła go wzrokiem.

- Obwieścisz światu, że te kości należą do czternastu legendarnych inkaskich władców, bo tak podpowiada ci intuicja? Nawet nie wiesz, jakiego to nabierze rozgłosu.

- Uwierz mi, wiem - odparł.

Patrząc nad płomieniami ogniska, utkwiał wzrok w ciemności między mną a Fabiem. Zdawał sobie sprawę, że nie ma więcej argumentów. Ale tak naprawdę nawet nie chciał postawić na swoim w tej dyskusji. I w końcu to pojąłem. Anton był marzycielem. Bez wahania przedzierał się przez dżunglę i wisił na linie nad przepaścią, bo wierzył w swoje marzenia. A teraz, kiedy osiągnął już swój cel, nie wiedział, co z tym wszystkim zrobić.

- A ty co o tym myślisz? - zwrócił się do mnie.

Roześmiałem się,

-Przyszedłem tu, żeby znaleźć jakiś skarb.

W środku nocy obudził mnie dziwny hałas. Coś mi się śniło i kiedy otworzyłem oczy, nie byłem pewien, czy ten odgłos też pochodził ze snu, czy wdarł się z rzeczywistości. Wyprężony, leżałem nieruchomo pod moskitierą i nasłuchiwałem. W dżungli to sprawdzona recepta na obłąd.

Za gęstwiną krzaków nieopodal wylotu ścieżki prowadzącej w stronę mostu migotało białe światło. Zbyt jaskrawe, żebym wziął je za blask księżyca. Wymacałem rękojeść noża przy pasku i zsunąłem się z hamaka.

Zacząłem skradać się w stronę zarośli. Wiszący nad szczytem świątyni księżyc zalewał polanę bladą poświatą. Nagle pod moją stopą trzasnęła sucha gałązka. Światło znieruchomiało.

- To ja, Kell!-zawołałem i odetchnąłem z ulgą, kiedy z gęstwiny wyłonił się Fabio. - Nie możesz spać?

W odpowiedzi wskazał kciukiem ścieżkę za swoimi plecami,

- Poszedłem sprawdzić most. Wciąż nie dawało mi spokoju, jak łatwo ktoś mógłby przeciąć te liny.

Obróciłem głowę w stronę obozowiska. Pięć hamaków wisiło nieruchomo na swoim miejscu, wszystko wydawało się w porządku. Dookoła nas na tle nocnego nieba odcinały się potężne sylwetki tajemniczych budowli.

Czarna rzeka

- Myślisz, że pewnego dnia Londyn i Nowy Jork też tak będą wyglądać?
- Też to czujesz? - Fabio zaśmiał się cicho. - Tę obawę?
- Daleko mi do poczucia bezpieczeństwa,
- Wiesz, jak Indianie łowią ryby? Budują tamę, zęby powstała zatoka, a ryby, które lubią stojącą wodę, przyplływają do -iej. Potem Indianie cicho zakradają się na brzeg i wlewają do wody truciznę, Niewielką dawkę, która nie jest zabójcza i ryby nic nie czują, ale wystarczy, zęby otumanione wypłynęły na powierzchnię i można je było zbierać gołymi rękami.
- Sprytne - powiedziałem, zastanawiając się. po co mi to opowiada.
- To miejsce jest jak taka trucizna Nie czujemy jej, tęcz im dłużej tu jesteśmy, tym głębiej w nas wnika. A pewnego dnia obudzimy się i odkryjemy, że me ma stąd wyjścia.

36.

Być może w ciemnościach miasto wyglądało jak nawiedzone, ale rano po przebudzeniu zobaczyliśmy nad sobą błękit nieba. Chmury widzieliśmy jedynie daleko na horyzoncie, gdzie białe kłęby mgły wznosiły się nad zboczami gór.

- Czy one nigdy się nie przesuwają? - zapytałem zdziwiony.
- To transpiracja - wyjaśnił Fabio. - Tam oddychają miliony drzew.

Pogoda była piękna tego ranka, ale nie wszystko układało się pomyślnie. Howie nadal miał gorączkę, krosty na jego twarzy i rękach zaczęły podbiegać ropą, a oczy stały się przekrwione. Zmieniłem mu opatrunek, udając, że wszystko jest w porządku, co stanowi najlepsze podejście do pacjenta, W rzeczywistości moja apteczka zaczynała już świecić pustkami i nie wiedziałem, na jak długo wystarczy mi jeszcze czystych bandaży. Nie przewidziałem, że będę ich potrzebował tak dużo.

Dzień był upalny i słoneczny, ale światło nie docierało do wnętrza Skarbca, jak li liman z pewną dozą optymizmu nazwał ten budynek. Staliśmy przed wejściem na rozdeptanym kopczyku czerwonej ziemi i przyglądaliśmy się czaszkom, które patrzyły na nas pustymi oczodołami. Nawet do Arkadii dociera śmierć. Lekarze rzadko poddają się złudzeniom - mamy świadomość, jak niewiele różni nas od istot, które sami zjadamy Stykałem się z tym codziennie, ale mimo wszystko starałem się w to zbytnio nie zagłębiać.

Drew i ja założyliśmy papierowe maski chirurgiczne, które miałem w swojej apteczce. Wyjaśniłem wszystkim, że dzięki temu unikniemy zanieczyszczenia znalezisk, co brzmiało dość fachowo. Ale tak naprawdę wewnątrz panował tak nieznośny smród, że nie dałoby się tam pracować bez żadnej ochrony.

Pierwsza weszła do środka Drew, a ja podążałem za nią jako jej asystent. Tuz przy wejściu stał Fabio i wszystko filmował. Nasze latarki rozcinały mrok snopami światła, które przyciągało roje much. Czułem się jak nurek, który wchodzi do wraku na dnie morza.

Pozostałych troje - oprócz Howiego, który nadal był osłabiony - tłoczyło się przy drzwiach, zasłaniając Światło, dopoki Anten nie odgonił ich, wymachując ręką. Drew podała mi taśmę mierniczą, którą rozwinęliśmy między wejściem a ścianą w głębi komnaty. Każdy krok stawiałem tak ostrożnie, jakbym stąpał po polu minowym. Podałem Antonowi wynik pomiaru i przeszliśmy do następnego odcinka. Za każdym razem powtarzaliśmy całą operację, aż wytyczyliśmy siatkę pokrywającą całe pomieszczenie. Starałem się unikać patrzenia na Drew, kiedy wymienialiśmy się narzędziami, i wzdygałem się, ilekroć przez przypadek dotknąłem jej ręki. Świadomość, że Anton nas obserwuje, była gorsza niż obecność szkieletów.

Czarna rzeka

Wszystko zajęło nam prawie trzy kwadranse.

- W filmach archeolodzy bardziej się sprężają - zauważył Ti liman.

Zia zdążyła już sobie pójść i nawet Anion wyglądał na znudzonego.

- Uzgodniliśmy, że chcemy zrobić wszystko jak należy - odparła Drew

Naszkcicowała w notatniku rzut komnaty i naniosła na niego siatkę, oznaczając każdy

kwadrat za pomocą liter i cyfr jak pola na szachownicy. Większość szkieletów leżała w głębi po lewej stronie, ale część znajdowała się również po prawej. W sumie było ich osiem. Na kilku z nich zachowały się strzępy tkaniny, które zwisały między kośćmi, ale nawet Anton nie mógłby dopatrzeć się w nich podobieństwa do mumii.

Pod ścianami przemykały szczury, uciekając przed światłem latarek, a brzęczenie much doprowadzało mnie do szału. Mokra od potu maska ledwie przepuszczała powietrze, ale wiedziałem, że jeśli ją zdejmę, dławiący smród nie pozwoli mi oddychać.

- Trochę mi to wszystko przypomina scenę ze powiedziałem, próbując
rozluźnić atmosferę, ale nikt się nie zaśmiał.

Zerknąłem Drew przez ramię i zauważyłem, że zapisała datę w notatniku. Piątek, trzynasty czerwca - kompletnie straciłem rachubę. W oddalonej o sześć godzin strefie czasowej Cate przywoziła właśnie Peggy ze szkoły i zaparzała herbatę. A może urządziły sobie babski wieczór i leżały na sofie przed telewizorem, zajadając popcorn. Zamknąłem oczy i pokręciłem głową, żeby odpędzić te myśli. Nie chciałem zabierać Peggy w to miejsce.

- To dlatego tak tu cuchnie.

Drew oświetliła latarką leżącego na ziemi martwego nietoperza. Między zwiotczalnymi skrzydłami zauważyłem sterczące z rozdartego brzucha zebra. Sfotografowałem go gwoli skrupulatności, a potem wzięłem na łopatę i zakopałem pod krzakiem na zewnątrz. Anton przechadzał się tam i z powrotem jak zniecierpliwiony ojciec przed salą porodową.

- Na razie nic - poinformowałem go.

Pracowaliśmy cały ranek. Drew uparła się, żebyśmy zaczęli od kwadratu A1 i posuwali się dalej po kolejnych polach siatki. Nie byłem pewien, czy to sprawdzona metoda, czy tylko gra na zwłokę, żeby dotrzeć do szkieletów na samym końcu i opóźnić chwilę prawdy. Z wiaderkiem w ręce kucałem obok Drew i patrzyłem, czy pod kielnią, którą zbierała cieniutkie warstwy ziemi, nie pojawi się jakieś znalezisko.

Fabio ustawił na kamieniu włączoną kamerę.

-Wrócę tu za godzinę, żeby wymienić kartę pamięci - powiedział.

Zostaliśmy sami. Nawet Anton stracił cierpliwość i dał za wygraną. Słychać było tylko brzęczenie much i chrzęst szpachelki zagłębiającej się w wilgotnej ziemi. Spojrzałem na czaszki i przypomniałem sobie jaskinię w Meksyku. Od tego wszystko się zaczęło.

- Nie powinniśmy spędzać ze sobą tyle czasu

Moje słowa zabrzmiały tak niezręcznie. Próbowałem pozbierać się do kupy. Przecież się z nią nie przespałeś - tłumaczyłem sobie. Spod maseczki na mojej twarzy ciekły strużki potu. ale Drew zdawała się tego nie zauważać.

Nagle kielnia zazgrzytała o coś twardego. Odgłos różnił się od tego, który wydawała wcześniej, natrafiając na kamienie. Przyniosłem kamerę i wymierzyłem obiektyw w miejsce, z którego Drew delikatnymi ruchami odgarniała ziemię. Wkrótce odsłoniła prostą glinianą figurkę. Miała około dziesięciu centymetrów, a na jej podłużnej głowie widniały czarne kreski akcentujące rysy twarzy. Leżała na plecach, a jej rozpostarte ręce nasunęły mi skojarzenie z tamtym nieszczęsnym nietoperzem,

- Czy to dzieło Inków?

Czarna rzeka

- Zbyt prymitywne. Wygląda raczej na kulturę preinkaska, co by oby interesujące Niewykluczone, że to ceramika z Tiahuanaco, co byłoby bardzo interesujące z historycznego punktu widzenia - powiedziała Drew. wkładając znalezisko do woreczka strunowego,! podała mi je. Owinięta w folię figurka wyglądała jak dziecinna zabawka. - Ale równie dobrze mogła powstać w każdym innym okresie na przestrzeni ostatnich dziesięciu tysięcy lat, nawet w zeszłym tygodniu. Bez badania izotopem węgla nie sposób tego ustalić.

Poszukiwania zajęły nam całe przedpołudnie. Wciąż miałem wrażenie, że puste oczodoły czaszek spoglądają na nas naglaco. czekając w kącie komnaty. Gdy w końcu do nich dotarliśmy, nieomal poczułem ulgę, jakbym przystępował do długo wyczekiwanego egzaminu. Drew zaczęła usuwać ziemię dookoła szczątków, podczas gdy ja filmowałem wszystko z bliska.

- Są prawie białe - wygłosiłem komentarz do kamery. - Po tak starych kościach spodziewałbym się raczej brązowego zabarwienia.

- Może ma to coś wspólnego z procesem mumifikacji.

- Może. Ale uzębienie na tym nie skorzystało.

We wszystkich czaszkach brakowało zębów. Musiały wypaść po śmierci, Kilka z nich leżało na ziemi, połyskując w świetle latarki. Zrobiłem dokładne zbliżenie każdego z nich.

- A te ślady? - zapytałem, wskazując na mocno pokancerowane kości rąk i nóg, na których widniały dziwne czerwone plamy, jakby wytrawione kwasem.. - Czy to normalne?

- Ty mi powiedz, doktorku.

Wyjąłem woreczek foliowy i włożyłem do mego trzy małe kawałki paliczków, które podniosłem z ziemi czubkiem noża. Miałem nadzieję, że badania laboratoryjne, którym zamierzałem poddać je po powrocie, pozwolą ustalić, kiedy żyli ci ludzie i w jaki sposób umarli.

Drew coś znalazła. Wbijając czubek kielni w podłoże, wymacała kontury zasypanego przedmiotu, a potem nachyliła się i odgarnęła ziemię rękami.

- O mój Boże - wyszeptwała z przejęciem.

Pod jej palcami coś zamigotało. Gładka metalowa powierzchnia lśniła w świetle latarek czystym i jaskrawym blaskiem, który nie pozostawiał wątpliwości, że mamy przed sobą coś drogiego. Tego koloru nie dało się z niczym pomylić. To było to, po co tutaj przyszliśmy. Złoto.

Skierowałem w to miejsce obiektyw i zrobiłem zbliżenie. Złoto połyskiwało na wyświetlaczu kamery, choć w słabym świetle obraz był lekko rozmazany.

- Powinniśmy zawołać Antona - powiedziałem, ale nie ruszyłem się z miejsca.

Drew płynnymi ruchami zgarniała ziemię, muskając ją szpachelką, jakby wodziła pedzlem po płótnie. Naszym oczom ukazały się połączone ze sobą złote płytki o prostokątnym kształcie.

- To chyba jakaś bransoletka - mruknąłem.

Hałas za moimi plecami omal nie przyprawił mnie o atak serca. Przy wejściu stał Fobio i zaglądał do środka, zasłaniając nos bandam i,

- Zia mówi, że lunch już gotowy.

Nie zareagowałem na jego słowa i tylko patrzyłem, jak Drew odgarnia ziemię wokół znaleziska, odstawiając je w całej okazałości. Nie potrzebowałem podręcznika archeologii i sztuki prekolumbijskiej, żeby zorientować się, co to jest.

-Wyłącz kamerę - rozkazała.

Fabio zrobił dwa kroki w naszą stronę.

Czarna rzeka

- Czy to jest...?

-Wyłącz kamerę.

To był zegarek. Miał złotą elastyczną bransoletę i złote wskazówki na białej tarczy. Tak bardzo nie pasował do tego otoczenia, że nie pamiętam, jak długo się w niego wpatrywałem, zanim dotarło do mnie, że wskazówka sekundnika się porusza. Odruchowo zerknąłem na swój zegarek i okazało się, że pokazuje tę samą godzinę. Zagrzebany w gliniastej ziemi złoty zegarek wciąż działał, odmierzając czas długo po tym, jak jego właściciel znieruchomiał na zawsze.

Jak długo tu leżał?

Chwyciłem nasze znalezisko i potykając się, wyszedłem na zewnątrz. Chciałem pokazać je Antonowi i me musiałem go długo szukać. Wszyscy zebrali się przed Skarbcem, nawet Howie spoglądał na wejście z bezpiecznej odległości. Jak gdyby czegoś się domyślili.

Zdarłem z twarzy przepoconą maseczkę i wciągnąłem haust świeżego powietrza. A potem uniosłem rękę z zegarkiem jak ksiądz trzymający monstrancję. Niektórzy dostrzegli tylko lśniąca bransoletę i zaczęli wiwatować. Ale byli też tacy, którzy zobaczyli, co naprawdę trzymam.

Krzyk był tak głośny, że mógłby obudzić wszystkich mieszkańców miasta z wiecznego snu. Wszyscy odwrócili wzrok w stronę Zii. Jej zawodzenia przechodziły w spazmatyczny szloch, tak przejmujący, jakby jej dusza rozpadała się na kawałki. Wtórował mu gwar zaintrygowanych głosów. Każdy chciał od razu wszystkiego się dowiedzieć, ale nieszczęsna kobieta z trudem łapała oddech i me była w stanie wydobyć z siebie słowa.

Ale nie musiała nic mówić. Jej reakcja nie pozostawiała żadnych wątpliwości, znaleźliśmy zwłoki Menendeza.

37.

- Ale jak oni... w takim stanie?

Drew mówiła półgłosem, zerkając w stronę Zii, która siedziała przy ognisku owinięta śpiworem i patrzyła tępo przed siebie.

- Czynnikiem, który najbardziej przyspiesza rozkład, jest wysoka temperatura - wyjaśniłem. - W środku musiało być blisko czterdzieści stopni i jeszcze ta wilgoć. A do tego.,.

Przerwałem ze względu na Zię. Wciąż miałem przed oczami roje much i szczury, które umykały przed światłem.

Howie usiadł gwałtownie na swoim posianiu.

-Mylisz, że ten aguti, którego jedliśmy wczoraj wieczorem...

-Zamknij się - przerwała mu Drew.

- Ale to byłoby jak kanibalizm.

Na twarzy Howiego malowała się zgroza. Miałem ochotę mu przywalić, chociaż skłamałbym, mówiąc, że nie pomyślałem o tym samym. Przypomniałem sobie każdy kęs mięsa, które obgryzałem z drobnych kości.

Zia nawet nie drgnęła. Dałem jej dwie tabletki uspokajające i teraz jej umysł błąkał się w beztroskiej pustce.

- Powinniśmy urządzić im godny pochówek - zaproponowała Orew

- Powinniśmy stąd zmykać w podskokach - powiedział Howie. - Czy wy jesteście ślepi? Przecież ich już ktoś pochował. Prawdopodobnie ci sami ludzie, którzy ich zabili.

- Nie sądzę - wtrąci! Fabio.

Czarna rzeka

Przekrwione oczy Howiego omal nie wyszły mu z orbit.

- Nie sądzisz, że Indianie ich zabili? Bo raczej nie wyglądają mi na żywych.

-Widziałeś to wielkie usypisko na zewnątrz? Nie byłoby potrzebne, gdyby Menendez już nie żył. W dodatku ziemia była rozgrzebana od środka. To me szczury szukały wyjścia. - Przewodnik ściszył głos, jakby lo mogło w czymś pomóc. - To oni.

- Pogrzebani żywcem - powiedział Howie histerycznym tonem. - Coraz lepiej.

- Jednego nie rozumiem - odezwał się Tillman. - Skoro weszli tam o własnych siłach, czemu nie próbowali się uwolnić? Było ich ośmiu, a wyjście blokowała tylko kupa ziemi i kamieni. Jeżeli zależało od tego ich życie, mogli ją usunąć gołymi rękami. A to wygląda tak, jakby się poddali.

- Mozę Indianie trzymali wartę.

- Na kościach zauważyłem dziwne ślady, które mogą być efektem jakiejś choroby - powiedziałem. - Przebywali w dżungli, nie wiadomo jak długo, a może spędzili kilka tygodni w niewoli. Prawdopodobnie byli w bardzo kiepskim stanie.

- Musimy natychmiast się stąd wynosić - oświadczyła Drew. - Jeżeli ci Indianie tu wrócą, następna ekspedycja znajdzie siedem dodatkowych szkieletów.

Tillman pogładził swoją strzelbę.

- Przekonamy się.

- Menendez i jego ludzie też byli uzbrojeni - odparłem i spojrzałem pytająco na Zię. Potwierdziła moje słowa ospałym kiwnięciem głowy. - Niewiele im to pomogło.

- Musimy wystawić uzbrojone warty na brzegu kanionu. Po naszej stronie. Ktokolwiek zbliży się do mostu, nafaszerujemy go ołowiem.

Nie chciało mi się wierzyć, że Tillman mówi poważnie.

- A kto będzie strzelał? Ty?

- Chyba w to nie wątpisz.

- Nie wątpię, że w *Cał of Duły* nikt ci nie podskoczy - powiedziałem i zwróciłem się do Antona, - Tutaj gra toczy się o przetrwanie...

- Odkąd uciekli Pedro i Pablo. walczymy o przetrwanie - odparł Tillman.

- Czy tylko ja nie chcę zostać uwięziony w pułapce na wyspie i czekać, aż pojawi się banda krwiożerczych Indian?

- Zamknijcie jadaczki, bo nie słyszę własnych myśli! - krzyknął Anton i przez chwilę rozmyślał, obracając w palcach ząb rekina. - Ja wyobrażam to sobie tak. Indianie schwytali Menendeza i jego ludzi. Przetrzytywali ich w tamtej jaskini niedaleko swojej wioski, ale okazała się niezbyt skutecznym więzieniem. Roberto zdołał stamtąd uciec, dlatego przenieśli ich tutaj. Prawdopodobnie już wcześniej traktowali to młasto jako swego rodzaju ośrodek religijny.

- A jeśli Menendez był chory, może liczyli, że bogowie go uzdrowią - zasugerowała Drew.

- Możliwe. Ale się przeliczyli.

- Nie widzieliśmy tu żadnych Indian - przypomniał Tillman.

- Ale oni mogli widzieć nas - rzeki Fabio. - A teraz przyszliśmy dokładnie tam, gdzie chcieli,

Przypomniałem sobie historię o pułapkach na ryby, którą opowiedział mi zeszłej nocy. Ryby nawet nie czują trucizny.

- Proszę - zwróciłem się do Antona błagalnym tonem, - Pomyśl o mojej rodzinie Pomyśl o swoim dziecku.

Anton potoczył wzrokiem dookoła i jego przejrzyste błękitne oczy przybrały taki wyraz, jakby miał się rozplakać. Dotarł do miejsca, które tak bardzo pragnął znaleźć, a teraz musiał je porzucić.

Czarna rzeka

- Ket ma rację.

W pośpiechu zwinęliśmy obóz. Po tylu dniach w dżungli powinniśmy doprowadzić tę sztukę do perfekcji, ale gdy jeszcze myśleliśmy, że zostaniemy tu kilka dni, ogarnęło nas rozprężenie. To zadziwiające, do ilu rzeczy człowiek się przywiązuje, nawet jeżeli musi je dźwigać na własnym grzbiecie.

- A co z tym? - Fabio wskazał na przedmioty, które wykopaliśmy z ziemi.

Oprócz glinianego posążka znaleźliśmy również kamienny toporek, dwa zaostrome kawałki drewna palmowego, które zdaniem Drew służyły jako groty strzał, i figurkę lamy. I oczywiście zegarek Menendeza.

- Zabieramy - orzekł Tillman. - Zawsze coś za to dostaniemy w Puerto Tordoya.

- Powiedziałem; żadnego \$ z abro w nic i wa - zaprotestował Anton,

- Przy naszym powodzeniu przyda nam się cokolwiek, kiedy wrócimy.

Tillman wepchnął znaleźiska do plecaka, tymczasem Fabio zgasił ognisko. Patrząc na unoszącą się ku niebu smugę dymu, zastanawiałem się, czy ktoś jeszcze ją widzi. Od wczoraj nie pojawił się żaden dron. Teraz ucieszyłbym się nawet z takiego towarzystwa, które rokowało nadzieję, że cywilizacja nie straciła nas z oczu.

Juz dawno minęło południe, ale nikt nie myślał o lunchu. Po raz ostatni omiotłem wzrokiem plac, starając się zapamiętać każdy szczegół. Wiedziałem, że za godzinę wspomnienie tego miejsca będzie wydawać mi się odległe i nierealne.

- Czekajcie? - zawołał Anton, - O czymś zapomnieliśmy.

Kazał nam wrócić na środek polany, gdzie wszyscy, nawet Howie, ustawiliśmy się w szeregu na tle świątyni, obejmując się niezręcznie ramionami. Anton ustawił aparat na swoim plecaku i kiedy czerwona dioda samowyzwalacza mruganiem odmierzała sekundy, podbiegł i wcisnął się między nas.

- Powiedzcie; Paititi.

- Paititi? - krzyknęliśmy chórem.

Fabio uniósł dłoń, rozchylając dwa palce na kształt litery „V”, a Tillman pokazał wyprostowany środkowy palec.

- A teraz wyośmy się stąd.

Pogrążeni w myślach maszerowaliśmy ścieżką pomiędzy milczącymi pagórkami. Zia wyglądała tak, jakby zaraz miała usiąść i wybuchnąć płaczem, gdybyśmy jej tylko na to pozwolili - Drew musiała trzymać ją za rękę i prowadzić jak dziecko. Fabio i ja pomagaliśmy Nowi emu, który szedł, wspierając się na naszych ramionach. Po raz pierwszy i ostatni podczas całej wyprawy Anton zamykał pochod i myślę, że to najbardziej nas spowalniało. Jak stado małą przyzwyczailiśmy się, że zawsze nas prowadził.

W końcu za ostatnim zakrętem u wylotu ścieżki zobaczyliśmy przed sobą otwartą przestrzeń. Ruszyłem biegiem przed siebie.. Czułem irracjonalną obawę, że jeśli nie będę biegł dostatecznie szybko, działająca na wyspie złowieszczą siła przyciągania wessie mnie z powrotem.

Zatrzymałem się na skraju urwiska. Wszystko wyglądało tak, jak to zapamiętałem - czerwona ściana kanionu i srebrząca się na dnie wstęga rzeki, skały na przeciwległym brzegu i szczelina, z której wyszliśmy. A także kamienne słupy, na których był zawieszony most i do których przywiązaliśmy linę asekuracyjną. Wszystko było na swoim miejscu. Z wyjątkiem jednego.

- Znaleźliśmy się w potrzasku.

Czarna rzeka

38.

Spoglądaliśmy w głąb otchłani jak żałobnicy stojący nad grobem. Bez nadziei na zmartwychwstanie. Nawet Howie podczołgał się na skraj przepaści i leżąc na brzuchu, patrzy! w dół.

Koniec zawieszony na przeciwległym brzegu mostu spoczywał na dnie, przegradzając w poprzek koryto rzeki niczym tama i spieniając wodę, która przez niego przepływała. Patrzyłem, jak prąd wyrwał ze splotu lin jedną z deszczulek i uniósł w dal. Na powierzchni wody ubyla jedna zmarszczka.

Howie wypowiedział pytanie, które nurtowało nas wszystkich.

- Jak to się stało?

Fabio kopnął jeden z słupów, do których przytwierdzone były liny nośne mostu. Wciąż z nich zwisały, ale kończyły się pół metra dalej.

- Możę przetarły się na krawędzi skały?

- Obie naraz? A jak wyjaśnisz to, co się stało z naszą liną? - Anton wskazał w dół.

Musiałem się wychylić i uświadomiłem sobie z przerażeniem, że wystarczyłoby lekkie pchnięcie, żebym runął w dół. Czy ufałem ludziom, którzy stali za moimi plecami? Każdemu z nich?

Lina, którą rozpięliśmy nad przepaścią, leżała zwinięta u podnóża ściany.

- Możę się zahaczyła, kiedy spadał most?

- Ta lina może utrzymać tonę. Niemożliwe, żeby most pociągnął ją za sobą.

Własnoręcznie ją przymocowałem

- To Indianie - odezwał się Fabio. - Przedostaliśmy się na wyspę, a wtedy oni zniszczyli most. Sami weszliśmy w pułapkę.

Zapadło milczenie. Zrobiłem kilka kroków w tył, oddalając się od przepaści. Inni zrobili to samo i tylko Howie pozostał na miejscu i wciąż patrzył w dół jak ktoś, kto upuścił klucze do kratki ściekowej.

-Jak się stąd wydostaniemy?

Anton podniósł kikut liny zwisający z kamiennego słupa. Z końcówki sterczało kilka postrzępionych włókien, ale poza tym wyglądała na przeciętą.

- Nie to jest naszym największym problemem.

Znów był o krok przed nami, jak zawsze. Wszyscy spojrzeliśmy za siebie, lustrując badawczo zarosta za naszymi plecami. Tillman załadował strzelbę, a Fabio wyjął mac ze te z pochwy.

- Ktokolwiek to zrobił, musi wciąż być na wyspie.

Tillman chciał przeszukać miasto i jak to ujął, „powiesić skurwiela za jaja”, lecz Antonowi nie spodobał się ten pomysł.

- Nie możemy spuszczać się nawzajem z oka. Kiedy się rozproszymy, tamci wyłapią nas jednego po drugim.

-Tamci?-zapyłała Drew, unosząc brwi.

- Kto powiedział, że to tylko jedna osoba?

-Oj, niedobrze - zajęcza! Howie. - Bardzo niedobrze.

Był w szoku. Podobnie jak my wszyscy. Zia nie odezwała się ani słowem, Tillman bez przerwy miotał przekleństwa, a z rany na kciuku Fabia ciekła strużka krwi, kiedy zaciskał dłoń na rękojeści maczety. Mniejsza o Indian. Mniejsza o zniszczony most i setki kilometrów nieprzebytej dżungli, która nas otaczała. Wątpiłem, czy nasza grupa zdoła utrzymać się razem przez najbliższą dobę. Bo jeżeli nie...

Anton spojrział na mnie, jakby czytał w moich myślach.

Czarna rzeka

- Wyglądasz na dosyć spokojnego.
- W moim zawodzie dystans jest wskazany.
- Dobrze. Bodziemy tego potrzebować,

Drew spojrzała w dół, a potem na skały wznoszące się na przeciwległym brzegu kanionu.

- Chodźmy stąd - powiedziała. - Tutaj jesteśmy widoczni jak na dłoni.

Wycofaliśmy się kawałek w głąb wyspy i przystanęliśmy za pierwszą z budowli. Na swojej prowizorycznej mapie Anton nazwał ją Strażnicą.

- W tym miejscu wykarczujemy zarośla i rozbijemy obóz - zdecydował. - Trzeba też wyciąć przejście na szczyt Strażnicy, żebyśmy mieli punkt obserwacyjny.

- A co z wodą? - zapytała Drew.

- Zejdę, zęby obejrzeć most, Nabiorę trochę wody z rzeki.

- Zejdiesz? - powtórzyłem zdziwiony. - Tak po prostu?

- Tak po prostu. - Anton wyszczerzył zęby w uśmiechu, jakby cała ta sytuacja przyprawiała go o przyjemny dreszczyk emocji i nie zdawał sobie sprawy, że może nam grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. - A ty idziesz ze mną.

Tillman i Fabio zaczęli wycinać krzaki. Zwłaszcza ten pierwszy zachowywał się tak, jakby kogoś atakował, i zapamiętałem wywijał maczetą jak rozjuszony wiking. Nie chciałem znaleźć się na jego drodze.

- Zia, ty zostaniesz tutaj z Howiem - zakomenderował Anton. - A ty, Drew, weźmiesz broń.

- Nigdy w życiu nie strzelałam.

- Ale Indianie tego nie wiedzą - odparł i rzucił jej swój sztucer. Dziewczyna złapała broń i zgięła się wzdłuż pod jej ciężarem. - Cięższym koncern w stronę przeciwnika.

Potem wyjął z plecaka sprzęt wspinaczkowy i ruszył z powrotem w stronę przepaści. Zebrałem wszystkie manierki i poszedłem za nim.

Zjeżdżaliśmy po linie w głąb przepaści. Ilekroć dotykałem nogą zwietrzalej skały, spod mojego buta sypały się drobne kamyki. Odwrócony twarzą do ściany czułem, że jestem łatwym celem. W dodatku to była nasza ostatnia lina. Gdyby pękła albo została przecięta, nie mielibyśmy szans na powrót.

Stałem na brzegu i odpiąłem karabińczyk od uprząży. Po tej stronie rzeka płynęła prawie przy samej ścianie i musiałem balansować na wąskim występie skalnym. Anton zjechał na dół przede mną. Zaklął, kiedy w szczelinie między głazami znalazł zrzuconą z góry linę.

- To już do niczego się nie nadaje.

Podniósł dwa odcinki, z których każdy miał nie więcej niż dwa metry. Reszta leżała splątana u jego stóp. Ktoś nie tylko rzucił linę w przepaść, ale również ją pociął. Kawałki były tak krótkie, że gdybyśmy chcieli połączyć je ze sobą, więcej byłoby węzłów niż samej liny.

- Dobrze wiedzieli, co robią.

Anton odrzucił bezużyteczne resztki. Weszliśmy do rzeki i brodząc, obejrzeliśmy z bliska to, co zostało z mostu. Niewiele było do oglądania. Roztrzaskał się, uderzając o skały, a wartki prąd rzeki dopełnił dzieła zniszczenia. Upadek przetrwało zaledwie kilkanaście deszczoiek.

- Wciąż jesteś spokojny?

Uśmiechnąłem się słabo.

- Staram się, o ile można zachować spokój, tkwiąc na wyspie w środku dżungli

1 mając za towarzystwo bandę krwiożerczych dzikusów.

Zażyłem również valium, ale postanowiłem o tym nie wspominać. Zawodowy

Czarna rzeka

dystans ma swoje granice.

- Ale jestem pod wrażeniem twojego opanowania - dodałem.

Anton wzruszył ramionami.

- Tak naprawdę obawiałem się, że może dojść do czegoś takiego.

Na takie wyznanie nie przygotowała mnie nawet dawka środka uspokajającego.

-Co?

- Czytałem o takich sytuacjach. Wielkie odkrycia, silna presja. Niektórzy ludzie nie chcą dzielić się sławą.

- Myślisz, że to mógł być... - Zawiesiłem głos i spojrzałem wymownie w górę. - Ktoś z nich?

- Nie zdziwiłbym się - odparł. I on uważał, że to ja jestem opanowany. - Od rejsu w górę Pachacamac nie widzieliśmy śladu Indian.

- Ale czemu jedno z nich... jedno z nas... Przecież wszyscy jesteśmy uwiezieni na tej wyspie.

-Więc nie sadzisz, że to on? Ale gwarantuję ci, że ma jakiś plan ucieczki

- On? - zapytałem, starając się zapanować nad tonem głosu. - Masz na myśli kogoś... konkretnego?

- Dziś rano most był na swoim miejscu. Przyszedłem go obejrzeć po śniadaniu. A to oznacza, że został zniszczony, kiedy ty i Drew pracowaliście w Skarbcu. Howie ledwie się rusza, więc zostają Tillman, Fabio i Zia.

- Tillmana dobrze znasz, bo już razem pracowaliście.

- Zgadza się - rzeki Anton powoli. - Ale nigdy nie dokonaliśmy takiego odkrycia. Ludzie się zmieniają, kiedy widzą szansę na zdobycie fortuny. Miałeś już okazję to zobaczyć.

Przypomniałem sobie, jak Tillman oszukał Antona, kiedy kupowaliśmy broń od Lorenza. Zaryzykował życie nas wszystkich, żeby zgarnąć pięć stów. Do czego byłby zdolny, gdyby mógł zarobić tysiąc razy więcej?

- A Fabio?

- Słyszałem o nim różne rzeczy.

-Jakie rzeczy?

- Nic konkretnego. Kilku ludzi z Puerto mówiło mi, że nie powinienem go zatrudniać. Opowiadali o różnych incydentach. Podobno kiedyś się obraził i porzucił ekspedycję na pastwę losu. Innym razem Indianie przepędzili go z miasteczka, zarzucając mu, że coś im ukradł... - Anton wzruszył ramionami. - Pomyślałem, że każdy, kto jest na tyle twardy, żeby dać sobie radę w takich warunkach, może się komuś narazić. Chyba powinienem być ostrożniejszy.

- Pozostaje nam Zia.

- Tak — odparł wymownym tonem.

- Widziałeś ich? Co robili, kiedy Drew i ja byliśmy w Skarbcu?

- Wszyscy kręciliśmy się po okolicy.

- Czy powinniśmy się z nimi rozmówić?

Anton pokręcił głową,

- Zaczekajmy na rozwój sytuacji. Przyjaciół trzymaj blisko siebie, ale wrogów jeszcze bliżej.

Nabrałem w ręce wody z rzeki i ochlapałem twarz.

- Nie przeraża cię to? - zapytałem.

-Przeraża mnie myśl, że to wszystko... - przerwał i zatoczył ręką krąg - ...ze jeśli nam się nie uda, świat tego nie zobaczy.

- A mnie przeraża myśl, że mógłbym już nigdy nie zobaczyć swojej córki.

Czarna rzeka

Anton sięgnął rękami za głowę ■ chwycił w palce rzemień, na którym nosił ząb rekina. Rozpłatał węzeł i poda* mi naszyjnik.

- Weź, To mój talizman

Rzemień był śliski od potu. ale zawiązałem go sobie na szyi. Czułem niedorzeczną wdzięczność.

-A ty?

- Ja potrafię zadbać o swoje szczęście - odparł z szerokim uśmiechem i spojrzął w górę pionowej ściany. - Spróbujmy się z nią zmierzyć.

Może i potrafił zadbać o swoje szczęście, ale nawet jemu nie udało się zamocować ani jednej śruby w ścianie, która wznosiła się po drugiej stronie rzeki. Pod najłżejszym dotykem skala kruszyła się jak gips i śruby asekuracyjne wypadały z niej, zanim zdążył je wkręcić.

- Przy wodospadzie ci się udało - powiedziałem z nadzieją, kiedy zsunął się po raz dziesiąty.

- To jest inny rodzaj skały. - Anton pociągnął łyk wody z manierki. Pot i kurz utworzyły na jego czole smugi przypominające barwy wojenne. - Krucha jak cholera.

Złapał oburącz jedną z lin nośnych mostu zwisających przy ścianie. Kilka deszczutek przetrwało upadek r zamocowane w poprzek wyglądały jak szczeble drabiny prowadzącej na samą górę.

- Mógłbyś to wykorzystać?

Raz widziałem, że ktoś tego dokonał, ale byt to Indiana Jones. Kiedy Anton dotknął wiszącej najniżej deski, obluźowany kawałek drewna wysunął się ze splotu, omal nie uderzając go w głowę. Próbował się podciągnąć na splecionej z pnączy linie, ale wysuszone włókna złuszczały się, przywierając do jego dłoni W końcu nawet Anton musiał się pogodzić z rzeczywistością.

- Tędy nie wyjdziemy - stwierdził.

Zrezygnowaliśmy i przeszliśmy na drugą stronę rzeki, by wspiąć się z powrotem.

Tillman i Fabio wykarczowali zarośla wokół Strażnicy. Ścięte krzaki uiożyty w sterty na skraju polany, tworząc prowizoryczną palisadę. Tillman przywiązał swoją bandanę z nadrukowaną amerykańską flagą do kija, który zatknął na szczycie kopca.

Przelałem wodę z manierki do garnka i postawiłem go na ognisku. Fabio znalazł! dzikie ziemniaki, które upiekliśmy na gorących kamieniach, a Zia wydzieliła nam po plasterku suszonego mięsa pekaru

-Tylko tyle? - zapytał Tillman tonem skargi. - Rąbanie krzaków to wyczerpująca praca.

Zia nawet się nie odezwała, Wszyscy dobrze znaliśmy odpowiedź.

-Zawsze możemy jeść owady-rzekł Fabio, pacnięciem dłoni rozgniatając komara, który zostawił krwawą smugę na jego policzku.

- Nie wiem jak wy, ale ja nie zamierzam tkwić tu zbyt długo - oznajmi! Anton.

- A jaki masz plan? Posklejamy nasze peleryny, zbudujemy balon i odlecimy w stronę zachodzącego słońca?

- Przelecimy nad przepaścią na lianach jak Tarzan? - zaproponował Fabio.

Anton milczał przez chwilę, obracając w dłoniach nóż.

- Jest inne wyjście - odezwał się w końcu.

- Gówno prawda - zaoponował Tillman.

- Wiedzieliśmy, że trzeba wziąć taką możliwość pod uwagę, i dlatego całą drogę dźwigaliśmy pontony.

Starłem się nadążyć za jego tokiem rozumowania.

Czarna rzeka

- Spłyniemy rzeką?

- Alvarado wspominał, że to droga nie do przebycia - wtrąciła Drew. - To dlatego szedł przez dżunglę do wodospadu na Pachacamac.

- Czemu nie? - powiedział Fabio, kreśląc patykiem w ziemi jakiś wzór. - Myślisz, że przetrwamy wędrówkę przez dżunglę? Dziesięć dni, bezGPS-u? Howie nie może nawet chodzić. A płynąc w dół rzeki, po czterech czy pięciu dniach, a na pewno po tygodniu natrafimy na jakąś osadę.

- I tak po prostu sobie popłyniemy jak na wycieczce ze szkółki parafialnej? - zachnął się Tillman. - Nie pomyślałeś, że jest jakiś powód, dla którego jeszcze nikt nie zapuścił się w górę tej rzeki?

- Tubylcy nie mieli odwagi po niej pływać, bo wartki prąd kruszył kadłuby łodzi jak wąż dusiciel-wyjaśniła Drew. - Tak napisał Alvarado.

Tillman spojrzał na Howiego.

- Myślisz, że dałbyś radę wrócić tą samą drogą, którą tu przyszliśmy?

Howie jęknął i wlepił wzrok w płomienie ogniska

- Po prostu zabierzcie mnie stąd.

Anton poderwał się z Ziemi.

- Jest już zbyt późno na podejmowanie decyzji. Prześpijmy się z tym, a rano zobaczymy co dalej.

- Zamierzasz spać? - zdziwiła się Drew.

- Będziemy trzymać wartę. Dwie osoby po dwie godziny, żeby nikt nie zasnął. Am nie uciekł.

- Ja nigdzie się nie wybieram - zapewnił go Howie.

- Ty masz dzisiaj wolne. Najpierw ja i Zia, potem Kel i Fabio. Na koniec Drew i Tillman. Co dwie godziny zmiana.

Zauważyłem, że rozdzielił Fabia, Zię i Tillmana. Nie dało się przeoczyć tej granicy, którą wytyczył w naszej grupie. Byłem ciekaw, czy inni też to widzieli. I kto kogo miał obserwować.

Zacząłem się zastanawiać, ile jeszcze upłynie czasu, zanim nasza grupa całkiem się rozpadnie.

„Zamierzasz spać?” - przypomniałem sobie pytanie Drew. Oczywiście, że nie. Funkcjonowałem w trybie walki o przetrwanie, a wszystkie moje zmysły były maksymalnie wyczulone. Leżałem w hamaku ze strzelbą pod ręką i wsłuchiwałem się w odgłosy nocy. Ilekroć opuszczałem powieki, wszystkie dźwięki zdawały się przybierać na sile, jakby jakaś ręka przekręciła do oporu pokrętło wzmacniacza. A kiedy moja wyobraźnia zaczynała niedomagać, wciąż miałem w pamięci widok tamtych szkieletów, który przypominał mi, że mogę skończyć tak samo.

Ale najgorsze było to, że nie nasłuchiwałem dobiegających z dala pisków i trzasków wtoki sam sposób, jak robiłem to przez wszystkie poprzednie noce. Nie miałem nawet ochoty się zastanawiać, co to za zwierzę buszuje w krzakach. Niebezpieczeństwo było o wiele bliżej.

Zapadałem w drzemkę i budziłem się, a potem nie byłem pewien, co działo się naprawdę, a co było snem. W końcu zasnąłem na dobre, ściskając w dłoni nóż, i omal nie dźgnąłem Antona, kiedy przyszedł mnie obudzić.

- Tylko spokojnie - powiedział.

- Coś się dzieje?

- Nic.

W blasku księżyca jego włosy były szare, a oczy otaczały głębokie cienie. Wyglądał na zmęczonego.

Czarna rzeka

- Jakieś problemy z Zia?

Domyślił się, o co mi chodzi.

-Wszystko gro.

Wziętem strzelbę i wspiałem się na szczyt kopca. Fabio juz tam na mnie czekał.

W jego ustach zarzył się papieros.

- Myślałem, że juz dawno wypaliłeś ostatniego.

- Tego znalazłem na dnie plecaka.

Dal mi się zaciągnąć. Nie odmówiłem. Raczej nie groziło mi uzależnienie. Miałem pusty żołądek i zakręciło mi się w głowie od nikotyny.

- Dostane również przepaskę na oczy?

Fabio wykrzywił twarz w ponurym uśmiechu.

- Rozstrzelanie skróciłoby przynajmniej nasze męczarnie.

Lubiłem Fabia. Podobało mi się jego spokojne usposobienie i pewność siebie, która udzielała się całej grupie. Dodawał nam otuchy. Nie mogłem oswoić się z myślą, że to on mógł zniszczyć most.

Zatoczyłem ręką krąg nad skąpanym w księżycowej poświacie zaginionym miastem i otaczającą je dżunglą, która napierała na zabudowania ze wszystkich stron. To był najbardziej romantyczny i zarazem obłąkańczy widok, jaki w życiu oglądałem. Marzyłem już tylko o tym, żeby zniknął.

- Myślisz, że będziemy bogaci? - zapytałem. - Oczywiście, jeśli uda nam się stąd wydostać.

Fabio wzruszył ramionami.

- Złota tu nie ma.

- Ale znaleźliśmy miasto. Innym wystarczy znacznie mniej, żeby zdobyć fortunę.

- Chyba raczej sławę.

- Jeśli w tych czasach jesteś sławny, możesz się na tym wzbogacić. Nawet jeżeli jesteś tylko brzydkim kotem.

Fabio nie zrozumiał, o co mi chodzi, ale nie starałem się tego wyjaśniać.

Wśród drzew coś zaszeleściło. Skierowałem w tamtą stronę światło latarki i z ciemności wyłoniła się para potyskujących gniewnie pomarańczowych oczu*. Wydałem krótki okrzyk i sięgnąłem po strzelbę, ale Fabio powstrzymał mnie, chwytając za lufę.

- To tylko sowa - powiedział.

W tej samej chwili usłyszałem trzepot ciężkich skrzydeł i jakaś ciemna sylwetka przeleciała nad naszymi głowami. Uplęta chwila, zanim moje tętno wróciło do normy. Zauważyłem, że nasz przewodnik koncentruje wzrok na jakimś punkcie w ciemności, mierząc w niego ze sztucera.

- Słyszałeś o Tenzingu? - zapytał, ale pokręciłem głową. - A o pierwszym zdobywcy Mount Everestu? Człowiek, który niósł za nim sprzęt, miał na imię Tenzing.

- Och, rzeczywiście. Szerpa Tenzing Norgay.

- Ale we wszystkich książkach jest napisane, że to tamten biały człowiek wszedł na Everest. Jak myślisz, czy kiedy wrócimy, dziennikarze będą pisać, że Anton, Kel, Fabio i czwórka innych odkryli Paititi? Czy napiszą tylko o Antonie?

- Gnębi cię to?

Fabio zaciągnął się ostatni raz i wyrzucił niedopałek w zarośla.

- Gdyby nie on, żaden z nas by tu nie dotarł.

Zapadło milczenie, gdy każdy z nas pogrążył się w mroku swoich myśli.

- Gdzie jest Anton?

Otworzyłem oczy i przez foliową płachtę rozpiętą nad moim hamakiem zobaczyłem

Czarna rzeka

rozmyte kontury twarzy Drew. W mojej głowie zakotłowały się szalone myśli i przez chwilę nie byłem pewien, czy nie śnię. Potem zauważyłem Tillmana. Stał kilka kroków dalej ze strzelby w rękę i wciągał nosem powietrze. Zanosił się na deszcz, było szaro i bezwietrznie. Bandanazwisała nieruchomo z zerdzi na szczycie kopca.

- Gdzie jest Anton? - powtórzyła Drew.

- Obudził mnie. kiedy przyszła moja kołoj na wartę - odpartem, rozcierając powieki.

- Nie ma go tu?

- Jego hamak jest pusty.

- Może poszedł się odlać.

- Czekamy już od dziesięciu minut. Nie oddaliłby się na tak długo, zwłaszcza że możemy być otoczeni przez Indian.

Zsunąłem się z hamaka i chwyciłem broń. Oziwne, jak szybko ten gest wszedł mi w krew.

- Wiesz, jaki on jest - powiedziałem. - Pewnie jeszcze raz chciał obejrzyć świątynię.

Mimo to ruszyłem w przeciwnym kierunku. Wiedziałem, dokąd mógł udać się Anton.

Może to przecucie czy niejasny domysł, a może po prostu zdążyłem go poznać w ciągu tych trzech tygodni wyprawy. Kiedy natrafialiśmy na jakąś przeszkodę, nie siedział beczynnie, pogrążając się w rozmyślaniach, ani nie próbował szukać innego wyjścia. Zmagał się z problemem, dopóki go nie rozwiązał.

Na polance nad przepaścią znaleźliśmy uprzęż wspinaczkową i niewielki pęk karabińczyków. Sztucer Antona stał oparty o drzewo, a jego kapelusz wisiał zatknięty na lufie. Nasza ostatnia lina był przywiązana do jednego z kamiennych słupów i przerzucona nad brzegiem kanionu.

- Anton! - krzyknęła Drew. a jej głos odbił się echem od czerwonych skał

- Szefie?

Żadne z nas nie miało odwagi podejść do przepaści. Byliśmy jak zwierzęta, które słysząc odległy grzmot, przeczuwają nadciągającą burzę. Na czworakach zbliżyłem się do krawędzi i spojrzałem w dół. Strzepnąłem mrówkę, która wędrowała po moim palcu i przez krotką chwilę doświadczyłem dziwnego zadowolenia, patrząc, jak spada w przepaść.

Potem zobaczyłem Antona. Nawet z takiej odległości rozpoznałem go od razu. Leżał na głazach z rozkrzyżowanymi rękami, a jego głowa zwisała na bok, przekrzywiona pod nienaturalnym kątem.

Drew na jego widok zaczęła szlochać, a Tillman nabrał garść ziemi i ze złością cisnął w dół.

- Ty głupi skurwielu - syknął, - Teraz mamy naprawdę przejebane.

39.

Jeszcze na tyle trzymaliśmy się w kupie, że zdołaliśmy wspólnie urządzić Antonowi pogrzeb. Tillman i ja zjechaliśmy na dno przepaści i wciągnęliśmy zawinięte w hamak ciało, które potem zanieśliśmy na szczyt najwyższej budowli w mieście. Tam go pochowaliśmy. Spoczął zwrócony głową na wschód w płytkiej mogile, którą wycięliśmy wśród korzeni i pnączy. Chciałem zostawić przy nim jego prawo jazdy, na wypadek gdyby ktoś go znalazł, a) e kiedy przeszukałem mu kieszenie, okazało się, że jego portfel zaginał,

Potem wszyscy stanęliśmy wokół grobu i chwyciliśmy się za rece. Padało coraz obficiej i nasze ubrania były kompletnie przemoczone.

- Ktoś chciałby coś powiedzieć? - zapytała Orew.

Czarna rzeka

Nikt nie miał ochoty przerywać milczenia.

- Anton zwykł mawiać, że każdy tworzy swoje życiowe przygody - odezwała się po chwili. - Nie znam nikogo, kto robił to tak doskonale jak on. Świat będzie nudny bez niego.

- Zgmał, robiąc to, czego pragnął - dodał Fabio i zatoczył ręką krąg nad szczytami kopców, które wystawały spośród drzew. - Tak właśnie wyobrażał sobie niebo.

Zapadła cisza. Krople deszczu z pluskiem uderzały w podłoże i ściekały po splątanych korzeniach. Woda przesiąkała przez prowizoryczny całun, w który zawinęliśmy ciało i pod mokrą tkaniną zaczęła się odznaczać sylwetka Antona. Jakby mimo wszystko próbował ucieczki.

Tillman odchrząknął i splunął flegmą.

-Ja nie bardzo... nie jestem.*.-Przerwał, poczym zacisnął dłonie w pięści i zaczął od nowa: - Anton był dla mnie jak brat. Za każdym razem kiedy wywinąłem coś głupiego, był blisko i wyciągał mnie z tarapatów. A teraz jesteśmy zdani tylko na siebie. - Znów zawiesił głos i zrobił taką minę, jakby miał ochotę się rozplakać albo komuś przywalić. Nagle pochylił się nad grobem i krzyknął: - Nie wierzę, że cię nie ma. ty szurnięty sukinsynu!

Drew próbowała go objąć, ale odepchnął jej rękę. Wściekłym ruchem otarł krople deszczu, które zalewały mu twarz, jakby nie chciał, żebyśmy wzięli je za łzy. Wszyscy staliśmy ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ta przeżegnała się i wymamrotała kilka słów, których nie dosłyszałem.

- Ktoś jeszcze?

Ująłem w palce ząb rekina, który teraz nosiłem na szyi, ale nic nie powiedziałem. Podczas tej wspólnej wyprawy zdarzały się chwile, kiedy uważałem Antona za najbliższego przyjaciela. A teraz stałem nad jego grobem. Miałem wrażenie, że w ogóle go nie znalazłem.

Howie zaczął modlić się na głos. ale zamilkł, widząc mordercze spojrzenie Tillmana.

- Ani słowa więcej, świętoszku.

Przykryliśmy ciało Antona gałęziami, kamieniami i ziemią. To była ciężka praca. Ostre ciernie kaleczyły naszą skórę, a rozmokła glina lepiła się nam do rąk. Na zalanych deszczem korzeniach łatwo było się pośliznąć. Drew straciła równowagę i wpadłaby do grobu, gdybym w porę nie chwycił jej za rękę. Przyciągnąłem ją do siebie, a ona zatoczyła się niezdarnie i przywarła do mnie całym ciałem. Odsunęła się dopiero po chwili. Sprawilo mi to tak wielką przyjemność, że aż poczułem strach.

Zasypaliśmy dół na tyle, aby przykryć Antona, a potem zgodnie uznaliśmy nasze dzieło za skończone. W dżungli nie ma na tyle ziemi, aby dało się zakopać zwłoki dostatecznie głęboko. Schodząc, zdałem sobie sprawę, że od chwili znalezienia ciała nikt nie zadał najbardziej oczywistego z pytań.

Czy to był wypadek, czy ktoś go zepchnął w przepaść?

Po pogrzebie rozgorzały kłótnie. Było zbyt wilgotno, by dało się rozpalić ognisko, więc opatuleni w peleryny kuliliśmy się pod drzewami, próbując wymyślić jakiś sposób na przetrwanie.

- Trzeba napompować pontony - rzeki Fabio. - Nie mamy wyboru.

- O ile wybierasz samobójstwo - odparł Tillman.

- Anton chciał tak zrobić,

Ten argument przeważał. Nikt nie posunął się do tego, by po śmierci Antona podważać słuszność jego pomysłu.

- Nie ma innej możliwości? - zapytałem.

- Jest jeszcze droga, która tu przysztymy. Przez dżunglę.

Czarna rzeka

- Przykro mi o tym wspominać - wtrącił Ho wie - ale mostu już nie ma.

- W dole rzeki musi być jakieś miejsce, gdzie kończą się skały. Wyjdziemy na brzeg i będziemy się kierować wskazaniem kompasu.

- A co z nim? - Fabio wskazał na Howiego. - Z nim nie mamy szans przedrzeć się przez dżunglę.

- Czy moglibyście nie mówić o mnie tak, jakbym był tu nieobecny? - odezwał się misjonarz.

Drew wbiła w Til Imana surowe spojrzenie.

- Może gdybyś nie miał w plecaku pięciu kilo kokainy, pomógłbyś go nieść.

Tillman siedział w kucki, opierając splecione dłonie na maczecie. Oderwał wzrok od kałuży, w której obserwował swoje odbicie, i rozejrzał się dokoła.

- Pozwólcie, że powiem wam kilka rzeczy. Jako jedyny z was myślę perspektywicznie. Nawet jeżeli zdołamy wyjść z tego cało, wszystko na nic, jeśli wrócimy z pustymi rękami. Równie dobrze moglibyśmy tu zostać.

Orew z niesmakiem pokręciła głową.

- Wciąż myślisz o tym, żeby się obłowić?

- Obłowić? - Tillman przewrócił oczami. - Ty nadal nic nie rozumiesz. Tu chodzi o przeżycie,

- No jasne. Kokaina to niezbędny składnik każdego zestawu przetrwania.

- Cicho! - krzyknąłem, unosząc ręce. - Zamknijcie się na chwilę. Czy jest coś,

o czym powinniśmy wiedzieć?

Twarz Tillmana poczerwieniała.

- Jest pewien układ - powiedział. - Pamiętasz, jak Anton ci opowiadał o Aguas Verdes?

- O starej kopalni złota, której szukaliście.

- Cóż, to była bujda. Tak naprawdę Aguas Verdes to nie kopalnia, ale kasyno na przedmieściach Cusco. Pojechaliśmy tam dwa miesiące temu z pięcioma tysiącami dolarów, które pożyczaliśmy od Lorenza. Anton chciał je postawić i wygrać więcej, żeby sfinansować wyprawę, ale zamiast tego wszystko stracił. A między stolikami kręcił się dzieciak, który proponował pożyczki sputkanym. Ja odmówiłem, ale Anton był zdesperowany. Nie mógł pogodzić się z myślą, że cały jego plan weźmie w łeb. Więc wyszliśmy z tym dzieciakiem na zewnątrz, a tam czekał jakiś stary Indianin, który pożyczył nam kolejne pięć kawałków. Żebyśmy się odkuli.

Słuchając tej opowieści, już wyobrażałem sobie finał.

- Dziesięć godzin później Anton był mu winien osiemdziesiąt tysięcy. Plus tamte pięć, które pożyczyl od Lorenza. Potem zjawili się kumple starego z maczetami i nożami

1 wyjaśnili nam, co się stanie, jeśli nie oddamy długu.

Tillman zakłosał się na piętach. Cały czas wbijał wzrok w ziemię.

- Musieliśmy wrócić na kolanach do Lorenza i błagać go o zaliczkę, żeby spłacić tamtych Indian, zanim obetną nam fiuty i każą je zjeść. Wszystko, czego dokonaliśmy w ciągu ostatnich trzech tygodni, było na kredyt. Kiedy wrócimy, upomną się o swoje.

W dżungli panowała cisza, którą rozpraszał tylko plusk kropeł uderzających o liście

- Ale Anton nie żyje - odezwał się w końcu.

- Czy ty niczego nie rozumiesz? Oni nam nie odpuszczają. Dobiorą się do następnego w kolejce. Wszyscy jesteśmy umoczeni. Ja. Orew. Howie i ty. - Tillman wymierzył we mnie palec. - Zwłaszcza ty. Lorenzo cię widział i wie, kim jesteś. Bogaty gringo, na którego czeka rodzina. Może wydusić z ciebie tę kasę.

- Chcesz mnie nastraszyć?

- Ja tylko ci mówię, co się stanie. I dlaczego potrzebujemy każdego centa, jakiego

Czarna rzeka

możemy stad wynieść.

- Najpierw musimy się wydostać z tego miejsca - powiedziała Drew. - Będziemy pertraktować z Lorenzem, kiedy znajdziemy się w Puerto Tordoya.

Nasza rozmowa zatoczyła koło i wróciła do punktu wyjścia.

- Tylko jak się tam dostaniemy?

Tillman otarł strużkę wody ściekająca po ostrzu maczety.

- Wszyscy nie mamy szans.

- Jak to?

- Bądźmy realistami. Całą grupą nie przeprawimy się przez dżungle. Brakuje nam prowiantu, a on nie może chodzić - rzekł, wskazując na Howiego. - Jedyne wyjście jest takie, aby poszedł tylko jeden z nas. W pojedynkę, z lekkim plecakiem dotrze dwa razy szybciej do Pachacamac i z powrotem do cywilizacji* A reszta siedzi tutaj i czeka na kawalerię.

- I kto miałby pójść? - zapytał Fabio. - Ty?

- Zgadłeś.

- A jeśli po nas nie wrócisz?

- Oskarżasz mnie o coś? - spytał zaczepnie Tillman, ale przewodnik tylko uśmiechnął się znacząco. - Chcesz powiedzieć, że nie jestem godny zaufania?

- Otóż to.

- No to się pierdol.

Tillman zerwał się na równe nogi i odszedł, rozchlapując wodę z kałuż.

-Zostań -powiedziałem, nadrabiając brak posłuchu desperackim tonem. - Jesteś nam potrzebny. I ty też-dodałem, zwracając się do Fabia. - Jeżeli mamy wyjść z tego cało, musimy trzymać się razem.

Tillman zawrócił. Zmierzył mnie wzrokiem, patrząc spod runda kapelusza, na którym rozpryskiwały się krople deszczu.

- Wyprawa w pojedynkę jest zbyt ryzykowna - ciągnąłem. - Możesz tam zginąć, a my o niczym nie będziemy wiedzieć. Jak długo mielibyśmy czekać. Trzy tygodnie? Miesiąc? Dwa miesiące? Kiedy stracimy nadzieję, będziemy jeszcze bardziej osłabieni i wygłodzeni.

- Że nie wspomnę o Indianach - wtrącił Howie. - Wtedy już na pewno nas dopadną, tak samo jak dopadli Antona.

- Albo pójdziemy wszyscy, albo nie pójdzie nikt.

- Kel ma rację - poparła mnie Drew. - Albo będziemy trzymać się razem, albo marnie zginie.

Tillman spiorunował ją wzrokiem.

- Od kiedy to jesteś Bogiem?

- Będziemy glosować.

-W sytuacji zagrożenia nie ma miejsca na demokrację. Trzeba wypełniać polecenia przywódcy.

- Nasz przywódca nie żyje - powiedziałem.

Chciałem, żeby (o zabrzmiało brutalnie. Wciąż zachowywaliśmy się tak, jakby Anton miał zaraz włączyć się do dyskusji i podjąć decyzję. Musieliśmy dorosnąć.

-Jestem przewodnikiem - bąknął nadąsany Fabio.

- No właśnie, dupku. Zaprowadzisz nas tam. dokąd chcemy pójść.

Zanim Fabio zdążył odpowiedzieć, szybko zabrałem głos.

- A dokąd chcemy pójść? - zapytałem, przyglądając się kolejno moim towarzyszom. - Wszyscy razem, wspólnie. Rzeka czy dżungla? Jaka jest decyzja?

- Znasz moje zdanie - odparł Tillman. - Z dwojga złego lepsze to, co już znamy.

Czarna rzeka

- Rzeka - powiedział Fabio.
- Rzeka - zawtórowała mu Drew.

Spojrzałem na Zie, ale odwróciła wzrok. Chwyciłem ją za rękę i ścisnąłem tak mocno, że syknęła z bólu.

- Popatrz na mnie. Jesteś jedną z nas. Nie możesz stać z boku.
- Nie wiemy, dokąd płynie rzeka, i mamy za mało prowiantu na przeprawę przez dżunglę - powiedziała. - Jestem za tym, żeby Tillman sprowadził pomoc.
- To nie wchodzi w grę.
- W rzece możemy łowić ryby - rzekł Fabio.
- A w dżungli można polować - odparł Tillman.
- W takim razie dżungla - odezwała się Zia, nie podnosząc wzroku.

- W dżungli są Indianie - odezwał się Howie - Jestem za rzeką. Im szybciej wrócimy, tym lepiej.

- Trzy do dwóch. I co teraz, doktoru? - zapytał Tillman. Musiał zauważyć moje wahanie, bo dodał: - Boisz się podjąć decyzję? Sam mówisz, że nie można stać z boku

Zmierzyłem go wzrokiem, powtarzając sobie w myślach, że nie mogę dać mu się zastraszyć.

- Rzeka - powiedziałem i uśmiechnąłem się chłodno do Tillmana. który posiał mi mordercze spojrzenie. - Tego chciałby Anton.

Napompowaliśmy pontony na brzegu przepaści. Przeklinaliśmy je, kiedy ciążyły nam podczas wędrówki przez dżunglę, ale teraz okazały się zbawieniem.

- Na pewno wszyscy się w nich pomieścimy? - zapytał Howie, który siedział zgięty w pół pod drzewem.

- Musimy - odparłem.

Tak naprawdę zdążyłem już zapomnieć, jak mizernie wyglądają. Jak wynikało z nadrukowanej na gumowych burtach informacji, każdy był przeznaczony dla dwóch osób lub dla jednej z bagażem.

- Wszyscy opróżniamy plecaki - rozkazałem. - Zabieramy tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

- Jedzenie, bron, latarki i peleryny - zaczął wyliczać Fabio. - Śpiwory i moskitiery. Nic więcej.

- I apteczka - dodałem.

Nikt nie miał nawet siły narzekać. Przyglądałem się uważnie wysypywanym z plecaków rzeczom, wypatrując żółtej obudowy mojego lokalizatora satelitarnego. Wciąż miałem w pamięci słowa Antona. Ten, kto zniszczył most, musi mieć jakiś plan ewakuacji.

Ktokolwiek to był, wykazał na tyle sprytu, żeby dobrze ukryć moją zgubę. Wkrótce na ziemi urosła sterta zapasowych ubrań, hamaków, przemoczonego papieru i nylonowych płacht. Zostawiliśmy również plecaki, a niezbędne minimum zapakowaliśmy do nieprzemakalnych worków, które dotąd służyły jako wkładki.

Ze zdziwieniem patrzyłem na rzeczy, które odrzuciliśmy jako zbędny balast

- Naprawdę to wszystko dźwigaliśmy?

- Czytałem kiedyś książkę o ekspedycji Johna Franklina, która zaginęła na Arktyce - powiedziała Drew. - Ich statki utknęły w lodzie, więc wyruszyli na piechotę szukać ratunku. Przepadli bez śladu. Jedyne, co odnaleziono, to rupiecie, które po sobie zostawili. Jedwabne chusteczki, sekretarzyki, srebrne łyżeczki. A wszystko to wlekli ze sobą na saniach, wędrując po skutym lodem morzu.

- Czy to ta ekspedycja, której członkowie jedli własne buty?

Drew ściszyła głos, żeby nikt więcej jej nie dosłyszał.

Czarna rzeka

- Oni jedli siebie nawzajem.

-Codzie golowe! - zawołał Tillman.

Przywiązał końcówkę liny do jednego z pontonów, aby spuścić go na dół

- Tylko sprawdź, czy węzeł dobrze trzyma - powiedział Howie

- No właśnie - odezwał się Fabio. - Ostatnio mamy pecha do lin.

W tonie jego głosu było coś, co przyciągnęło moją uwagę. Zauważył moje badawcze spojrzenie i też zmierzył mnie wzrokiem. Popatrzyłem na innych i uświadomiłem sobie, że wszyscy robią to samo - kontrolują się nawzajem jak piraci, czerwonoskórzy i Zagubieni Chłopcy w Nibylandii. Nikt nie wierzył w historię o Indianach. Wiedzieliśmy, że to sprawka jednego z nas.

Opuściliśmy cały sprzęt i Howiego, a potem kolejno zjechaliśmy po linie. Obciążone pontony zanurzały się tak głęboko, że szorowały o kamieniste dno. Nie chcąc ich uszkodzić, przemaszerowaliśmy brzegiem do miejsca, gdzie rzeka łączyła się ze swoim dopływem. Kiedy znów zajęliśmy miejsca, gumowe ładzie ugięły się pod naszym ciężarem i chociaż nurt był łagodny, woda przelewała się do środka przez burty. Zaczęłem wątpić, czy zdołamy utrzymać się na powierzchni, kiedy dofułyniemy do pierwszego bystrza.

Fabio prowadził. Płynął z Howiem, więc wiosłował w pojedynkę. W drugim pontonie siedzieli Tillman i Zia, a Drew i ja płynęliśmy na końcu. Kilka razy niezdarnie zanurzyłem wiosło, starając się nie potrącić siedzącej przede mną dziewczyny. Płynęliśmy z prądem.

- Wracamy do domu - powiedziałem, lecz moje słowa nie wzbudziły owacji.

Obejrzałem się przez ramię, ale zaginione miasto znikło już w kłębach mgły.

ROZDZIAŁ 6

TYLNE WYJŚCIE

40.

Lasy deszczowe nie bez powodu noszą taką nazwę. Od dwóch tygodni chodziłem w wilgotnym ubraniu i przemoczonych butach, więc byłem przekonany, że już zdążyłem się przyzwycząić. Ale to było coś zupełnie innego. Kropie deszczu rozpryskiwały się na skórze ■ zalewały mi oczy, a fale przelewały się nad burtami pontonu, grożąc jego zatopieniem. Już prawie nie czułem dłoni, w których bez przerwy ścisnąłem wiosła, a rany na spęczniałej od wilgoci i napiętej od ciągłego wysiłku skórze otwierały się i jątrzyły. Wyteżając wzrok, starałem się przeniknąć ścianę deszczu, zęby nie stracić z oczu pozostałych pontonów. Siedzące w nich skulone postacie zdawały się ledwie wystawać ponad powierzchnię wody, jakby lada chwila miały zatonąć. Ich sylwetki okryte pelerynami o szpiczastych kapturach przywodziły na myśl jakieś dziwne zwierzęta, które nie zdążyły wejść na pokład arki Noego.

Nie mogłem się powstrzymać od rozmyślań o Antonie. Chociaż bardzo mi na tym zależało, nie potrafiłem wykrzesać z siebie żalu po jego śmierci. Chyba wszystko rozegrało się zbyt szybko albo w obliczu zagrożenia moja psychika skupiła się na walce o przetrwanie. A może gnębiły mnie wyrzuty sumienia? Zadręczałem się, snując bzdurne domysły i przypuszczenia. Ciągła obecność siedzącej tuż przede mną Drew była jak niema wymówka - nie mogłem się opędzić od niedorzecznej myśli, że gdybym jej nie pocałował, Anton wciąż by żył. Czułem się, jakbym go zdradził, jakbym podświadomie życzył mu śmierci, a żądni krwi bogowie Paititi spełnili moją zachciankę.

Wiedziałem, że to absurdalne. Ale jeszcze trudniej przychodziło mi zmierzyć się z myślą, że jedna z tych przygarbionych postaci, które widziałem przed sobą, zepchnęła Antona w przepaść.

Ktoś nie wyjdzie stąd żywy. Ta myśl nawiedzała mnie tak często w ciągu ostatnich dwóch tygodni, że gdy rzeczywiście doszło do tragedii, nie byłem nawet zszokowany. Ale mimo wszystko nigdy nie przeszło mi nawet przez myśl, że mógł to być Anton. Miał w sobie więcej życia niż ktokolwiek z nas. zdobywał szczyty i wskazywał nam drogę, podczas gdy my błąkaliśmy się w mroku i we mgle. Ale w ostatecznym rozrachunku 1 tak niewiele mu to dało.

Płynęliśmy wolno, unoszeni prądem, zbyt zmęczeni, zęby wiosłować. Mimo deszczu poziom wody w rzece się nie podnosił. Często osiadaliśmy na zwirowym dnie i musieliśmy brodzić przez pływającą, holując nasze pontony, by potem gramolić się na nie w szalonym pośpiechu, gdy docieraliśmy do miejsca, w którym prąd przybierał na sile.

Wciąż płynęliśmy dnem głębokiego kanionu. Po kilku wycieńczających godzinach wyszliśmy na niewielką kamienistą plażę w zakolu rzeki. Nogi ugięły się przede mną, kiedy stanąłem na twardym gruncie. Czułem się jak marynarz, który zszedł na brzeg po północnym rejsie.

Czarna rzeka

- Będziemy tu biwakować? - zapytałem.

Rozpaczliwie pragnąłem wytchnienia, ale z drugiej strony nie chciałem zwlekać ani chwili,

Fabio pokręcił głową.

- Tu jest za mało miejsca, a poziom wody się podnosi - powiedział, spoglądając w stronę przystanku, który spoczywał na brzegu, - Pomożesz mi?

Pień był długi na ponad dwa metry i wydawał się bardzo masywny, ale gdy niepewnie objąłem go rękami i spróbowałem podnieść, omal nie straciłem równowagi.

- Ale to jest lekkie.

- To balsa. Możemy zrobić z tego pływak.

Przenieśliśmy pień i Fabio zaczął mocować go do swojego pontonu za pomocą lin i gałęzi,

- Pomożesz mi? - zwrócił się do Tillmana, który stał na brzegu i patrzył w górę skalnej ściany, jakby zalował, że nie ma skrzydeł.

- Spływ rzeką to nie był mój pomysł.

- Na litość boską! - uniosła się Drew, - Czy to naprawdę odpowiedni moment?

Zdjęła pelerynę, pod którą miała tylko biustonosz i szorty, zebrała włosy i wykręciła z nich wodę.

Podczas gdy Fabio montował prowizoryczny pływak, z pomocą Zina przeniosłem Howiego na brzeg i ułożyłem pod rozpiętymi na wiosłach pelerynami. Podróż na dnie zalanej wodą pontonu, gdzie nic nie chroniło go przed deszczem i falami, tylko pogorszyła jego stan. Skórę miał chłodną i śliska od wilgoci, ale kiedy przyłożyłem dłoń do jego czoła, poczułem, że jest mocno rozpalone. Podwinąłem rękaw jego koszuli i zauważyłem, że czerwona wysypka zamienia się w wypełnione ropą pęcherze.

-Jak się czujesz?

Cicho mlasnął językiem i wydal zdławiony odgłos, jakby zbierało mu się na wymioty. Nie miał nawet siły otworzyć oczu.

-Wszystko będzie dobrze - powiedziałem, przygotowując kolejny zastrzyk morfiny.

Siadając z powrotem w kałuży, która zebrała się na dnie pontonu, miałem wrażenie, jakbym się topił. Na samą myśl, że najbliższe godziny spędzę uwięziony między cienkimi gumowymi ścianami, ogarniała mnie klaustrofobia. Tydzień temu marzyłem o tym, żeby spędzić chociaż kilka chwil sam na sam z Drew. Teraz jej obecność przyprawiała mnie

o nieznośne wyrzuty sumienia

Gdy tylko wypłynęliśmy na środek rzeki, obróciła się do mnie bokiem. Pochyliłem głowę, pozwalając, aby kaptur zsunął mi się na twarz.

- Będziesz się dąsać cały dzień jak nastolatka przed okresem? - spytała. - Czy porozmawiamy o tym?

Powiedziała to spokojnie i bez pośpiechu, jakby te słowa już wcześniej sobie przygotowała.

- O czym?

- O Antonie. I o tym, co to dla nas zmienia.

Oczywiście nie potrafiłem myśleć o niczym innym. Byłem o to wściekły na siebie i przypuszczalnie dlatego moja odpowiedź okazała się nazbyt pochopna.

- To jest jakieś „my”?

Popatrzyła na mnie tak, że poczułem ciarki.

- Jezu, nie to miałam na myśli - odparła. - Mówię o tym, jak teraz przetrwamy - dodała łagodniejszym tonem i skinęła głową, wskazując przed siebie na majaczące we mgle kontury pozostałych pontonów. - Ufasz im?

- Mam inne wyjście?

Czarna rzeka

- Co według ciebie stało się z Antonem?

- Spadł - odparłem krótko, ucinając rozmowę, w która me miałem ochoty się wdawać.

- Naprawdę tak myślisz?

Przypomniałem sobie, jak Anton pewnie kroczył po płynącym z prądem pniu, kiedy uratowaliśmy Roberta, jak przechodzi! po zwalonych drzewach nad strumieniami i wąwozami i balansował nad przepaścią na moście Anakondy.

- Niezupełnie.

- A na wyspie nie było żadnych Indian.

- Zgadza się.

- Nasuwa się tylko jeden wniosek.

- Najpierw ktoś zniszczy! most, a potem zabił Antona.

Wydawało mi się, że dostrzegłem łzę spływającą po policzku Drew. Jeszcze jedna kropla w największej rzece świata - pomyślałem.

- Anton podejrzewał, że to Zia mogła przeciąć liny - powiedziałem i streściłem rozmowę, którą przeprowadziliśmy na dnie kanionu. Przyjaciół trzymaj blisko siebie, ale wrogów jeszcze bliżej. Na niewiele Zdał się ten plan.

- A może to Tillman? - zasugerowała Drew.

Elementy układanki łączyły się w mojej głowie i widziałem je teraz z taką jasnością, jaka pojawia się tylko wtedy, gdy zależy od tego nasze życie.

- Albo zrobili to razem. Tillman zaangażował Zię, kiedy tylko Nolberto znalazł się w szpitalu. A ona z kolei jest powiązana z Menendezem.

- A co Menendez ma z tym wspólnego?

Wszystko - chciałem odpowiedzieć. Miałem wrażenie, jakby jego duch nieustannie nawiedzał naszą wyprawę, odkąd Cate przeczytała o nim w Internecie. A potem dołączyła do nas Zia, uratowaliśmy Roberta, odkryliśmy Jaskinię w pobliżu opuszczonej wioski, a na koniec znaleźliśmy osiem bezzębnych czaszek, które czekały na nas w Paititi.

- Most został zniszczony, kiedy obydwoje byliśmy w Skarbcu - powiedziałem. - Gdy tylko odkryliśmy, że to szczątki Menendeza, oni przystąpili do działania. A kolejna sprawa to portfel Antona.

- Co z mm?

- Nie miał go przy sobie, kiedy go chowaliśmy.

- Musiał wypaść mu z kieszeni, kiedy spadł w przepaść.

- Zjechałem tam na dół po niego, pamiętasz? Portfela nigdzie nie było. Kieszenie miał zapinane na rzepy.

- Myślisz, że ktoś to zrobił, zęby go obrabować?

Nagle kątem oka zauważyłem jakiś ruch na lewym brzegu. Wystraszony obróciłem się zbyt gwałtownie, zęby spojrzeć w tamtą stronę, i obydwoje omal nie wylądowaliśmy w rzece. Zobaczyłem czaplę, która towarzyszyła nam w podróży, przelatując z kamienia na kamień.

- Ostrożnie - syknęła Drew,

Zanurzyłem wiosło, zęby ustabilizować rozchybotany ponton. Mój umysł pracował na wysokich obrotach.

- Musi być coś. czego nie powinniśmy byli odkryć.

- Co na przykład?

- Coś mi nie pasuje w całej tej misji Menendeza. Podobno miał szczepić tubylców, a odkąd wyruszyliśmy w górę Pachacamac. nie spotkaliśmy ani jednego Indianina.

- /co z tego?

Czarna rzeka

- A jeżeli coś poszło nie tak? Być może Zia chciała zatrzeć ślady, zęby nie doszło do skandalu. Anton miał w portfelu kartę pamięci z aparatu Menendez. Może na tym jej zależało.

Czapla przeleciała nisko nad lustrem wody i wyładowała na skale, jakby popisywała się swoją wolnością. Spojrzałem na nią zawistnie

- Ullman mógł być jej wtyczka w naszej grupie - dodałem.

-Tillman był najbliższym przyjacielem Antona-zaznaczyła Drew.

Znów wróciłem pamięcią do tamtej rozmowy na dnie kanionu. Ludzie się zmieniają, kiedy widza szansę na zdobycie fortuny.

- Ale Anton mu nie ufał. Zastanówmy się nad tym. Obydwoje niszczą most i pozbywają się Antona, a potem zabierają kartę pamięci, na której mogą się znajdować jakieś kompromitujące zdjęcia. Tillman wyrusza w pojedynkę, zęby sprowadzić pomoc, a Zia zostaje z nami i dodaje nam trucizny do jedzenia. Tillman wraca na wyspę i razem wydostają się z dżungli.

- Wiele rzeczy nie trzyma się tu kupy - powiedziała Drew z powątpiewaniem.

Czapla wciąż leciała za nami, a jej towarzystwo coraz bardziej działało mi na nerwy.

Sięgnąłem po leżący na stercie ekwipunku sztucer, Wycelowałem i strzeliłem. Oczywiście niecelnie. Pocisk odłupał kawałek skały, a spotęgowany przez echo huk wystrzału odbijał się od ścian kanionu, rozsadzając mi czaszkę. Siła odrzutu omal nie wyrzuciła pontonu.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła Drew.

- Ta czapla... - wymamrotałem, pokazując wystraszonego ptaka, który wzbił się wysoko w powietrze i znikł nad krawędzią przepaści. — Myślałem, że... na kolację...

Dygotałem tak mocno, że prawie nie mogłem wykrztusić słowa. Przeraziło mnie, jak bardzo dałem się ponieść złości i straciłem panowanie nad sobą. Zobaczyłem, że Tillman energicznie wiośłuje pod prąd, by po chwili zrównać się z nami.

- Co to. kurwa, było?

- Kel nabrał ochoty na mięso - wyjaśniła Drew.

- Najpierw naucz się strzelać. - Tillman spiorunowa! mnie wzrokiem i wyobraziłem sobie* że miał taką samą minę. kiedy spychał Antona w przepaść- Musiałem zebrać się w sobie, żeby teraz jego me poczęstować ołowiem. - Jak robisz tyle hałasu, że słyszy nas każdy Indianin w Amazonii, mógłbyś przynajmniej coś upolować.

Nie przychodziła mi do głowy żadna odpowiedź,

Tillman wskazał pięścią na ciemniejące niebo. Zbliżał się wieczór, a zmrok na dnie kanionu zapadał szybciej.

- Będziemy płynąć całą noc?

To było pytanie retoryczne. Gdybyśmy popłynęli w ciemności, ryzykując nagłe spotkania z mielizmami i meandrami rzeki, byłoby to samobójstwo. Dzień minął w miarę spokojnie, ale nikt z nas jeszcze nie oszalał. Im bardziej się ściemniało, tym bardziej się niepokoiiliśmy. Przez ostatnią godzinę uważnie obserwowałem obydwa brzegi, ale nie wypatrzyłem żadnego miejsca, które nadawałoby się na nocleg. Zauważyłem tylko, że skalne ściany są jeszcze wyższe i bardziej strome. Dopiero za następnym zakrętem natknęliśmy się na podłużną żwirową plażę, na którą mogliśmy wciągnąć pontony. Miejsce to nie przypadło do gustu Tillmanowi, który twierdził, że jeśli rzeka przybierze, może nas podmyć, ale nie mieliśmy wyboru. Nurt stawał się coraz szybszy, a 2 oddali dobiegał stłumiony huk przypominający odgłos ruchliwej autostrady, który z zapadnięciem zmroku jeszcze przybrał na sile.

Fabio obawia! się. że w nocy rzeka może porwać pontony. Tillman zasugerował, aby je przywiązać, ale nikt nie miał już ochoty polegać na linach. Czułem, że wszyscy są

Czarna rzeka

podejrzliwi, i widziałem ich ukradkowe spojrzenia. W końcu przenieśliśmy je w głąb plaży i oparliśmy o ścianę urwiska. Gdyby rzeka wezbrała, woda zaczęłaby najpierw podmywać nasz obóz. Zbudowałem sobie prowizoryczne zadaszanie z pontonu wspartego na wiostach i rozłożyłem pod nim swój śpiwór. Drew bez słowa umościła sobie legowisko obok mnie.

Drewno wyrzucone na brzeg było zbyt mokre, by dało się z niego rozpaść ognisko. Fabio rozszczeplił maczeta kilka gałęzi, ale nawet w środku były przemoczone, więc Zia zagotowała wodę na palniku gazowym. Na kolację wydzieliła każdemu z nas po kopiastej łyżce ryżu i resztkę mięsa pekari. W mojej głowie wciąż przewijały się paranoiczne teorie - Zia zostaje z nami i dodaje nam trucizny do jedzenia - ale głód był silniejszy. Spałaszowałem wszystko w mgnieniu oka, co tylko rozbudziło mój apetyt.

Po kolacji rozeszliśmy się w różne strony. Każdy czuł się bezpieczniej, mając wokół trochę przestrzeni. Tillman ostrzył swoją maczetę długimi, miarowymi pociągnięciami, a Fabio zajął się łataniem jednego z pontonów o w. który przedziurawił się na ostrej skale. Drew znikła między skałami, gdzie udała się za potrzebą. Zbadałem H owi ego Pęcherze na jego policzku zaczęły krwawić.

Marzyłem tylko o tym, żeby się wyspać, ale nie mogłem zasnąć. Nie miałem hamaka ani materaca, więc kamienie wbijały mi się w plecy, choć usilnie starałem się nie zwracać na nie uwagi. W ciągłym napięciu nasłuchiwałem odgłosów, jakie przebijały się przez Jednostajne bębnienie deszczu o gumowe dno pontonu. Do głosu doszedł instykt przetrwania i pierwotny lek przed zaśnięciem nie pozwalał mi zmrużyć oka

Poza tym jeszcze coś nie dawało mi spokoju. Wygrzebałem się ze śpiwora i podszedłem do Fabia.

- Masz kamerę w swoim worku?

- 5/- odparł przewodnik, po czym omiół wzrokiem kamienistą plażę i postąpił mi nikły uśmiech. - Naprawdę chcesz sfilmować to miejsce?

- Tylko coś sprawdzić.

Podniosłem jego worek, ale nim zdążyłem sięgnąć do zapięcia, wyrwał mi go z rąk łak gwałtownie, ze prawie mnie przewrócił.

- To moje - warknął.

Omali się na niego nie rzuciłem. Byłem tak rozdrażniony, że reagowałem jak zaszczute zwierzę, które wystarczy trącić, żeby zaczęło kąsać. Stłumiłem len impuls i zapanowałem nad emocjami.

- Przepraszam. Chciałem tylko kamerę.

Obrócił się, zasłaniając worek ciałem, i wyjął ze środka kamerę schowaną do przezroczywej torebki strunowej. Wróciłem z nią na swoje legowisko pod odwróconym pontonem i manipulując przyciskami, uruchomiłem tryb przeglądania.

-Jak możesz oglądać telewizję w takiej chwili?

Drew zajrzała pod ponton i wśliznęła się obok mnie. Obróciłem kamerę pod takim kątem, żeby też widziała wyświetlacz.

- Jest taki teleturniej dla dzieci, za którym przepada Peggy. Nazywa się *Jungte Run* r polega na pokonywaniu toru przeszkód w dżungli. Powinni zabrać ich tutaj - powiedziałem i pokręciłem głową, starając się powstrzymać łzy. - Nie wiem. Dlaczego o tym pomyślałem.

Drew objęła mnie i po raz pierwszy tego dnia poczułem ciepło.

- Jeszcze nie raz będziesz z nią to oglądać.

-Tak...

Cofnąłem nagranie. Niezbyt daleko, do ostatnich ujęć, które nakręciliśmy. Na ekranie pojawiły się trzy bezzębne czaszki oświetlone mdłym żółtawym blaskiem

Czarna rzeka

naszych czołówek. Kilka razy naciskałem guziczki, przesuając zapis w tył i w przód.

-Jeszcze się nie napatrzyłeś? - zapytała Drew.

- Zastanawiałem się. jak oni umarli,
- Śmiercią głodową.

Nacisnąłem pauzę, kiedy na wyświetlaczu pojawiło się zbliżenie szkieletu jednego ze zmarłych, być może samego Menendez. Z obrazu zredukowanego do rozdzielczości kilkuset pikseli niewiele dało się wypatrzeć, ale dobrze zapamiętałem ten szczegół. Wzdłuż kości udowej, która wypełniała teraz cały pierwszy plan, ciągnęła się rozmazana brązowa smuga.

- Widzisz te ślady? - zapytałem. - To plama krwi.

- Jesteś pewien? To nie jest błoto?

- Dobrze się temu przyjrzałem.

- A więc umarli od upływu krwi?

- Silny krwotok wydaje się logiczną przyczyną, ale nie ma śladów przemocy. Gdyby zostali zabici przez Indian, byłoby widać jakieś uszkodzenia, pęknięcia albo nacięcia. A te kości wyglądają na nietknięte.

Znow naciśnąłem przycisk odtwarzania. Obraz kamery przesuwał się po wszystkich ośmiu szkieletach rejestrując każdy szczegół, Fahio świetnie się spisał w roli operatora.

- Sęk w tym, że na wszystkich szkieletach widać takie same smugi - powiedziałem i zawiesiłem głos, aby się upewnić, czy Drew pojęła, o co mi chodzi. - Wszystkich zabiło to samo.

- Czy to mogła być malaria?

- Nie byłoby takich plam.

Nagle zatrzasnąłem klapkę wyświetlacza. Nie mogłem już na to patrzeć. Nie miałem również ochoty dłużej się nad tym zastanawiać, ale w mojej głowie przerażająca myśl nabierała kształtu. Musiałem to z siebie wyrzucić.

- A jeżeli umarli z tego samego powodu co ci wszyscy Indianie?

Drew pokręciła głową.

- Za bardzo kombinujesz. Jeżeli zostali tam uwięzieni bez wody. w warunkach urągających higienie... Pamiętasz ten fetor. Mogli się zarazić czymkolwiek, tyfusem, żółtą febrą... każdym z tych syfów Trzeciego Jwiata, o których mówi się w mediach.

- Przed wyjazdem zaszczepili się na to wszystko

- W takim razie złapali coś innego. Jakies nowe chorobsko, które wykłuło się w tej parszywej dżungli.

Drew odwróciła się plecami do mnie. Być może mi nie ufała lub widziała w życiu zbyt wiele okropności, by ogarnąć jeszcze jeden koszmar. Prawdopodobnie w tej sytuacji zamknęła się na wszystko oprócz walki o przetrwanie.

Zta mogła coś wiedzieć, ale przecież nie zapytam jej wprost. Patrzyłem, jak siedzi z Tillmanem, kryjąc się przed deszczem pod nawisem skalnym. Wiele bym dał, ze by się dowiedzieć o czym rozmawiają.

Nieco dalej, pod prowizorycznym namiotem, który zrobiliśmy z peleryn, leżał Mowie i zanosił się kaszlem, wypluwając sobie p uca. Nawet nie próbowałem sobie wyobrazić, jak samotny musiał się czuć. Wiedziałem, że powinienem do niego pójść, zbadać go, potrzymać za reke i rzucić kilka frazesów na pokrzepienie. Nie zmusiłem się, zęby wstać. Było ciemno i padał deszcz, łapały mnie kurcze w nogach po całym dniu siedzenia w ciasnym pontonie, a ręce bolały od wiosłowania. Koniecznie chciałem przemyśleć kilka spraw, zastanowić się nad decyzjami, od których mogło zależeć moje życie, ale wszystko to ograniczało się do jednego prostego zdania, które tłuło się

Czarna rzeka

w mojej głowie: nie chcę umierać.

41.

Brzask nie zdołał się przebić przez ścianę deszczu, Przespałem kilka godzin, a z niespokojnego snu wyrwały mnie fale. które podmywały moje nogi, Zaczęliśmy pakować się w pośpiechu, zęby odpłynąć, zanim wzbierająca rzeka całkowicie zaleje plażę. W tej chaotycznej krzątaninie straciliśmy jeden z pontonów. To była moja wina. Trzymałem linę, a chwilę później prąd wyrwał mi ją z wilgotnych i odrętwiałych dłoni. Rzuciłem się do rwącej rzeki i omal nie utonąłem, ale nie udało mi się odzyskać pontonu, który odpłynął w ciemność. Kiedy wygramoliłem się z powrotem na brzeg, obawiałem się, że Fabio odrąbie mi głowę.

- Tam była amunicja i wędki - krzyczał, wywijając maczetą, N ab ległe krwią oczy i poszarzała skóra nadawały mu uporny wygląd. - Myślisz, że pomieścimy się w sześcioro na dwóch łódkach?

Wszyscy odruchowo spojrzeliśmy na Howiego, ale nikt nie powiedział, co mu chodzi po głowie.

-Jeśli będziemy głodować, zmniejszymy balast - powiedział Tillman.

Sprawiał wrażenie, jakby naprawdę go to cieszyło, jakby czerpał satysfakcję z naszej porażki. Wydawało się, że chce nam powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

Howie nie mógł utrzymać się na nogach. Położyliśmy go w pontonie Fabia, który był wyposażony w pływak z pnia balsy Chciałem usiąść przy nim, ale Fabio skinął na Drew

- Nie będę płynął z ruodojdą - powiedział.

Byłem skazany na podróż w towarzystwie Tillmana i Zii. Sadowiąc się w pontonie, pochwytiłem spojrzenie Drew, która bezgłośnie poruszyła ustami, pytając mnie: „Wszystko w porządku?”. Pokiwałem głową. Cokotwiek knuło tych dwoje, nie oni byli moim największym zmartwieniem tego ranka. Byłem zdumiony tym, jak szybko wezbrała rzeka - a poziom wody wciąż się podnosił. Kiedy załadowaliśmy ekwipunek, znikła już plaża, na której spędziliśmy noc. Tam, gdzie jeszcze wczoraj rozciągało się gładkie lustro wody, teraz pieniały się wściekle białe grzebienie fal Dobiegający z oddali huk rozbrzmiewał jeszcze głośniejsze,

- Mozę to Autostrada Interoceaniczna - zażartował Fabio. - Złapiemy autobus i za dziesięć godzin będziemy w Puerto Tordoya.

Tillman przewrócił oczami.

- Albo raczej rozwalimy się na miazgę,

- Mozę powinniśmy zaczekać, aż prąd osłabnie? - zasugerowałem.

- Nieprędko przestanie padać. - Fabio z niepokojem popatrzył na rzekę. - Lepiej ruszajmy teraz. Zatrzymamy się przed kaskadą i rozejrzemy. Jeśli będzie zbyt niebezpiecznie, przeniesiemy pontony lądem.

- Bajecznie proste, nie? - odezwał się Tillman.

Płynęliśmy środkiem rzeki unoszeni prądem. Tillman sterował, a Zia i ja wylewaliśmy wodę, która chlustała do przeciążonego pontonu ze wszystkich stron Huk wodospadu narastał z każdą chwilą. Pęcherze na moich dłoniach popękały, a omdlewające ramiona odmawiały posłuszeństwa.

- Powiedz mi coś więcej o tym programie szczepień - zwróciłem się do Zii.

Potrzebowałem zająć myśli czymkolwiek, co odwróciłoby moją uwagę od obecnej sytuacji.

- A co cię to obchodzi?

Czarna rzeka

- Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego umarł.

“Wal się.

- Mówię poważnie - zapewniłem ja, Trudno mi było z nią rozmawiać, kiedy siedziała tyłem do mnie, a ja cały czas musiałem obserwować rzekę. Ryk spadającej wody odbijał się echem od skalnych ścian i wypełniał cały kanion. - Jak dużo ci powiedział na temat tego programu?

- Pracowałam z nim i widziałam wszystkie dokumenty.

Zerknąłem przez ramię, żeby sprawdzić, czy Tillman przysłuchuje się naszej rozmowie, ale wydawał się bardziej zainteresowany trzymaniem stałego kursu,

- Czy używał standardowych szczepionek?

“To był nowy lek.

- Sam go opracował?

- Oostał od pewnej amerykańskiej firmy, która wynalazła nową szczepionkę i zapłaciła Felkowi za jej wdrożenie.

Zia zamilkła. Płynący przed nami Fabio miał poważne kłopoty z przymocowanym do pontonu pniem, który ciągle obracał się prostopadle do nurtu rzeki. Zmagając się zaciekle z prądem, próbował wymwnąć kurs, ale tak go to spowalniało, że wkrótce się z nim zrównaliśmy. Dał nam ręką znak, żebyśmy go wyprzedzili, a ja pokazałem Orew uniesiony kciuk.

- Czy Menendez ci mówił, jak działa ta szczepionka? - zapytałm Zię.

- Mógłbyś zamknąć mordę i zająć się wiosłowaniem? - przerwał mi Tillman,

Wyciągnął wiosło na wprost pokazując wąski kanał, do którego wpływaliśmy, pokonawszy kolejne zakole. Przed nami rzeka nagle się urywała, a za białą ścianą spienionej wody nie było nic. Prąd unosił nas coraz szybciej, podpływaaliśmy coraz bliżej. Spodziewałem się, że zaraz zobaczę, co jest po drugiej stronie, ale na próżno wyęczałem wzrok.

- Tam! - krzyknął Tillman.

W skalnej ścianie znajdowała się szczelina tworząca niewielką zatoczkę, w której kottowała się woda. Prąd unosił nas tak szybko, że mogliśmy ją mnąć w ciągu kilku sekund. Wiosłując zawzięcie, obróciliśmy ponton w poprzek koryta. Pot zalewał mi czoło, a ból rozsadał naprężone mięśnie. Metr za metrem zbliżaliśmy się do ściany, ale jednocześnie posuwaliśmy się dziesiątki metrów w stronę wodospadu, którego huk otaczał nas teraz ze wszystkich stron,

- To się nie uda! - krzyknąłem.

Byliśmy tak blisko skalnego progu, że nad spienioną kipiela widziałem sterczące w dół głązy podobne do wyszczerzonych zębów olbrzymiej bestii, która tylko czeka, żeby pogruchotać nam kości.

Nurt rzeki osłabł tuż przed progiem. Wśród krzyżujących się prądów natrafiliśmy na wsteczny wir i ze wszystkich sil zaczęliśmy wiosłować w stronę zatoczki. Nie wierzyłem, że uda nam się do niej dopłynąć, ale Tillman nie dawał za wygraną i nadludzkim wręcz wysiłkiem zagarniał wodę. Dobiliśmy do skały z takim impetem, że omal nie wypadłem za burtę, a woda chlusnęła do wnętrza pontonu. Złapałem jedno z pnączy, które zwisały ze ściany, i okręciłem sobie wokół nadgarstka tak mocno, że poczułem drętwienie w palcach. Ponton przestał się kołysać i znieruchomiał. Skalny załom osłaniał nas przed wiatrem, a nawet huk wodospadu nie wydawał się tutaj tak ogłuszający.

Udało się. Wciąż trzymając pnącze, drugą ręką chwyciłem garnek Zii i zacząłem wylewać wodę.

- A gdzie tamci?

Spojrzałem za siebie. Drugi ponton płynął środkiem rzeki i już prawie nas mijał.

Czarna rzeka

Fabio i Drew wioślowali zawzięcie, ale balsowy pływak utrudnia! im manewrowanie. Nawet Howie siedział i zagarniał wodę rękami.

- Rzuć im linę! - krzyknął Tillman
- Nie mamy liny!

Sięgnąłem na dno łodzi, próbując rozplatać jeden z węzłów, który przytrzymał w miejscu nasze bagaże. Zdrętwiałe palce, śliska od wilgoci lina i ciasnota przypominały bezradną samotanicę z sennego koszmaru.

Tillman odepchnął mnie na bok tak energicznie, że omal nie wylądowałem w wodzie. Przeciął węzeł nożem, wstał i rzucił linę. Była zbyt krótka - o wiele za krótka. Złapał jedno z wiosł, obwiązał je i cisnął jak oszczep. Widząc to, Drew i Fabio zaczęli kierować się w naszą stronę.

Wiosło kotłowało się na wodzie, ale przywiązana do niego lina była zbyt krótka. Jedyne długi odcinek, jaki nam został, wykorzystał Fabio do przytwierdzenia pływaka. Teraz odłożył wiosło i próbował ją przeciąć, aby uwolnić swój ponton od balsowego pnia. Leżące na nim bagaże wpadły do wody i niesione prądem znikły za progiem wodospadu. Wydawało mi się, że wśród nich jest torba z prowiantem.

Tillman wciąż stał i krzyczał, dopingując Fabia, który wioślował ze wszystkich sił. W końcu usiadł, kiedy pociągnąłem go w dół w obawie, że przewróci nasz ponton.

- Za późno! - zawołałem.

Fabio najwyraźniej to przeczul. W nurcie rzeki, który ciągnął ich w stronę wodospadu, było coś nieubłaganego, zrezygnował z próby odcepienia pływaka i wskoczył z powrotem do pontonu. Patrzyłem na trzy postacie stłoczone jak manekiny w małej gumowej łódce, na ich dłonie zaciskające się kurczowo na uchwytach. Przyszła mi do głowy niedorzeczna myśl, że powinni ich zastąpić kaskaderzy.

Ponton zawisł na progu wodospadu i przechylony balansował w powietrzu, jak gdyby czas się zatrzymał. A może tylko mi się wydawało. Prąd był tak wartki, że to nie mogło trwać dłużej niż ułamek sekundy.

Potem dostrześliśmy żółte gumowe dno, które zsunęło się w spienioną kipieli i znikło nam z oczu.

Po raz pierwszy zobaczyłem, że Tillman nie wie, co robić. Patrzył z niedowierzaniem na wodospad, jakby miał nadzieję, że to wszystko rozegrało się na ekranie telewizora, a on w każdej chwili może cofnąć film i łódź znowu pojawi się w kadrze.

- Musimy ich ratować! - krzyknęła Zia.

- To szaleństwo! - odparłem. Wciąż kurczowo przywierałem do ściany kanionu, z pnącym owiniętym wokół nadgarstka.

- Oni zginą!
- My też zginiemy!

Wrzeczeliśmy na siebie i w tym momencie przypomniałem sobie, kim jest tych dwoje. To przecież oni zniszczyli most i zepchnęli Antona w przepaść. Teraz, kiedy pozbyli się tamtych, zostałem już tylko ja.

- Spróbujmy im pomóc - zdecydował Tillman.

Kilka metrów od nas wał spienionej wody kipiał nad skalnym progiem. Nie mogłem oderwać od niego oczu.

- Nie ma innej drogi?
- Stąd już nie.

Opróżnił swój wodoszczelny worek, po czym nadmuchał go i zawiązał, tak że powstała prowizoryczna boja ratunkowa. Zrobiłem to samo i owinałem sobie paskiem nadgarstek. Zdjęliśmy peleryny, zęby nie krępowwały nam ruchów.

- Kiedy zaczniesz spadać, starajcie się kierować nogami w dół - pouczył nas

Czarna rzeka

Tillman i dodał, zwracając się do mnie: - I trzymaj nogi złączone, jeśli chcesz jeszcze kiedyś zostać tatusiem.

Zagarnął wodę wiośłem, ale ponton ani drgnął.

- Musisz puścić, doktorku.

Rozluźniłem chwyt i liana zsunęła się z mojego nadgarstka. Gumowa iódka, kotysząc się, odbiła od skały, ale prąd rzeki był tak silny, że znosił nas z powrotem do zatoczki. Już opuszczała mnie odwaga, kiedy Tillman mocno odepchnął się od ściany i wreszcie porwał nas rwący strumień. Zaczęliśmy gwałtownie przyspieszać i w zastraszającym tempie zbliżaliśmy się do krawędzi wodospadu. Tillman wiosłował zaciekle, kierując się w stronę jakiejś luki, którą widział tylko on. Wykrzykiwał ostatnie instrukcje, ale ryk wody zagłuszał jego słowa.

I wiecie, o czym wtedy myślałem? O naszej rodzinnej wycieczce do Legolandu. Peggy ubrana w czerwoną pelerynę, którą kupiliśmy przy wejściu, siedziała w plastikowej kabine kolejki górskiej wciśnięta między moje kolana i pischęła z radosnego przestachu, kiedy zsuwaliśmy się po stromej pochylni i z pluskiem lądowaliśmy w basenie. Chociaż zapewniała, że jej się nie podobało, chciała to przeżyć jeszcze raz.

Ale to było coś zupełnie innego. Teraz nie wjeżdżaliśmy na górę z mechanicznym terkotem wyciągarki, która zwalniała przed samym szczytem, zęby spotęgować napięcie. Istniały tylko zawrotny pęd, ryk wody i zniewalające uczucie bezradności. I ta okrutna jasność umysłu, kiedy łódź przez ułamek sekundy balansowała nad przepaścią.

Jakby czas się zatrzymał. Spojrzałem w dół i zdążyłem pomyśleć: Tu jest za wysoko. Woda pod nami pieniała się wściekle i jedynie na samym środku nieki była tak spokojna i przejrzysta, że widziałem wyraźnie pokryte piachem i kamykami dno Rwały strumień targał strzępami lin, które zwisały z zaklinowanego między głazami pnia. Rozpoznałem pływak Fabia.

I wtedy runęliśmy w dół.

42.

Niewiele brakowało, a już po upadku z pierwszego progu byłoby po nas. Ponton obrócił się niemal do pionu i gdyby Zia się nie odchyliła, wciskając się we mnie plecami, przeleciałbym nad jej głową i roztrzaskał się na skalach. Dziób z impetem wbił się w wodę, a polem wynurzył tak gwałtownie, że wszyscy omal nie pospadaliśmy. Gumowe dno plasnęło o wodę, kiedy wylądowaliśmy.

Coś twardego uderzyło mnie w twarz. Wiośło Tillmana, który wskazał na wodę i zaczął wiosłować jak szalony. Wodospad ciągnął nas do tyłu. Chwyciłem swoje wiosło, które jakimś cudem wciąż miałem przy sobie. To była nierówna walka - wątle plastikowe pióro przeciwko masom skotłowanej wody - ale nie dawaliśmy za wygraną, zaciekle zmagaliśmy się z wirem i odpychaliśmy się, wyężdżając wszystkie siły.

Nagle ponton zatrzęsł się jak samochód po wrzuceniu niższego biegu - znów porwał nas nurt. Była to marna pociecha, gdyż teraz zносиło nas prosto na potężny głaz, który rozdzielał koryto rzeki na pół. U jego podstawy kotłowała się spieniona woda, rozbryzgując się na boki.

-W prawo! - krzyknął Tillman, który musiał zauważyć coś, czego ja nie widziałem.

Zaczęłem wiosłować w stronę prawego brzegu, a Zia wychyliła się nad burtą, żeby ułatwić nam skręt. Ponton otarł się o głaz. Wyobraziłem sobie, że ostra skała rozdziera nasz gumowy kadłub, który pęka niczym przebity balon.

Drugi próg okazał się niższy. Ponton z impetem piasnął o wodę i okręcił się

Czarna rzeka

w miejscu, przodem do skały. Zalały mnie bryzgi wody, ale byłem tak mokry, że nawet tego nie zauważyłem. Ti liman znów uderzył mnie wiosłem.

- Obracamy się? - krzyknął,

Jednak prąd już nas znosił w kierunku następnej kaskady, która była zbyt blisko, abyśmy zdążyli wykonać ten manewr, więc zamiast obracać ponton każde z nas obróciło się na swoim miejscu. Teraz ja siedziałem z przodu i wypatrywałem drogi między wystającymi ze spienionej wody skałami. Jakbyśmy lecieli przez deszcz meteorów - mogłem jedynie robić uniki i wiosłować gorączkowo, omijając przeszkody, które pojawiały się przed nami, podczas gdy Ti liman wykrzykiwał niezrozumiałe komendy za moimi plecami.

Wijąc się na dnie kanionu, rzeka sphywała po kolejnych skalnych stopniach, które wyglądały jak ciąg gigantycznych schodów. Spadając z nich, lądowaliśmy z pluskiem i obracaliśmy się w koło, aż w końcu straciłem rachubę, ile razy otarliśmy się o katastrofę. Miałem ochotę schronić się przed wartkim prądem w jakiejś zatoczce, zęby odpocząć choć przez chwilę, ale nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Nie mogliśmy się zatrzymać, bo płynąc wolniej, traciliśmy sterowność i musieliśmy dłużej walczyć z nurtem, który spychał nas z kursu. Trzeba było poddać się żywiołowi, machać wiosłami ile sił w rękach i modlić się, żebyśmy nie skręcili sobie karków,

W nielicznych miejscach, gdzie prąd stawał się łagodniejszy, rozglądałem się, wypatrując Fobia i Drew. Dostrzegłem unoszący się w spienionej wodzie podłużny czarny kształt, który mógł być wiosłem, ale równie dobrze kawałkiem gałęzi. Poza tym żadnych śladów.

Koryto rzeki stało się szersze i płynęliśmy wolniej. Spojrzałem na wprost w nieśmiałej nadziei, że najgorsze mamy już za sobą. Niestety, jeszcze nie było nam dane odetchnąć z ulgą. Przed nami ściany kanionu zbliżały się do siebie jak szyjka butelki i rzeka wpadała w przesmyk węższy niż wszystkie, przez które dotychczas przepływaliśmy.

Obejrzałem się przez ramię. Tillman omiatał wzrokiem brzeg po obu stronach, wypatrując miejsca, do którego moglibyśmy przybić i przygotować się do przeprawy. Na próżno. Prąd znów przybierał na sile, unosząc nas coraz szybciej w stronę ciasnej gardzieli, którą przysłaniała kurtyna rozpylonych w powietrzu kropli. Mogłem tylko się domyślać, że po drugiej stronie czeka nas ryk wzburzonej wody i ciemność.

Rozpędzeni przebiliśmy ścianę wodnej mgiełki, gdy rzeka wessala nas w głąb tunelu. Gnaliśmy w dół pochyłą rynną wśród spienionych bryzgów. W mroku, który otoczył nas z nienacką, nie dostrzegłem sterczącego przed nami głazu. Wpadliśmy na niego i siła uderzenia obróciła ponton, który odbijał się. kręcił i podskakiwał jak piłeczka tenisowa spadająca ze schodów. Straciliśmy nadzieję, że zdołamy nad nim zapanować, 1 nawet nie próbowaliśmy wyrównać kursu. Trzymając wiosło za drugi koniec, odpychałem się nim od skał i ścian kanionu, aby uniknąć zderzenia. W jednym miejscu wąską gardziel blokował pień drzewa zaklinowany między skałami na takiej wysokości, że przepływając pod nim musiałem schylić głowę, zęby jej nie stracić. Nie łudziłem się, że Drew i Fabio zdołali to przeżyć. Nie łudziłem się, że sam wyjdę z tego cało.

Nagle ponton nadział się na coś twardego i poczułem mocne uderzenie w kolano. Spojrzałem w dół i zobaczyłem ulatujące spod moich nóg bąbelki powietrza. Zacząłem obmacywać dno, aż moje palce natrafiły na niewielkie rozdarcie w gumowanej tkaninie.

Uniosłem wzrok, zastanawiając się, jak długo jeszcze zdołamy się utrzymać na powierzchni. Zwisająca gałąź rozorala mi policzek do krwi i omal nie wybiła oka. Przed nami w głębi kanionu robiło się jaśniej. Skalne ściany się rozszerzały. Gdyby nam się udało...

Czarna rzeka

Nie zauważyłem skały, na którą wpadliśmy. Ponton uderzył w nią pod kątem i przechylił się na burtę. Cała woda, jaka zebrała się w środku, spłynęła na jedną stronę. Chciałem zrównoważyć przechył ciężarem swojego ciała, ale zachwiałem się, kiedy prąd porwał prowizoryczną boję, którą wciąż miałem przywiązana do nadgarstka. W tej samej chwili nacierająca z tyłu fala podcięła łódkę, wywracając ją do góry dnem.

Wywrócony ponton nakrył mnie niczym wieko trumny. Płynąc, obijałem się o skały albo zatopione konary drzew, a może zderzyłem się też z Tillmanem i Zia. którzy miotali się w wodzie, walcząc o życie. Rozpaczliwie prostowałem nogi, próbując natrafić na jakieś stabilne oparcie. Ponton nie pozwalał mi się wynurzyć. Szamotałem się i napierałem na niego, ale nie mogłem się uwolnić. Czułem, że zaczynam się topić.

Nagle gwałtowne szarpnięcie wstrząsnęło całym moim ciałem. Samo to, że umierałem, nie oznaczało, że zatrzymam się w miejscu. Prąd rzeki nadal próbował porwać mnie ze sobą, ale ponton nie pozwalał mi ruszyć się dalej. Czyżby o coś zahaczył? Znów spróbowałem dotrzeć dna albo zaprzeć się o cokolwiek, żeby zrzucić go z siebie

Łódź uniosła się nieznacznie Wsunąłem pod nią rękę i pchnąłem. Gdybym ją odwrócił, może udałoby mi się z powrotem na nią wdrapać. Ale w tym momencie coś złapało mnie za rękę i zaczęło odciągać. Tillman? Krzyknąłem, żeby mnie puścił, że już prawie mi się udało. Moje słowa przypominały zduszony bulgot, ale on nie posłuchał. Pociągnął mocniej. Próbowałem przytrzymać się łodzi, ale moje palce ześliznęły się z gładkiej wilgotnej gumy. Próbowałem zacisnąć dłoń, ale na próżno.

Prąd wciągnął mnie pod wodę, zalewając mi usta otwarte w krzyku rozpacz. Kiedy się wynurzyłem, pontonu już nie było. Tillman ścisnął mnie tak mocno, że drętwiała mi ręka.

- Przestań! - krzyknąłem, ale on nie puszczał.

Zamrugąłem kilka razy i kiedy woda ściekła z moich oczu, okazało się, że to nie Tillman. To był napompowany powietrzem wodoszczelny worek, który wciąż miałem przymocowany do nadgarstka. W całym tym chaosie on jeden sprawdził się bez zarzutu. Unosił się na powierzchni wody jak splotnik, wlokąc mnie za sobą. Chciałem go odwiązać, ale nie mogłem namacać luźnego kawałka taśmy. Otarłem się ramieniem o skałę.

Trzymaj nogi złączone - przypomniałem sobie radę Tillmana, widząc, że pędzę prosto na sterczący z wody ciemny kształt. Skręciłem całe ciało i odchyliłem głowę. W samą porę. Zawadziłem tylko ręką o g-az Woda, która wlała mi się do ust, stłumiła okrzyk bólu. Zdążyłem jeszcze obrócić nogi we właściwym kierunku, zanim prąd przerzucił mnie nad kolejnym progiem.

Oślepiaty mnie bryzgi wody, ale starałem się szeroko otwierać oczy, zęby widzieć przeszkody przed sobą. Obserwowałem czerwien skal wystających z białej piany

1 ciemne kontury pni i konarów, które zaklinały się w kamienistym korycie. Jeden z tych kształtów się poruszył. To była Zia. Musiała być mocno poturbowana, bo nie próbowała się nawet opierać, gdy kodującą się wodą miotała nią jak piórkiem. Zaparłem się nogą o skałę. Prąd atakował wściekle, napierając na mnie ze wszystkich stron. Przycisnąłem do piersi prowizoryczną boję, jakby to była piłka do rugby, a drugą rękę wyciągnąłem przed siebie. Próbowałem chwycić Zię, ale rzeka obróciła ją w poprzek, kiedy moje palce już prawie zaciskały się na jej kostce. Spróbowałem jeszcze raz. ale tylko uderzyłem boleśnie pięścią w głaz.

Przed nami jak kły wampira sterczały dwie szpiczaste skały. Zia wpadła w wąską szczelinę między nimi i zaklinała się pod wodą. W powietrzu sterczały jej nogi. wykrzywione pod nienaturalnym kątem, a przewalające się wokół fale trzymały ją

Czarna rzeka

w potrzasku, nie pozwalając się wynurzyć.

Mogłem ją tam zostawić. Nawet pośród chaosu, jaki mnie wtedy ogarniał, było to dla mnie jasne. To by rozwiązało wszystkie nasze problemy, jak powiedziała Anton. Domyślałem się, że ona właśnie tak postąpiłaby ze mną. Wiedziałem, że zaraz przemknę obok niej i oddalę się, niesiony wartkim prądem, a każdy przyzna bez cienia wątpliwości, że nie byłem w stanie nic zrobić.

Skłamałbym, mówiąc, że postanowiłem ją uratować. Tak naprawdę, gdybym się nad tym zastanawiał, nigdy bym się nie zdobył na żaden bohaterski czyn. To był odruch. Odbiłem się nogami od dna i z wyciągniętymi rękami rzuciłem się przed siebie jak bramkarz na boisku, który desperackim skokiem powstrzymuje pędzącą piłkę. Zaciśnąłem dłonie na jej nodze, a reszty dokonał wartki prąd, który pociągnął mnie dalej, wrywając Zię z pułapki. Jej głowa wynurzyła się na powierzchnię; leżała bezwładnie twarzą w dół i pomyślałem, że gwałtowne szarpnięcie mogło skrócić jej kark. Jednak nie miałem teraz czasu, by dokładnie się jej przyjrzeć. Objąłem ją jedną ręką, przyciskając sobie jej głowę do piersi, a w drugiej trzymałem prowizoryczną boje i starałem się nadać nam właściwą pozycję. Koryto rzeki było tu usiane głazami, a każdy z nich był wystarczająco potężny, aby zderzenie z nim mogło rozłupać mi czaszkę.

Nurt znowu przyspieszył. Wiedziałem, co to oznacza. Przytrzymałem się skał, które mijaliśmy unoszeni prądem, co pozwalało nam trochę zwolnić i obrócić się nogami do przodu. Moja ręka ześlizgiwała się z mokrych głazów, płynęliśmy coraz szybciej.

Uderzyłem kolanem o skalę, a potem wydało mi się, że unosi nas wezbrana fala i przerzuca nad jakąś krawędzią. Poczułem się lekki jak piDrko i świat zawirował mi przed oczami,

Przez kilka długich sekund koziółkowaliśmy jak wyrzuceni z katapulty, aż w końcu wylądowaliśmy z pluskiem, uderzając w wodę tak mocno, że mój kręgosłup ledwo to wytrzymał. Boja, którą wciąż miałem przywiązaną do nadgarstka, po raz kolejny wyciągnęła nas na powierzchnię, zanim zdążyłem odbić się od dna. Moja głowa przebiła lustro wody, a ciało wyprężyło się od razu, przygotowując na kolejne uderzenie. Dzwoniło mi w uszach, a zalane wodą nozdrza piekły niemiłosiernie.

Po raz pierwszy od chwili, gdy znaleźliśmy się w wąskim przesmyku, czułem, że nurt rzeki staje się łagodniejszy. Obróciłem się na brzuch i zacząłem płynąć. Napompowany worek wepchnąłem pod klatkę piersiową, aby łatwiej jej było utrzymać głowę na powierzchni. Instynktownie objęła go rękami jak noworodek, który przywiera do piersi matki.

Poczułem pod nogami twardey grunt i stanąłem na dnie. Za ostatnią kaskadą rzeka była szeroka i płytka, a czerwone skały kanionu ustąpiły miejsca łagodnym brzegom, na których rosły drzewa. Czułem w ustach smak krwi, a kiedy oparłem ciężar ciała na lewej nodze, przeszył mnie nieznośny ból. Zia nadal się nie poruszała, ale wymacałem jej puls. Tak długo uderzałem ją w plecy, aż wykaślała kilka litrów wody. Dopiero wtedy doszła do siebie.

- Jesteśmy cali? - zapytała.

Mówiła tak niewyraźnie, że obawiałem się, czy nie doznała uszkodzenia mózgu. Jak długo tkwiła zakleszczona pod wodą głową w dół między tamtymi dwoma głazami?

- Wygrzebiemy się z tego.

W zakolu rzeki dostrzegłem zwirową plażę i skierowałem się w tamtą stronę. Odpychając się nogami od dna, dołynąłem do płycizny, a dalej, brodząc na czworakach, wyciągnąłem Zię na brzeg. W miejscu, gdzie byliśmy już bezpieczni, padłem bez sił. Leżeliśmy na wpół zanurzeni w wodzie, a na nasze głowy padały krople

Czarna rzeka

deszczu.

Usłyszałem chrzęst Kroków na Kamieniach. Uniosłem głowę i zobaczyłem Drew, która stała nade mną, ociekając wodą. Miała na sobie przemoczone do suchej nitki bojówki i czarny biustonosz od kompletu bikini. Przyglądałem się jej przez chwilę, a potem zacząłem się śmiać. Atak śmiechu był tak gwałtowny, że omal nie zakrztusiłem się wodą, która podmywała brzeg. Nie mogłem przestać, nawet kiedy obok niej pojawił się Fabio.

- Co cię tak bawi? - zapytał.

Wskazałem na Drew.

- Czy ona nie wygląda jak Lara Croft?

43.

Drew i Fabio pomogli nam wydostać się z wody i przejść na skraj dżungli. Usiedliśmy w rzędzie pod drzewami, kuląc się jak małpy. Listowie chroniło nas przed deszczem, choć nie miało to dla nas znaczenia, bo i tak byliśmy kompletnie przemoczeni.

- Co się stało z Tillmanem? - zapytał Fabio, obserwując rzekę.

- Wypadł z łodzi, jak my wszyscy. Nie dotarł tu jeszcze?

-Nie.

Dotknąłem swojego ramienia i skrzywiłem się z bólu. Tak niewiele brakowało, gdybym wtedy nie odchylił głowy...

- A Ho wie?

Odpowiedź wydawała mi się oczywista. Czułem, że jest całkiem bezwładny, kiedy rano układałem go w pontonie. Rozszalały żywioł musiał roztrzaskać go na miazgę.

Nagle Fabio wyciągnął rękę w stronę rzeki, która wyrzuciła na żwirowy brzeg na wpół sflaczały ponton. Leżał w miejscu, chociaż szarpał nim wiatr. Musiał być czymś obciążony.

- Chodźmy to zobaczyć - powiedział.

Pokuśtykałem za nim. Na dnie pontonu zobaczyłem Howiego. Leżał z zamkniętymi oczami, owinięty Imą, która opasywała jego klatkę piersiową. Nie byłem zaskoczony tym, że nie przeżył, ale raczej tym, że tak długo udało mu się przetrwać. W tym momencie czułem tylko egoistyczną satysfakcję, że to nie ja jestem na jego miejscu.

- Odpoczywaj w pokoju - mruknąłem półgłosem.

Gdy Howie otworzył oczy, omal nie upadłem z wrażenia. Poruszył wargami i coś wybełkotał, a z jego ust wyciekła strużka śliny zmieszanej z krwią. Zauważyłem, że stracił trzy zęby. Wyciągnął rękę w moją stronę, łapiąc powietrze rozczapierzonymi palcami. Jego dłonie pokrywały krwawiące rany.

Fabio roześmiał się.

- Przywiązaliśmy go, gdy zbliżyliśmy się do wodospadu. Wypadliśmy z łódki, a on został. Przetrwał! nawet upadek z ostatniego progu. I jak tu nie wierzyć w Boga, co?

- Ktoś nad nim czuwał.

- Fabio był niesamowity - odezwała się Drew z podziwem. - Prawie udało nam się przepłynąć dzięki niemu. Dopiero pod koniec straciłam równowagę i wypadłam, a wtedy on zanurkował, zęby mnie ratować.

Howie znów zamknął oczy. Pomyślałem, że trzeba go okryć kocem, ale oczywiście nie było żadnego pod ręką.

- Mamy śpiwory? Peleryny? - zapytałem. Myny moich towarzyszy mówiły same za siebie. - A co mamy?

Czarna rzeka

Wyjęliśmy Howiego z pontonu i przenieśliśmy pod drzewa Fabio rozłożył na ziemi to, co udało się ocalić z naszego ekwipunku. Zachował się jeden kociołek z zestawu do gotowania, ale nie mieliśmy zapalek, żeby rozpaść ognisko, oraz jedna latarka, która wprawdzie była pęknięta, ale jakimś cudem działała, kiedy osuszyliśmy baterie. Manierka, kawałek liny, jedno wiostło i maczeta. Nieprzemakalny worek Fabia, wciąż szczelnie zamknięty, który leżał tuż obok niego. Notes i długopis spoczywające w zamykanej na suwak kieszeni moich spodni. No i jeden ze sztucerów, który leżał przywiązany na dnie pontonu obok Howiego.

- Ale nie mamy amunicji - rzekł Fabio, przewieszając sobie broń przez ramię. - Tylko to, co w magazynku, dwa naboje.

- Żadnego jedzenia?

- Nawet kokaina Tillmana przepadła.

Znów spojrzałem w stronę rzeki. Tillman wciąż się nie pojawiał.

- Mozę powinniśmy go poszukać? - zaproponowałem. Czułem, że ktoś musi to powiedzieć, ale wiedziałem, jaka będzie odpowiedź Fabia.

- Chcesz się wspinać na to urwisko? Z powrotem w górę rzeki aż do wodospadu?

Obejrzałem się. Z tego miejsca kaskada nie wyglądała tak groźnie, ale nie dałem się zwieść pozorom. Nad krawędzią klifu rzeka znikwała w gardzieli skalistego kanionu, który prowadził w głąb wiszącej nad nim potężnej czarnej chmury.

- A poza tym jak się stąd wydostaniemy? - zapytała Drew, a twardy ton jej głosu sugerował, że nie ma mowy o zawracaniu. - Cztery osoby w jednym pontonie.

Przeprowadziłem w myślach szybką kalkulację.

- Chyba miałaś na myśli pięć.

- Myślisz, że Howie długo pociągnie?

Staliśmy tuż obok rannego, ale Fabio nawet nie zadał sobie trudu, zęby ściszyć głos.

- Moglibyśmy zbudować tratwę albo coś w tym rodzaju?

- To możliwe, jeśli znajdziemy trochę balsy. Ale to wymaga czasu. Mokra balsa się nie nadaje.

-1 tak musimy odpocząć.

- Wykluczone - zaprzeczył Fabio. - Odpoczynek nas zabije. Bez jedzenia i schronienia z każdą godziną zbliżamy się do śmierci. Tylko rzeka może nas uratować.

- Nawet nie wiemy, dokąd płynie.

- Musi wpadać do Rio Santa Maria, Kiedy tam doptyniemy, na pewno uda się nam znaleźć pomoc.

Czy to za sprawą adrenaliny, czy euforii spowodowanej udaną przeprawą, Fabio niemal tryskał szaleńczą energią Musiałem go powstrzymać, W mojej głowie już drugi dzień kiełkowała pewna teoria i nadszedł czas, aby się nią podzielić. Ale zanim zdobyłem się na odwagę, zęby to zrobić, głos zabrała Zia.

- Cztery czy pięć, jaka to różnica?

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała po wyjściu na brzeg. Głos jej drżał, jakby nie była pewna, czy jeszcze potrafi się nim posługiwać.

- Ta łódź pójdzie na dno. jeśli wsiądzie do niej więcej niż jedna osoba - powiedziała, wskazując na sflaczały ponton.

- Naprawimy ją - odparł Fabio.

Wszyscy troje spojrzeliśmy na niego.

- Znalazłeś zestaw naprawczy? - zapytała Drew. - Czy masz zamiar ją zacerować mcią z jelit jaguara.

Fabio postukał się w głowę płazem maczety i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Resztki cynizmu, których nie zagłuszyła walka o przetrwanie, podpowiadały mi, że chyba

Czarna rzeka

cieszył się ze śmierci Tillmana. Gdybym zagłębi* się tam, gdzie nikt nie lubi zaglądać, być może okazałoby się, że ja też się z tego cieszę. Pomyślałem, że kiedy Tillmana nie ma w pobliżu, łatwiej poradzę sobie z Zią.

Wyciągnął maczetę w moją stronę. Ostrze kołysało się kilka centymetrów od mojej piersi, jakby chciał zadać sztych.

- Chodź ze mną - rozkazał i czubkiem maczety zahaczył o uchwyt leżącego na ziemi kociołka, podrywając go w powietrze. - I weź to.

Szedłem za nim w głąb dżungli. Ani na chwilę nie tracił animuszu i wycinał ścieżkę wśród gęstwiny, wymachując maczetą z zapalem podchmielonego pirata. Bez przerwy czegoś wypatrywał, czujnie obracając głowę na boki niczym wąż. Starłem się iść za nim w bezpiecznej odległości, lecz ilekroć zauważał, że pozostaję daleko w tyle, posyłał mi karcące spojrzenie i krzyczał:

- Nie ociągaj się, Kel, bo pożre cię Jaguar'

Nagle zatrzymał się przed jakimś drzewem, Nie różniło się niczym od innych: miało prosty pień i rozłożyste konary. Fabio zrobił maczetą dwa ukośne nacięcia i zdarł rozdzielający je pasek szarozielonej kory, odstaniając żywą miążgę drzewa. Potem wyjął z futerału przy pasku składany nóż i wbił go w pień.

- Kociotek - powiedział.

Podał mi naczynie, a on zawiesił je na nożu. Z nacięcia zaczęły się sączyć krople białego gęstego soku i ściekać powoli do garnka.

- Lateks - wyjaśnił Fabio. - Możę później, kiedy poszczęści ci się z Drew, zrobimy dla ciebie kondom.

Parsknął śmiechem i klepnął mnie w plecy. Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

Przysunąłem kociotek bliżej pnia, zęby nie uronić ani kropli, tymczasem Fabio zaczął krążyć w pobliżu drzewa, wycinając krzaki maczetą.

- Poszukam balsy - powiedział i znikł wśród zarośli.

Wrócił po pięciu minutach.

- Kel, mogę na ciebie liczyć, prawda? - zaczął. - Zrobimy to, co konieczne.

Widząc dziki błysk w jego oczach, nabrałem podejrzeń, czy aby nie udało mu się jednak ocalić części kokainy z plecaka Tillmana.

- Oczywiście - odparłem.

- Musimy walczyć, zęby przetrwać. Wygramy albo zginiemy.

-Jasne.

Najwyraźniej czegoś ode mnie chciał. Spodziewałem się, że mi to wyjaśni, ale on tylko zajrzał do kociołka, po czym bez słowa wyjął go z moich dłoni, wyrwał tkwiący w drzewie nóż i skierował się z powrotem w stronę rzeki. Kiedy zbliżyliśmy się do brzegu, przystanął raptownie i obrócił się w moją stronę.

- Zostały ci jeszcze jakieś lekarstwa? - zapytał.

- Trochę.

W kieszeni spodni miałem listek tabletek paracetamolu i Fiolkę morfiny, bezużyteczną bez igły i strzykawki.

- Dobrze - rzeki i zbliżył twarz do mojego ucha, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby nas usłyszeć. - Jak do tego dojdzie, wyciągnij ten z prawej, dobra? Ja wszystkiego dopilnuję ►

- O czym ty mówisz?

Zignorował moje pytanie i ruszył dalej. Przestało padać, ale znów zanosilo się na deszcz. Na horyzoncie zbierały się czarne chmury, a porywy wiatru stawały się coraz mocniejsze. Fabio podszedł z kociołkiem do pontonu i patykiem rozsmarował białą żywicę wokół rozdarcia na dnie.

Czarna rzeka

- Daj mi swój worek wodoszczelny - powiedział.

Wypełniłem jego polecenie. Zanim Zdążyłem zaprotestować, włożył maczetę do środka i rozciął worek wzdłuż spojenia.

- On uratował mi życie.

- Uratuje ci jeszcze raz.

Rozłożył płat podgumowanej tkaniny na posmarowanej lateksem powierzchni. Kazał mi go dociskać, a sam ukląkł przy wentylu i tak długo dmuchał, aż napęczniony powietrzem kadłub pontonu naprężył się pod rozciągniętą łata. Drew stała obok i przyglądała się naszym zabiegom.

- I tak nie utrzyma więcej niż trzech osób - odezwała się. - W najlepszym wypadku.

- Mam pewien plan - odparł Fabio.

Odciął maczetą cienkie witki ze złamanej gałęzi i zaczął ją korować. Wciąż miał przy sobie przewieszony przez ramię sztucer, z którym się nie rozstawał, odkąd wyszliśmy na brzeg. Czułem, że muszę go powstrzymać.

- Chyba nie zamierzasz wyruszać od razu? Jesteśmy zbyt zmęczeni - powiedziałem, ale nie zwrócił na mnie uwagi. - Przynajmniej zaczekajmy, aż spłynie Tillman Dajmy mu szansę.

- Jeśli nie spłynął do tej pory, już nie żyje.

- Nigdy nie wiadomo.

- Ale mnie to nie obchodzi.

- Jak się tu wszyscy pomieścimy? - zapyłała Drew.

Fabio podniósł dwa patyczki, które odciął od gałęzi, i przełamał je na pół. Chwycił je wszystkie w garść, tak że widzieliśmy tylko wystające równo końcówki.

- Będziemy ciągnąć losy.

Wszyscy wbiliśmy w niego wzrok. Nawet Howie zorientował się, że sprawa jest poważna. Otworzył oczy i uniósł tułów, podpierając się łokciem.

- To szaleństwo - powiedziałem, ża+ujac, że nie mam broni. - Wszyscy musimy trzymać się razem, pamiętasz?

Zerknąłem na Drew. Czyżby uknuła to między sobą, kiedy Zia i ja przeprawialiśmy się przez wodospad? Nic nie wyczytałem z jej twarzy.

Fabio wyciągnął rękę w moją stronę, a jego kciuk drgnął niepostrzeżenie, wskazując pierwszy z brzegu patyczek.

- Kel, ty pierwszy.

„Jak do tego dojdzie, wyciągnij ten z prawej A więc zaplanował to wszystko. Chciał mnie zabrać ze sobą. Spojrzałem mu w oczy, a on pokiwał głową, nie siląc się na subtelność.

A czemu me? - pomyślałem. Jeśli wybierasz się do dżungli, przede wszystkim musisz wiedzieć, komu możesz zaufać. Ta zasada okazała się w praktyce bardziej brutalna, niż przypuszczałem Anton powinien być o tym wiedzieć. Możę nadal by żył.

Przeżyje ten, kto jest najlepiej przystosowany.

Kim dla mnie byli Fabio, Zia i Howie? Czy nawet Drew? W ostatecznym rozrachunku byłem coś winien jedynie samemu sobie - musiałem wyjść z tego cało. Skoro Fabio chciał mnie stąd zabrać, powinienem machnąć ręką na innych i pozostawić ich własnemu losowi. Ale nie mogło się tak stać.

- Nie możemy płynąć dalej - powiedziałem. Chociaż znajdowałem się w jednym z najbardziej wilgotnych miejsc na ziemi, zaschło mi w ustach. - Musimy jeszcze o czymś porozmawiać.

- Nie w tej chwili.

- Menendez i jego ludzie nie umarli z głodu.

Czarna rzeka

- Nam też to nie grozi.

Odepchnąłem rękę Fabia. Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Nie chcesz? - rzeki. - Nie ma sprawy. Zostaniesz z Howiem a Drew i Zia płyną ze mną.

Nie zamierzałem się poddawać.

- Zabiła ich zaraza - oświadczyłem. - Jakaś groźna choroba zakaźna, która doprowadziła ich do śmierci w męczarniach. Wypadły im zęby i krwawili tak obficie, że nawet ich kości pokrywały skrzepy.

Dostrzegłem wyraz cierpienia na twarzy Zii. Nie byłem pewien, jak dużo już wiedziała, ale musiałem uświadomić to innym.

- Myślę, że Howie też na to zachorował.

Wszyscy spojrzeli na rannego. Nikt się nie odezwał.

- To nieprawdopodobne - przerwała w końcu milczenie Drew. - Jako jedyny z nas ani razu nie wszedł do (ej komnaty).

- A zatem...

Zawiesiłem głos, pozwalając, aby domyśliła się sama. Zgroza, która odmalowała się na jej twarzy, nie pozostawiała wątpliwości, że już wie.

- Myślisz, że złapał to... na zewnątrz?

-To jedyna możliwość. A jeżeli on się zakaził, mogło to spotkać każdego z nas.

Starłem się nie patrzeć Orew w oczy. Obydwoje spędziliśmy w komnacie najwięcej czasu i dotykaliśmy kości. Wprawdzie używaliśmy masek i rękawiczek, ale nie wiadomo, czy na cokolwiek się zdały.

- Musimy znaleźć jakiś szpital - powiedziała Zia.

-Tutaj?

- W dole rzeki. Możemy natrafić na osadę, w której jest ośrodek zdrowia.

Przypomniałem sobie pusty budynek przychodni w wiosce indiańskiej i zdesperowane twarze pacjentów tłoczących się na korytarzu szpitala w Puerto Tordoya. Bardzo ostrożnie ważyłem każde słowo i zastanawiałem się, jak przejść sztucer.

- Cokolwiek to jest, nigdy nie widziałem nic podobnego. Niewykluczone, że medycyna jeszcze nie zna tej choroby. Nie wiemy, jak Howie ją złapał, może z powietrza, ale wiele wskazuje na to, że jest bardzo zakaźna. - Zrobiłem pauzę, aby moje słowa do wszystkich dotarły. - Intrygowało nas, czemu nie spotkaliśmy po drodze żadnych Indian. Teraz już wiemy. A jeżeli ten wirus zgładził całą wioskę, wyobraźcie sobie, jakiego spustoszenia mógłby dokonać w takim miejscu, jak Puerto Tordoya.

Miałem nadzieję, że wyrażając głośno swoje obawy, łatwiej nad nimi zapanuję. Jak to mówią, podziel się problemem z innymi, a będzie o połowę lżejszy, i tego rodzaju brednie. Ale tak naprawdę czułem się, jakbym skoczył w przepaść.

Przepaść, która otworzyła się między nami. Strach przed nieznanym działał na naszą wyobraźnię. Fabio zdjął sztucer z ramienia i wycelował w czoło Howiego.

- Zakończmy to teraz.

- Odlóż to! - krzyknąłem, a zawtórował mi grzmot nadciągającej burzy. - Zabijając go, niczego nie zmienisz.

Howie patrzył na nas bezradnie szeroko otwartymi oczyma. Przypomniałem sobie stado pekari, którym zgotowaliśmy rzeź podczas polowania w dżungli.

- Proszę, nie... - wymamrota! ledwie słyszalnym szeptem.

Sięgnął do kieszeni i wygrzebał z niej mały scyzoryk. Był tak słaby, że z trudem udało mu się go otworzyć. Kiedy się z nim siłował, kilka wrzodów na jego skórze pękło i krew pociekła mu między palcami. Usiadł i wymierzył ostrze w stronę Fabia, jakby chciał go

Czarna rzeka

dźgnąć. Wyglądał żałośnie.

- I tak jest już za późno - powiedziałem. - Teraz prawdopodobnie już wszyscy jesteśmy zarażeni.

- Ale on jest już martwy.

Fabio spojrział na mnie, a potem przeniósł wzrok na Zię i Drew. Rozległ się metaliczny szcęk, kiedy wprowadził nabój do komory.

-Trzeba zbadać tę chorobę, zobaczyć, jak się rozwija - mówiłem spokojnym tonem, żeby złagodzić napięcie. - Jeżeli kiedyś się rozprzestrzeni, musimy być na to przygotowani.

- Pierdolić badania. Wylecz mnie z tego, na litość boską.

Przekleństwo w ustach Howiego mogłoby uchodzić za najbardziej niezwykły akcent podczas całej wyprawy. Ale Fabio wciąż do niego mierzył i właśnie kładł palec na spuszcze. Wtedy rzuciłem się na mego. Nacisnął spust i bron wypaliła tak blisko mojej twarzy, że odruchowo zacisnąłem zęby. Od huku dzwoniło mi w uszach, ale złapałem oburącz lufę i obróciłem sztucer, próbując go wyrwać, Fabio z impetem nadepnął moją stopę i kopnął mnie w goleń. Poczułem się, jakbym znów obijał się o skały, unoszony przez rzekę w stronę wodospadu.

Uścisk jego dłoni zelzał ■ kiedy szarpnąłem broń, puścił ją, a ja zatoczyłem się do tyłu i upadłem. Siedząc na kamieniach, wycofałem się nieporadnie. Wtedy zobaczyłem, że pomogła mi Drew. Wisiała na plecach Fabia, ciągnąc go do tyłu, tak samo jak robi Peggy, kiedy chce. Żeby wziąć ją na b.arana Szarpnąłem rączkę zamka i przeladowałem sztucer

- I co teraz zrobisz? - zapytał Fabio. - Będziemy tu siedzieć, dopoki wszyscy nie pomieramy?

Strząsnął z siebie Drew i odszedł na bok. Stał wyprostowany, napinając ramiona, i ciężko dyszał.. Mierzyliśmy się nawzajem wzrokiem, ale byłem szczęśliwy, że teraz to ja trzymam bron.

Tymczasem Howie wstał. To musiał być dla niego nadludzki wysiłek. Zanim ktokolwiek z nas zdążył się zorientować, podmósł się z ziemi i chwiejnym krokiem podszedł do pontonu.

- Zatrzymajcie go! - krzyknął Fabio. - Nie pozwólcie mu odплыnąć!

Ale Howie nigdzie się nie wybierał. Patrzyliśmy bezradnie, jak unosi scyzoryk i raz za razem przebija gumową burtę, opętany szałem zniszczenia. Fabio zareagował pierwszy. Dostoczył do niego i odciągnął od pontonu. Howie nie miał już siły się opierać i poddał mu się jak zwiotczała kukła. Ale zrobił swoje. Ponton zaczął się marszczyć, a powietrze ulatywało przez dziury w przebitej powłoce z cichnym świstem.

- Coś ty narobił?! - wrzasnął Fabio.

W tej samej chwili lunął deszcz.

44.

Burza zaatakowała znienacka I z tak wielką siłą, że oślepieni strugami wody rzuciliśmy się do ucieczki w stronę drzew, osłaniając głowy rękami, Krople wściekle smagały moją skórę, która piekła jak zlane ukropem.

Dobiegłem na skraj dzungli. Ulewny deszcz przedzierał się przez korony drzew, ale przynajmniej nie zalewał mi oczu. Dołączyły do mnie Zia i Drew. a Fabio schronił się pod drzewami na drugim końcu plaży. Został tylko...

Howie czołgał się po kamieniach niczym jakiś przedpotopowy wieloryb, który stara się przejść do kolejnej fazy ewolucji.

Czarna rzeka

- Powinniśmy go stamtąd zabrać - powiedziałem po chwili wahania i wręczyłem sztucer Drew. - Strzelaj, gdyby Fabio coś kombinował. On albo ktokolwiek inny - dodałem, spoglądając wymownie na Zię.

Szum deszczu był tak głośny, że musiałem krzyknąć jej do ucha. Pokiwała głową. Zia i ja wybiegliśmy z powrotem na plażę, kuląc się pod wściekłym atakiem nawałnicy. Wspólnymi siłami zdołaliśmy dowlec bezwładne ciało Howiego pod osłonę drzew. Jak na kogoś, kto od tygodnia prawie nic nie jadł, wazy! chyba z tonę.

- Zostań z nim tutaj - powiedziałem Zii - My pójdziemy tam.

Wskazałem na kępę rozłożystych drzew. Nie wyjaśniłem jej przyczyny swojej decyzji, a ona o nic nie pytała. Zmagania z wodospadem pozbawiły ją woli walki; była na wpół żywa.

Zająłem pozycję w pewnej odległości, skąd widziałem wszystkich jak na dioni. Fabio wciąż siedział z nogami skrzyżowanymi jak Budda na przeciwległym końcu plaży pod rozłożystą palmą. Cokolwiek zamierzał wcześniej, szaleńcza energia już go opuściła. Zauważył, że na niego patrzę, i przyłożył rękę do czoła w ironicznym salucie.

- Co teraz? - zapytała Orew, siadając obok mnie ze sztucerem w rękach.

- Nie mam pojęcia. Nie możemy się stąd ruszyć - powiedziałem i w tej samej chwili za naszymi plecami rozległ się głośny trzask upadającego drzewa. Dobiegał z bliska i był bardziej przejmujący niż huk pioruna.

- Jeśli wejdziemy w głąb dżungli, jest bardzo prawdopodobne, że zostaniemy zmiżdżeni. A jeśli zbliżymy się do rzeki, możemy utonąć.

Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

- Skoro tak mówisz...

- Howie tego nie przeżyje - dodałem.

To było oczywiste, ale wciąż źle się czułem, mówiąc o tym. Jakbym gasił ostatnią nadzieję. Jej uśmiech znikł.

- Naprawdę myślisz, że zachorował na to samo. co zabiło Menendeza?

- To jest nawet coś gorszego.

Ścisłym głosem powtórzyłem jej, co powiedziała mi Zia, kiedy doptywaliśmy do wodospadu. Dorzuciłem również kilka przemyśleń, które pojawiły się w mojej głowie od tamtego czasu.

- Menendez testował jakąś nową szczepionkę. A szczepionka to nic innego, jak słabsza wersja choroby, której ma zapobiegać.

- Chcesz powiedzieć...

- Jeśli szczepionka okazała się zbyt mocna albo jeśli wirus zmutował...

- O Jezu. - Drew zacisnęła pięści. - Słyszałam już o czymś takim. Wielkie koncerny farmaceutyczne testują swoje leki w miejscach, gdzie nie trzeba się ubiegać o zezwolenia ani obawiać kontroli, gdyby coś poszło nie tak. Ale nie spodziewałam się, że dotarli nawet tutaj.

- Indianie musieli się zorientować, że coś jest nie w porządku, dlatego zamknęli Menendeza i jego ludzi w świątyni. Może liczyli, że bogowie, którzy opiekują się tym miejscem, uzdrowią ich i ochronią, a może nawet potraktowali to jako pewną formę ofiary, ale wtedy było już za późno, bo wszyscy zostali zarażeni.

- Czy Menendez o niczym nie wiedział?

- I to właśnie mnie niepokoi - powiedziałem, choć raczej powinienem użyć słowa „przeraza”. - Wirus musiał jakoś wymknąć się spod kontroli. Zaatakował Menendeza, a teraz Howie podzielił jego los.

Nie musiałem wypowiadać oczywistych wniosków. Drew potarła dłonią gardło, jakby nagle zaczęło ją boleć.

Czarna rzeka

- Myślisz, że my też możemy być zarażeni?

Dotknąłem swojej szczęki. Czy bolały mnie zęby? Czy moje czoło było rozpalone? Wszyscy z natury jesteśmy hipochondrykami, ale lekarze najbardziej. Wystarczy nam podać listę objawów, a potrafimy wmówić sobie wszystko.

- Od jak dawna czuję ftię fatalnie, że zapomniałem, jak (o jest być zdrowym).

Nieopodal przepłynęło niesione prądem drzewo, machając do nas korzeniami.

Zaskakująco blisko. Otarłem z oczu krople deszczu.

Połowa płazy zniknęła tak szybko, że nie zauważyłem, kiedy to się stało. Rzeka wciąż przybierała w zastraszającym tempie, woda obmywała kamienie i zbliżała się do mnie jak fala przyływu.

- Widziałam wiele takich przypadków - odezwała się nagle Drew. - Przychodzą zachodnie spółki, zabierają, co im się podoba* depcząc każdego, kto stanie na ich drodze, i zostawiają po sobie ruinę. Jak tamta kompania naftowa, która oszukała Indian. Ale ta sprawa jest o wiele poważniejsza. Musimy ostrzec ludzi.

-W jaki sposób?

- Mam kontakt z organizacją pozarządową, dla której pracowałam. Nagłośnię to, jeżeli dostarczymy im dowodów. Mógłbyś to jakoś zrobić?

Zerknąłem na Howiego.

- Wystarczy próbka krwi. Jeśli wrócimy do cywilizacji* można odczytać z niej sekwencję wirusa i porównać ze szczepionką, którą dostał Menendez. Można również poddać analizie DNA kawałek kości, który zabrałem, kiedy jeszcze myśleliśmy, że mamy do czynienia ze szczątkami Inków. Poza tym przypuszczam, że Zia ma przy sobie kartę pamięci z aparatu Menendeza. O ile nie zabrał jej Tillman.

- Nie możemy zażądać od niej wprost, zęby ją oddała. Sam powiedziałaś. Jeśli miała za zadanie zatrzeć siady, nie wręczy nam obciążającego dowodu.

Spojrzałem w stronę Zii. Siedziała obok Howiego oparta o zwalony pień. Głowę miała zwieszoną na piersi, jakby spała albo poddała się rozpacz. Krople deszczu szumiały w koronach drzew i z pluskiem uderzały w wodę, więc nie mogła słyszeć naszej rozmowy.

- Nie wygląda na szczególnie niebezpieczną - powiedziałem.

-Tak samo jak węzę. dopóki nie zaczną kąsać.

Podniosłem się z ziemi.

- Pójdę teraz po tę próbkę krwi. Oślaniaj mnie,

Drew uniosła sztucer. Wydawał się taki wielki w jej szcuptych rękach.

- Tylko nie zrób nic głupiego - dodałem.

Oślaniając oczy przed deszczem, podbiegłem do Howiego. Zia ani drgnęła. Głowę miała opuszczoną tak nisko, że nawet me widziałem, czy ma otwarte oczy. W mojej głowie wciąż rozbrzmiewała przestroga Drew.

Wyjąłem długopis z kieszeni spodni i wykręciłem z niego wkład. Zmuszałem się, zęby wciąż me zerkać na Zię. Roztrzęsionymi rękami przycisnąłem pustą plastikową rurkę do jednej 2 ran, pozwalając, zęby krew ściekła do środka.

- Co robisz?

Wzdrygnąłem się t kilka kropel krwi spadło na moje palce. Omal nie upuściłem długopisu do rzeki. Zia uniosła głowę i patrzyła na mnie. Przemknęło mi przez myśl, że może mieć nóż Nie widziałem jej rąk

- Pobieram próbkę krwi.

Schyliłem się i opłukałem dłonie w rzece, która teraz prawie obmywała mi nogi. Zerknąłem w stronę Drew. która klęczała z bronią golową do slrzaiau

- Nie obawiasz się, że też to złapiesz?

Czarna rzeka

- Myślisz, że my też możemy być zarazem?

Dotknąłem swojej szczęki. Czy bolały mnie zęby? Czy moje czoło było rozpalone? Wszyscy z natury jesteśmy hipochondrykami, ale lekarze najbardziej. Wystarczy nam podać listę objawów, a potrafimy wmówić sobie wszystko.

- Od lak dawna czuję się fatalnie, że zapomniałem, jak to Jest być zdrowym.

Nieopodal przepłynęło niesione prądem drzewo,, machając do nas korzeniami.

Zaskakująco blisko. Otarłem z oczu krople deszczu.

Połowa plaży zniknęła tak szybko, że nie zauważyłem, kiedy to się stało. Rzeka wciąż przybierała w zastraszającym tempie, woda obmywała kamienie i zbliżała się do mnie jak fala przytłuwu.

- Widziałam wiele takich przypadków - odezwała się nagle Drew. - Przychodzą zachodnie spółki, zabierają, co im się podoba, depreczując każdego, kto stanie na ich drodze, i zostawiają po sobie ruinę. Jak tamta kompania naftowa, która oszukała Indian. Ale ta sprawa jest o wiele poważniejsza. Musimy ostrzec ludzi.

-W jaki sposób?

- Mam kontakt z organizacją pozarządową, dla której pracowałam. Nagłośnię to, jeżeli dostarczymy im dowodów. Mógłbyś to jakoś zrobić?

Zerknąłem na Howiego.

- Wystarczy próbka krwi. Jeśli wrócimy do cywilizacji, można odczytać z niej sekwencję wirusa i porównać ze szczepionką, którą dostał Menendez. Można również poddać analizie DNA kawałek kości, który zabrałem, kiedy jeszcze myśleliśmy, że mamy do czynienia ze szczątkami Inków. Poza tym przypuszczam, że Zia ma przy sobie kartę pamięci z aparatu Menendeza. O ile nie zabrał jej Tillman.

- Nie możemy zażądać od niej wprost, zęby ją oddała. Sam powiedziałaś. Jeśli miała za zadanie zatrzeć siady, nie wręczy nam obciążającego dowodu.

Spojrzałem w stronę Zii. Siedziała obok Howiego oparta o zwalony pień. Głowę miała zwieszoną na piersi, jakby spała albo poddała się rozpacz. Krople deszczu szumiały w koronach drzew i z pluskiem uderzały w wodę, więc nie mogła słyszeć naszej rozmowy.

- Nie wygląda na szczególnie niebezpieczną - powiedziałem.

-Tak samo jak węzę. dopóki nie zaczną kąsać.

Podniosłem się z ziemi.

- Pójdę teraz po tę próbkę krwi. Oślaniaj mnie,

Drew uniosła sztucer. Wydawał się taki wielki w jej szczupłych rękach.

- Tylko nie zrób nic głupiego - dodałem.

Oślaniając oczy przed deszczem, podbiegłem do Howiego. Zia ani drgnęła. Głowę miała opuszczoną tak nisko, że nawet me widziałem, czy ma otwarte oczy. W mojej głowie wciąż rozbrzmiewała przestroga Drew.

Wyjąłem długopis z kieszeni spodni i wykręciłem z niego wkład. Zmuszałem się, zęby wciąż me zerkać na Zię. Roztrzęsionymi rękami przycisnąłem pustą plastikową rurkę do jednej z ran, pozwalając, zęby krew ściekła do środka.

- Co robisz?

Wzdrygnąłem się i kilka kropel krwi spadło na moje palce. Omal nie upuściłem długopisu do rzeki. Zia uniosła głowę i patrzyła na mnie. Przemknęło mi przez myśl, że może mieć nóż. Nie widziałem jej rąk

- Pobieram próbkę krwi.

Schyliłem się i opłukałem dłonie w rzece, która teraz prawie obmywała mi nogi. Zerknąłem w stronę Drew, która klęczała z bronią golową do strzału

- Nie obawiasz się, że też to złapiesz?

Czarna rzeka

- Bardzo się boję - odparłem. - Ale jest już za późno.

Miałem sucho w gardle, bolały mnie Kości, a moje serce kołatało tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Czy ona coś wiedziała?

- Dlaczego nie pozwoliłeś, żeby Fabio go zastrzelił? Skróciłby jego cierpienia.

- Im więcej mogę się dowiedzieć o tej chorobie, tym większa jest szansa, że inni nie będą cierpieć.

Spojrzałem w jej pozbawione wyrazu oczy, starając się coś z nich wyczytać. Czy naprawdę była osobą, za którą ją uważałem? Czy naprawdę odpowiadała za wszystko, co nam się przytrafiło? Za śmierć Antona, zniszczenie mostu... Sprawiała wrażenie pokonanej.

- Masz jeszcze notatnik, który znaleźliśmy w jaskini? - zapytałem. - Dziennik laboratoryjny Menendeza?

-Wpadł do rzeki.

Wygodna wymówka. Patrząc nad jej ramieniem, zauważyłem, że Drew daje mi znaki, potrząsając sztucerem. Pokręciłem głową. Chciałem to przeprowadzić delikatnie.

- To były małpy - odezwała się nagle Zia.

- Co takiego?

- Program szczepień. Kiedy doptywaliśmy do wodospadu, pytałeś mnie, jak to wszystko funkcjonowało. Otóż posłużyliśmy się maipami. To był pomysł Felixa, Zawsze istniał problem, jak zaszczepić dzikich Indian, nie zarażając ich chorobą, przed którą chcemy ich chronić. Felix pomyślał, że jeśli opracujemy szczepionkę przyswajaną przez układ pokarmowy, można ten problem rozwiązać. Szczepimy zwierzęta, a Indianie je zjadają i nabywają odporności. Wybrał małpy, ponieważ ich fizjologia jest najbardziej zbliżona do ludzkiej, co pozwalało zachować szczepionkę w nienaruszonym stanie.

Przypomniało mi się zdjęcie, na którym Menendez i jego ludzie pozowali obok wiszącej na drzewie zastrzelonej małpy. Nadal nie wiedziałem, dlaczego Zia zdecydowała się powiedzieć mi o tym.

- Takie rozwiązanie pociąga za sobą poważne problemy natury etycznej.

- To jest dżungla. - Zia wzruszyła ramionami. - Lepiej czekać, aż Indian zniszczy jakaś korporacja albo przemytnicy narkotyków? Może dadzą im koce zakażone odrą? Może będą gwałcić ich kobiety? Felix wiedział, że musi dotrzeć do nich pierwszy, w przeciwnym razie nie będzie już kogo ratować.

Przypomniałem sobie słowa Orew: Wielkie koncerny farmaceutyczne testują swoje leki w miejscach, gdzie nie trzeba się ubiegać o zezwolenia ani obawiać kontroli, gdyby coś poszło nie tak.

Ale Zia nie wyglądała mi na osobę, która wysługuje się wielkim koncernom farmaceutycznym. W jej zmęczonym głosie wyczuwałem szczere emocje. Sam też byłem zmęczony i bardzo chciałem jej zaufać.

- Naprawdę myślisz, że Felixa zabiło to. na co choruje Howie?- zapytała.

Dlaczego ona to robi? - zastanawiałem się. Chce wybać, jak dużo wiem? Ocenić, czy trzeba mnie wyeliminować, żeby zatrzeć ślady? Moim ciałem wstrząsały tak silne dreszcze, że Drew mogłaby to wziąć za sygnał do strzału.

- Nie mogę tego stwierdzić bez stosownych testów - odpowiedziałem wykrętnie.

- Ale tak uważasz.

-Tak.

- A Indianie? Ich też to zabiło?

- Tak - odparłem, wsłuchując się w plusk wody ściekającej z liści.

- Myślisz, że Feli* przywłókt to ze sobą, prawda?

Cholera jasna. A więc mnie przejrzała.

Czarna rzeka

- Czemu tak sądzisz?

- Mogłam to wywnioskować z pytań, które mi zadawałeś, kiedy razem płynęliśmy - odparła ściszym głosem, chociaż nikt oprócz H owi ego nie mógł nas usłyszeć. - To była nowa szczepionka i coś mogło pójść nie tak. Może w organizmach małp zamieniała się w coś niebezpiecznego. Coś, co zagraża ludziom.

Dlaczego opowiadała mi to wszystko? Mówiła tak cicho, że musiałem się pochylić, zęby jej słów nie zagłuszał szum deszczu. Może to podstęp? Odkoczyłem gwałtownie, zęby nie mogła mnie dosięgnąć.

- Powiedziałeś, że zarazki mogły się unosić w powietrzu.

- To możliwe - odparłem, szcękając zębami. - Mowie nie wszedł do wnętrza świątyni.

- Ale był chory, zanim dotarliśmy do miasta.

- Był chory, zanim wyruszyliśmy z Puerto Tordoya. To co innego.

- Ale pierwszego dnia wędrówki przez dżunglę, kiedy zeszliśmy na ląd pod wodospadem. Mowie i inni jedli mięso małpy, którą upolował Tillman.

To wydawało się tak odległe, że prawie o tym zapomniałem. Straciłem rachubę czasu, ale od tamtego dnia nie mogło upłynąć więcej niż dwa tygodnie.

- Feli* wstrzykiwał szczepionkę małpom - ciągnęła Zia. - Jeśli to szczepionka stanowi problem, a małpy były zarażone, to...

- Kto jeszcze jadł to mięso? - zapytałem, wracając pamięcią do tamtego wieczoru. - Anton, Tillman, Mowie.

Dwaj z nich byli martwi a trzeciemu niewiele brakowało.

- i Fabio.

Powiodłem wzrokiem nad pogrążoną w mroku zatoką, która jeszcze niedawno była plażą. Zapadał wieczór i Fabio by niewidoczny w cieniu drzew - o ile jeszcze siedział w tym samym miejscu. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy wciąż ma maczetę.

- Lepiej pójdę po broń. - Wsiąłem i zrobiłem kilka kroków w stronę Drew. - L., dziękuję ci - dodałem.

- Za co?

- Za zaufanie - odparłem, starając się tchnąć w moje słowa trochę ciepła. - Nie spodziewałem się tego po tobie.

- Nie zaufałam ci - powiedziała. W Jej głosie nie było cienia skruchy. - Byłam przekonana, że pracujesz dla producenta leków. Jesteś brytyjskim lekarzem, dołączyłeś do nas w ostatniej chwili, więc pomyślałam, że cię tu przysłali, żebyś odnalazł Felixa A kiedy wszystko zaczęło się pieprzyć, kiedy straciliśmy łódź, zginął Anton i ktoś zniszczył most, zaczęłam podejrzewać, że chcesz zatrzeć wszystkie ślady.

- Podejrzewałem cię o to samo - przyznałem. - Byłaś narzeczoną Menendeza i kiedy tak zniecka zajęłaś miejsce Nolberta..

- To dlatego tak często spoglądałeś na mnie spode łba.

- Wydawało mi się, że jestem bardziej subtelny.

- Wydawało ci się. Ale teraz myślę, że gdybyś chciał się mnie pozbyć, po prostu byś pozwolił, żebym się utopiła. Dziękuję, że mnie stamtąd wyciągnąłeś.

To była przyjemna chwila, ale byłbym jeszcze bardziej zadowolony, gdybym widział wyraźniej twarz Zii. Wciąż nie miałem pojęcia, kto zniszczył most i zepchnął Antona w przepaść. Opowiedziała mi o szczepieniu małp i wyznała, że uważała mnie za agenta spółki farmaceutycznej, ale czy mówiła prawdę? Czy był to jakiś wyrafinowany podwójny błąd?

Burza ustępowała i dokoła zrobiło się ciszej. Krople deszczu wpadające do rzeki wydawały odgłos podobny do szumu taśmy magnetofonowej, która zbliża się do końca.

Czarna rzeka

- Wszystko tam u was w porządku?! - zawołała Drew.

- Taki - odkrzyknąłem. - Musimy poszukać Fabia.

Usłyszałem wilgotny kaszel. To leżący Howie wykrztusza! z siebie kolejną dawkę śluzu, który zbierał się w jego gardle, czarna maź o konsystencji fusów z kawy. Obróciłem jego głowę na bok, żeby się nie zadławił. Chwycił mnie za rękę, próbując się podnieść.

- Nie przejmuj się - uspokoiłem go. - Odpoczywaj.

- Czyja umieram?

- Całkiem nieźle się trzymasz.

- Czyja umieram? - powtórzył, a w jego ustach zabulgotała krwawa flegma.

- Najprawdopodobniej.

Osunął się bezwładnie na liście, które zaszeleściły cicho. Zauważyłem, że wypluł kolejny ząb.

-Jak długo jeszcze?

- Już niedługo - wyszeptalem, jakby to była nasza tajemnica - Została mi jedna fiolka morfiny. To mogłoby wszystko przyspieszyć.

Howie znów zaniósł się kaszlem.

- Samobójstwo... to grzech,

- Już niedługo będziesz ze swoim Bogiem - pocieszyłem go, uświadamiając sobie, że zazdroszczę mu jego wiary.

- Ja muszę... się wypowiedzieć - wykrztusił, dygocząc na całym ciele.

- Co takiego?

Ostatkiem sił uniósł głowę, żeby nie uronił ani słowa.

- Anton.,,

45.

- To ty?

Włączyłem latarkę i skierowałem snop światła na twarz Howiego. Odwrócił głowę i zasłonił oczy dłonią, rozmazując sobie po twarzy krew z otwartych ran w dziąsłach.

- Zabiłeś Antona?

- Co się dzieje? - zapytała Drew, która dołączyła do nas.

We troje otoczyliśmy Howiego, przyglądając mu się badawczo.

- Wyłącz to - powiedział błagalnym tonem, wyciągając palec w stronę latarki. - To boli.

Nie posłuchałem go. Nadal świeciłem mu prosto w twarz.

- Opowiedz mi dokładnie, co zrobiłeś?

- Kiedy wy... byliście w grobowcu, zniszczyłem most.

- Byłeś na to zbyt słaby.

- Bóg dał mi siłę.

- Dlaczego?

- Taką miałem misję.

- Co to za misja?

- Miałem dopilnować... - przerwał i zaniósł się kaszlem, wypluwając znowu krwawą flegmę - ...zęby nikt go nie znalazł.

- Czego?

-Tego miasta. Cajamarca.,,

- Cajamarca jest na północy Peru - wtrąciła Drew. - Co to w ogóle ma do rzeczy?

- To również nazwa spółki naftowej z Puerto Tordoya - wyjaśniła Zia. - Ma koncesję

Czarna rzeka

na eksploatację tych obszarów.

Howie potwierdził skinieniem głowy.

- Oni... zapłacili.

- Komu zapłacili? - spytałem, a Howie dotknął ręką swojej piersi. - Tobie? Zapłacili ci, żebyś z nami poszedł? A myślałem, że wysłał cię tutaj twój Kościół, żebyś nawracał tubylców.

- Cajamarca... - powtórzył, a na jego wargach wyrósł bąbelek z napętnionej powietrzem śliny. - Zapomnij o Kościele.

- Dlaczego?

Howie przekręcił się na bok, jęcząc z bólu. Wyłączyłem latarkę, żeby oszczędzać baterie, i wokół zapadła ciemność. Coś plusnęło w rzece, być może ryba, a ja znów pomyślałem o Fabiu. A jeśli zakradł się gdzieś blisko i czekał, aż stracimy czujność?

- Chcieli, żeby Howie rzucił nam kłody pod nogi - odezwała się Zia, wrywając mnie z zamyślenia. - To za to mu zapłacili.

- Czemu miałyby im na tym zależeć?

- Bo spodziewają się natrafić w tej dżungli na bogate złoża ropy, a taki archeologiczny cud mógłby pokrzyżować im plany.

Spojrzałem na Howiego, którego sylwetka odcinała się ciemną plamą w mroku pod moimi nogami. Nie odezwał się, żeby zaprzeczyć.

- Sprzedasz nas za dolary spółki naftowej?

- Nie - wyjęczał. Kosztowało go to tyle wysiłku, że nie mógł wydobyć z siebie głosu. Słyszałem, jak porusza ustami, z trudem łapiąc oddech niczym ryba wyjęta z wody. - To dla... zbawienia... dusz.

- Czyich dusz?

- Indian - domyśliła się Zia. - Takich jak ci, których spotkaliśmy. Nafciarze i misjonarze mają wspólne interesy. Ci pierwsi budują drogi, z których drudzy korzystają. Otaczają Indian i zamykają ich w osadach, gdzie łatwiej można do nich dotrzeć. A misjonarze uczą ich, jak być cywilizowanymi ludźmi Zachodu. Każą im nosić ubrania i chodzić do pracy, żeby mieli co wrzucać do kościelnej skarbonki. Oczywiście pracę dają im firmy wydobywcze. W biologii taki układ nazywa się symbiozą. Są jak krokodyl i ptaszek, który wydziobuje zgniłe mięso spomiędzy jego zębów

Znów włączyłem latarkę i poświeciłem na Howiego. Chciałem spojrzeć mu w oczy, ale miał zamknięte powieki,

- Czy ona ma rację? - zapytałem. W odpowiedzi wyprężył się i za kołysał, co potraktowałem jako potwierdzenie. - Przysłali cię tu, żebyś zataił wszystko, co mogłoby się okazać dla nich niewygodne?

- Powiedzieli... żadnych ocalonych. Wszyscy... mają umrzeć w dżungli.

- A co z tobą?

Uśmiechnął się upiornie. Jego pomazana krwią twarz wydawała się dwa razy większa.

-Wygląda na to... że też umrę.

Jako lekarz musiałem się z nim zgodzić.

- I to ty zabiłeś Antona - odezwała się Drew.

-Ja... zniszczyłem most.

- I zepchnąłeś go w przepaść następnego dnia.

- Sam spadł.

Ani przez chwilę nie wierzyłem, że to możliwe, i również teraz nie byłem skłonny tego kupić.

- Nie wciskaj mi kitu. To miała być spowiedź, pamiętasz?

Czarna rzeka

-Ja tytko.,, zniszczyłem most - powtórzył. - Anton spadł.

- Z twoja pomocą.

- Nie - Uniósł powieki i spojrzał mi w oczy. jakby chciał mnie przekonać, że mówi prawdę. - Nie było mnie przy tym.

-Więc jak go zabiłeś?

- Most...

Drew pochyliła się nad nim.

- Chcesz powiedzieć, że gdybyś nie zniszczył mostu, Anton nie spadłby w przepaść, próbując go naprawić?

-Tak.

- A Menendez? - zapytałem. - Co o nim wiesz?

Mowie pokręcił głową.

- Czy twoi kolesie ze spółki naftowej kiedyś o nim wspominali?

-Nigdy.

- To ty odciąłeś cumę? - spytała Zia, - Kiedy straciliśmy łódź na Pachacamac?

- Tak. Gdybyśmy nie dotarli do celu... niczego byśmy nie znaleźli.

- Skąd wiedziałeś, że Pedro i Pablo nie wrócą?

- Zapłaciłem im.

-A mój lokalizator satelitarny? To ty mi go zabrałeś tamtej nocy, kiedy się upiłem wywarem Fabia?

Ho wie pokiwał głową.

- Żadnych ocalonych.

- Gdzie jest teraz?

- W Paitili,.. Wrzuciłem go do kanionu,

Spojrzałem mu w oczy. Miał pozostałe białka, a w czarnych źrenicach widziałem odbicie jego nieprzeniknionej duszy. Spod zsiniałych powiek sączyła się krew, która krzepła na rzęsach.

- Nie wierzę ci - powiedziałem cicho. Przewyciężając strach przed tajemniczym wirusem, pochyliłem się nad nim. W nozdrza uderzył mnie odrażający fetor rozkładu. - Wcale nie chciałeś skończyć jako męczennik. Zamierzałeś nas wszystkich wyeliminować, a potem wrócić do Teksasu, do swojej grubej narzeczonej, wieśniackiej półci ęzaro w ki i kościoła dla zmotoryzowanych. Więc pytam Jeszcze raz: gdzie jest ten jebany lokalizator?

- Ja umieram - wymamrotał.

- Nie tak szybko.. Ale jeśli mi nie powiesz, gdzie go ukryłeś, osobiście cię ukatrupię. - Złapałem go za koszulę i przyciągnąłem do siebie. - Wciąż możemy się stąd wydostać. Wciąż jeszcze masz szansę trafić do szpitala. Jeżeli rezygnujesz z ocalenia, to jest jak samobójstwo. Co na to powie Bóg?

- Moja misja...

- Zapomnij o tym. Anton nie żyje, Tillman nie żyje. Myślisz, że chcę wrócić do cywilizacji tylko po to, żeby opowiedzieć wszystkim o zaginionym mieście, w którym szaleje nieznaną wirus? Chcę to zachować w tajemnicy jeszcze bardziej niż ty.

Głowa Howiego opadła bezwładnie do tyłu, jakby miał skręcony kark. Cuchnął tak obrzydliwie, że gdybym miał coś w żołądku, wymiotowałbym na niego.

-W worku... nieprzemakalnym,

- Gdzie jest ten worek?

Howie machnął ręką.

- Fabio...

Zbyt długo używałem latarki i baterie były na wyczerpaniu. Słabnące światło ledwie

Czarna rzeka

rozpraszając mrok, kiedy wraz z Drew brodziłem po pas w wodzie, kierując się tam, gdzie ostatni raz widziałem Fabia. Zia z osłona z Nowiem Woda na powierzchni tylko delikatnie falowała, ale przy dnie prąd był tak silny, że z trudem utrzymywałem równowagę. Czułem się, jakbym szedł przez potę minowe, gdy stawiając każdy krok, sprawdzałem, czy drobne kamyki nie osuną mi się spod nóg. Szlucer trzymałem uniesiony wysoko, choć wiedziałem, że mógłby wystrzelić, nawet gdyby zamókł, ale wolałem tego nie sprawdzać.

Idąc w ciemności, straciłem poczucie kierunku. Znalazłem się w miejscu, gdzie woda sięgała mi tylko do kolan. Słyszałem dobiegający z bliska szelest poruszanych wiatrem liści. Musiałem być blisko brzegu.

“ Fabio! - zawołałem.

Długo nasłuchiwałem, ale nie doczekałem się żadnej odpowiedzi. Pod wodą coś otarło się o moją nogę. W panice rzuciłem się przed siebie, chcąc jak najszybciej wyjść na brzeg, ale potknąłem się o coś i runąłem do wody jak długi. Poderwałem się szybko, zrobiłem następny krok i zapadłem się po kolana. Czułem, jak oblepia mnie zimne bioto. Próbowałem się wyrwać, ale z każdym ruchem grzęzawisko wciągało mnie coraz głębiej.

Zmusiłem się, żeby stanąć w bezruchu. Bioto wokół mnie przelewało się i bulgotało. Boże - pomyślałem - nie pozwól mi tak umrzeć.

-Kel?

Z ciemności wyłoniła się gałąź i jej czubek uderzył mnie w twarz, omal nie wybijając mi oka. Złapałem ją i zacząłem ciągnąć. Ciągnąłem tak mocno, że Drew omal nie spadła z brzegu prosto na mnie. Jakoś udało się jej ominąć grzęzawisko i wyjść na twarde gruntu.

- Spokojnie - powiedziała. - Użyj obu rąk.

Rzuciłem jej sztucer. Teraz szło mi dużo lepiej. Podciągając się w stronę brzegu, zdołałem w końcu uwolnić się z błota. Z chlupałem wgramoliłem się na niewysoką skarpe.

- Dzięki. O, psiakrew...

- Co się stało?

- Straciłem but.

- Jeżeli Fabio ma lokalizator, to i tak już niedługo tu zabawimy

Jeszcze raz zawołałem Fabia. W odpowiedzi rozległ się cichy gwizd dobiegający z zarośli po łewej. Ruszyliśmy w tamtą stronę. Pomimo ciemności wyszliśmy na brzeg całkiem blisko. Fabio siedział pod drzewem ze skrzyżowanymi nogami dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej ostatnio go widziałem. Uśmiechał się, jakby przypomniał sobie jakiś dowcip.

- Daj mi swój worek - powiedziałem.

W słabnącym świetle latarki zauważyłem gumowaną tkaninę leżącą na ziemi obok niego. Powoli obrócił głowę. Na jego policzku czerwieniła się otwarta rana, a czoło lśniło od potu. Jego oczy zdawały się wpatrywać w jakiś odległy punkt.

- Teraz chcecie mnie obrabować? Proszę bardzo.

Podniósł worek z ziemi. Wyrwałem mu go z ręki i cofnąłem się szybko, podczas gdy Drew osłaniała mnie, trzymając bron gotową do strzału.

- Czy Howie dał ci coś na przechowanie?

Fabio wyglądał na zaskoczonego

- Chcecie się pomodlić czy co?

Zajrzałem do worka. W środku było więcej rzeczy, niż się spodziewałem; kilka twardych i ciężkich przedmiotów owiniętych w skarpetki, a na dnie gruba książka

Czarna rzeka

w twardej oprawie. Złocony krzyż na okładce zdawał się Ismc w ciemności.

- Czy to na pogrzeb Howiego? - zapytał Fabio.

Biblia wyglądała całkiem normalnie, ale kiedy zajrzałem do środka, okazało się, że w kartkach jest wycięty schowek. W środku jak jajo w gnieździe spoczywał mój lokalizator satelitarny. Kiedy go wyciągałem, omal mi nie wypadł z rozdygotanych rak.

Fabio zaklął po hiszpańsku.

- Howie miał go cały czas?

- Ukradł mi go.

- Czemu go nie użył?

- Bo chce, żebyśmy tu wszyscy umarli.

Rzuciłem Biblię na ziemię. Ścisnąłem w dłoni porowaty plastik w jaskrawożółtym radosnym kolorze. Na obudowie widniało logo Fast Find. dwa najbardziej magiczne słowa, jakie kiedykolwiek widziałem. Pod spodem znajdowały się dwa przyciski, „Test i „Start”. Nacisnąłem pierwszy z nich i biała dioda zamigotała trzy razy, jak błyskawica w ciemności. Bateria działała bez zarzutu.

Mój kciuk zatrzymał się nad przyciskiem „Start”.

- Na co czekasz? Chcesz, żeby nas stąd zabrali?

Schowałem urządzenie do kieszeni.

- Wiesz, czemu nie mogę tego zrobić. Howie umiera na tę samą chorobę, która zabiła Menendeza.

-Więc go zostawmy On i tak nie przeżyje.

- Myślę, że zakaził się, jedząc mięso małpy. Tej, którą Tillman upolował przy wodospadzie.

Kątem oka zerknąłem na wypatroszona książkę, która leżała na ziemi, a potem przeniosłem wzrok na Fabia. Chociaż baterie mojej czołówki były już bardzo słabe, zauważyłem, że światło sprawia mu ból. Wyglądał okropnie, uwalany biotem i pokaleczony, ale nawet wśród zadrapań i śladów po ukąszeniach wyraźnie odznaczała się świeża rana na policzku. Na szyi otwierała się następna

-Jak się czujesz? - zapytałem.

Popatrzył na mnie nieufnie.

- Myślisz, że też to złapałem?

- Sam dobrze wiesz, że tak.

- No i co teraz? Bogaty gringo i jego dziewczyna sobie odlecą, a ja tu zostanę i będę zdychał jak Howie?

- Już ci powiedziałem. Nikt się stąd nie ruszy, dopóki nie ustalimy, kto jest zarażony i w jaki sposób to się roznosi.

Fabio warknął wściekle i poczułem zadowolenie na myśl, że za moimi plecami stoi Drew i trzyma go na muszce.

- W porządku - powiedział i przycupnął na piętach, obejmując kolana rękami. - Wygrałeś.

Trąciłem stopą leżący na ziemi worek.

- Co tam jeszcze masz?

- Trochę jedzenia, które zostawiłem na czarną godzinę - odparł i postąpił mi słaby uśmiech. - Możę właśnie nadeszła?

Tylko ktoś, kto od dwóch tygodni nie dojadł i nie miał nic w ustach od trzech dni, potrafi zrozumieć, jak cudownie zabrzmiało słowo „Jedzenie”. Poczułem bolesne skurcze żołądka. Śliniąc się, upadłem na kolana obok worka i chciwie złapałem jedno z zawiniątek. Przekładając je wcześniej, dziwiłem się, dlaczego owinął konserwy skarpetami, ale teraz wyczuwałem pod palcami szkło, a nie metal. Ściągnąłem

Czarna rzeka

skarpetkę i zobaczyłem słoik. W środku zauważyłem jakiś bulwiasty kształt przypominający kłaczce imbiru.

- Co lojest?

- Korzeń, który znalazłem w dżungli. Jest jadalny.

Zacisnąłem dłoń na zakrętce. Albo byłem zbyt osłabiony, albo Fabio zbyt mocną ją zakręcił. Nie mogłem jej poruszyć.

- Pomóc ci? - Fabio wyciągnął rękę.

Przyznaję, głód odebrał mi rozum, ale przypuszczalnie każdy na moim miejscu zachowałby się tak samo. Zrobiłem krok do przodu i pochyliłem się nad nim, stając się jeszcze łatwiejszym celem.

Wyrwał mi słoik z ręki i uderzył mnie nim w twarz jak szklaną pięścią. Potworny ból przeszył moją głowę. Zatoczyłem się do tyfu, wytrącając sztucer z rąk Drew, i upadłem na plecy. Leżałem oszołomiony, przypuszczalnie tylko przez kilka sekund, ale to wystarczyło. Splunąłem krwią i przejechałem językiem po zębach, zęby sprawdzić, czy są na swoim miejscu. Powoli odzyskiwałem ostrość widzenia.

Sztucer leżał na ziemi. Zbyt daleko, abym mógł go dosięgnąć, nawet gdybym odważył się spróbować. Ale się nie odważyłem. Fabio stał za plecami Drew, wykręcając jej rękę do tyłu, i przyciskał maczetę do jej gardła. Później dotarło do mnie, że musiał ukryć ją w liściach niedaleko miejsca, w którym siedział.

- Nie ruszaj się, jasne?

Nie mogłem unieść jednej powieki, ale drugim okiem widziałem wyraźnie przerażenie na twarzy Drew i wielkie ostrze przystawione do jej szyi. Przypomniałem sobie wszystkie te pnącza i gałęzie, które Fabio ścinał, jakby od niechcenia ruszając nadgarstkiem. Z taką samą łatwością mógł rozplatać jej gardło.

- Oddaj słoik.

Słoik leżał na ziemi obok mnie. Był cały; gdyby się rozbił, prawdopodobnie straciłbym wzrok. Podniosłem go i włożyłem z powrotem do worka.

- Teraz lokalizator.

Zawahałem się. Drew jęknęła cicho, kiedy Fabio mocniej wykręcił jej rękę. Nie zdołałem zebrać w sobie tyle odwagi, żeby stawić mu czoło, żeby przybrać postawę godną cywilizowanego człowieka. Ale byłem zbyt zmęczony i obolały. Zresztą i tak nic by to nie zmieniło. Gdybym mu się sprzeciwił, mógłby zabić Drew i mnie, a potem wziąć wszystko, co chciał.

Wyjąłem urządzenie z kieszeni i podałem mu je na wyciągniętej ręce, ale on pokręcił głową.

- Włącz go.

Ściągnąłem plastikową nakładkę i rozprostowałem zwiniętą pod spodem sprężynującą blaszkę anteny. Trzęsły mi się dłonie, kiedy położyłem kciuk na przycisku „Start”. Wcisnąłem go. Stawiał zaskakująco duży opór. Ktoś. Mo projektował te urządzenia, zadbał o to, żeby me dało się go uruchomić przez przypadek.

Zamigotała lampka sygnalizacyjna, przesywając mrok mocnymi błyskami białego światła. Tysiące kilometrów nad nami unoszący się na orbicie satelita odebrał nowy sygnał ■ gdzieś w Europie albo w Ameryce na monitorze komputera pojawił się nowy komunikat alarmowy. O to chodziło..

- *Muchas gracias**

Fabio odepchnął od siebie Drew, która zatoczyła się i upadła. Zanim zdążyła się podnieść, chwycił worek i zawiesił sobie sztucer na ramieniu. Ani przez chwilę nie wypuszczając maczety, zerwał mi z głowy czółówkę i przypiął sobie lokalizator do paska.

Czarna rzeka

- Więc do tego dążyłeś cały czas? - zapytałem. - Żeby się nas pozbyć? To ty zepchnąłeś Antona w przepaść?

Fabio wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Oszalałeś. Beze mnie nigdy nie dotarlibyście do Paititi. Zginęlibyście w dżungli.

- Więc dlaczego to robisz?

- Bo chcę żyć.

Popchnął Drew między drzewa i zamachnął się maczetą, która ze swistem przecięła powietrze kilka centymetrów od jej pleców.

- *Hasta tuego* powiedział. - Nie idź za nami, jasne?

Popychając przed sobą Drew, zniknął w dżungli. Lampka lokalizatora coraz słabiej migotała wśród zarośli, aż w końcu jej światło całkiem rozplynęło się w mroku.

46.

Oslabiony, pozbawiony broni i tyłków jednym buciem nie próbowałem iść za nimi. Nawet nie miałem siły wstać. Leżąc na ziemi, czułem przenikająca mnie wilgoć i miałem wrażenie, że moje kości zamieniają się w bioto. Miałem na skórze tyle otarć i zadrapań, że nawet nie czułem, jak obiażą mnie mrówki i obsiadają muchy. Straciłem nadzieję.

Wiatr zelżał, zamieniając się w delikatną bryzę. Na niebie zostały już tylko postrzępione pasma chmur, przez które prześwitywał blask księżyca. Czy w Anglii było jeszcze ciemno? Wyobraziłem sobie, jak Cate i Peggy spoglądają na ten sam księżyc. Wyobraziłem sobie krążącego w kosmosie satelitę, który przekazuje moje wołanie o pomoc do jakiegoś punktu na ziemi. Czy ktoś zadzwoni do Cate i zawiadomi ją, że znalazłem się w tarapatkach? Czy będzie siedziała przy telefonie, czekając na nowe wiadomości i wypijając ogromne ilości kawy? A potem się dowie, że jedyną osobą, którą udało się ocalić, jest Fabio. Miałem nadzieję, że Fabio opowie jej jakąś wzruszającą historię o mojej śmierci. O ile pożyje tak długo.

Usłyszałem plusk wody za plecami i obróciłem się gwałtownie, przekonany, że na brzeg wyłazi krokodyl albo anakonda, żeby mnie pożreć. Wprawdzie chyba umarła już we mnie nadzieja, jednak strach nie. Poświata księżyca była słaba, ale nawet odrobina wystarczyła, kiedy wokół panowały całkowite ciemności.

Kilka metrów przede mną wyłoniła się z wody jakaś sylwetka i wyszła na brzeg. Usłyszałem wołanie Zii.

- **Wszystko w porządku?!**

Jęknąłem na tyle głośno, żeby mnie usłyszała Podeszła i przykucnęła obok.

-Widziałam jakieś światło.

Wyjaśniłem jej, co się stało.

- Nie mógł odejść daleko - powiedziałem na kon ek. - Musimy go znaleźć.

- Nie mamy szans - odparła, kierując wzrok w stronę dżungli. Światło księżyca nie przebijało się przez gęste korony drzew. - Rzeka to teraz nasza jedyna nadzieja.

Wiedziałem, że ma rację. A jednak nie mogłem zapomnieć twarzy Drew, wyrazu bezgranicznej grozy, który się na niej malował. Nie sadziłem, aby Fabio uwzględnił ją w swoim planie ucieczki,

- Jak się czuje Howie?

- Umarł pół godziny temu.

Nie czułem żalu. Nawet nie drgnąłem Gdybym to ja był na jego miejscu, Howie nie uронrby po mnie jednej lzy, choć zapewne pomodliłby się za moją duszę.

-W takim razie zostaliśmy tylko my dwoje.

Dotknąłem palcami policzka. Lewa strona mojej twarzy po uderzeniu słoikiem była

Czarna rzeka

opuchnięta jak piłka. Bolało mnie ramię, którym zawadziłem o głaz, spływając rzeką, a kiedy potknąłem się o korzeń, tak mocno przywaliłem w piszczel, że na skórze wykwitł wielki krwiak. Nie mieliśmy sztucera ani maczety, łożzi ani jedzenia. Wciąż nie wiedziałem, czy mogę ufać Zia, ale to nie miało znaczenia. I tak byliśmy sami.

Niebo zaczynało się przejaśniać i na tle szarych chmur pojawiły się czarne kontury górskich szczytów. Długa noc nareszcie chyliła się ku końcowi.

-Musimy odnaleźć Drew - powiedziałem. - Nie możemy jej tu zostawić, Jeżeli jest szansa, że ona wciąż żyje...

- Nie ma takiej szansy.

- Ona zrobiłaby to dla nas.

- Czyżby? - zapytała Zia. Było już na tyle jasno, że dostrzegłem wyraz powątpiewania na jej twarzy. - Może dla ciebie

- Musimy też powstrzymać Fabia. Jeżeli przyleci helikopter i zabierze go z powrotem do cywilizacji, może dojść do pandemii.

- Pamiętaj, że zakaził się tym, jedząc mięso małpy. Bez małp choroba nie będzie się rozprzestrzeniać.

- Tego nie wiemy na pewno. A poza tym nurtuje mnie jeszcze jedno. Jak zakaził się Menendez?

Zia spojrzała na mnie, jakbym postradał rozum.

- Tak samo.

- Ale skoro podawał szczepionkę małpom z myślą o Indianach, sam by ich nie jadł.

- Może jaguar upolował małpę, a potem ugryzł jednego z członków ekspedycji.

“Wszystkich ośmiu?

- Albo kiedy zostali schwytani, Indianie czymś ich nakarmili, a oni nie wiedzieli, co jedzą.

- To niewykluczone. Ale wciąż nie możemy wykluczyć ewentualności, że wirus zmutował i można się nim zakazić również poprzez wziewanie. A jeżeli tak się stało, nie możemy dopuścić, aby Fabio zbliżył się do kogokolwiek, na kogo mógłby chuchnąć.

Podniosłem się z ziemi i poczułem w nodze przeszywający ból. Kiedy rozmawialiśmy, zaczęło świtać i w szarym anemicznym świetle ukazał się naszym oczom krajobraz, który zmienił się nie do poznania. Rozglądałem się ostłupiały. Obolała noga ugięła się pode mną i twardo wylądowałem z powrotem na ziemi.

- I jak zamierzasz go tu śledzić? - zapytała Zia bezbarwnym tonem.

Zewsząd otaczało nas jedno wielkie rozlewisko. Rzeka wystąpiła z brzegów i wdarła się w głąb dżungli. Nad powierzchnią wody wznosiło się kilka wysepek, pagórków i grobli, a wśród mch nabrzeżna skarpa, na której staliśmy. Poza tym wszystko było zalane.

Ignorując ból, zmusiłem się do wstania.

- Tu nie może być głębiej niż metr.

- A dokąd pójdziesz? Na wodzie nie widać śladów.

Potoczyłem wzrokiem dookoła. Szklista tafla wody drgała i marszczyła się, kiedy muskały ją roje owadów. Zaintrygowało mnie, co się stało z mrówkami Czy utonęły?

- Fabio nie mógł¹ się zbyt oddalić w takim terenie. Poza tym potrzebuje otwartej przestrzeni, żeby nic nie tłumilo sygnału GPS i żeby załoga helikoptera mogła go wypatrzeć,

- Mógł znaleźć jakąś polanę.

- To raczej mało prawdopodobne, o ile nie zadekował gdzieś laptopa z dostępem do Google Earth, Przypuszczam, że będzie się trzymał blisko rzeki.

- Teraz tu wszędzie jest rzeka.

Czarna rzeka

- W takim razie nie możemy zabiedzić.

Nie mogiem iść w jednym bucie. Oderwałem rękawy koszuli i owinąłem nimi bosą stopę, ale i tak każdy krok w tym mętym rozlewisku był istną męczarnią. Zapadałem się w grząskim dnie, coś oślizłego oplatało moje nogi, a czasami następowałem na ostre kamienie lub ciernie, które przebijały tkaninę i kłuły mnie boleśnie. Zastanawiałem się, czy na tym odcinku rzeki żyją piranie, czy silny prąd przeniósł je dalej.

Czasami robiło się głębiej i musieliśmy przepłynąć krótki odcinek. Przynosiło mi to wielką ulgę. Spoglądałem z utęsknieniem na środek koryta rzeki, gdzie było na tyle głęboko, że moglibyśmy poruszać się wpław, ale prąd był tam zbyt silny i powierzchnię wody rozdzierały wielkie wiry. Nie mogliśmy ryzykować utonięcia, więc brodziliśmy, grzęznąc w bocie i cierpiąc katusze.

Doszliśmy do małej wysepki, która kiedyś była nadbrzeżną skarpą. Wczołgaliśmy się na nią, zęby chwilę odpocząć. Na jej skraju zauważyłem płataninę gałęzi, które rzeka wyrzuciła na ten mały skrawek łądu. Moją uwagę przykuło leżące wśród nich niewielkie młode drzewko wyrwane razem z korzeniami. Podniosłem je, wyjąłem z kieszeni scyzoryk i zacząłem strugać zamieniając jeden koniec w ostry szpic.

- Fabio ma sztucer - przypomniała mi Zia

- Lepsze to niż...

Przerwałem nagle. Jakiś stłumiony odgłos przebijał się przez świergot ptaków, brzęczenie owadów i szum wody. Pulsujący łoskot który dobiegał z oddali niczym grzmot zwielokrotniony przez niecichnące echo.

- Chodźmy.

Złapałem swój prowizoryczny oszczep i pomogłem Zii wstać. Zsunęliśmy się z powrotem dowody i zaczęliśmy brnąć przed siebie jak najszybciej. Teraz nawet nie zwracałem uwagi na to, po czym stąпам. Zbliżaliśmy się do zakola rzeki. Na naszej drodze stanęła kępa kolczastych krzewów na wpół zanurzonych w wodzie, którą musieliśmy okrążyć szerokim tukiem, ryzykując, że porwie nas prąd. Odległy łoskot stawał się coraz głośniejszy.

I wtedy go zobaczyłem. Moje przypuszczenia okazały się trafne - trzymał się w pobliżu rzeki. Nawet me zadał sobie trudu, zęby odejść dalej. Stał sto metrów ode mnie na zwalonym pniu drzewa i wpatrywał się w horyzont jak rozbitek. Nigdzie nie zauważyłem Drew.

Patrzył w dół rzeki, nasłuchując odgłosu helikoptera, jakby chciał go popędzić siłą woli. Nie zauważył nas. Wciąż trzymał w ręce maczetę i miał przewieszony przez ramię sztucer. U jego stóp leżał wodoszczelny worek. Zacisnąłem mocniej dłonie na oszczepie.

Zbliżyliśmy się z powrotem do linii drzew. Byliśmy na zawietrznej, więc nie słyszał chlupotania wody pod naszymi nogami. Czekałem, aż się obróci, zęby zlustrować otoczenie, wiedziony tym szóstym zmysłem, który tak często dopuszczał do głosu w dżungli. Lecz on ani na chwilę nie odrywał wzroku od horyzontu. Nie mogłem mu się dziwić. Ten odgłos zwiastował ocalenie.

Wciąż nie widziałem helikoptera. Usiłowałem sobie przypomnieć, co przeczytałem w Instrukcji lokalizatora na temat precyzji namierzania. Sygnał radiowy wyznaczał obszar o promieniu dwóch kilometrów, ale sygnał GPS można było zlokalizować z dokładnością do kilku metrów. Czy Fabio uruchomił nadawanie obu sygnałów?

Woda stała się płytsza i poczułem pod stopami twarde gruntu. Chociaż nie było widać dna, domyśliłem się, że dotarliśmy do jakiejś zwirowej plaży. Kroczyłem szybciej, objając sobie nieosłonięte palce bosa stopy o kamienie. Starłem się nie wychylać spomiędzy paproci sterczących z wody niczym wielkie pióropusze, które zapewniały mi

Czarna rzeka

ostonę. Przystanąłem, zęby Zła mogła mnie dogonić.

-Trzymaj się blisko brzegu - powiedziałem. - Ja podejść od strony rzeki, zęby mnie zauważył.

Popatrzyła na mnie jak na wariata.

- Chcesz go przebić tym kijaszkiem? On ma bron.

Przedstawiłem jej swój plan.

- Ma tylko jeden nabój. Jeśli mnie zastrzeli, musisz zrobić wszystko, zęby nie wsiad do tego helikoptera. - Chwyciłem ja za ramiona. - Widziałas, co się stało z Howiem. Jeżeli Fabio się stąd wydostanie, zanim się obejrzyysz, połowa Limy będzie martwa. A potem ..

- Rozumiem.

Zia przemknęła między paprociami, kierując się w stronę brzegu. Oczekałem chwilę, po czym wyszedłem z ukrycia i rozchlapując wodę, ruszyłem w stronę pnia, na którym stał Fabio.

Odgłos helikoptera przybierał na sile, huczał jak dobiegający zza ściany łoskot miota pneumatycznego. Czułem rozchodzące się w wodzie drgania. Fabio unosił lewą rękę, jakby do kogoś machał. Spojrzałem w górę, ale nad koronami drzew wciąż nie było niczego widać. Dostrzegłem za to połyskującą w słońcu cienką blaszkę. Antena lokalizatora. Fabio kierował ją tam, skąd dochodził odgłos, trzymając urządzenie nad głową. Odezwał się we mnie jakiś zaborczy dziecienny instykt. To moje! Wciąż szedłem ku niemu, stawiając kroki z głośnym pluskiem i wykrzykując jego imię, ale łoskot helikoptera wszystko zagłuszał. Chwyciłem oburącz mój oszczep i z rozmachu uderzyłem nim jak kijem baseballowym w powierzchnię wody.

Fabio obrócił głowę i zauważył mnie. Patrzył na mnie z wściekłością, ale trwało to tylko chwilę. Błyskawicznie przeanalizował sytuację i roześmiał się. Stał na zwalonym pniu uzbrojony w sztucer i maczetę, a ja tkwiłem po pas w wodzie, z zaostrzonym kijem w rękach. Moja głowa znajdowała się na wysokości jego kolan. Wsunął maczetę za pasek i zdjął bron z ramienia. Wciąż zerkał raz po raz na niebo. Tymczasem Zia zbliżyła się właśnie do pnia, na którym stał, i zaczęła ostrożnie skradać się w jego stronę. Nie widział jej. Gdyby ja zauważył !.. ♦

Zmusiłem się, żeby na nią nie patrzeć. Zamachnąłem się oszczepem, próbując odwrócić jego uwagę. Uśmiechnął się, szczerząc zęby,» wycelował we mnie.

- Masz tylko jeden nabój! - krzyknąłem, - Chyba że już go zużyłeś na Drew

Odkrzyknął coś w odpowiedzi. Widziałem, że porusza ustami, ale warkot helikoptera zagłuszał wszystkie słowa.

- Powrót do domu jeszcze cię nie uratuje! - Nie mógł mnie słyszeć, ale nie przerywałem, zęby skupie na sobie jego uwagę. - Jesteś rozpalony? Masz mdłości? Przyjrzyj się sobie. Jeśli zakazisz tym Innych, wywołasz apokalipsę!

Zerknąłem na niebo. Łoskot wirników przycichł na moment, a teraz narastał, głośniejszy niż przedtem.

Zia była już blisko. Złapała Fabia za kostkę i szarpnęła. Zachwiał się, stracił równowagę i runął do wody. Rzuciłem się przed siebie, trzymając oburącz uniesiony oszczep. Ogarnęła mnie ślepa żądza mordy ■ pragnąłem tylko zadawać cios za ciosem, az rzeka stanie się czerwona od krwi.

Nagle łoskot wzmógł się jeszcze bardziej, kiedy nisko nad drzewami przemknął szybko pomarańczowy kadłub helikoptera. Przez chwilę myślałem, że pilot nas nie zauważył, ale wtedy maszyna weszła w zakręt i zawróciła w naszą stronę. Uderzył mnie silny podmuch powietrza mielonego łopatami wirnika. Kiedy Fabio szamotał się z Zią, złapałem jego worek, który spadł z pnia i kołysał się na powierzchni wody.

Czarna rzeka

- Nie zgubiłeś czegoś? - krzyknąłem.

Fabio uniósł wzrok i z rykiem wściekłości rzucił się na mnie. Odczekałem chwilę i kiedy był już blisko, rzuciłem worek nad jego głowę w stronę Zii, jakbyśmy grali w głupiego Jasia.

- Oddawaj!

Obydwaj musieliśmy wrzeszczeć ile sił w płucach. Helikopter wisiał nad nami i podmuch powietrza był tak silny, że ledwie trzymaliśmy się na nogach. Po wodzie rozbiegały się białe grzywy lal, a wirujące w powietrzu krople zalewały mi oczy.

Jakaś oderwana cząstką mojego umysłu próbowała sobie wyobrazić, co widza piloci spoglądający w dół przez szybę klimatyzowanej kabiny. Prawdopodobnie myśleli, że jakiś Indianin uzbrojony w oszczep atakuje Fabia. W podartym ubraniu i uwalany biotem wyglądałem dostatecznie dziko, zęby wzięli mnie za tubylca. Zastanawiałem się, czy mają broń na pokładzie.

- Uciekaj! - krzyknąłem, ale Zia już brodziła w pośpiechu w stronę drzew.

Fabio obrócił się i zdjął z ramienia sztucer. Rzuciłem się na niego z podniesionym oszczepem, brnąc po pas w wodzie, która krępowała moje ruchy. Zauważył mnie kątem oka, obrócił się i jedną ręką chwycił drzewce, odpychając je w bok, a potem szarpnął. Zapomniałem, jak bardzo jestem osłabiony. Straciłem równowagę i runąłem do wody. wciąż zaciskając kurczowo dłoń na swojej prymitywnej broni.

Fabio przycisnął kolbę do ramienia, wycelował i strzelił. Niemal instynktownie, jak doświadczony myśliwy. Wśród ogłuszającego łoskotu wirnika ledwie słyszałem strzał, ale poczułem w piersi drganie rozchodzącej się fali powietrza. Spomiędzy łopatek Zii trysnęła krew.

Oparłem nogi na dnie i znów skoczyłem na Fabia. Woda spowalniała każdy mój ruch jak w sennym koszmarze. Pchnąłem oszczepem, trafiając między jego nogi. Zachwiał się i runął w wodę, ale mokre drewno wysliznęło mi się z rąk. Zanim zdążył się podnieść, przeszedłem obok niego. Rzucił się z wyciągniętymi rękami, zęby mnie złapać, ale byłem już za daleko i znów upadł.

Podbiegłem do Zii. Leżała w płytkiej wodzie, a wokół jej ciała przemykały ciemne kształty małych drapieżników zwabionych wonią krwi. Obróciłem ją na plecy i jeszcze więcej krwi buchnęło z rany na piersi, przez którą wyszedł pocisk. Miała zamknięte oczy. Musiała zacisnąć powieki na ułamek sekundy przed upadkiem do wody, w ostatnim odruchu, gdy do ciała jeszcze nie dotarło, że to już koniec. Wyjąłem worek z jej martwej dioni. Łoskot helikoptera pulsował w mojej głowie jak atak migreny. Obejrzałem się przez ramię.

Fabio stał pięć kroków za mną. Ociekał wodą niczym jakiś potwór z głębin, a pod skórą jego rąk drgały naprężone mięśnie.

- Oddaj mi worek! - krzyknął. - Możemy obaj się stąd wydostać!

Wciąż był uzbrojony w maczetę, a ja nie miałem nawet mojego zaostzonego kija. Rzuciłem się do ucieczki.

47.

Rozchlapując wodę, kluczyłem między drzewami. Nie oglądałem się za siebie i nie słyszałem niczego oprócz huku silnika. Byłem jak zaszczute zwierzę w zalanym wodą świecie. Zataczałem się i potykałem, a nogi bolały mnie tak potwornie, jakby były połamane. Spodziewałem się, że w każdej chwili mogę poczuć cios maczety, która wbija się w moją plecy. Niemal tego pragnąłem.

Nagle straciłem oparcie pod nogami i zapadłem się po szyję w wodę. Tylko dzięki

Czarna rzeka

odrobinie powietrza zamkniętej szczelnie w worku Fabia nie zanurzyłem się głębiej. Zacząłem gwałtownie przebierać rękami, zęby utrzymać się na powierzchni. Moje stopy na próżno szukały dna.

Dżungla przeredziła się, przechodząc w polane, a raczej jezioro. Choć prawdopodobnie w tym miejscu już wcześniej znajdowało się jezioro, zanim jeszcze wezbrana rzeka zalała całą okolicę. Z wody wystawały dziesiątki pagórków. Niektóre były mniejsze od stolika do kawy, inne wielkie jak fortepian. Nie mogłem pojąć, dlaczego nie zakryła ich woda, dopóki nie dotknąłem jednego z nich. Odplynął, kotłując się na wodzie i odsłaniając ukryte pod spodem czarne gniazdo splątanych gałęzi.

To były pływające wyspy. Niektóre pokrywała trawa, a jedna czy dwie były tak solidne, że rosły na nich krzewy. Część tkwiła uwięziona między pniami drzew, ale większość dryfowała swobodnie.

Nagle coś przebiło gładką powierzchnię jeziora. Coś potężnego i złowrogiego. Czarne i żółte łuski wynurzyły się z wody, by natychmiast zniknąć bez śladu. Za ledwie kilkanaście metrów ode mnie. To wydarzyło się tak szybko, że mogło być złudzeniem, ale widziałem już ten wzór, obserwując z pokładu Sierra Mądre zwinięte na plaży masywne cielsko.

Anakondy lepiej poruszają się w wodzie, ale była to dla mnie marna pociecha, ponieważ sam znajdowałem się w wodzie. Rzuciłem się w stronę pływającej wysepki, ale mój gwałtowny ruch wytworzył falę, która usunęła ją z zasięgu moich rąk. Wyobraziłem sobie, że lada chwila silne szczęki zacisną się na moim udzie, a monstrualne zwoje oplotą klatkę piersiową, gruchocąc mi żebra. Podplynąłem do wysepki i tym razem udało mi się jej dotrzeć. W gra molitem się na nią, modląc się, żeby jej nie wywrócić. Kotłowała się na wszystkie strony, a kiedy spróbowałem stanąć, moja noga przeszła na wylot. Wyciągnąłem ją z powrotem i przycupnąłem oparty na kolanach 1 rękach, cały czas ściskając wodoszczelny worek.

Zerknąłem za siebie. Fabto stał na konarze jednego z drzew rosnących na skraju zatopionej polany.

“Czemu to robisz?” - krzyknął.

Ledwie go słyszałem. Korony drzew zakrywały helikopter, ale jego dudniący odgłos rozchodził się po dżungli. Jak długo jeszcze będzie na nas czekał? W końcu odleci, że by nie wyczerpać zapasu paliwa na powrót. Ale Fabtowi zależało teraz tylko na tym, żeby mnie dopaść. Wyprostowałem się i pomachałem workiem jak przynętą.

- Tego szukasz? To chodź tu i sobie weź.

Dwa metry ode mnie dryfowała inna wysepka. Skoczyłem na nią. To był nieporadny skok bez rozbiegu, więc z pluskiem wyładowałem w wodzie i znów musiałem się gramolić na chybotały brzeg. Ta wysepka była większa i sterczały z niej skłębione źdźbła trawy. Przeczotałem się po grząskiej roślinności, pod którą wyczuwałem plątanie gałęzi. Dotarłem do zwalonego drzewa połączonego z następną wysepką, która zaplatała się w jego korzenie. Przebiegłem po nim jak po moście.

Usłyszałem plusk za plecami. Fabto ruszył za mną. Nie radził sobie dużo lepiej ode mnie i zapadł się popas w rozmokłej darni. Podciągnął się z powrotem brudny od mułu i przeskoczył na następną wysepkę.

Uciekałem przed nim, a on mnie gonił. Przypominaliśmy postacie z gry komputerowej przeskakujące na kolejne platformy. Pływający archipelag był jak labirynt, w którym każdy fałszywy krok kończył się lądowaniem w wodzie. Czasami stąpałem po czubkach zatopionych drzew, które wyglądały jak niskopienne krzewy, a niektóre wysepki zanurzały się pod moim ciężarem i mogłoby się zdawać, że idę po wodzie. Wciąż rozglądałem się za anakondą. Chciałem ją zobaczyć, ale tylko po to, żeby

Czarna rzeka

wiedzieć, gdzie jest, czy odpłynęła w poszukiwaniu fatwiejszej zdobyczy, czy cierpliwie czeka na lepszą okazję?

Przedemną spomiędzy drzew sączyło się światło. Bez namysłu skierowałem się w tamtą stronę, wiedziony jakąś prymitywną logiką, według której światło oznacza nadzieję.

Za moimi plecami trzaskały gałęzie i pluskała woda. Fabio nie spowalniała konieczność wybierania właściwej drogi, musiał tylko iść moim śladem. Zaczęło mnie dopadać poczucie bezsensu. Co ja właściwie robiłem? Jak wyobrażałem sobie zakończenie tego wszystkiego? Nie mogłem przed nim uciekać w nieskończoność. A jednak coś kazało mi nadal iść przed siebie. Szybkim spojrzeniem oceniłem odległość i skoczyłem w stronę małej zielonej wysepki.

Nie trafiłem. Z impetem plusnąłem w wodę i wynurzyłem się pod wysepką, uwięziony w płataninie gałęzi, które nie pozwalały się ruszyć. Otworzyłem oczy. Splecione gałęzie tworzyły coś na kształt kratownicy, a w przestrzeniach między nimi znajdowało się powietrze. Wziętem oddech i poczułem odrażający smród błota i zgnilizny.

Płatanina gałęzi przygnieciona jakimś ciężarem wpiła mi się w ramiona i nagle coś przeszło wodę tuż przede mną. Z obaczyłem dziurę, wpadający przez nią wiązkę światła i błysk stali. Fabio stał na wysepce nad moją głową i dźgał darń maczeta, próbując mnie trafić. Pojawił się kolejny otwór. Następnym razem ostrze weszło tak blisko, że drasnęło moje ramię. Nie mogłem dłużej tam tkwić i czekać, aż odetnie mi głowę. Pod jego ciężarem wysepka zapadła się, pozbawiając mnie dostępu do powietrza. Wciągnąłem ostatni haust, a wraz z nim spory łyk wody, i zanurkowałem.

Instykt przetrwania kazał mi się wynurzyć. Moje obolałe płuca domagały się oddechu, a worek, który wciąż ścisnąłem w rękę, ciągnął mnie na powierzchnię. Ale ja wbrew temu wszystkiemu starałem się zanurzyć jak najgłębiej.

Jeszcze nigdy nie byłem bardziej pewny, że jest już po mnie. Mogłem utonąć, mogła mnie zabić anakonda albo Fabio, albo jakiś inny przyuczony drapieżnik, z którego obecności nie zdawałem sobie sprawy. Cały świat czyhał na moje życie.

Ale na razie mu się nie udawało. Ogarnęła mnie szaleńcza siła. Nie wiadomo skąd przyszła - jakbym znalazł w głębi mojej duszy dźwignię z napisem „Użyć tylko w ostateczności”. Wiedziałem, że mogę umrzeć, ale kurczowo trzymałem się życia i nie zamierzałem puszczać aż do ostatniej chwili. Rozgarniałem wodę z taką siłą, że każdy drapieżnik zastanowiłby się dwa razy, zanim odważyłby się mnie zaatakować. Bolały mnie płuca, pękała głowa i nawet gdyby anakonda oplotła mój tułów, niczego bym nie zauważył. Płynąłem tak długo, jak tylko się dało, a potem jeszcze dłużej, prawie do utraty świadomości.

Otarłem się brzuchem o coś twardego i odskoczyłem gwałtownie. Usiłowałem nadal pozostać pod wodą, ale moje ciało odmówiło posłuszeństwa. Wynurzyłem się na powierzchnię.

Nie udało mi się odpłynąć tak daleko, jak zamierzałem. Zobaczyłem Fabia, który stał na wysepce i wpatrywał się w wodę. Kiedy desperacko łapiąc powietrze, odyskiwałem oddech, zdążył mnie zauważyć. Uniósł maczetę i odstonił zęby w drapieżnym uśmiechu.

Znalazłem się po drugiej stronie jeziora, za labiryntem dryfujących wysepek. Czulem pod stopami dno; w tym miejscu woda sięgała mi zaledwie do pasa. Tym, o co zaważyłem brzuchem, okazał się długi korzeń. Przedemną rozpościerała się szeroka polana, a na jej środku leżało zwalone drzewo.

Zwalone drzewo... To nie oddaje w pełni tego widoku. Chyba każdy, kto spacerował po lesie, wyrobił sobie pojęcie o tym, jak wygląda zwalone drzewo. Nic bardziej mylnego. Należałoby raczej wyobrazić sobie kadłub rozbitego samolotu albo ruiny

Czarna rzeka

katedry. Widziałem w dżungli drzewa kapokowe, których ogrom wprawiał mnie w zachwyt, ale to powalone u moich stóp wydawało się jeszcze potężniejsze. Po upadku zajęło powierzchnię kilku kortów tenisowych, przygniatając wszystkie niewinne ofiary, które nie zdążyły uciec, i rosnące w pobliżu mniejsze drzewa. Niektóre wciąż sterczały spomiędzy jego konarów, przywiązane do nich siecią pnączy. Wokół leżącego giganta pleniła się dżungla, a mniejsze pnie, które naniósł wezbrana rzeka, otaczały go niczym ogromny stos pogrzebowy.

Widziałem nad sobą ntebo. Upadający kapokowiec pogruchota! korony drzew, tworząc w liściastym sklepieniu szeroką wyrwę. Była na tyle duża, że mógł się w niej zmieścić helikopter albo przynajmniej zatrzymać się w zwisie i opuścić linę.

Brodząc w płytkiej wodzie, dotarłem do barykady splątanych konarów, która broniła dostępu do zwałonego olbrzyma. Jeden z pni, na którym ukląknęłam, omal mnie nie zmiądzzył, staczając się do wody. W ostatniej chwili chwyciłam się sterczącego w górę konaru. Odgiął się pod moim ciężarem, uwalniając zakleszczoną powyżej gałąź, która spadła, uderzając mnie w głowę. Miałam wrażenie Jakbym się znalazł w samym środku gigantycznej gry w bierki. Każdy mój ruch sprawiał, że coś się obsuwało i przemieszczało, cały stos chybotał się, jakby lada chwila miał runąć i pogrzebać mnie pod zwałami drewna.

Wdrapałam się na szczyt i pień ogromnego kapokowca znajdował się teraz na wysokości moich ramion. Konary pod moimi nogami chwiały się niebezpiecznie; nie mogłam zwlekać ani chwili. Podciągnęłam się na rękach.

Ból był tak niespodziewany, że wrzasnąłam przeraźliwie. Próbowałam wyrwać dłoń, ale but Fabia przygniatał ją zbyt mocno. Wysoko w górze zobaczyłam jego twarz. Uniósł powoli maczetę jak kat szykujący się do ścięcia skazańca. Nie miałem pojęcia, jakim cudem dostał się tu tak szybko.

“Proszę, nie...-jęknęłam.

Druga rękę wciąż miałem wolną, a na moim ramieniu wisiał wodoszczelny worek. Zsunęłam go i rozpiąłem klamerkę przytrzymującą zwinięty kołnierz.

“Jeśli to wysypię, już nigdy tego nie zobaczysz ~ zagroziłem.

W stercie pni i gałęzi nie brakowało szczelin, w których zawartość worka mogła zniknąć bezpowrotnie, i potrzeba by buldożera, zęby dokopać się na sam dół, gdzie połykiwało muliste bajoro.

Fabio się zawahał. Taka okazja mogła się nie powtórzyć. Wolną ręką złapałam go za kostkę i szarpnąłam z całej siły. Pośliznął się na mokrej korze, stracił równowagę i upadł na plecy. Oburącz złapałam sęk wielkości piłki lekarskiej i podciągnęłam się. Chciałam kopnąć Fabia, wykorzystując to, że leżał, albo przynajmniej odebrać mu maczetę, ale on już był z powrotem na nogach. Usłyszałam świst ostrza, które omal nie odcięło mi ucha.

Rzuciłam się do ucieczki. Pień był szeroki jak korytarz szpitalny i rozszerzał się jeszcze bardziej. Ciągące się u podstawy przypory korzeniowe sterczały jak olbrzymie płetwy, a przestrzenie między nimi przypominały wąwozy. Kora stała się guzowata i poorana bruzdami, śladami po okaleczeniach, które pamiętały zamierzchłe czasy, gdy drzewo było jeszcze zbyt małe, by walczyć.

Kłębowisko korzeni na końcu pnia było tak wielkie, że tworzyło wysokie urwisko. Dalej nie dało się uciekać, a Fabio już deptał mi po piętach. Instynktownie wybrałam jedyną drogę, biegnąc w stronę wielkiego korzenia, który sterczał niczym skrzydło samolotu. To nie było dobre posunięcie. Stałam na skraju przepaści i obróciłam się powoli.

- To już koniec - powiedział Fabio. ciężko dysząc.

Wyciągnęłam rękę z workiem za siebie.

Czarna rzeka

- Zrobisz jeszcze krok, a wszystko wyląduje w wodzie. Będziesz musiał osuszyć bagno, zęby cokolwiek znaleźć.

Fabio nie ruszył się z miejsca.

- I co, będziesz tak stał cały dzień? Jak długo wytrzymasz, kiedy ręka zacznie ci opadać ze zmęczenia? A nie potrzebujesz snu? - zapytał i po stuknięciu się palcami w skroń. Nawet pod warstwę brudu dostrzegłem na jego policzku wielki wypełniony ropę pęcherz. - Gwarantuję ci, że zaśniesz wcześniej niż ja.

Warkot helikoptera nie był już tak głośny. Czyżby załoga dała za wygraną? Wyobraziłem sobie, jak piloci dyskutują, czy wystarczy im paliwa na jeszcze jedno okrążenie i czy dostaną zapłatę za nadgodziny. Czasu było coraz mniej.

Ani na chwilę nie odrywając wzroku od Fabka, sięgnąłem do worka. Namacałem chłodne, twarde szkło i wyjąłem słoik, którym zeszłej nocy dostałem w twarz. W środku znajdowała się ta sama biaława grudka, którą widziałem ostatnio. Gdyby nie była lekko pomarszczona, wziąłbym ją za obranego ziemniaka.

- Dlaczego to jest takie cenne?

Fabio zesztywniał.

- Tylko ostrożnie. To szczerze złoto.

- O czym ty mówisz?

- Kiedy Indianie znaleźli Aluaradę, nakarmili go rośliną, po której poczuł się lepiej.

Miała purpurowe kwiaty i smakowała jak miód.

- I to jest to? - zapytałem, oglądając z bliska zawartość słoika.

- To jest korzeń, ale w torbie są też sadzonki, kwiaty i wycinki łodyg.

Przypomniałem sobie, jak często Fabio krążył po dżungli, kiedy zatrzymywaliśmy się na biwak, jak kuczał i przyglądał się roślinom w świetle latarki.

- A więc... jesteś botanikiem?

- Biznesmenem. Pijesz dietetyczną colę?

Nie byłem pewien, czy dobrze go zrozumiałem.

- Chcesz mnie poczęstować?

- Wiesz, jak się nazywa magiczny składnik tego napoju?

- Kofeina?

- Aspartam - odpowiedział, wymawiając starannie każdą sylabę. - Wiesz, co to jest?

- Sztuczny słodzik.

- No właśnie, sztuczny. Tak samo jak inne. Ten, który dodajesz do kawy, produkuje się z metanolu. Ten różowy jest robiony z węgla. To nie jest zdrowe i nie smakuje najlepiej.

Zerknąłem na słoik, który wciąż trzymałem w ręku.

- Myślisz, że z tego można uzyskać sztuczny słodzik?

- Naturalny słodzik. W Stanach jest hr ma gotowa zapłacić za to miliony dolarów. W Peru i wielu innych krajach ludzie umierają z głodu. Za to Amerykanie umierają z przejedzenia. Zgadza się?

- Mniej więcej.

- Coś, co pozwala słodzić żywność bez kalorii, chemii i psucia smaku jest cenniejsze od złota.

- To chyba ma swoją nazwę - powiedziałem, wygrzebując zapomniane słowo z zakamarków pamięci. Cate znalazła je na jednej z tych stron internetowych, z których robiła mi wykłady przed wyjazdem. - Biopiractwo?

Fabio wzruszył ramionami.

- Ja tylko chcę wrócić do domu i może też się jakoś ustawić. - Rozchylił usta w uśmiechu i zauważyłem, że dwa jego zęby poczerniały, a jeden zdążył już wypaść. -

Czarna rzeka

To nte jest kradzież. Zabrałem tylko to, co rośło w dżungli. Oddaj mi to - rzekł i wyciągnął rękę. - Podzielimy się zyskami.

Warkot helikoptera znów przybrał na sile. Poczułem lekkie drgania pod stopami, kiedy rozchodząca się w powietrzu fala dźwięku odbiła się od pma, na którym stałem. Fabio zachęcająco kiwnął dłonią. Nie przestawał się uśmiechać, ale w drugiej ręce wciąż ścisnął maczetę.

Nie miałem wyboru. Wyciągnąłem nad przepaścią rękę z otwartym workiem, trzymając go tak, zęby mógł zajrzeć do środka.

- Chcesz to z powrotem? Dzielimy się pół na pół?
- Pół na pół, nie ma sprawy. - Fabio zrobił krok w moją stronę.
- No to sobie weź.

Jednym szarpnięciem wyrzuciłem worek w powietrze. Pokoziołkowi wysoko nad bagnem, a jego zawartość rozsypała się na wszystkie strony. Fabio rzucił się na mnie. Spodziewałem się takiej reakcji, wręcz ją sprowokowałem, więc byłem przygotowany. Złapałem go za prawy nadgarstek i wykręciłem tak mocno, że wypuścił maczetę. Potem zacząłem pchać go w stronę przepaści. To był dobry plan, ale już opadałem z sił, a miałem do czynienia z zaprawionym w bójkach twardzielem. Wykręcił mi rękę do tyłu i przyciągnął mnie do siebie, drapiąc i kopiąc. Próbowałem się wyrwać, ale trzymał zbyt mocno.

Poczułem na twarzy silny podmuch i jakiś cień zakrył słońce. Udało mi się wyswobodzić rękę. Obróciłem się przodem do Fabia i otoczyłem rękami jego tułów, zęby złagodzić impet ciosów. Kiedy wbił zęby w moje ramię, odskoczyłem gwałtownie w tył i straciłem równowagę.

Spleceni w uścisku jak para zdesperowanych kochanków runęliśmy w przepaść.

48.

Fabio wylądował na mnie i jak na ironię prawdopodobnie to uratowało mi życie. Wpadliśmy do głębokiej jamy, która wyglądała jak gniazdo gigantycznego ptaka. Ze wszystkich stron otaczała nas gęsta plątana korzeni pokryta zaciekami żółtego szlamu, a na dnie chiupotała mulista woda. Mimo bólu zwróciłem uwagę na odrażający smród.

Poczułem, że grunt pod moimi plecami się przesuwają, jakbym się kotłował na łóżku wodnym. Tylko że ja leżałem w bezruchu. Pode mną drgały i falowały naprężone mięśnie, tak wielkie, że dopiero po kilku sekundach zorientowałem się, co to jest. Spadłem na węża.

Wciąż przygniety ciałem Fabia odchyliłem głowę. próbując się rozejrzeć. Grube zwoje pokryte gęsto łuskami, na których widniał czarno-żółty wzór, ciągnęły się przez wiele metrów.

Fabio podniósł się powoli i przykucnął. Wtedy uświadomiłem sobie, że wąż pełźnie w stronę szczeliny między zwałami drewna, która prowadziła na zewnątrz. Nie chciał nas zabijać, po prostu zamierzał się stąd wynieść. W pełni podzielałem jego intencje.

Ale kto wie. jakimi torami będzie rozumowanie takiego gada? Może zmienił zdanie lub tylko nas zwodził, a może doszedł do wniosku, że jednak mu się nie podobamy - me mam pojęcia. Gwałtownym ruchem obrócił głowę i Jego ciało skurczyło się, a potem błyskawicznie rozprostowało, by wystrzelić w powietrze jak oszczep. Szeroko rozwarta paszcza wypełniona rzędami ostrych jak igły zębów przeleciała tuż nad moją głową.

Fabio me miał żadnych szans, kiedy rozpędzane sto pięćdziesiąt kilo mięśni zważyło go z nóg. Potężne cielsko oplotło go swoimi zwojami i zaczęło ugniatać jak mokrą

Czarna rzeka

ścierkę. Wyba'uszył oczy i wyginał ramiona, próbując się uwolnić. Otworzył usta do krzyku, ale wąż wycisnął powietrze z jego płuc. A potem rozdziawiona paszcza zatrzasnęła się na jego twarzy i nie musiałem dłużej go oglądać.

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Coś pędziło w moją stronę. Odskokczyłem szybko i ciemny kształt przeleciał obok mojej twarzy, tak blisko, że dostrzegłem parę jarzących się w mroku pomarańczowych oczu. Drugi wąż.

Gad opadł na dno jamy i od pełtł, zęby przygotować się do następnego ataku. W kącie jego towarzysz zaczynał połykać zwiotczone ciało Fabia Spojrzałem w stronę szczeliny, która ziała tuż nad powierzchnią mętnej wody. i zastanawiałem się przez chwilę, czy zdołałbym się precyzyjnie na zewnątrz. To nie był dobry pomysł. Dostokczyłem do ściany i zacząłem się wspinać, lecz omal nie zwałem na siebie piętrzącej się wysoko sterty drewna.

Anakonda zaatakowała ponownie. Puściłem gałąź, na której wisiałem, a najeżony zębami łeb śmignął mi nad głową. Wylądowałem w błocie. Przygniotło mnie cielsko węża. tak ciężkie, że nie mogłem złapać tchu. Gad już zaczynał się ruszać. To było jak walka z Fabiem; nie mogłem ustąpić ani na krok. Musiałem teraz objąć go rękami i ścisnąć ze wszystkich sił jak kowboj ujeżdżający dzikiego mustanga. To była moja jedyna nadzieja. Wyprężone zwoje ocierały się o moją pierś, wąż miotał się i wił. Trzymałem go mocno.

Coś dotknęło moich pleców i tej samej chwili zdałem sobie sprawę, że już po mnie. Anakonda oplótła mnie ogonem, zamykając pętlę, i potężne mięśnie zacisnęły się na mojej pierś.

Umieranie to właśnie takie uczucie. Dziwne, prozaiczne, jak szybki bieg za odjeżdżającym autobusem. Brakuje ci oddechu i myślisz tylko o tym, zęby zdążyć, ale wiesz, że już ci się nie uda. Przepaść między nadzieją i rzeczywistością staje się coraz szersza. Jaskrawe światło, szum w uszach, śwąd siarki.

A potem wszystko się skończyło. Ucisk zelzał i poczułem nieważką wolność duszy, która opuściła ciało. Wyleciałem z gniazda węży, wzniosłem się nad korony drzew i szybowałem w otwartej przestrzeni. Podo mną rozpościerał się świat, zielony ocean dżungli okolony chmurami. Taki sam jak wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyłem go przez okno samolotu. Z obłoków wyłoniła się jakaś twarz. Domyśliłem się, że to Jezus, i byłem ciekaw, czy zaprowadzi mnie do Howiego.

A potem wszystko znikło.

49.

- Tatusiu? - Głos Peggy zawsze budził w moim sercu tęsknotę za domem, - Kiedy wracasz?

- Wylatuję dziś w nocy. Będę w Londynie jutro po południu.

- Złapałeś zarazę?

- Czuję się już dużo lepiej - zapewniłem ją.

- Dziś w przedszkolu dostałam trzy naklejki.

- Brawo. Tak trzymaj,

Z zamkniętymi oczami słuchałem, jak trajkocze, dzieląc się ze mną wrażeniami z całego dnia. Potem słuchawkę przejęła Cate.

- Nie zabrakło ci pieniędzy?

-Nie.

Kiedy wróciłem do Puerto Tordoya bez grosza przy duszy, nie było łatwo. Na szczęście znalazłem sklep z telefonami i udało mi się uzyskać połączenie na koszt Cate.

Czarna rzeka

która przelała mi pieniądze na hotel, nową komórkę, ubranie i kilka najpotrzebniejszych drobiazgów.

- Mogę przelać ci więcej.

- Na dojazd na lotnisko wystarczy. Mam już bilet na samolot, więc jeśli będziecie czekać na Heathrow...

- Obie już odliczamy godziny. Peggy zrobiła dla ciebie transparent.

- Nie mogę się doczekać.

Nie miałem nic więcej do powiedzenia, ale wciąż pozostawałem na linii, delektując się milczeniem.

- Ta rozmowa musi kosztować fortunę - odezwała się Cate. - A Peggy za chwilę wychodzi na karate.

Nie miałem jeszcze ochoty się z nią zegnać.

- Posłuchaj, gdyby coś mi się stało, zanim dotrę do domu...

- Gdyby coś ci się stało? - Cate roześmiała się nerwowo. - Już wyczerpałeś limit ryzyka. Od tej pory masz z górki.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała zakłopotanym tonem.

Wyłączyłem telefon i wyjąłem baterię. Przeszedłem na drugą stronę ulicy. W świetle dziennym szpital w Puerto Tordoya nie wyglądał tak koszmarnie, jak tamtej nocy, kiedy przywozłem tu Nolberta - zwykły kompleks budynków o betonowych ścianach i dachach z niebieskiej blachy, pacjenci z papierosami na werandach i kury na trawniku. Starłem się nie myśleć o tym, co zamierzałem zrobić.

Od powrotu spędzałem tu każdy dzień, najpierw jako pacjent, potem jako odwiedzający. Minął tydzień, odkąd przyleciałem helikopterem z dżungli. Ratownicy zużyli tyle paliwa, że już rozważali powrót bez mnie, a gdy wreszcie znalazłem się na pokładzie, bredząc w malignie, kazałem im wylądować i szukać Orew. Fabio nie odszedł z nią daleko od plaży, na której spędziliśmy ostatnią noc. Zaprowadził ją kawałek w głąb dżungli i ogłuszył! kolbą sztucera, pozostawiając na pewną śmierć. Kiedy ją znaleźli, leżała nieprzytomna w wodzie i krwawiła z rany na głowie. W porównaniu z nią wyszedłem z tego prawie bez szwanku.

Kiedy trafiła do szpitala, okazało się, że uległa jakiejś infekcji. Przez trzy dni prawie nie odzyskiwała przytomności. Lekarze podejrzewali, że zachorowała na malarię, ale kiedy dostała wysokiej gorączki i zwracała wszystkie posiłki, zacząłem się obawiać, że to coś gorszego. Każdego, kto się do niej zbliżał, nękałem z uporem maniaka, egzekwując dokładne szorowanie rąk. Siedziałem przy jej łóżku, patrzyłem w jej przekrwione oczy i drżałem ze strachu przed koszmarem, którego rozmiar było dane mi poznać.

„Jeśli zakazisz tym innych, wywołasz apokalipsę!” - przypomniałem sobie własne słowa.

Wchodząc do poczekalni, obejrzałem się przez ramię. Popadłem w paranoję. Po powrocie nie spotkałem Lorenza, ale pamiętałem, co powiedział Tillman Bogaty gringo, na którego czeka rodzina. Możę wydusić z ciebie tę kasę. Poza codziennymi wyprawami do Szpitala i zakupami nie wychodziłem z hotelu. Ale on i tak był gdzieś w pobliżu.

I kto jeszcze? Czasami wyglądając przez okno albo przechodząc na drugą stronę ulicy, miałem wrażenie, że widzę Tillmana, który kroczy dumnie w moją stronę. Przesiadując godzinami przy łóżku Drew, wymyślałem nieprawdopodobne scenariusze - wyobrażałem sobie, że wyszedł cało z przeprawy przez wodospad i spłynął na dryfującym pniu w dół rzeki, gdzie spotkał rybaków albo drwali, którzy wyleczyli go za pomocą rumu i odstawili do Puerto Tordoya. Jeżeli ktokolwiek zdołałby tego dokonać.

Czarna rzeka

to właśnie on.

Jeszcze nie oswoiłem się z myślą, że Tli Ima n nie wróci. Że oprócz nas dwojga wszyscy tam zostali.

Personel szpitala już mnie znał, więc nikt nie zadawał pytań, kiedy szedłem do Drew, która leżała w odgradzonym parawanem kącie przepelnionej sali. Kiedy domagałem się, aby ze względu na ryzyko epidemii umieszczono ją w izolatce, lekarze patrzyli na mnie tak, jakbym sugerował wysłanie jej na księżyc.

Drew siedziała na łóżku ubrana w szpitalną koszulę i czytała książkę, którą jej przyniosłem. *MHość w czasach zarazy*, Miała bladą skórę i wielki siniak na skroni po uderzeniu kolbą, ale uśmiechnęła się na mój widok.

- Czy dziś już wracam do domu?
- W każdym razie wynosisz się stąd. To dla ciebie.

Podąłem jej torbę z ubraniami, które kupiłem tego ranka. Podkoszulek, parę spodni i komplet bielizny. Stałem za parawanem, zęby mogła się swobodnie przebrać.

- Mam nadzieję, że pasują - powiedziałem. - Dobierałem rozmiary na oko

Cały jej dobytek, garstka rzeczy, które znaleziono w jej kieszeniach, leżał teraz w foliowym worku obok łóżka. Wszystko inne kazałem spalić.

- A Nolberto. cokolwiek się z nim stało, nadal tu jest? - zapytała.

- Przenieśli go do szpitala wojskowego w Limie. Dzwoniłem tam, zęby zapytać, jak się czuje, ale nie mogłem się z nim skontaktować.

- Jeśli wciąż żyje, to wszystko w porządku.
- Być może.

Drew wyszła zza parawanu. Schudła bardziej, niż przypuszczałem, i ubranie wisało na niej. Zaczesała włosy na bok, żeby zakryć siniak na skroni. Zobaczyła moją minę i posiała mi pokrzepiający uśmiech.

- Czy to telefon w twojej kieszeni, czy tak się podniecisz na mój widok?

- Nie uwierzysz. Wróciłem nareszcie do cywilizacji i zapomniałem naładować baterię.

- Muszę zadzwonić do mamy i powiedzieć, że nic mi nie jest.

- Podłączę telefon w hotelu-odpartem, uśmiechając się szeroko. - Zarezerwowałem dla nas najlepszy apartament w mieście.

Motorkszą dojechaliśmy do zatoki. Siedzieliśmy obok siebie na ciasnym fotelu, a Drew trzymała mnie za rękę. Zastanawiałem się, czy czuje drżenie pod palcami.

- To wszystko, co dla mnie zrobisz... Zwykłe „dziękuję” wydaje się zbyt skromne.

Plastikowa Tigurka Matki Boskiej przyklejona do przedniej szyby spoglądała na mnie nad ramieniem kierowcy,

- Wspólnie przez to przebrnęliśmy.

Taksówka zatrzymała się przed hotelem; tym samym, do którego przywiózł mnie Nolberto prosto z lotniska. Minął zaledwie miesiąc od tamtego dnia, a wydawało się, jakby to wszystko wydarzyło się w zupełnie innym życiu. Rozparta na plastikowym krześle właścicielka hotelu pomachała do nas. Nie miałem pojęcia, czy naB rozpoznała, ale wiedziałem, co myśli.

Drew omiotła wzrokiem nagie betonowe ściany i pokryty łuszczącą się farbą sztyd.

- Nie przypuszczałam, że tak się ucieszę, znów widząc to miejsce.

Pokój niewiele różnił się od tego, który zajmowałem poprzednim razem. Nad dwoma zsuniętymi łóżkami wisała postrzępiona moskiera, a przez brudne firanki sączyło się do środka ostre światło tropikalnego słońca.

- Największy luksus w całym hotelu - zażartowałem. - Szarpnąłem się nawet na pokój z łazienką.

Czarna rzeka

Muszla, umywalka i prysznic znajdowały się w kacie za cienkim przepierzeniem bez drzwi ani kotary.

- Lepiej nie mów o tym żonie - powiedziała Orew i zauważyła, że wzdrygnąłem się na wzmiankę o Cale. - Przepraszam.

- Jest wiele rzeczy, o których nie musi wiedzieć - odparłem, próbując obrócić to w żart,

Podłączyłem ładowarkę do obluzowanego gniazdka, które zwisało ze ściany jak wylupana gałka oczna. Wyświetlacz telefonu wciąż był ciemny.

- Nie ma prądu.

- Wtaczają go tylko między siódma a dziesiątą - przypomniała Drew i rzuciła się na fózko. - Boże, co za wspaniałe uczucie. Już nigdy w życiu nawet nie spojrzę na hamak.

Nie mogła długo wytrzymać w miejscu. Opuściła nogi na podłogę i wstała, po czym zdjęła podkoszulek, a jej ręce powędrowały w stronę zapięcia spodni

- Muszę wziąć prysznic - oznajmiła. Jej głos nagle przybrał zupełnie inną barwę.

- Obawiam się, że trudno tutaj o prywatność - powiedziałem, starając się nie zwracać uwagi na fakt, że była już prawie półnaga.

Przed moimi oczami przemknęły dzikie obrazy, które nawiedziły mnie we śnie po wypiciu wywaru Fabia. Drew podeszła do mnie i zaczęła niedbale muskać palcami guziki mojej koszuli.

- Liczyłam na to, że umyjesz mi plecy.

Nasze spojrzenia się spotkały i w końcu nie było między nami żadnych dwuznaczności. Żadnych rozmytych linii, tylko czyste i jasne intencje. Kiedy uporała się z moimi guzikami, sięgnęła oburącz za plecy, żeby rozpiąć biustonosz.

Nie jestem dumny ze swojej reakcji. Nie pomyślałem o Cate ani się nie zastanawiałem, co powiedziałyby Peggy, gdyby zobaczyła mnie w takiej sytuacji. Teraz rzeczywistość nie miała znaczenia. Byłem znów w tamtym śnie, przezywałem na nowo tamten upojny odlot. Liczyło się tylko to, jak bardzo jej pragnę. Biustonosz zsunął się na podłogę. Drew, nie odrywając ode mnie oczu, rozchyliła moją koszulę i zsunęła mi ją na ramiona. Jej spojrzenie zatrzymało się na mojej szyi. Przyłożyłem tam dłoń i wyczułem pod palcami chłodny kształt amuletu, który dostałem od Antona. Nie zdejmowałem go od chwili, gdy mi go dał na dzień kanionu. „Potrafię zadbać o swoje szczęście” - powiedział wtedy. Dzień później już nie żył.

Drew przysunęła się jeszcze bliżej i otarła się sutkami o moją pierś. Potem stanęła na palcach i wpiła mi się w usta.

- Czy o tym marzyłeś, odkąd spotkaliśmy się w Meksyku? - zapytała, przerywając długi, namiętny pocałunek.

Odepchnąłem ją od siebie. To było cholernie trudne.

- Ubierz się.

Stała przede mną z taką miną, jakbym wymierzył jej policzek.

- Chodzi o twoją żonę? Nie sądziłam... - Wzruszyła ramionami. - Cóż, chyba źle cię zrozumiąłem.

- Musimy porozmawiać.

- A jednak wezmę ten prysznic - powiedziała.

Zrobiła krok w stronę łazienki, ale zastąpiłem jej drogę.

- Ubierz się - powtórzyłem.

Sięgnąłem do kieszeni, z której wyjąłem małą plastikową fiolkę. Na jej widok Drew znieruchomiała.

- Co to jest?

- Ty mi powiedz - odparłem i wskazałem leżącą na krześle torbę, która przyniosła ze

Czarna rzeka

szpitala. - Było w środku.

- Grzebałeś w moich rzeczach?
- Szukałem numeru telefonu twoich rodziców, żeby do nich zadzwonić.

Uniosłem buteleczkę, prezentując etykietkę, na której widniał napis „Blackwater

102b Anlivial Medication¹. Drew spojrzała na nią pobieżnie. Zastanawiała się przez chwilę. Mierzyłem ją wzrokiem. Była prawie całkiem naga, ale moje oczy zdawały się tego nie zauważać.

~ To należało do Menendeza - wyjaśniła. - Znalazłam to w jaskini.

- W fiolkach Menendeza były szczepionki, a to jest antidotum. Substancja, która neutralizuje wirusa Czy wiesz, co to oznacza?

- Nie obchodzi mnie to. - Drew włożyła spodnie i podkoszulek. - Chcesz wrócić do żony i dziecka? To świetnie, ale nie wyżywaj się na mnie.

- Nie poznałaś Antona przez przypadek i nie pracowałaś dla żadnej organizacji pozarządowej. Ale miałaś rację, mówiąc, że ktoś z naszej grupy zaciera ślady po Menendzie. Tylko nie była to Zia ani Tillman i nie chodziło o to, że ze szczepionką jest coś nie tak. Działała idealnie, prawda?

- Postępuj samemu sobie. Jesteś obłąkany.

Zauważyłem, że zerka w stronę drzwi. Oparłem się o nie plecami i splotłem ręce na piersi. W dżungli straciłem sporo sH, ale byłem od niej wyższy o głowę, a ona przeleżała tydzień w łóżku na szpitalnym wlkcie.

- Menendez myślał, że szczepi Indian, ale tak naprawdę ich zabijał. To nie były szczepionki, tylko śmiertelny wirus, którym można skazać żywność i szybko się ulotnić, zanim zacznie działać. Szkoda, że musiał zostać wypróbowany na Indianach, ale nikt nie będzie za nimi tęsknił, prawda? Może nawet nikt niczego nie zauważy. Bo kto będzie się przejmował losami jakiegoś dzikiego plemienia?

- Nie muszę słuchać tych bredni.

- Czyja to sprawa? Jakim trzeba być szaleńcem, żeby zarazić ludzi śmiertelnym wirusem? Chyba nawet spółki naftowe nie posunęłyby się do tego.

Drew zaczęła tracić pewność siebie. Rozglądała się nerwowo po pokoju - patrzyła to w stronę okna, które się nie otwierało, to znów na drzwi, które wciąż blokowałem. Czułem, jak wzbiera w niej furia osaczonego zwierzęcia. Przypominałem sobie tamten dzień, kiedy polowaliśmy na pekarl, i przemknęło mi przez myśl, że teraz poczułbym się pewniej, trzymając strzelbę.

- Nie pracuję dla Hafciarzy.

- 2 pewnością nie wyglądasz na misjonarkę - odparłem. Teraz jej widok przywodził mi na myśl gniazdo węży. - Miałem dużo czasu na przemyślenia, kiedy leżałaś w szpitalu. Przypuszczam, że pracujesz dla CIA albo podobnej instytucji. Wykorzystaliście Menendeza, żeby przetestować nową broń biologiczną, a kiedy nie wrócił, przyłączyłaś się do Antona, żeby sprawdzić, co się stało.

Drew usiadła na łóżku. Nie łudziłem się, że jej gest oznaczał przejście do defensywy.

- Poznałam Antona przez przypadek, tak jak ci mówiłam. Wychodziłam z ministerstwa % wpadłam prosto na niego. Spodobał mi się, jeśli ma to jeszcze jakieś znaczenie.

- To nie ma nic do rzeczy.

Sięgnąłem do kieszeni Drew zeszywniała, ale rozluźniła się po chwili, widząc, że wyciągam niebieski plastikowy kwadracik wielkości znaczka pocztowego.

- Znalazłem to w twoich spodniach, na dnie kieszeni. Niewiele brakowało, a trafiłoby do spalarni, To karła pamięci z aparatu Menendeza

- Myślałam, że ją zgubiliśmy - powiedziała z udawanym zaskoczeniem.

Czarna rzeka

- Anton miał ją w swoim portfelu.

“ W takim razie musiał mi ją dać.

- Była w jego portfelu, kiedy spadł w przepaść. Kiedy go zepchnęłaś - powiedziałem. Odkryłem to trzy dni temu. ale wciąż było mi trudno się z tym pogodzić. - Potem zjechałaś po linie i zabrałaś mu portfel. Prawdopodobnie obawiałaś się. że na zdjęciach może być coś obciążającego. Wykorzystałaś go.

- Wykorzystałam? To było jego marzenie. Beze mnie nigdy by nie wyruszył! na tę wyprawę. Howie, Fabio, Zia... Wszyscy byliście tacy jak on. Poszliście tam, zęby coś zyskać.

- To. czego chciałem, nie wymagało ludobójstwa

Utknęliśmy w martwym punkcie. Nawzajem mierzyliśmy się wzrokiem, choć nie mogliśmy znieść swojego widoku. W miejscu, gdzie Drew nerwowo drapała moskitierę. pojawiła się dziura.

- No i po co mnie tu przyprowadziłeś? Wezwiesz teraz policję? Ściągniesz tu dziennikarzy? Chcesz dokonać aktu zemsty? Wymierzyć sprawiedliwość¹⁹

W pokoju panował upał i zaduch gorszy niż w dżungli. Marzyłem o szklance wody, ale pomyślałem, że Drew mogłaby ją rozbić i poderznąć mi gardło.

- Chcę zawrzeć układ. Moje milczenie za moje bezpieczeństwo. Skoro ludzie, dla których pracujesz, bez skrupułów potrafią wymordować całe plemię Indian, nie mówiąc o Antonie, Howiem i całej reszcie, zgładzenie jakiegoś brytyjskiego lekarza to dla nich żaden problem.

Drew wyduła wargi.

- Za kogo ty się uważasz? Za Edwarda Snowdena? Nie masz żadnych dowodów.

- Mam próbkę krwi, którą pobrałem od Howiego i twoja fiolkę. Wystarczy oddać je do laboratorium i założę się, że testy wykażą taką zgodność między wirusem i antydotum, jakby były dla siebie stworzone. Cały czas miałąś w kieszeni lekarstwo, a pozwoliłaś, zęby Howie skonał w męczarniach

Drew sprawiała wrażenie autentycznie znudzonej.

- Oczekujesz, że się do czegoś przyznam?

- Nie zamierzam się ukrywać w ambasadzie Ekwadoru. Nie chcę być zamknięty w Guantanamo i na pewno nie chcę, zęby moja rodzina zginęła pewnej nocy w wypadku, rozjechana na wiejskiej drodze przez nieznanego sprawcę.

- Życie bywa nieprzewidywalne.

Poczułem, jak zaczyna ogarniać mnie panika. Zapragnąłem jak najszybciej wyjść z tego pokoju.

- Umowa stoi?

- Nie bądź śmieszny.

Podszedłem do niej i złapałem ją za ramiona. Moje kciuki wbiły się w miękkie zagłębienia za jej obojczykami, a równie łatwo mogłyby się zacisnąć na jej szył.

- Powiedz swoim mocodawcom, zęby zostawili mnie w spokoju. Próbki są już w paczce, którą wysiałem do mojego adwokata, razem z kopią zdjęć i długim listem, w którym wszystko dokładnie opisałem. Jeżeli coś mi się stanie, dziś, jutro czy za dziesięć lat, sprawa trafi na pierwsze strony gazet.

- Myślisz, że to wystarczy?

- Przekonamy się.

Trzymałem ją jeszcze przez chwilę. Nasze twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów i wciąż czułem na ustach gorzki smak Jej pocałunku, który chciałem Jak najszybciej z siebie zmyć Spojrzałem w jej oczy, próbując coś dojrzeć. Skruczę? Żal? Wyrzuty sumienia? Cokolwiek.

Czarna rzeka

Nie zobaczyłem nic. Puściłem ją i pchnąłem na łózko.
-Wracam do domu.

Wyszedłem z pokoju i zamknąłem za sobą drzwi na klucz. Nie sądziłem, aby wytrzymały dłużej niż dwie minuty, ale przynajmniej miałem jakąś przewagę. Zbiegiem na dół po betonowych schodach, minąłem kobietą siedzącą na plastikowym krześle i zatrzymałem się dopiero na nabrzeżu. U podnóża skarpy rzeka toczyła swoje brunatne wody.

Przy chodniku czekała na mnie taksówka, duży samochód terenowy z napędem na cztery koła, o srebrnej karoserii obryzganej błotem. Wskoczyłem do środka.

- Dokąd? - zapyta! kierowca.
- Puerto Maidonado - powiedziałem. - Na lotnisko.

Nie zamierzałem pozostawać w Puerto Tordoya ani chwili dłużej. Drew na pewno miała tu swoich przyjaciół i było tylko kwestią czasu, aż dostanie się do telefonu i skontaktuje z nimi. Może przystała na moje warunki, a może nie, ale nie łudziłem się, że będzie ich przestrzegać i nie wykorzysta okazji, aby się wykręcić.

Samochód ruszył, bryzgając błotem. Zauważyłem idące ulicą dziewczynki w nieskazitelnych mundurkach szkolnych - białych bluzkach i szarych fartuszkach. Był to jedyny czysty akcent pośrodku całej tej brudnej dżungli.

Nie obejrzałem się za siebie.

Czarna rzeka

EPILOG

Pewnie się zastanawiacie, czy mi się udało. Otóż nadal żyję. Próbka krwi Howiego, antidotum i karta pamięci spoczywają zamknięte w sejfie. Jutro trafi tam również ta opowieść. Powierzyłem klucz do skrytki mojemu adwokatowi i poleciłem mu, by ją otworzył, jeżeli coś się przytrafi mnie albo mojej rodzinie. Tylko tak mogłem się zabezpieczyć. Ilekroć pod naszym domem parkuje jakaś furgonetka, ilekroć Cate wraca późno z pracy albo dzwoni do nas wychowawczyni Peggy, zastanawiam się, czy ci ludzie, kimkolwiek są, będą respektować nasz układ. O ile jakkolwiek zawarliśmy.

Być może jesteście rozczarowani. Oczekiwaliście, że zachowam się jak bohater, że opowiem światu o Paititi i ujawnię, co zrobiła Drew. zęby śmierć Antona nie poszła na marne.

Też chciałem być bohaterem. Wybaczcie.

Myślałem, że życie mnie wyrolowało, że zasługuję na wielką przygodę. Na odegranie pierwszoplanowej roli. To dlatego wybrałem się na tę wyprawę i nie mogę narzekać - doświadczyłem wszystkiego, czego oczekiwałem. Wodospad, most linowy nad przepaścią, ruiny zaginionego miasta. Już nawet nie pamiętam, ile razy czułem się jak bohater filmu przygodowego. Nieraz spoglądałem śmierci w oczy, ale wyszedłem z tego cało. Akurat te przeżycia nie należały do najprzyjemniejszych.

Kilka dni temu odwiedziła mnie była zona Antona. Znalazła mój adres e-mailowy na jego koncie pocztowym i korespondowaliśmy od kilku miesięcy. Próbowałem różnych sposobów, zęby się jej pozbyć. Napisałem, że nie stać mnie na lot do San Diego, że nie mam nic do dodania, że spędziłem z Antonem zaledwie kilka tygodni i nie zdążyłem dobrze go poznać.

Pewnego dnia napisała do mnie, że właśnie kupiła bilet i przyleci w następny weekend,

- Musiałam się z tobą zobaczyć - powiedziała, stojąc w progu mojego domu. - Byłeś przy nim w ostatnich chwilach jego życia.

Wyglądała inaczej, niż sobie wyobrażałem. Nie była podstarzałą hipiatską ani wysportowaną plażową pięknoscią. Drobną i zamkniętą w sobie sprawiała wrażenie, jakby pracowała w banku. Miała bardzo mocny makijaż. Za jej plecami stał chudy, długowłosy chłopiec. Przyjrzałem się jego twarzy w nadziei, że zobaczę na niej siad silnego charakteru Antona, ale miał oczy matki i nie odziedziczył po ojcu ani trochę wigoru.

Poczęstowałem ich herbatą. Kobieta przysiadła na brzegu sofy, trzymając filiżankę, jakby nie wiedziała, co z nią zrobić. Chłopiec, który wyglądał na skrupowanego, zaczął bawić się smartfonem.

-Jego ciało... Firma ubezpieczeniowa nie wypłaci mi żadnego odszkodowania.

Rozejrzała się po salonie i domyśliłem się, że ocenia poziom mojego życia. Oglądała nasze zdjęcia z wypraw na narty, z wakacji na Bali, Malediwach, w Afryce i w Meksyku; patrzyła na nasze tablety i fortepian Cate. Czułem, że postrzega mnie przez pryzmat tego wszystkiego.

- Pomyślałem, że mógłbyś... - dodała.

- Żadne pieniądze go nie wskrzeszą - odparłem z nabożną powagą.

- Wiem. Ale gdybym chociaż miała co pochować...

Czarna rzeka

Mógłbym jej wiele powiedzieć na ten temat. Gdyby ocalała kamera Fabia, mógłbym jej pokazać, jak w tej chwili wyglądają szczątki Antona.

- Anton był niezwykłym człowiekiem i zginął, robiąc to, co kochał - powiedziałem stanowczo. - A teraz spoczywa w pokoju.

Wypiłem tyk herbaty, nie mogąc się doczekać końca tej wizyty. Ta kobieta była jak ostatni gość na przyjęciu, który ociąga się z pożegnaniem, podczas gdy gospodarze chcą już iść spać.

- Jakie były jego ostatnie słowa? - zapytała.

Sięgnąłem pamięcią wstecz. To musiało być tamtej nocy, kiedy obejmowałem po nim wartość na szczycie piramidy.

- Powiedział: „Wszystko gra”.

- To w jego stylu.

Wiedziałem, że spodobało jej się to, co usłyszała.

Znowu zapadło milczenie. Ta kobieta przyleciała z tak daleka i zapewne oczekiwała ode mnie czegoś więcej, ale nie miałem już nic do powiedzenia. Czuję na szyi twarde kształt amuletu, który wciąż nosiłem pod koszulą. Wiedziałem, że powinienem go zdjąć i oddać temu chłopcu. Jego matka byłaby zachwycona takim gestem. Ale potrzebowałem wszystkiego, co zapewni mi przychylność losu.

- Myślisz, że ono naprawdę istnieje? - odezwała się w końcu. - To jego zaginione miasto.

Spodziewałem się takiego pytania i miałem gotową odpowiedź.

- Gdybyśmy je znaleźli, nie byłoby już zaginionym miastem.

Kiedy się pożegnaliśmy, składając sobie nieszczerze obietnice, że pozostaniemy w kontakcie, nalałem sobie kieliszek wina i rozsiadłem się w fotelu. Za oknem niebo nad Londynem zasnuwało się ciemnymi chmurami. Zanosilo się na deszcz. Potoczyłem dookoła otępiąłem wzrokiem, próbując zobaczyć mój salon oczyma tej kobiety. Wszystkie oznaki dostatku i wygody. Idealne życie, jak by to ujął Anton.

Żyjemy tak samo, jak umieramy, w samotności. A człowiek, który napisał te słowa, był optymistą.

Czarna rzeka

POSŁOWIE

Zaginione miasto Paititi istnieje naprawdę, jeśli wierzyć legendom. Relację Andre-Lopeza, który rzekomo je widział, rzeczywiście znaleziono przed kilku taty w watykańskich archiwach, ale historia Diega Aluarada jest wytworem mojej fantazji. Łańcuch króla Nuascara, złote słońce ze świątyni w Cuzco i mumie czternastu inkaskich władców to skarby, które podobno się tam znajdują. Inspiracją dla opisanych w tej książce petroglifów były symbole naskalne niewiadomego pochodzenia, które widziałem podczas wizyty w Pusharo. Strażnik jest podobny do niezwyklej formacji skalnej, którą odkrył Diego Cortijo w 2013 roku.

Co roku w niezbadane rejony Peru i Boliwii zapuszczają się śmiałkowie, którzy szukają Paititi. Większość z nich wraca. Wszyscy członkowie opisanej w tej książce wyprawy są postaciami fikcyjnymi i wszelkie podobieństwo do autentycznych osób i wydarzeń jest całkowicie przypadkowe. I niepokojące, jeśli mam być szczerzy.

Wybierając się do dżungli, trzeba wiedzieć, komu można zaufać. W przeciwieństwie do Kela miałem wyjątkowe szczęście do moich towarzyszy podróży, z którymi wędrowałem w głąb peruwiańskiej Amazonii. Fernando Rivera z EcoManu Peru okazał się najlepszym przewodnikiem, jakiego można sobie wymarzyć - znał się na rzeczy, można było na nim polegać, był zaradny i zawsze miał dobry humor. Kevin Anderson walczył z dzikimi Indianami, drapieżnymi jaguarami, węzami, jadowitymi ślimakami i całą masą tropikalnych chorób (których większość istniała tylko w jego wyobraźni), dzielnie dotrzymując mi kroku. Kiedy piszę te słowa, już mu nie dolega. Dziękuję również Simonowi, Rayowi, Vicky, Catliktowi, Robertowi, Moisesowi oraz wszystkim innym, którzy opiekowali się nami podczas tej wyprawy. Specjalne podziękowania należą się S/Irginii, która pożyczyła nam swoją balsową tratwę, kiedy naszą porwał wężbrana po burzy rzeka.

Jestem również bardzo wdzięczny Carlosowi Remcnowi, który podjął wyzwanie i próbował nauczyć mnie hiszpańskiego; doktorowi Timowi Thompsonowi za udzielenie mi informacji na temat rozkładu ciał; Claire McGowan za opowieści o Meksyku, Michaelowi Ridpathowi za aforyzm o dżungli, a także rodzime Fitzgerald Kay, która wygrała aukcję dobroczynną na rzecz szkoły w Knavesmire i mogła nadać imiona bohaterom mojej powieści. Przez jeszcze dzikszą dżunglę mojego rękopisu wprawnie przeprowadzili mnie Oliver Johnson i Annę Perry, którzy wzięli na swoje barki większość bagażu. Kerry Hood dokonywał nadzwyczajnych rzeczy, a moja agentka, Jane Conway-Gordon, odstraszała wszystkie drapieżniki.

Opisałem w tej powieści kilka żon, które wypuściły swoich mężów na ryzykowną wyprawę w głąb dżungli i czekały na nich, usychając z tęsknoty. Jedną z nich jest moja żona. Jej pobłażliwość nie ma sobie równych. Jestem także wdzięczny moim dzieciom, które nigdy nie pozwalają mi zapomnieć, jak ekscytującą przygodą jestycie Jeśli tylko wrócę do domu przed dobranocka.